



TED

ALLBEURY

WSZYSTKIE

NASZE

JUTRA

Ted Allbeury

Wszystkie nasze jutra

(All our tomorrows)

Przełożył: Piotr Jankowski



1991

Tę książkę dedykuję Alewyn Birck

Niewielu ludzi potrafi odczuwać szczęście, jeśli nie mogą jednocześnie nienawidzić jakiejś innej osoby, narodu lub wiary.

B. Russel

Brytyjscy komuniści powinni, jeśli to konieczne, uciec się do wszelkich możliwych wybiegów, sztuczek, intryg, zatajania prawdy i środków nielegalnych, by przeniknąć do związków zawodowych i w nich pozostać. Powinni nauczyć się wspierać swymi głosami przywódców Labour Party tak jak sznur wspiera wisielca.

Lenin

Rozdział I

Długa ostroga wiązów biegła zboczem łąki, rozciągając się od południowo-wschodniego krańca lasu niemal aż do mostu prowadzącego do farmy. Blandożółte słońce wczesnego marcowego poranka rzucało długie cienie przed stadem, które powoli przechodziło mostem na łąkę po drugiej stronie rzeczki. Trawę pokrywała siwa warstwa szronu i w mroźnym powietrzu parowały oddechy dwóch pędzących stado mężczyzn.

Dwaj Niemcy stojący przy skraju lasu naciągnęli na twarze wełniane szaliki. Obserwowali poruszenia krów i parobków. Gdy zwierzęta zbliżyły się do krawędzi lasu, wyższy z pasterzy wyprzedził czoło stada. Po pięciu minutach był już w lesie, posuwając się zgodnie ze znakami namalowanymi białą farbą na pniach drzew.

Gdy dotarł do Niemców powiedział:

- Dobry dien'.

Wyższy z nich wyciągnął rękę.

- 'Tag.

Godzinę później znajdowali się już w dużym domu na przedmieściach Brunszwiku. Służył on jako skrzynka kontaktowa BFV, wywiadu zachodnioniemieckiego. Po dalszych pięciu godzinach, gdy mężczyzna wykapał się i zaczął składać raport, jeden ze słuchających go wyszedł z pokoju i zadzwonił pod zastrzeżony numer w Bonn.

Przed wieczorem już sześciu mężczyzn wypytywało przybysza. Nie agresywnie, ale dokładnie, wręcz drobiazgowo. Cechowała ich

spokojna pewność ludzi wiedzących, że ich czas i wysiłek nie będzie zmarnowany.

Człowiek, którego badali, był majorem KGB, oficerem łącznikowym pomiędzy KGB i radzieckim wywiadem wojskowym – GRU. Skontaktował się z nimi cztery miesiące wcześniej. Teraz był już po wszystkich badaniach sprawdzających możliwość ewentualnej zdrady. Ustalono jego motywacje, zakres posiadanych informacji, pytano, jakiego żąda wynagrodzenia. Niezbyt chętnie wówczas ujawniał, czym się kieruje, i nie posunął się poza stwierdzenie, że to, co chce powiedzieć, ma niezwykle wagę.

Oczywiście wiedzieli już o nim co nieco i mieli świadomość, że jeśli tylko zechce, może rzeczywiście dostarczyć informacji o wielkiej wadze. Jeśliby jednak uzyskał ich akceptację zbyt tanim kosztem, ryzykowali wiele. Mógł być wtyczką KGB. Mógł okazać się płótką, usiłującą zdobyć mieszkanie i pensję w zamian za rutynowe materiały, a takich mieli już z pół tuzina. Było w nim jednak coś, co w końcu skłoniło ich do podjęcia tego ryzyka. Przejęli go 5 mil na południe od Helmsted.

Sekcja fotograficzna powiększyła już mikrofilm, który Rosjanin przeniósł ukryty w górnej, sztucznej szczęce. Sama tylko zawartość mikrofilmu usprawiedliwiała ich decyzję. Ale to był dopiero początek. Rozmawiał z nimi teraz otwarcie, odpowiadał na wszystkie pytania, a jego motywacje stały się jasne. Po prostu bał się tego, co miało się stać. Oni zresztą też się bali. Scenariusz, jaki przedstawił, znali od dawna. Jednak nigdy nic podobnego się nie działo i stopniowo stawał się on coraz mniej prawdopodobny.

Jeden z przesłuchujących wrócił nocą do Bonn. Drugi wieczornym samolotem poleciał do Berlina. W Tegel czekała na niego dziewczyna, Francuzka. Wypili razem kawę w restauracji na lotnisku. Zwykłą, brązową kopertę zwinął tak, żeby mieściła się do

jej torebki. Nie miała pojęcia, jakie informacje zawiera ta koperta; w południe następnego dnia przekazała ją pewnemu mężczyźnie w mieszkaniu nad sklepem rybnym przy rue Monge w Paryżu.

Fakty, o których poinformował Niemców zbiegły oficer, ich wzajemne usytuowanie w czasie prawdopodobnie pozwoliłyby siłom NATO lub ONZ zapobiec przeistoczeniu się agresywnego planu w krwawą rzeczywistość. Zamiast tego stały się jednak katalizatorem, który połączył się ze stuleciami rywalizacji i nienawiści między Anglią i Francją. Sięgały one od czasów bitwy pod Agincourt, poprzez rok 1066, aż do dzisiejszych sprzeczek farmerów o jabłka Golden Delicious, czy import kurcząt i indyków. To odwieczne, podszyte nienawiścią współzawodnictwo posłużyło za wymówkę słabemu, lecz bezwzględnemu i ambitnemu politykowi, który zamienił potencjalnie groźny incydent w nieuniknioną katastrofę. Katastrofę, która miała wpłynąć na życie milionów ludzi.

Rozdział II

Pułkownik Harry Andrews skinął szorstko głową, dziękując sierżantowi, który postawił przed nim na stole drinka. Gdy skończył powolne kartkowanie programów telewizyjnych w „Radio-Timesie” i „TV-Timesie”, rzucił oba pisma na siedzenie najbliższego fotela. Sięgnął po szklanke, przytrzymał ją pod światło, a potem ostrożnie upił łyk napoju. Jak dotąd zauważył tylko dwa niebezpieczne punkty.

Pułkownik Andrews sprawdzał zapowiedzi teatru telewizji, gdy tylko zanosilo się na to, że spędzi większość tygodnia w domu. Nie interesowały go sztuki – wprost przeciwnie. Nienawidził teatru, czy to na scenie, czy w życiu. Ta nienawiść obejmowała dramaturgów, aktorów, a w szczególności aktorki, a także wszystkich tych pieczeniarzy, którzy na teatrze – wszystko jedno w jakiej postaci – zarabiali pieniądze. Zaś najbardziej ze wszystkiego nienawidził swej żony. Nie miała ona żadnych powiązań ze sceną; jednak wpływ, jaki teatr na nią wywierał, był właśnie przyczyną tej nienawiści.

Niedzielny film na kanale BBC-1 opowiadał o stopniowym upadku pięknej niegdyś kobiety, gwiazdy Hollywoodu, którą opuścili wszyscy przyjaciele, mąż i kochankowie, gdy w końcu roztrwonila majątek, a jej piękne ciało przestało budzić pożądanie. Przez pięć dni Paula będzie odgrywała w domu tę rolę i łyzy będą pojawiać się w jej oczach, gdy tylko zacznie powtarzać banalne, pełne wyrzutu kwestie z filmu. Paula Andrews natychmiast utożsamiała się z każdą zgnębioną, boleśnie doświadczoną kobietą, począwszy od Delilah, a skończywszy na sponiewieranych żonach

Evina Pizzeya. Nie każdy, kto mając 17 lat jest tak piękny, że aż dech zapiera, musi w końcu wpadać w ciężką nerwicę, ale jeśli chce się na nerwicy budować karierę, to na pewno bycie tak pięknym może w tym pomóc. A jeśli jeszcze uroda łączy się z wrodzonym talentem aktorskim i żywą, choć wykoślawioną wyobraźnią z rodzaju takich, na jakich bazują wszyscy psychopatyczni kłamcy – wówczas ktoś taki potrafi nieźle się bawić, zmieniając życie swych najbliższych i najdroższych w istne piekło.

Wiedział, że będzie odgrywała upadłą gwiazdę tylko przez pięć dni, bo już w piątek zobaczy Laureen Bascal i Humphrey'a Bogarta w „To Have and Have Not”. W dziesięć minut zmieni się w dowcipkującą, światową kobietę, niewprawnie popalającą papierosa i z pod wpół przymkniętych powiek posyłającą mu spojrzenia pełne pogardy dla jego słabości. A może to była raczej Bette Davis w „Scapegoat”?

Harry Andrews traktował czytanie „Radio-Timesa” tak jak któraś z jego grup specjalnych SAS traktowałyby rutynowe rozpoznanie. Jak mawiano w wojsku – „Czas spędzony na rozpoznaniu nigdy nie idzie na marne”, albo „W porę ostrzeżony, w porę uzbrojony” i temu podobne.

Pułkownik z łatwością dawał sobie radę z manią żony. Miał z tym do czynienia od 15 lat, a pułkownikiem SAS nie zostałby nikt, kto bawi się w drobiazgi. Dawno już wyczerpał spis tego, co był w stanie zrobić, żeby uczynić znośniejszym stan Pauli i swoją sytuację. Był u kilku internistów, u czterech psychiatrów, próbował intensywnego seksu, paternalizmu, aż w końcu doszedł do wniosku, że najlepiej będzie po prostu nie zwracać na to uwagi. Obserwował, jak psychiatrzy i inni specjaliści próbują najróżniejszych terapii. Nigdy nie przyznawali się do porażki. Ale zawsze przegrywali. Ona po prostu miała psychopatyczną osobowość; zawsze będzie kłamać,

zawsze będzie nieobliczalna, a jej przeprosiny i skrucha nieodmiennie będą fałszywe. To jemu tak powiedzieli, nie jej. Była zbyt piękna na to, by jej uświadamiać wszystkie te paskudne fakty. A gdy już ją skreślili z listy, mogli zacząć pakować się do jej łóżka. Nie wymagało to wielkiego zachodu. Doskonale wiedziała, co o niej sądzą i pozwalała im spać ze sobą, bo w ten sposób zawsze i tak była górą.

Andrews przeszedł z powrotem do swego biura na starej plebanii, otworzył drzwi i wybrał jeden z kluczy na kółku, zanim usiadł przy metalowym biurku.

Tego, wczesnowiosennego sobotniego popołudnia tylko ludzie ze służby wartowniczej byli na miejscu. Większość grała w krykieta lub kibicowała w pobliskim Tunbridge Wells. Harry Andrews grywał w Niebieskich i był kiedyś w reprezentacji jednego z mniejszych hrabstw. Od kiedy jednak awansował na kapitana, sport i inne rozrywki stały się dla niego już tylko zajęciami dobrymi dla żołnierzy, którzy inaczej nudzili się i ze swą niewyżytą energią stawali się utrapieniem ludności i policji.

Andrews kochał ich wszystkich jak synów. Ale był oschłym, srogim ojcem, wymagającym, by pod spojrzeniem jego jasnobrązowych oczu słowa stawały się zbędne.

Otworzył górną szufladę z prawej strony biurka i wyjął dwa segregatory. Grubszy miał nalepkę: „Zbiorczy Raport Komisji Wywiadu 1980-1984”; na cieńszym widniał odręcznie napisany tytuł: „Cromwell - Analiza Przebiegu Krytycznego”. Otworzył grubsze akta i wolno przeczytał ostatni raport miesięczny ze stycznia 1984 roku. Dwadzieścia minut później, wciąż czytając i nie podnosząc głowy, sięgnął do telefonu i poprosił oficera służbowego o połączenie z numerem w Edynburgu.

Mimo czystego, niebieskiego nieba zbocze wzgórza przyprószone było cienką warstwą śniegu, a tam, gdzie wiatr nawiał go pod wystające kamienie, tworzyły się małe zaspasy. Chuda, czarno-biała suka collie przypadła do ziemi, pilnując owiec. Posuwała się naprzód cal po calu, żeby je zatrzymać przed płytkim strumieniem. Ostrożna i opanowana, nie chciała spłoszyć stada, w którym – jak zwykle w ostatnim tygodniu lutego, po Guy Fawkes Day – znajdowały się barany. W oborze były teraz tylko te owce, które się okociły; resztę zostawił na wzgórzach. To śnieg spowodował, że stał się ostrożniejszy i postanowił zapędzić je bliżej zabudowań farmy. Były to głównie małe, odporne Welsh Mountainery, ale blisko 30 z nich dla polepszenia runa pokryto baranem Swaledale. Miały niebieskie łaty na zadach, zamiast jak zwykle czerwonych, i wyglądały masywniej od innych z powodu ciąży.

Kiedy liczące ponad 300 sztuk stado spłynęło w dolinę, spojrzął w stronę góry. Nad szczytem zawisł w powietrzu myszołów, wypatrujący nowonarodzonych jagniąt. Za ostatnią linią drzew, w zachodzącym słońcu czerwieniała powierzchnia skał. Mężczyzna, który nazywał się Glyn Thomas i był tyleż poetą, co farmerem, uśmiechnął się do siebie. Zdał sobie bowiem sprawę, że jego umysł w połowie tylko podziwiał piękno wzgórz, w połowie zaś przelicza wyniki hodowli, które nie były szczególnie dobre, choć do przyjęcia. Przy przeciętnej 1,5 nadal zawdzięczał wiele dotacjom z HFS.

Patrząc, w dół, u stóp wzgórza dojrzał dym z kamiennego komina, wznoszący się pionową spiralą, dopóki nie rozwiął go wiatr. Dom był długi i wąski. Kamienny, z łupkowym dachem, pochodził z 1820 roku. Stodołę w kształcie litery L zbudowano parę lat później. Drugą, większą stodołę i stajnie dobudował jego ojciec, zaś mała dojarnia na 25 fryzyjek miała zaledwie pięć lat. Wszystko to było eksperymentem, który jeszcze nie dowiódł swej wartości. Raz

tylko, dzięki łagodnej zimie, osiągnął niezły zysk; w pozostałych latach ledwie wychodził na zero. Jego rodzina od czterech pokoleń gospodarowała wśród tych wzgórz i dolin. Wyglądało jednak na to, że on będzie ostatni. Meg miała już 34 lata. Ginekolog z Cardiff, gdy ich już przebadał, mógł tylko poradzić z uśmiechem, by próbowali nadal, gdyż teoretycznie cała maszyna funkcjonowała prawidłowo u obojga. Glyn Thomas uśmiechnął się, gdy echo słów powtarzanych częstokroć przez ojca znów odbiło się w jego myślach: - „A może to dobry Bóg zsyła ci w ten sposób jakiś znak?”

Joe Langley przyglądał się ich pracy, podczas gdy potężny czerpak kołysał się na łańcuchach. Dostrzegł przyływ piany, kiedy czerpak przechylił się, by napełnić dwa mniejsze pojemniki. Dwaj ludzie podeszli do linii form odlewniczych i gdy przesuwali, się nalewając, od jednej do drugiej, poczuł znajomy zapach nafty i piasku. Zaczekał, aż napełnią naczynia ponownie i zaleją kolejne formy. Gdy wszystkie były już pełne i parujące, podszedł do obu formierzy i młodego robotnika.

- Jak długo tu pracujesz, chłopcze?

- To mój trzeci tydzień, panie Langley. Langley wskazał na grabie w jego ręku.

- Czy ktoś ci pokazał, co się z tym robi?

- Tak, proszę pana.

- No to czemu ich nie używasz, co? Przepuszczasz żużel do pierwszego czerpaka. To znaczy, że dwa pierwsze odlewy idą na złom. Obniżasz sobie stawkę akordową i marnujesz pieniądze firmy.

Chłopak stał milcząc, zakłopotany. Langley spoglądał na niego chwilę, a potem skinął głową i wyszedł.

W drewnianym baraku, który był jego biurem, rzucił plik wydruków komputerowych na stolik i usiadł przy biurku. Komputer podawał właśnie ilości złomu z ostatniej godziny, rozpisane na

działy i brygady. Gdyby chciał coś zrobić z każdą wykazaną usterką, to powinni właściwie zamknąć produkcję od razu. Wyposażenie mieli przestarzałe, ale jakiś facet w ministerstwie uznał, że ich praca jest niezbędna. Robili części zamienne do czołgów, które już dawno wycofano z produkcji. Ale byli przydatni w statystykach, którymi ministerstwo obrony usprawiedliwiała swoje wydatki na Tridenty i Matadory. Chociaż inne państwa NATO i tak nie były nimi zachwycone. Zostały tylko cztery grupy szybkiego uderzenia w Niemczech. Piętnaście tysięcy ludzi. A Tridenty będą w pełni operatywne dopiero za trzy lata.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy po niego sięgał. Portier dawał mu znać, że przyszedł brygadzysta z nocnej zmiany, więc może już odbić kartę i iść do domu.

Mając 48 lat Joe Langley był krępy, barczystym mężczyzną, który od wyjścia z wojska cały czas pracował w odlewniach żelaza i stali. Mimo szkodliwych warunków pracy był tak zdrowy i żywotny jak wtedy, gdy ją zaczynał. Nie grał już w piłkę w fabrycznym klubie, ale był cenionym off-spinnerem w lokalnym klubie krykietowym w Aston. Urodzony w rodzinie katolickiej, wcześniej porzucił wiarę pod wpływem wstrętu, jaki odczuwał po rozruchach w Belfaście. Brakowało mu śpiewów i teatralnej strony ceremonii kościelnych, ale najbardziej tęsknił za poczuciem ukojenia, jakie dawało przypisywanie całego zła świata bezgranicznej mądrości niewidzialnego Boga. Mając silne pragnienie przynależności, przez krótki czas rozważał zalety Kwaków, Armii Zbawienia i Kościoła Kongregacyjnego, aż w końcu zdecydował, że mimo całej tego uciążliwości będzie szedł przez życie samodzielnie. W rzeczywistości, nie zdając sobie z tego nawet sprawy, znalazł jednak w końcu swą religię: Zjednoczony Związek Zawodowy Przemysłu Mechanicznego, Sekcja Odlewników. A jeszcze wcześniej

Pułk SAS, Druga Eskadra.

Było to biuro w starym stylu, z mahoniową boazerią i dużą biblioteką z orzecha włoskiego w głębi, za zabytkowym, podwójnym biurkiem. Pomimo wysokich okien, ciężkie zasłony nie dopuszczały zbyt wiele światła. Całość pokoju świadczyła o pokoleniach nieprzerwanego powodzenia. Na zewnątrz, w poczekalni wisiały tradycyjne portrety byłych sędziów Sądu Najwyższego, ale obrazy w samym biurze przedstawiały szkockie pejzaże. Nie stworzył ich żaden wielki artysta, lecz wszystkie były więcej niż poprawne.

Mężczyzna siedzący przy biurku, mniej więcej trzydziestopięcioletni miał na sobie trafnie dobrany jasnoszary garnitur. Akuratność była jego cechą szczególną. Miał regularne rysy i proporcjonalną budowę ciała. Gdy służył w wojsku, grał w rugby w reprezentacji Szkocji. Przystojny, szczupły, podbijał serca kobiet, gdy stał na obronie oczekując spokojnie, aż napastnicy przeciwnika przejdą z piłką do natarcia.

Wstał, gdy jeden z urzędników zapukał do drzwi, i otworzył je, by wpuścić wysokiego, posępnego, starszego mężczyznę. Uścisnął kościstą dłoń swego klienta:

- Bardzo przepraszam, że musiał się pan fatygować do mnie, sir, ale ten dokument musi być podpisany w moim biurze. Prawo tego wymaga, zresztą nie całkiem bezpodstawnie.

- A jakież jest tego uzasadnienie, jeśli wolno spytać?

- Zechce pan usiąść, sir - wrócił za biurko, podczas gdy starzec zajmował wygodne miejsce. - Pierwotnie chodziło o to, żeby zapobiec wykorzystywaniu przez beneficjentów czyjejs choroby, czy podeszłego wieku. Później wprowadzono pewne zmiany, tak aby sami prawnicy również pamiętali o ciężącej na nich odpowiedzialności.

Starzec wyszczerzył swe żółte zęby w uśmiechu. - No więc i ty pamiętaj, Jamie Boyle. A jakże się miewa ten twój wiecznie zapracowany ojciec?

- Siedzi w Westminsterze i wciąż wałkuje sprawę niepodległości Szkocji.

- A twoja piękna żona?

- Akurat teraz odpoczywa. Dopiero co wrócili z tournée po Skandynawii i wszyscy są wykończeni. Przysięga, że nie chce już widzieć baletek na oczy.

- Wiesz, że nigdy nie interesował mnie balet, dopóki twoi rodzice nie zabrali mnie na jej występ zaraz po twoim ślubie. Zawsze kochałem muzykę, no i podobały mi się te wszystkie śliczne tyłeczki, ale nic poza tym. Ale twoja Jeanie... z początku myślałem, że trzyma się jakichś drutów, czy co. Nadal zresztą podejrzewam, że to jakieś mechaniczne sztuczki. Wydaje się, fruwa w powietrzu, nim zechce wylądować. Mówię ci, stałem się fanem, zawsze chodzę po kilka razy, gdy mają tu występ i ona tańczy.

Jamie Boyle uśmiechnął się.

- Powiem jej o tym, jest łasa na pochwały - podniósł dwie kartki spięte razem i podał je przez biurko. - Musi pan to najpierw przeczytać, sir.

- Sam to zredagowałeś?

- Co do słowa.

- W takim razie nie muszę czytać.

- Chcę, żeby pan to zrobił; to też część tej mojej odpowiedzialności.

Starzec odchrząknął, wyciągnął okulary z górnej kieszeni i podniósł papiery. Przeczytał je dwukrotnie, po czym sięgnął do kieszeni po staromodne pióro kulkowe. Gdy już podpisał w połowie drugiej strony, odchylił się w krześle do tyłu, zdjął okulary i wsunął

je razem z piórem z powrotem do kieszeni. Przez chwilę siedział w milczeniu. W końcu rzekł z westchnieniem:

- Cóż to za śmieszny świat, Jamie. Siedzę tu i ustalę, jak rozdysponować to, co zgromadziłem przez całe moje życie. Ale kiedy tu szedłem z klubu, zastanawiałem się nad czymś innym, co mnie ostatnio martwi.

- Co ma pan na myśli, sir?

- Mam uczucie, jakby świat, który znam, miał już dobiec kresu. Nie wtedy, gdy ja umrę, ale na długo przedtem. Być może nigdy naprawdę nie przyszliśmy do siebie po drugiej wojnie. Ale czemu my? Czemu tylko my?

Niemcy, Francuzi, nawet Włosi, wszyscy jakoś idą do przodu. Natomiast my stajemy się powoli europejską kolonią trędowatych. Cała ta gadanina o tym, że wycofamy się z EWG i NATO, to już dla nich żadna groźba. Oni chcą, żebyśmy się wycofali. Mają nas dość. Tylko im zawadzamy. Finansowo, gospodarczo, militarnie jesteśmy im tylko ciężarem. I to w dodatku ciężarem zręcznym i kłótlwym. Jak myśmy mogli dojść do czegoś takiego?

Boyle popatrzył chwilę na starca i wzruszył ramionami.

- Zostawiliśmy sprawy samym sobie. Puszczamy płazem przestępstwa. Pozwalamy panoszyć się bandytom. To, co było kiedyś nie do wiary, stało się normą. Rozruchy, grabieże, chuligaństwo - wszystkośmy usprawiedliwiali jako wynik rasizmu, jako dopuszczalną reakcję na wykonywanie przez policję jej prawnych obowiązków. Nikomu się to nie podobało, nikt tego nie chciał. Ale nikomu nie chciało się nic zrobić w tej sprawie. Twierdzono, że jeśli się poddamy chęci zemsty, to będzie to krok wstecz. Żaden czas nie był odpowiedni na podjęcie jakiegoś działania. No więc opłacało się być bandytą.

- Kto twierdził?

- Pan, ja, politycy, my wszyscy. Boimy się etykiety faszysty czy reakcjonisty. To tak miło być łagodnym. I lubianym. No i zyskuje się głośy. Bandyty i bojówkarze to najbardziej wojowniczy wyborcy, więc staliśmy się rzecznikami tolerancji i rehabilitacji, zamiast sprawiedliwie karać.

- Czy to tylko przez to?

- Mniej więcej. Staliśmy się moralnymi tchórzami i teraz musimy udawać, że tak jest dobrze. Ojciec mówił mi, że rządy Australii i Kanady mają zamiar zakazać wstępu imigrantom z Brytanii. Będą odmawiać nie tylko bandytom, ich ofiarom również. Powiadają, że nie chcą importować duchowego upadku i braku energii angielskiej middle-class. Nie ceniliśmy tego, cośmy mieli. A teraz wszystko przepadło. Wolność, tolerancja, demokracja... pozbyliśmy się wszystkiego.

- I nikt nic nie zrobi, żeby to powstrzymać?

- Jest już za późno, panie MacKay. Jest za późno. Możemy tylko stawić czoła temu, co się stanie, gdy się to stanie.

- A co ma się stać, Jamie? - zapytał cicho MacKay. Boyle otworzył usta, by odpowiedzieć, zawahał się i zamknął je z powrotem. Nie było sensu straszyć starego człowieka jeszcze bardziej. Znów wzruszył ramionami.

- Może nic się nie stanie. Może się wszystko jakoś ułoży.

Starzec wstał niepewnie, wspierając się ręką o biurko, by odzyskać równowagę. Westchnął ciężko i wyszedł bez słowa, ledwie machnąwszy dłonią w stronę młodego mężczyzny za biurkiem.

Wysoki, niezgrabny młody człowiek pochylił się, oparty łokciami o ladę i obserwował Hindusa sprawdzającego faktury.

- Oni cię załatwią, Sanji. Hindus spojrzał na chłopaka.

- Czemu mieliby to zrobić, Freddie? - Dlatego, że jesteś Paki.

Właśnie dlatego.

- Jestem Hindusem, Freddie, a nie Pakistańczykiem.

- No, ale to to samo, nie?

- Jeśli być Anglikiem to to samo co być Niemcem, to zgoda.

Przecież to dwa różne kraje, dwa różne narody. Nie mają ze sobą nic wspólnego. Tak naprawdę, to w tej chwili są właściwie wrogami.

- Ale wszyscy jesteście czarni.

- Jesteśmy Azjatami, jeśli to miałeś na myśli.

- Zakładasz okiennice na sklep w sobotę na noc?

- Codziennie to robię, Freddie.

- Mówią, że jesteś szefem.

- Szefem czego?

- Ruchu oporu.

- Oporu? Przeciwko komu?

- Przeciwko skinom. I NF, i Białym,

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Bo cię lubię, Sanji. Nie chcę, żeby cię pobili.

- Nie pobiją mnie, Freddie. Ja się ich nie boję. Już teraz wiemy, jak ich traktować.

- Przyjadą z całej okolicy. Wynajęli autokary. Sanjiva Singh uśmiechnął się.

- Rozczarują się, Freddie.

- Jak to, Sanji?

- Przeczytasz sobie w niedzielnych gazetach.

- Mój stary mówi, że jesteś szefem wszystkich tutejszych czarnych.

- Będę już zamykać, Freddie. Chcesz mi pomóc?

- A jak się ma Indi?

- Świetnie.

- Puścisz ją kiedyś ze mną do kina?

- Ona woli indyjskie filmy, Freddie.
- Okey, pójdziemy na jakiś indyjski.
- Freddie, tam mówią tylko w hindi, nawet nie ma napisów.
- Mnie to nie przeszkadza, Sanji.

Hindus zerknął na nieruchawego chłopaka, spojrzenie jego ciemnobrązowych oczu nie pozbawione było sympatii.

- Kiedyś o tym pogadamy, ty i ja. Wyjaśnię ci parę spraw.
- Nie chcesz, żeby chodziła z białymi facetami, tak?
- To nie całkiem tak. Powiedziałem ci... kiedyś pogadamy.

Chłopak ruszył do drzwi, wyciągając palec w stronę Hindusa.

- Jakbyś potrzebował pomocy w czasie weekendu, to poślij po mnie, Sanji. Pamiętaj.

Hindus skinął głową.

- Będę pamiętał, Freddie. Dobry z ciebie chłopak. Trzymaj się.

Sanjiva Singh założył okiennice na okna, zamknął sklep zamek i zasuwę i włączył system alarmowy. Potem przeszedł małego magazynu za sklepem. Skinął na powitanie czterem mężczyznom, którzy czekali tu w milczeniu. Ruszyli za nim przez korytarz, a potem schodami na górę do pokoju na pierwszym piętrze.

Wisiały tu na ścianach dokładne plany tych dzielnic Londynu, w których duży procent mieszkańców stanowili Azjaci. Przy dług stole siedział młody Sikh i nie zdejmując turbanu, mimo że miał uszach słuchawki, obsługiwał aparaturę nadawczo-odbiorczą typu Yaesu FT-1012D, do której podłączono magnetofon kasetowy. Czerwone cyferki skanera migotały na częstotliwościach kontrolowanych przez Bearcat 200.

Czterej mężczyźni usiedli na kozłach wokół stołu stojącego środkiem pokoju, a Sanjiva Singh zajął miejsce u jego szczytu. Wszyscy znali hindi, dwóch z nich znało też gujarati, ale podczas zebra używali angielskiego. Szczupły mężczyzna siedzący obok

Singha zapytał:

- Czy on ci groził, Sanjiva?

- Nie. Przeciwnie, chciał mnie ostrzec i proponował ochronić - Sanjiva uśmiechnął się. - Czuje miętę do mojej córki. Indiry. Chciał zrobić dobre wrażenie - uniósł brwi. - No, do pracy przyjaciele. Mamy dużo roboty.

Starszy człowiek z brodą spytał cicho:

- Czy wyszło coś z tego, Sanjiva, - czy coś z tego wyszło?

Singh uśmiechnął się i skinął głową.

- Tylko od zeszłej środy mamy już trzydzieści nowych źródeł informacji. I to prosto od krowy - uśmiechnął się, słysząc się angielski slang i ciągnął dalej. - Kosztowało nas to kolejne dwadzieścia pięć tysięcy funtów, ale opłaciło się i oszczędzi nam dziesięć albo dwadzieścia razy więcej. Oszczędzi nam też krwi i upokorzenia. Dwanaście telefonów jest stale na podsłuchu, a w mieszkaniach będących miejscami zbiórek założyliśmy pluskwy. Znamy każdy ruch, jaki planują, a co jeszcze ważniejsze, znamy lęki i wątpliwości - przerwał na moment. - A lęków i wątpliwe mają sporo, przyjacielu. Puszczę ci niektóre taśmy, podniosą cię ducha. Jednakże - uniósł z gracją dłonie - są też i złe wieści. Bez wątpienia mają doradców w ambasadzie radzieckiej. Jednym z nich jest człowiek, który proponował nam pomoc. Ten, co to mówił, Związek Radziecki jest naszym ojcem i matką, obrońcą wszystkich pokrzywdzonych i uciemiężonych, i tak dalej.

- I co teraz zrobimy, przyjacielu? Wiedząc to wszystko, co wiemy?

Inny z obecnych, ubrany w koszulę i spodnie khaki, wtrącił się cicho:

- Zabijemy ich. Przynajmniej tych, którzy się liczą.

Starzec westchnął.

- Zabijesz jednego psa, to pan zaraz kupi drugiego.

Singh czekał, czy inni będą mieli coś do powiedzenia, ale nikt więcej się nie odezwał. Rzekł spokojnie:

- Przygotowałem już co trzeba. Wydałem polecenia odpowiednim ludziom. To bez wyjątku ochotnicy, silni, zaradni i zdecydowani na wszystko. Pięciu było w wojsku.

- O kim mówisz? - spytał człowiek w khaki. Singh uśmiechnął się.

- Nazwijmy ich po prostu „młode lwy”. Innych określeń nie potrzeba; nazwiska też są zbędne.

Starzec również się uśmiechnął i spojrzał na pozostałych, by sprawdzić, czy dostrzegli szczególny wydźwięk tej nazwy. W hindi „singh” znaczy właśnie „lew”. Rozmawiali jeszcze tylko parę minut, zmieszani stanowczością Singha; potem trzech z nich wyszło. Starzec zapalił cienkie cygaro i wypuścił dym.

- Co masz zamiar zrobić z tym Rosjaninem, Sanji? Czy jego też zabijemy, żeby im dać nauczkę?

- Nie. Damy im nauczkę, ale w inny sposób. Do jutra wieczór dwunastu z nich nie będzie żyło. Oficjalnie nie mają powiązań ze sprawą, ale to ci, którzy pociągają za sznurki. Powoli, powoli prasa zacznie składać to wszystko w całość. Policja też się dowie, ale zbytnio się tym nie przejmie. Zrobią kilka pokazowych nalotów, ale to - pokazał ręką na pokój - zniknie stąd w ciągu najbliższych dwóch godzin. Rosjanie domyślają się. Zaproponują pomoc jeszcze raz. A my ją przyjmujemy.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobimy?

- Ponieważ oni są po naszej stronie bardziej niż ktokolwiek inny. Grają z pozostałymi, bo chcą spowodować upadek tego społeczeństwa. Im więcej walk ulicznych, im więcej szabru i podpaleń, tym ostrzejsza reakcja władz i policji. W końcu dojdzie do wojny domowej. Ale my opowiemy się po jednej tylko stronie.

Komuniści w końcu zwyciężą. Jeszcze rok, może dwa i Anglicy zapłacą za 20 lat upokorzeń. I tylko tego chcę. Po to robiłem plany. Zawsze ktoś im służył za kozła ofiarnego - Irlandczycy, Żydzi, potem my... Indie Zachodnie, Pakistańczycy, czarnuchy - tak nas nazywali. Czarnuchy. Pamiętaj o tym, stary. I bądź wdzięczny Rosjanom za pomoc.

- Dlaczego mieliby nam pomagać?

- Bo my pomożemy im zdobyć to, czego chcą.

- Czy ty jesteś komunistą, Sanji? Singh uśmiechnął się.

- Mój stary, po pierwsze jestem Hindusem, po drugie Kalkutczykiem, po trzecie mężem i ojcem. A co ponadto, to już moja sprawa i nikogo nie powinno to obchodzić.

Starzec podniósł się powoli i podszedł do drzwi.

- Wiesz, gdzie będę, gdybyś mnie potrzebował, Sanji... - Przerwał.

- I przypomnij sobie przypowieść o człowieku, co chciał ujeźdźać tygrysa, przyjacielu.

Brazowe oczy Singha były twarde jak kamień.

- To ja jestem tym tygrysem, stary. Zapamiętaj to sobie.

Rozdział III

Przejechał przez most nad rzeką, potem główną ulicą i dalej, dopóki stare budynki nie ustąpiły miejsca otwartym terenom wiejskim. Zazwyczaj liczył kościoły, jadąc za miasto. Było ich dziewięć, pomijając klasztor.

Minęło około 20 minut, nim zatrzymał się na służbowym parkingu i pobrał od dyżurnego plastikową wejściówkę. Ruszając główną ulicą spojrzał w górę. Gdzieś tam prześwitywał błękit, lecz chmury płynęły tak szybko, gnane silnym wiatrem, że przez chwilę miał wrażenie, jakby to ziemia poruszała mu się pod stopami. Zamknął oczy na moment, a gdy je otworzył, spoglądał już na wystawy sklepów. Była to typowa główna ulica w małym miasteczku, z kompletem sklepów znanych sieci handlowych. Woolworths, Tesco, Boots, Marks and Spencer i około tuzina mniejszych sklepów. Kafejka, sklep radiowy, warzywniczy, kiosk z gazetami, a na rogu wejście do niewielkiego kina.

Chociaż wszystko to było typowo angielskie, nie znajdowało się w Anglii, lecz położone było prawie 200 km na północny wschód od Moskwy, w pobliżu starożytnego miasta Suzdal. Tego, przez które Lew Aleksander Sawalew właśnie przejechał.

Suzdal nad Kamienką jest jednym z najstarszych i najbardziej zabytkowych miast w ZSRR. Zachowały się dokumenty datujące je na rok 1024, lecz książę Włodzimierz Kijowski posłał tam misję biskupią dla zbudowania kościoła już dużo wcześniej. Turyści zachwycali się zabytkami, ale Lew Sawalew nienawidził tego miejsca.

Po czterech latach w Nowym Jorku i sześciu w Londynie tęsknił do jasno oświetlonych ulic i przyjęć dyplomatycznych, które były dotąd jego codziennością. Jednak przeniesienie oznaczało awans, a Sawalew kierował się ambicją. Czy to na Uniwersytecie Moskiewskim, czy na kilkunastu szkoleniach KGB, które miał za sobą, Sawalew zawsze był w czołówce.

Ośrodek treningowy zbudowano w 1979 roku i od tego czasu setki kobiet i mężczyzn przekroczyły jego bramę, osadzoną w otaczającym go wysokim murze.

Setki kobiet i mężczyzn, których przeszłość była bardzo różnorodna. Prawnicy, urzędnicy administracji, inżynierowie, dyrektorzy, policjanci, żołnierze Czerwonej Armii i Sił Powietrznych oraz robotnicy ważniejszych gałęzi przemysłu. Wszyscy oni mieli dwie rzeczy wspólne. Znali już trochę angielski, a ich doświadczenie i umiejętności odpowiadały wymogom programu komputerowego, który został zaprojektowany i napisany w roku 1975.

Wtedy, w 1975, traktowano ten program jeszcze wyłącznie jako ćwiczebny. Dotyczył ewentualności wręcz nieprawdopodobnej. Ale KGB dysponuje ogromnymi zasobami pieniędzy, czasu i sił ludzkich - okazało się, że należy go uznać za interesujący i wart zachodu. Szkolenie trwało 6 miesięcy i obejmowało intensywny kurs języka. Studenci żyli tak, jakby mieszkali w Anglii; kupowali w sklepach angielskie towary płacąc angielskimi pieniędzmi.. Ponieważ nauka była bardzo intensywna, można było uznać, że kurs stanowił odpowiednik 18 miesięcy spędzonych rzeczywiście w Anglii.

Major Lew Sawalew był Komendantem Szkoły Treningowej Nr 405. Już po pierwszych dwóch semestrach odkrył, że jest to praca wyjątkowo nudna. Był jednak na tyle doświadczonym i otrzaskanym funkcjonariuszem KGB, aby nie pozwolić sobie na okazywanie tego

na zewnątrz. Zwykle zresztą znajdowało się parę ładnych studentek, które pomagały rozproszyć nudę.

Sawalew nigdy się nie ożenił. Zbyt często był świadkiem, jak żona i rodzina potrafiły zawadzać mężczyźnie albo czyniły go podatnym na różne naciski, którym w innych okolicznościach byłby w stanie się oprzeć. Jego przełożeni milcząco aprobowali determinację, z jaką unikał powikłań uczuciowych. I patrzyli przez palce na to, że każdego weekendu coś go ciągnęło do Moskwy bez uzasadnionej przyczyny.

W Związku Radzieckim było dwustu czy trzystu takich ludzi, których życiorysy i kariery od najmłodszych lat kształtowano i ukierunkowywano zgodnie z przewidzianą dla nich szczególną rolą, o której nie mieli w ogóle pojęcia. Sawalew był jednym z nich. Miał nikłą świadomość opieki „z góry”, ale przypisywał ją raczej swemu szczęściu i osobowości niż czyjemuś zamysłowi. Ci, którzy to wszystko aranżowali, z góry godzili się z faktem, że prawdopodobnie nie więcej niż dwudziestu z tych ludzi będzie kiedykolwiek zmuszonych zagrać przypisane im role. Stanowili oni zabezpieczenie na wypadek, gdyby pewne wydarzenia miały mieć miejsce, gdyby któraś z przepowiedni zespołów prognozujących miała się rzeczywiście spełnić. Właściwi ludzie mieli być wówczas pod ręką. Przy placu Dzierżyńskiego pracowała specjalna sekcja wyćwiczona w myśleniu futurologicznym, podzielona na grupy, które poświęcały swój czas wyłącznie na wymyślanie takich potrzeb KGB, jakie mogłyby się pojawić dopiero w przyszłości.

Na biurku Sawalewa stało pół butelki białego wina i kanapka z wędzonym łososiem. Przed nim leżały egzemplarze Timesa, Daily Telegraph i Guardian, jak zwykle sprzed dwóch dni. Dwa pisma odłożył i powoli przekartkował Guardian, jedząc kanapkę.

Dziesięć minut później sięgnął po gruby czerwony pisak

i zakreślił trzy artykuły dla ludzi z działu analiz - do wycięcia i włączenia do akt. Sącząc wino przeczytał wszystkie trzy fragmenty jeszcze raz.

Uzbrojeni studenci urządzili polowanie na przeciwników z NF

Jak oświadczone wczoraj na sali sądowej, wykładowca wraz z ósmioma studentami utworzyli lewicowy „szwadron uderzeniowy”. Uzbrojeni w „przeróżającą kolekcję broni”, wyruszyli na poszukiwanie swych prawicowych przeciwników, wykorzystując do tego uczelnianą furgonetkę.

Prokurator Anthony Hammond występując przed Królewskim Sądem w Manchester, powiedział, że w wyposażeniu napastników znajdowały się deski nabijane gwoździami, młot kowalski i żelazne rurki. „Jest rzeczą jasną, że mieli zamiar - jeśliby napotkali członków National Front - użyć tej broni niezależnie od konsekwencji”, stwierdził prokurator.

Mr Hammond powiedział też, że wszystkich dziewięciu było trockistami i członkami lub sympatykami Socjalistycznej Partii Robotniczej.

Na ławie oskarżonych stanęli: John Penney, 28 lat, wykładowca socjologii z Riverside Park, Northwick, oraz studenci: Stephen Tilzey, 23 lata, zam. Brooklands Road, Sale; Brian Broadley, 21 lat, zam. Blenheim Road, Bolton; Michael Butroyd, 31 lat, zam. Churchil Street, Stockport; Robert Piatt, 27 lat, zam. Belmont Street, Stockport; Stephen Cooper, 24 lata, zam. Fodand Walk, Wythenshawe, Manchester; Mark Kent, 22 lata, zam. Blakelaw Road, Macclesfield; Paul Hallat, 20 lat, zam. John Nash Crescent, Hulme, Manchester.

Wyrok zapadnie w dniu dzisiejszym.

Dwanaście lat dla „Anioła Piekła” – zabójcy chłopca

Jeden z przywódców londyńskiej grupy „Aniołów Piekła” zwanej „Plemię Szatana” został wczoraj skazany w Old Bailey na dwanaście lat więzienia za zakłucie nożem na śmierć ucznia.

21-letni Stephen Baker, zastępca szefa grupy, użył kupionego dzień wcześniej noża w bójce o 13-letnią dziewczynę, zabijając 15-letniego Tony’ego Marsha – oświadczyła prokurator, Ann Curnow.

Sędzia stwierdził: „Podłoże tej sprawy jest przerażające”. Powiedział on: „...zakłada się organizację oddaną przemocy, pije się alkohol i zażywa narkotyki, przyciąga się młodych ludzi do tej organizacji, a kończy się to wszystko zabiciem 15-letniego chłopaka cierpiącego na epilepsję”.

Prokuratura przychyliła się do prośby Bakera, aby uznać go winnym nie zabójstwa, lecz spowodowania śmierci – dokonanego 22 maja w opuszczonym mieszkaniu na Princes Way w Wimbledonie.

Mrs Curnow przypomniała, że przywódca „Plemienia szatana”, Stephen Cook, odsiaduje sześćioletni wyrok za inne przestępstwa.

Obrońca Stuart Shields QC, powiedział, że chociaż Baker był już uprzednio skazany za zabójstwo, to jednak nie można go nazwać notorycznym zabójcą czy zdeklarowanym przestępcą.

Anderton składa hołd swym oddziałom

Okręgowy Komisarz Policji Wielkiego Manchesteru, James Anderton opublikował wczoraj list pochwalny skierowany do sił policyjnych w związku z ich postawą podczas letnich rozruchów w Moss Side w Manchesterze i Toxteth w Liverpoolu. List pochwalny, którego kopie zostaną rozwieszane we wszystkich komisariatach, głosi:

„Komisarz Okręgu udziela pochwały oddziałom policji Wielkiego Manchesteru za wybitne zasługi w służbie policyjnej, połączone

z wytrwałością i oddaniem w pełnieniu obowiązków, wyjątkową kompetencją zawodową, ogromnym męstwem i wielkim hartem ducha, oraz lojalnością wobec swego powołania i zaufania społecznego, wykazanymi we wspaniały sposób przez wszystkich funkcjonariuszy i pracowników cywilnych, a także komisarzy specjalnych podczas tłumienia chuligańskich zamieszek i kryminalnych ekscesów szerzących się w Toxteth, Moss Side i innych miejscowościach w lipcu 1981 roku, jak również za szybkie i sprawne przywrócenie Pokoju Królewskiego w obszarze hrabstwa Wielkiego Manchesteru dla dobra i ochrony wszystkich jego obywateli.”

Komisarz okręgowy wyjaśnił, iż nie znalazł innego sposobu, w jaki mógłby odpowiednio wyrazić osobistą wdzięczność dla swych oddziałów za ich „wyjątkową odwagę i imponujące osiągnięcia w czasie poważnych niepokojów publicznych, gdy zdyscyplinowana siła i zwartość policji strzegła granicy pomiędzy wolnością i anarchią”.

Odłożył na bok gazety, sięgnął po telefon wewnętrzny i nakręcił numer Rejestru Centralnego. Pięć minut później podpisał rewers na trzy teki z aktami.

Otworzył najgrubszą z nich. Ukośny czerwony pasek biegnący przez całą okładkę podkreślał tajność dokumentów, których tytuł głosił bez ogródek: „Infiltracja polityczna w Zjednoczonym Królestwie. Kwartał bieżący. Część I, Partia Pracy”. Pozostałe dwie teki zawierały: „Część II, Związki Zawodowe”, oraz coś, co określono jako „Część III, Ogólna”. Załączony indeks wymieniał kolejno: prasę, TV, radio, władze lokalne, siły zbrojne, kulturę, różne.

Rozdział IV

Kantyna wyglądała niemal tak samo jak dwadzieścia lat temu, kiedy ją zbudowano. Betonowa podłoga, ściany z brył sprasowanej szlaki, co drugi rok malowane na biało. Długie drewniane stoły, starsze pokryte ciemnobrązowym linoleum, nowsze z blatami z tworzywa i metalowymi krawędziami. Drewniane składane krzesła dla brygadzystów i dające się nakładać jedne na drugie cylindryczne stołki dla pozostałych. Metalowe żaluzje na końcu sali, gdzie podawano posiłki, były zamknięte, ale wciąż było czuć zapach smażonej ryby i frytek, który pozostał po lunchu.

Dwa stoły zestawiono razem; stało za nimi sześć krzeseł. Pozostałe stoły przeniesiono w kąt sali, a resztę krzeseł ustawiono z przodu w kilkunastu rzędach.

Joe Langley zastukał w stół płaskim kluczem do nakrętek; gwar stopniowo zaczął opadać.

- Dobry wieczór, bracia. Wszyscy wiecie, pociąmy tutaj dziś przyszli. Pan Mercer z zarządu związku jest tu jako obserwator, a w porządku zebrania mamy tylko jedną sprawę - czy wolą zgromadzonych jest przekształcenie nieoficjalnego strajku w oficjalny. Cokolwiek postanowimy, związek i tak podejmie własną decyzję. Ale chcieliby wiedzieć podczas obrad, czego żądamy na szczeblu zakładowym.

Gdy Joe Langley przerwał, aby zebrać myśli, kilka głosów z sali zakrzyknęło:

- Dość tego gadania, głosujmy do cholery!

Langley skinął głową na znak, że usłyszał ten komentarz.

- Będziemy głosować, kiedy poznamy fakty, bracia. Tak więc wzywam Arthura MacFarlane, by przedstawił punkt widzenia nieoficjalnego komitetu strajkowego. Jak wszyscy wiecie, jest on przewodniczącym komitetu - Langley skinął w stronę młodego mężczyzny o ziemistej, szczupłej twarzy, ubranego w koszulę ze szkockiego pledu w kratę.

- Towarzysze - rozpoczął MacFarlane, celowo przesadnie podkreślając swój niewątpliwy glasgowski akcent. - Towarzysze. Nasz przewodniczący określił strajk jako nieoficjalny. W komentarzu, który zamieścił w miejscowej prasie, opisał go jako dziki strajk, którego ludzie nie chcieli. Chciałem wam powiedzieć, że mój komitet otrzymał stuprocentowe poparcie od ludzi z wydziału... i to od pierwszego dnia. Sprawa jest jasna. Polityka Partii Pracy jest taka, że kapitalistyczna broń zwana bombą neutronową nie powinna być stacjonowana w tym kraju. Jesteśmy przekonani, że produkuje się u nas odlewy do podwozi wyrzutni tych bomb. Nie będziemy brać udziału w wytwarzaniu tych odlewów. Powiedzieliśmy o tym dyrekcji. Dali nam dwa dni... czterdzieści osiem godzin na przystąpienie do pracy, albo zostaniemy zwolnieni. Zwróciliśmy się do związku, żeby ogłosił nasz strajk jako oficjalny, ale nie mieli nawet odwagi nam odpowiedzieć. - Wskazał palcem w stronę rzędów mężczyzn. - Czy chcecie brać udział w robieniu broni, która ma zabijać ludzi, a oszczędzać budynki? Oni nie przeczą, że ta bomba ma do tego służyć. Partia Pracy oświadczyła, że jest to broń nikczemna. Rezolucja w tej sprawie przeszła przygniatającą większością głosów na ostatnich dwu kongresach. Czy macie zamiar postąpić wbrew tej uchwale tylko po to, żeby zarobić parę pensów więcej dla tych kapitalistycznych morderców, którzy są lokajami wojskowo-przemysłowej dyktatury amerykańskiej?

Usiadł z dramatycznym gestem, a wśród pewnej części zebranych podniósł się ryk aplauzu połączony z tupaniem nogami i okrzykami:

- Precz z bombami, precz z bombami!

Kiedy wstał Joe Langley, ludzie z tej grupy nadal wznosili okrzyki, jednak stopniowo się uciszyli, gdy pozostali odwrócili się w ich stronę.

- Bracia - Joe Langley przerwał. - I mówię „bracia”, bo „towarzysze” należą do innej partii, nawet jeśli próbują nas wykiwać i zwać siebie labourzystami. Po pierwsze, odlewy o których mowa, robimy tu od ośmiu lat. Są one używane w kilkunastu pojazdach wojskowych Armii Brytyjskiej. Dyrekcja zapewniła mnie, że o ile jej wiadomo, nie są one stosowane w podwoziach jakiegokolwiek nowej broni.

Po drugie, nie ma czegoś takiego, jak bomba neutronowa. To jest pocisk. Pocisk artyleryjski, który ma być używany przeciw czołgom. Armia Radziecka ma na granicach z krajami NATO pięć razy więcej czołgów niż alianci. Te pociski mają zabijać załogi czołgów, a nie ludność cywilną. Rosjanie zmontowali niezwykle udaną kampanię przeciwko tej broni, bo może ona zneutralizować wielką ilość ich czołgów. Armia Czerwona ma SS-20, które są kilkaset razy bardziej niszczycielskie dla życia cywilnej ludności niż broń neutronowa. No i oczywiście oni też mają broń neutronową. Tylko po prostu nie przyznają się do tego.

Jednak w sumie tutaj u nas w fabryce chodzi jeszcze o coś innego. Broń, nad którą obradował Parlament, która została przegłosowana, jest prawomocną częścią naszego systemu obronnego. Jeśli strajkujemy przeciwko produkowaniu jakichś odlewów, które może są, a może nie są związane z tą bronią, to pozwalamy sobie na strajk polityczny. Nie muszę wam chyba

przypominać, że ustawa o przemyśle z 1982 roku nie tylko uznaje taki strajk za nielegalny, ale nakłada też na dany związek zawodowy grzywny, które całkowicie pochłonęłyby nasze fundusze. Sprawa, którą rozpoczął brat MacFarlane, i dla której usiłuje zyskać wasze poparcie, jest nie tylko nielegalna, ale - jeśli będziemy dalej to ciągnąć - sparaliżuje nasz związek.

Gdy Langley siadał, podniosły się okrzyki - brednie, łamistrajk! - aż wstał jakiś mężczyzna w głębi sali.

- Czy to znaczy, że brat Langley chce, żebyśmy sprzeciwili się demokratycznie podjętym uchwałom Kongresów Partii Pracy?

Langley odparł, półstojąc:

- Bracie, byłem delegatem na obu tych kongresach. Głosowałem przeciwko bombie neutronowej jako przedstawiciel miejscowego komitetu partii. Ale tak się niestety składa, że uchwały Kongresów Partii Pracy niekoniecznie są obowiązujące dla polityki rządu, czy też tej, którą uchwali Parlament.

MacFarlane powstał z twarzą nabiegłą złością. - Towarzysze, przyszedliśmy tu głosować, stawiam wniosek, żebyśmy głosowali!

Langley uśmiechnął się nieznacznie.

- Wobec tego przedstawię swoją rezolucję.

- Proponuję, żeby niniejsze zebranie zażądało od związku ogłoszenia strajku jako oficjalnego i podjęcia kroków w celu nakłonienia innych związków do udzielenia poparcia naszemu stanowisku.

Kilka głosów zawołało:

- Popieramy!

Langley, nadal siedząc, powiedział:

- To jest rezolucja dwuczęściowa. Niedopuszczalna na szczeblu zakładu. Jeślibyś się upierał przy pierwszej części, to możesz przedstawić drugą część pod głosowanie dopiero wtedy, gdy

postanie uchwalona pierwsza. Czy o to ci chodzi?

MacFarlane znowu wstał.

- Proponuję, żeby związek uznał natychmiast ten strajk za oficjalny!

Odezwały się dalsze głosy popierające jego wniosek. Gdy ucichły, Langley powiedział:

- Zgłaszam poprawkę do tego wniosku. Proponuję, żeby pozostawić kierownictwu związku decyzję, czy strajk powinien zostać uznany za oficjalny, czy też odwołany.

Dwóch czy trzech starszych mężczyzn powstało, aby poprzeć tę poprawkę. Sekretarz zebrania wezwał do podniesienia rąk i poprawka została uchwalona nieznaczoną większością głosów. Przedstawiciel zarządu wstał i chciał coś powiedzieć, ale zagłuszono go ogólnym wyciem. Langley nie przerywał, tego rozgardiaszu przez parę minut, po czym znów postukał kluczem w stół i ogłosił zamknięcie zebrania.

Po powrocie do domu Joe Langley usiadł w swoim fotelu, jedząc kanapkę z szynką. Obok na podłodze postawił emaliowany kubek z mocną herbatą. Opowiedział żonie o tym, co się wydarzyło na zebraniu.

- Jak myślisz, Joe, co zrobi związek? Wzruszył ramionami.

- Jeśli zrobią z tego oficjalny strajk, to zbankrutują. Rząd tylko czeka na to, żeby móc pokazać, że nie żartuje. Taki mały związek jak nasz, bez żadnego przebiccia, to idealny cel. A jeśli każą przerwać strajk, to każdy działacz z zarządu może być pewny, że jego los jest przesądzony. Ci bojówkarze będą harować jak bobry, żeby ich wygryźć i odebrać im pensje.

- To straszne, że paru ludzi jest w stanie zrobić coś takiego.

- Przywódcy związku powinni byli przeciwstawić się im już

dawno temu. Każdy wiedział, do czego te chamy są zdolne. Ale pozwolili im się panoszyć. Nikt nie pisnął słowa. Nikt nie powiedział, że król jest nagi. I partia tak samo. Callaghan próbował być drugim Wilsonem... facetem, który mógł zjednoczyć partię... ale nie był Wilsonem... załatwili go tą „zimną goryczy”... a kiedy Foot został przewodniczącym, to już nie było komu przewodzić... powinien był się trzymać pisania książek.

- Czym się to wszystko skończy, Joe?

- Jeden Pan Bóg wie, kochanie. Ja wciąż sobie powtarzam, że jesteśmy zbyt wrażliwym narodem na to, żeby dalej się z tym godzić, chociaż... sam zaczynam mieć wątpliwości. Ale jedno ci powiem, dziewczyno... cieszę się, że nie mamy dzieci. Myśleliśmy, że to tragedia i w pewnym sensie tak było. Ale, mój Boże, przynajmniej nie mogą nam ich porwać jako zakładników. - Spojrzała na niego smutnym, zmartwionym wzrokiem. Nigdy jeszcze nie słyszała, by był tak cyniczny. Joe powiedział:

- Idź już na górę. Ja pozamykam, muszę jeszcze zadzwonić.

- Nie siedź długo.

- Dobrze.

Kiedy został sam, zerknął na numer telefonu, który zapisał wspak na odwrocie swego prawa jazdy. Wykręcił go powoli, sygnał odezwał się kilka razy, nim usłyszał znajomy głos. Odetchnął głęboko i powiedział:

- Tu Joe Langley. Przyłączam się.

Zaparkowali ukradzionego Jaguara w poprzek drogi po południowej stronie Sloane Square i gdy kierowca czternastki wysiadł, protestując, z kabiny, Loudon uderzył go w kark pałąką policyjną, a reszta zaczęła wyciągać pasażerów z autobusu.

Było ich czterdziestu, w tym kilku czarnych, lecz głównie młodzi

biali. Zebrali się godzinę przedtem przy terenach krykietowych na Oval i najpierw szaleli po Meadow Road, rzucając kamieniami i cegłami w okna, aż w końcu natknęli się na ciężarowego Jaguara przy Dorset Road i ukradli go z placu budowy. To właśnie Martin Louden namówił ich wtedy, by porwać autobus. Nieraz przewracali i palili autobusy podczas rozruchów, ale jeszcze nigdy żadnego nie porwali.

Louden kazał Carrowi prowadzić, a ten wrzucił pierwszy bieg i skierował się ku King's Road, po drodze taranując Jaguara. Zatrzymał się przy Markham Arms i cała banda wysypała się z autobusu na ulicę. Wrzeszcząc i śpiewając „You'll never walk alone”, rozwalali wystawę za wystawą we wszystkich sklepach aż do Sloane Square, wyrzucając towary na ulicę i rabując wszystko, co im się spodobało i dało się unieść. Martin Louden stał i tylko się im przyglądał; jego samego rabunek nie interesował. Gdy wracali w rozsypce do autobusu, rzucił hasło, żeby pojechać za rzekę, aż do Croydon i dać tym „wypicowanym sukinsynom” przedsmak tego, co ich czeka.

Zanim wszyscy znaleźli się znów w autobusie, wpadł na nowy pomysł. Pracował kiedyś w ekipie, która naprawiała drogi. Władze lokalne w Croydon, gdzie mieli kontrakt, zatrudniły ich w osiedlu o nazwie Sanderstead. Było to osiedle składające się z ulic zabudowanych wyłącznie wymuskanymi domkami klasy średniej, z szeregiem sklepów na szczycie wzgórza. Całe to miejsce było tak drętwe, że istniało nawet jakieś lokalne prawo zakazujące prowadzenia knajp i w całym Sanderstead nie było faktycznie nawet jednego pubu.

Dwie godziny później stał na szczycie Sanderstead Hill i patrzył napięty i podekscytowany na płonące domy i biegających z krzykiem we wszystkie strony ludzi, pobitych i poturbowanych

przez jego rozwścieczoną bandę. Samochodami mieszkańców zablokowali drogę wozom strażackim i ogień rozprzestrzenił się gwałtownie. Widział, jak Harper zastrzelił z karabinu jakiegoś mężczyznę w pizamie. Kilka dalszych strzałów rozległo się w dole wzgórza. Potem wrócił do miejsca, gdzie zostawili autobus; czterech czy pięciu jego ludzi używało tu sobie po kolei z młodą, ładną blondynką. Mimo krwi, która ciekła jej z nosa widać było, że jest naprawdę ładna. Zrezygnowała już z walki i przestała krzyczeć. Dał im jeszcze dwadzieścia minut i dmuchnął w gwizdek.

Pojechali z powrotem do Londynu, porzucili autobus w Stockwell i przeszli piechotą jakąś milę do Kennington, Lambeth i Brixton. Był to pierwszy raz, kiedy zaatakowali zarówno sklepy jak i domy mieszkalne.

Niemal sto budynków zostało kompletnie spalonych, a dalszych sto pięćdziesiąt nie nadawało się do zamieszkania. Trzy osoby zostały zabite, a czterdzieści siedem poważnie rannych. Dziewięć kobiet i dziewcząt padło ofiarą zbiorowych gwałtów. Straty wyceniono oficjalnie na dwanaście milionów funtów, ale była to tylko pierwsza, szacunkowa ocena.

W ciągu następnych dwóch tygodni podobne napady, na domy raczej niż na sklepy, miały miejsce na spokojnych mieszczańskich przedmieściach dwunastu większych miast.

Sieć telewizyjna ITV zdobyła się na odwagę i nakręciła na temat rozruchów godzinny film dokumentalny.

Było to jedno z tych wyzębionych studiów telewizyjnych, tak często używanych do programów dyskusyjnych. Stał tu wielokrotnie remontowany stół dla prezentera i uczestników dyskusji. Z tyłu ustawiono półkole z pomalowanych na ciemnobrązowe płyt paździerzowych. Oświetlono je niedbale punktowcami, aby zyskać

na dramatyzmie i ukryć resztę studia w półmroku. Z przodu stała plansza z symbolem stacji. Takie studio to marzenie każdego oszczędnego producenta i koszmar dla reżysera na poziomie. Ale reżyserów na poziomie było w TV coraz mniej; naprawdę coraz trudniej było jakiegoś spotkać. Większość wyjechała do Kanady, Ameryki i Afryki Południowej, kiedy jeszcze przyjmowano tam Brytyjczyków.

Gospodarzem programu był George Foster. Wybrano go, ponieważ znany był z umiejętności utrzymywania równowagi pomiędzy śmiertelnymi wrogami, a nawet między wojującymi ze sobą różnymi odłamami Labour Party. Tę umiejętność zawdzięczał zresztą raczej swej słabości i ignorancji niż sile i wiedzy. Politykę, tak krajową jak i zagraniczną, miał autentycznie gdzieś. Dzięki temu naprawdę wyglądał na zdziwionego i urażonego, gdy wokół padały obelgi. Odkąd zyskał sobie miano „człowieka z zasadami”, politycy starali się w jego obecności zachowywać ostrożność. Ktoś, kto wywołał ten charakterystyczny wyraz szoku na twarzy George'a Fostera pokazanej w dużym zbliżeniu, mógł być pewien, że podeptał miliony wyobrażeń o sobie i tyleż samo głosów. Nie padało jedno krytyczne słowo, a efekt był taki sam.

Pozostałymi uczestnikami dyskusji byli zawsze chętni do pokazania się w TV członkowie parlamentu. Jeden labourzysta z wojującej lewicy i jeden torys, który z raczej akademickiego zwolennika Enocha Powella stał się - jak to określali jego przeciwnicy - faszystą z ludzką twarzą. To byli główni aktorzy programu, a towarzyszyli im, w charakterze opinii publicznej, Mrs Patsy Greenhalgh i Debbie Lane. Był także dr Marvin Slanski, praktykujący psychiatra, który przeniósł się z San Francisco do Londynu, ponieważ wyglądało na to, że jest to lepszy rynek pracy dla specjalisty od „behawioryzmu jako elementu społecznego

protestu”.

Mrs Patsy Greenhalgh zwróciła na siebie natomiast uwagę dzięki założeniu Stowarzyszenia Ochrony Drzew Brytyjskich. Kiedy zaczynała, nie miała o drzewach zielonego pojęcia. Pierwszy wywiad, jaki z nią nakręcono - kiedy to skinęła majestatycznie w stronę grupy starych wiązów i apelowała o narodową ochronę „tych wspaniałych dębów, drzew, z których zbudowano statki, które pokonały hiszpańską Armadę” - został natychmiast zniszczony w geście dobrej woli zastępcy dyrektora działu filmowego BBC. Uczyła się jednak szybko. Z drzew przerzuciła się na konserwację zabytków, nie zdając sobie jeszcze nawet sprawy z tego, że w 1981 roku konserwacja będzie tak samo częścią polityki, jak cudzołóstwo czy monetaryzm. Zbudowała obraz siebie jako kobiety kierującej się zdrowym rozsądkiem i nie obawiającej się mówić tego, co myśli, a nawet w pewnych sprawach okazać niewiedzę. Porzuciwszy wiejskie drzewa i konserwację, przeszła z kolei do obdarzania czytelników prasy i widzów telewizji dobrodziejstwem swych ledwie zarysowanych poglądów na temat samotnych rodziców Milтона Friedmana czy Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Crispin Partridge był kretynem z akademickim wykształceniem. Podczas studiów w Eton nie udzielał się w żadnym sporcie, ale osiągnął pewien niewielki rozgłos w czymś, co wykładowcy nazywali mąciicielstwem, a jego przyjaciele radykalizmem. Trwonił swoją energię, a także pieniądze swego ojca na wygłaszanie w mass mediach utyskiwań na żywność, mieszkania i poziom nauczania w szkołach. Gdy odkrył, że to, co początkowo dawało mu popularność wśród kolegów, stało się stopniowo przedmiotem ich kpin i celem szkolnych żartów, stał się złośliwy. I pozostał złośliwy już do końca życia. Jako parlamentarzysta mógł zresztą folgować swemu zamiłowaniu do nieustannego krytykowania. Nadużywając

często immunitetu poselskiego, pozwalał sobie na zniesławienie tych, których nie lubił, i żadne drobne grzeszki ze strony członków opozycji nie były dla niego zbyt drobne na to, by ich natychmiast z oburzeniem nie ujawnił. Obnosił się ze swym regularnym uczęszczaniem do kościoła i afiszowaną prawością, co dodawało jeszcze wagi jego kampaniom ujawniania różnych rewelacji. Mimo popychającej go ambicji, autoreklamy i odziedziczenia znacznego majątku, nigdy nie otrzymał stanowiska w rządzie, nawet na najniższym szczeblu. Samozwańczy trzmiel z tylnych ław parlamentu, przez swych zwierzchników w partii uważany był co najwyżej za niezdarną jętkę.

Albert Ladilaw reprezentował głos wojującej lewicy. Skamlący, narzekający głos płynący z gardła i słowa, płynące wprost z woreczka żółciowego. Gdy nie udało mu się zostać przywódcą Związku Górników, postanowił zwrócić się ku polityce. Potrafił zawsze znaleźć powód, żeby obwinić torysów za złą pogodę, wzrost przestępczości, strajki i przerywanie ciąży. Mass media natomiast za to, że nie został szefem górników. Większość labourzystów miała go w serdecznej pogardzie. Wśród torysów byli jednak tacy, którzy twierdzili, że jego napastliwe wystąpienia przynoszą im samym co najmniej 5% dodatkowych głosów.

Debbie Lane miała 27 lat. Chłodna, młoda kobieta, która wsławiła się odmową przyjęcia nagrody w teleturnieju, stwierdzając, że pytania były na poziomie ośmioletniego dziecka. Była czołową działaczką Związku Studentów w Sussex University, a teraz stała się ulubienicą zarówno publiczności jak i środków przekazu, dzięki ciętym odpowiedziom, jakie dawała w wywiadach. Była czymś w rodzaju probierza poziomu równowagi w programach dyskusyjnych i producent, który miał odwagę zaprosić ją do studia, mógł być pewien, że współdyktanci, czy prowadzący wywiad nie

będą mieli z nią łatwego życia; była bardzo ładna i umiając mówić otwarcie, unikała jednak chamstwa i gruboskórności.

W pokoju przyjęć George Foster stał z notatkami w jednej ręce i cygarem w drugiej. Oczywiście przed kamerą zawsze trzymał niezapaloną fajkę. Ludzie, którzy palą fajkę, są godni zaufania – tę sztuczkę pokazali już Wilson i Baldwin, gdy byli premierami.

- Patsy, będziesz zaraz po mojej lewej, a Crispin po twojej lewej. Marvin, ciebie chcę mieć na prawo ode mnie, a Albert za nim na skraju z prawej. Nie zwracajcie uwagi na kamery, same was wyłapią. Wszystko wskazuje na to, że będziemy dziś mieli sporą widownię. Były dobre zapowiedzi w prasie i chciałbym, żebyśmy nasze poglądy prezentowali spokojnie i sympatycznie – uśmiechnął się. - Szczególnie obaj nasi politycy. Nie za dużo przepychanek w starym stylu, no i ostrzegam, że będę was naciskał o konkrety na poparcie każdego zarzutu – spojrzał na zegarek. - Lydia zaprowadzi was teraz do charakteryzacji, a potem z powrotem do studia. Życzę wszystkim powodzenia. Zróbcie z tego dobry program – gdy Foster przedstawił obecnych, kamera dała zbliżenie jego twarzy.

- Chcemy dziś porozmawiać o sprawie, która w ostatnich tygodniach nie schodzi z pierwszych stron naszej prasy – o problemie nasilania się niepokojów ulicznych. Czy ich przyczyną jest rasizm, czy rozpacz bezrobotnych? Czy jest to odpowiedź na brutalność policji, czy też może celowa działalność elementów wywrotowych? Z nadzieją na pożyteczną dyskusję, jako pierwszego proszę o wypowiedź Alberta Ladilawa. Albercie?

Na monitorach pojawiła się chytra twarz Ladilawa, jego uniesione brwi i zaciśnięte pogardliwie usta.

- No więc tak. Wszyscyśmy czytali, co mają o tym do powiedzenia środki przekazu. Ich zdaniem jest to atak na społeczeństwo, dokonany przez wojującą lewicę. Oczywiście jest to

kompletna bzdura. To, co widzimy, to młodzi ludzie pozbawieni pracy, pozbawieni nadziei i doprowadzeni do rozpacz przez rząd, który o nich nie dba, i który ma serce z kamienia. Ten rząd celowo sprowokował klasę robotniczą naszego kraju i używa szturmowych oddziałów policji do tłamszenia dążeń ludzi ubogich, starych i chorych. Sądy zaś zaprzedały się temu faszystowskiemu rządowi w gnębieniu związków zawodowych. W moim mniemaniu nie ma wątpliwości że... - Foster przerwał mu.

- W porządku, Albercie, wrócimy jeszcze do ciebie. Teraz posłuchajmy, co ma do powiedzenia Crispin Partridge. Crispin.

- Z ust naszego przyjaciela Alberta Ladilawa usłyszeliśmy znowu znany wszystkim lewicowy żargon. Gdyby brać poważnie to, co on mówi - oczywiście ja nie biorę - to znaczy, że wracamy znów do czasów, kiedy związkowcy pozostawiali naszych zmarłych bez pogrzebu i grozili odcięciem prądu i wody, jeśli nie dostaną jeszcze więcej pieniędzy za najmniejszą wydajność pracy w całym świecie zachodnim. Związki zawodowe rządziły tym krajem za przyzwoleniem ostatniego labourzystowskiego rządu. I czemużby nie? W końcu to Związki finansują Partię Pracy. Kto płaci, ten wymaga, prawda? A Albert Ladilaw mówi nam po prostu, że jeśli ktoś jest bezrobotny, to wolno mu atakować policję, plądrować sklepy, gwałcić i mordować, niszczyć cudzą własność, i nie można go za to karać. Jeśli cię złapią z kradzionym telewizorem, to to jest brutalność policji, a jak pójdiesz za to do więzienia, to znaczy, że sędziowie są nieuczciwi. To nie przejdzie, Albert. Ludzie nie są aż tak głupi.

Foster skinął głową i wskazał palcem następną osobę.

- Patsy Greenhalagh. Posłuchajmy punktu widzenia kobiety.

Patsy Greenhalagh miała głos typu „mała, zagubiona dziewczynka”. Mężczyźni brali się na to, a kobiety oczywiście

wietrzyły w tym fałsz.

- Wiesz, George, mniejsza o kobiecego punkt widzenia. Mogę mówić tylko za siebie i chcę zadać Crispinowi pytanie. Jeśli ty i twoi koledzy w rządzie jesteście tak bardzo świadomi sytuacji, jak się to wydaje, dlaczego na Boga nic nie robicie w tej sprawie?

Crispin Partridge nadał swej twarzy wyraz szczerości i przemówił powoli jak do dziecka.

- Droga Patsy, robimy coś w tej sprawie. To właśnie, na co skarży się Albert Ladilaw. Chce, żebyśmy ściągnęli policję z ulic i pozwolili panoszyć się chuliganom. Żeby sądy, lekceważąc dowody, uniewinniły rabusiów i terrorystów. I twierdzą - spoglądając ponad oprawą okularów pokiwał palcem wskazującym - że każdy, kto zgadza się z Albertem Ladilawem, nie tylko staje się przeciwnikiem utrzymania prawa i porządku, ale w istocie wspiera siły, których celem jest obalenie demokracji w tym kraju.

- Powinieneś raczej... - zaczął Ladilaw, lecz Foster uciszył go gestem dłoni.

- Posłuchajmy teraz głosu naszego psychologa. Marvin Slanski.

- Cóż, jako Amerykanin, który wybrał życie w waszym wspaniałym kraju, skłaniam się ku postrzeganiu obecnej sytuacji jako produktu napięć społecznych. Gdy byłem jeszcze w Berkeley, opublikowałem pracę na temat całej serii doświadczeń przeprowadzonych na szczurach. Trzymano je w ciasnocie i karmiono połową normalnej racji. Wiele z cech ich zachowania w tych warunkach dostrzegam w sytuacji, jaką mamy obecnie tutaj. Przeludnienie w połączeniu z bezczynnością u wszystkich ssaków prowadzi do niespokojnego zachowania. I obawiam się, że człowiek nie jest tu wyjątkiem.

Ladilaw wtrącił się pospiesznie.

- To jest dokładnie to, co powiedziałem, jeśli... - Crispin

Partridge przekrzyczał go:

- Co za bzdury! Jak można oszukiwać społeczeństwo takimi bredniami. Większość z tych chuliganów wcale nie jest bezrobotna. Mordują i biją ludzi nie dlatego, że brak im jedzenia czy pieniędzy, tylko dlatego, że ich to bawi. A Trotsi, Marksisci, Maoiści, Militant Tendency i cała reszta tej hołoty tylko ich do tego podjudzają. Skoro są tacy biedni, to skąd biorą pieniądze choćby na krótkofalówki, przez które kierują walkami ulicznymi? W tym kraju rozpanoszyli się wywrotowcy. Jest nimi naszpikowany. Ladilaw wtrącił z uśmiechem:

- Uwaga, czerwony pod łóżkiem zaczajony co? Znów ta sama stara śpiewka. Wszystko wina Moskwy. Wina każdego, kogo chcecie, tylko nie rządu Torysów.

- Debbie, słyszałaś co mówili politycy - przerwał tę wymianę zdań Foster. - Co o tym myślisz?

Debbie Lane uśmiechnęła się. Sympatyczny, zwodniczy uśmiech.

- Myślę, że nie ma się zbytnio co przejmować tym, co mówią politycy. Wszyscy oni kłamią, tak rząd jak i opozycja. Albert Ladilaw i jego partia chcą wysadzić rząd z siodła, żeby dorwać się do swojej kolejki w korytarzach władzy. W wyborach nie mają żadnych szans, więc próbują, czy nie da się zastraszyć społeczeństwa na tyle, żeby samo im tę władzę przekazało. Crispin Partridge z kolei reprezentuje partię polityczną, która popiera prawo i porządek, ale obawia się podjąć niezbędne kroki, aby je przywrócić, ponieważ związki i wywrotowcy mogliby wówczas doprowadzić gospodarke i kraj do gwałtownego końca.

Foster uśmiechnął się protekcjonalnie.

- Jakie w takim razie proponujesz rozwiązanie?

Debbie skrzywiła usta w uśmiechu.

- Możemy spróbować dwóch rzeczy. Parlamentu złożonego

z samych kobiet, ponieważ kobiety mają więcej zdrowego rozsądku niż mężczyźni. Albo zrobić tylko symboliczny rząd centralny. Nawet bez władz regionalnych. Może rządy okręgowe i lokalne społeczności poradzą sobie ze swymi sprawami lepiej niż Londyn. Rząd federalny byłby odpowiedzialny tylko za obronę i politykę zagraniczną. Reszta mogłaby pozostać w gminach.

- To mi pachnie komunizmem - zażartował Foster.
- Na pewno nie, kochanie. No, może przez małe „k”.
- Co konkretnie twoim zdaniem powinniśmy zrobić w tej chwili?
- Właściwie to nic. Pełny zwis i jakoś to będzie.

Foster skinął na Partridge'a.

- Rząd zastanawia się nad ustawą, która dałaby szersze uprawnienia policji. Program rozbudowy sieci więziennictwa już został przyjęty. Jednak główna odpowiedzialność spoczywa na ludziach. Na nas wszystkich. Jeśli chcemy skończyć z szalejącym obecnie bezprawiem, musimy odizolować prowodyrów, występnych, podłych ludzi, którzy żerują na...

W tym momencie ekrany telewizorów włączonych na ITV rozbłysły na biało i wyłączyły się w całym kraju.

Uszkodzenie wykryto i naprawiono dopiero na dwie minuty przed rozpoczęciem „News at Ten” o 22. Był to nieskrywany akt sabotażu, o wymowie oczywistej dla wszystkich; nie wywołał jednak zbyt wielkiego zamieszania. Kraj przywykł już do bojówkarzy, którzy wstrzymywali druk gazet, twierdząc, że związki mają prawo cenzurować wypowiedzi nieprzychylne lewicy. Dla przeforsowania swoich żądań płacowych byli oni zdolni nawet odciąć podstawowe zaopatrzenie. I wszystko to w czasie, gdy ich przywódcy wylewali w TV krokodyle łzy, zaklinając się, że akcje te nie zmierzają do obalenia porządku publicznego. Co w istocie było ich jedynym i z góry założonym celem.

Rozdział V

Wyładowali się z ciężarówki zaraz po zapadnięciu zmroku, światła jej reflektorów pozwolono im przez dwie minuty przyglądać się mapie sztabowej, żeby mogli zapamiętać punkty orientacyjne. Potem wysłano ich na trasę. Początkowo cała piętnastka trzymała się razem, ale po pierwszych 10 milach rozpadła się na 2-3 osobowe grupki.

Na wschodzie, u podnóża gór, podnosiła się już mgła, a chmury płynące nieprzerwanie po nocnym niebie niemal całkowicie przesłaniały światło księżyca. Po dziewięciu miesiącach treningu w SAS wciąż jeszcze nie wiedzieli, co ich czeka. Były tylko dwie możliwości. Albo zostaną warunkowo przyjęci, albo dostaną RTU. Return To original Unit - powrót do jednostki macierzystej. Dowódcy pododdziałów zawsze podkreślali, że dostać RTU w Special Air Service, to żaden wstyd. Każdy, komu udało się przetrwać dziewięć miesięcy, zanim go odesłano, mógł być pewien awansu po powrocie do macierzystej jednostki. W swoim czasie polityką SAS było wręcz zniechęcanie ochotników. Poddawano ich świadczeniom tak nużącym i wyczerpującym i wymagano takiego oddania służbie, że niewielu było w stanie temu sprostać. Potem, w latach siedemdziesiątych, wzrosło zapotrzebowanie na ludzi z SAS, ale ochotnicy rekrutowali się teraz ze społeczeństwa tak opiekuńczego, że bardzo łatwo było ich zniechęcić. W dowództwie SAS zdano sobie sprawę, że ochotników trzeba najpierw wyćwiczyć w wytrwałości wobec przeciwności losu, a dopiero potem można żądać od nich lojalności i hartu ducha. Te nocne ćwiczenia były

właśnie częścią takiego treningu.

Podczas ośmiu godzin panowania ciemności mieli dotrzeć do wskazanego na mapie punktu. Oznaczało to, nawet pomijając rzeźbę terenu, trzydzieści mil do pokonania. Nie dano im wody ani żywności i wszyscy mieli już za sobą normalną dzienną służbę w koszarach. Kto nie zmieścił się w czasie lub padł ze zmęczenia, dostawał RTU. Nie było wyjątków. Skręcone kostki, złamania kości, wyczerpanie, czy zgubienie drogi - nic z tego nie brano pod uwagę. Albowiem służba w SAS polegała właśnie na tym, żeby być tam, gdzie cię potrzebują, wtedy, gdy jesteś potrzebny. I to gotowy natychmiastowej akcji. W zwyczajnym wojsku było mnóstwo wykwalifikowanych żołnierzy. U żołnierza SAS te wysokie kwalifikacje nie były jednak niczym nadzwyczajnym. Były czymś zupełnie podstawowym dla każdego, kto miał zamiar pozostać w tej służbie na dłużej.

Tej nocy czterech ludzi doszło do wniosku, że SAS jest nie dla nich.

Dowództwo szkolenia uznało za nie nadających się do służby sześciu następnych. Przyjęcie kolejnych dwóch uzależniono od opinii szpitala, w którym znaleźli się z powodu wyczerpania. Trzech pozostałych przyjęto tymczasowo; ostateczna decyzja miała zależeć od ich postępów podczas ostatnich ośmiu miesięcy treningu.

Komandosi ze Special Air Service, wbrew obrazowi utrwalonemu w potocznej świadomości przez środki przekazu, nie przypominali w niczym zawodników wolnej amerykanki, czy Johna Wayne. Raczej szczupli niż atletyczni, nie wyróżniali się wzrostem i powierzchownością. Jedynym ich zewnętrznym znakiem szczególnym mógł być zwyczaj noszenia drugich wąsów w stylu pilotów myśliwskich z drugiej wojny światowej. Z natury samotnicy, lojalność woleli okazywać raczej małej grupie towarzyszy niż

społeczeństwu, czy ludzkości. Podobnie jak to bywa u policjantów, ich stosunek do świata podszyty był niechęcią płynącą z gorzkiego doświadczenia.

Podczas tego nocnego ćwiczenia jeden z żołnierzy podążał samotnie już od chwili startu. Z plecakiem załadowanym przepisowymi 55 funtami cegieł, zamiast pójść skrótem, który w oczywisty sposób wynikał z mapy, trzymał się wąskiej ścieżki wijącej się po skalistych zboczach. Przez całą noc obserwował chmury, wypatrując przejaśnień, które pozwalały mu w świetle księżyca sprawdzić namiary kompasu z własnym wyczuciem celu leżącego w dolinie. Pomagało to niewiele, ponieważ teren nie obfitował w punkty orientacyjne. Najważniejsze z nich usunięto zresztą z pokazanej im wcześniej mapy; była ona spreparowana specjalnie dla celów treningowych.

Godzinę przed świtem stanął nagle w bezruchu, opuścił głowę i nasłuchiwał z zamkniętymi oczami. Usłyszał cichy plusk wody. Spadała po skałach do małego jeziora, leżącego parę metrów poniżej. Powoli zszedł na dół, a gdy strumień znalazł się u jego stóp, skierował się wzdłuż jego biegu. Schodził między skałami coraz niżej, aż dotarł do podnóża wzgórza, porośniętego kępami trawy, przechodzącymi dalej w jałowce i paprocie. Godzinę później dojrzał światła farmy położonej na dnie doliny. Na mapie nie było żadnej farmy ani jakichkolwiek budynków, ale kierował się tym, co przekazano im wcześniej ustnie.

Gdy przechodząc przez podwórze mijał stodołę, otworzyły się drzwi i pasmo żółtego światła wylało się na bruk. W drzwiach stało dwóch ludzi. Jednego z nich ze zdumieniem rozpoznał, drugim był jakiś obcy.

Otarł pot z twarzy wilgotną chustką, zsunął plecak z ramion i oparł się dysząc o framugę drzwi.

- Jak się czujesz, sierżancie?
- Jak zarżnięty, sir. Mężczyzna zaśmiał się cicho.
- Wejdz.

Podpułkownik Andrews wyglądał zupełnie nie na miejscu w tej staroświeckiej kuchni i w tym kamiennym domu. Sierżant przywykł widzieć go w mundurze, a nie jak teraz, w starej tweedowej marynarce i drelichowych spodniach. Sierżant Cameron Davies zastanawiał się przez chwilę, jaką to nową pułapkę wymyślili, żeby sprawdzić jego inteligencję i wytrzymałość. Może to będzie jedno z tych nagłych, niezapowiedzianych, pozorowanych przesłuchań, które zresztą przypominały prawdziwe tyle co nic.

Andrews przedstawił mu drugiego mężczyznę, powiedział, że nazywa się Glyn. Glyn nalał na talerz gęstej owsianki z żeliwnego garnka stojącego na czarnym piecu kuchennym, a następnie postawił przed żołnierzem. Kiedy sierżant skończył jeść, Andrews odezwał się cichym głosem:

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił, Davies. Jest to rzecz szczególnego rodzaju. Coś bardzo ważnego.

Cameron Davies skinął głową.

- Cokolwiek pan sobie zażyczy, pułkowniku.

- Chcę, żebyś złożył podanie o zwolnienie cię z wojska - Andrews przerwał, żeby zobaczyć jego reakcję, ale Davies nawet nie mrugnął.

- Mam pewną specjalną robotę i chcę, żebyś to ty ją wykonał. Dostaniesz za to więcej niż w SAS. Lepsza pensja i różne cywilne dodatki jak samochód, dom i tak dalej. Co ty na to?

- Cokolwiek pan sobie zażyczy, sir.

- To nie jest żaden test, sierżancie. To jest naprawdę. Mówię serio.

- Tak jak powiedziałem, sir. Wszystko, czego pan zechce.

- Nawet nie spytałeś, co będziesz robił.

- Zrobię to, co pan każe, sir.

- Będziesz współpracował z Glynem, Glynem Thomasem. Chcę, żebyś przeszkolił kilka grup cywili w podstawowych technikach SAS. Nie wolno ci z nikim o tym rozmawiać. Nie możesz też z jedną grupą rozmawiać o innych. Każda ma być przekonana, że jest jedyną, jaka istnieje. Nie będziesz z nimi również omawiał powodów i celów tego treningu, ponieważ sam nie będziesz ich znał, dopóki nie uznam za konieczne powiedzieć ci o tym. Zrozumiałeś?

- Czy mogę zadać pytanie, sir?

- Proszę.

- Czy to ma coś wspólnego z wojskiem?

- Nie. Będziesz cywilem.

- Czy to coś oficjalnego, czy nie?

- Nieoficjalnego, ale ja to akceptuję i... nie tylko ja.

- Kiedy mam zacząć?

Andrews sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął złożoną kartkę papieru. Rozpostarł ją na stole. Był to oficjalny formularz podania o zwolnienie z wojska.

- Wypełnij to teraz sierżancie, z wczorajszą datą.

Podał Daviesowi długopis. Razem z Glynem Thomasem siedzieli potem w milczeniu, podczas gdy sierżant wypełniał kolejne rubryki. Kiedy doszedł do ostatniej, spojrzał pytająco na pułkownika.

- Jaki powód mam podać, sir?

- Przekonania religijne. Sprzeciw sumienia przeciwko służbie w siłach zbrojnych.

Sierżant zawahał się przez chwilę, po czym wypełnił ostatnią rubrykę i złożył podpis u dołu strony. Andrews wziął formularz i przeczytał go dokładnie, po czym z kieszeni marynarki wyciągnął kopertę i podał ją żołnierzowi. Była zaadresowana do sierżanta C.

Davies, 1093556, Oddział „A”, Pułk Specjalnych Sił Powietrznych, Centrum Szkolenia, Hereford.

- Otwórz.

Było to pismo z ministerstwa wojny, formatu A5. Datowane dwa dni później. Zgoda na zwolnienie ze służby wojskowej ze skutkiem natychmiastowym. W piśmie wyszczególniono dokumenty, które zostaną odesłane później i wysokość zaległych poborów. Na koniec stwierdzano, że rezygnację uznaje się automatycznie za naruszenie honoru żołnierza. Davies spojrział na Andrews, wzruszył ramionami i kiwając z wolną głową, schował list i kopertę do wewnętrznej kieszeni bluzy.

- Muszę już wracać, sir.

- Już tam nie wrócisz, chłopie. Wszystkie rzeczy z twojego pokoju i szafki są tutaj, na górze. Zostaniesz tu przez parę tygodni. Glyn cię we wszystko wprowadzi - położył przed nim na stole skrawek papieru.

- Tu jest numer, pod którym możesz się ze mną skontaktować. Dzwonź tylko w razie konieczności - Andrews wstał. - Twoja współpraca, twoja lojalność nie pójdzie w zapomnienie. Możesz być tego pewien.

- Dzięki, sir - Davies odruchowo stanął na baczność. Pułkownik skinął im obu głową, po czym skierował się do drzwi i wyszedł z kuchni.

Za oknem wschodziło słońce. Na zboczach doliny powoli rozpraszały się poranne mgły.

Jedna kamera skierowana była wprost na stół, a druga miała profil twarzy. Trzecia ukazywała zdjęcie Big Bena z prostym napisem: Premier. Szef programu po raz ostatni zajrzał do i notatek. Inspicjent spoglądał na stoper.

- Jeszcze cztery i pół minuty, a... - przerwał, bowiem w tym momencie otworzyły się drzwi i dyrektor generalny BBC wprowadził premiera i ministra spraw zagranicznych.

- Cztery minuty piętnaście sekund.

Szef programu wskazał na miniaturowy mikrofon przypięty do krawata premiera.

- Czy może pan powiedzieć parę słów, sir. Chcemy tylko wystерować mikrofon.

Premier wydawał się zaskoczony pytaniem, więc szef programu szybko spytał:

- Co pan jadł dzisiaj na śniadanie, panie premierze?

- Co... ach, rozumiem... owsiankę, jajka na szynce, grzanekę i kawę... czy to wystarczy?

Szef odwrócił się do kabiny dźwiękowca; ten skinął głową.

- Doskonale, sir. Najpierw przez piętnaście sekund poleci nagłówek, potem odliczę do dziesięciu. Zapali się czerwone światło nad środkową kamerą i gdy dojdę do zera, będzie pan już na ekranie i zaczynamy transmisję.

Premier skinął głową i patrzył niespokojnie, jak dyrektor generalny i minister spraw zagranicznych wychodzą ze studia.

- Proszę o ciszę, wszyscy cisza! Minuta dziesięć do nagłówka... minuta... trzydzieści sekund... dziesięć... pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... jesteśmy na wizji, dźwięk proszę.

Na monitorze ukazał się Big Ben wraz z nagłówkiem, rozległo się kilka ostatnich tonów kuranta.

- Uwaga, panie premierze - dziesięć, dziewięć... osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden - i szef programu wyciągnął dłoń w stronę premiera.

Premier spoglądał prosto w środkową kamerę.

- Chcę dzisiaj przedstawić wam wszystkim decyzję, którą po

długich dyskusjach i starannym rozważeniu sprawy rząd zdecydował się podjąć.

Jak zapewne pamiętacie, niemal trzy miesiące temu rząd doszedł do wniosku, że stało się niemożliwe i w istocie dla nas niekorzystne prowadzenie dalszych rozmów z rządem Stanów Zjednoczonych na temat sprzedaży im przez nasz kraj pocisków typu Trident. Była to decyzja trudna i jak wiecie spotkała się z poważną krytyką tak ze strony Stanów Zjednoczonych, jak i naszych europejskich partnerów. W rzeczy samej, również i w kraju byliśmy krytykowani. Jednakże, jak to już zresztą wyjaśniałem, tę decyzję wymusiła na nas sytuacja ekonomiczna kraju. Mieliśmy też na uwadze przybierający na sile krytycyzm społeczeństwa wobec kontynuacji samego programu Trident.

Jak może słyszeliście i czytaliście w środkach przekazu, niektóre z państw będących dotąd naszymi sprzymierzeńcami, posunęły się dalece poza ramy normalnej krytyki i zareagowały w sposób, który nasz rząd uważa za nie do przyjęcia w stosunkach między zaprzyjaźnionymi narodami. Mam tu oczywiście na myśli akcję rządu Francji, który zakazał wszelkiego importu z Wielkiej Brytanii. A także decyzję rządu RFN o zaprzestaniu finansowania brytyjskiej obecności wojskowej w tym kraju. Obecności - jak należy podkreślić - mającej na celu obronę samych Niemiec. Nasi ambasadorowie w Bonn i w Paryżu zostali zobowiązani do wyrażenia stanowczego sprzeciwu przeciwko tym jednostronnym akcjom. Następnie, wspólnie z ministrem spraw zagranicznych, odwiedziłem przywódców RFN i Francji, aby jeszcze raz wyjaśnić im przesłanki naszej decyzji. Wyraziliśmy wówczas nasze oburzenie z powodu ich postawy i podjęcia akcji przeciw nam. Spotkania te nie przyniosły jednak rezultatów.

Wczoraj po powrocie zwołałem posiedzenie gabinetu celem

przedyskutowania sytuacji. Przychodzę tu wprost z tego posiedzenia, które trwało cały dzień. Minister spraw zagranicznych spotyka się w tej chwili z Izbą Gmin, aby poinformować posłów o przyjętych przez nas postanowieniach.

Zrozumiecie zapewne moje rozgoryczenie, kiedy powiem, że jestem zmuszony zakomunikować wam, iż Wielka Brytania przestała być członkiem EWG. Ponadto powiadomiliśmy naszych sojuszników z NATO, że dziś o północy wygasa nasze członkostwo w tej organizacji. Nasi dowódcy w Europie otrzymali rozkaz wycofania swoich ludzi i sprzętu do kraju najszybciej, jak to możliwe.

W ubiegłych latach podnosiły się głosy domagające się podjęcia obu tych kroków. Sama Francja wystąpiła z NATO już w 1966 roku. Od lat borykaliśmy się z nadmiernym obciążeniem finansowym; nasz kraj mimo własnych problemów gospodarczych wspomagał milionami funtów bogatych członków Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Przez wiele lat dźwigaliśmy to brzemie w nadziei, że nasze poświęcenie ma korzystny wpływ na morale narodu. Wydarzenia ostatnich paru miesięcy uświadomiły nam, że to poświęcenie idzie na marne.

Był kiedyś czas, gdy nasz kraj również trwał osamotniony. Jak powiedział Winston Churchill, była to nasza godzina chwały. Dziś z nikim już nie walczymy, ale wojna trwa. Jest to wojna przeciwko katastrofie gospodarczej. Żaden cywilizowany kraj na świecie nie zawahałby się przed jej podjęciem. Mamy za sobą wiele ciężkich chwil. Dziś powinniśmy znów powrócić do ducha Dunkierki, kiedy to robotnicy i dyrektorzy, wojsko i cywile, a także politycy ze wszystkich partii połączyli swe wysiłki dla dobra ogółu.

Chcę was zapewnić, że nie mamy się czego lękać. Posiadamy odpowiednie środki i jesteśmy zdecydowani przezwyciężyć nasze trudności.

W nadchodzących miesiącach przekonamy się, jakich mamy przyjaciół. Jeżeli uda nam się znów uniezależnić od obciążeń narzuconych nam przez innych, będziemy mogli powiedzieć – wierzę, że większość z was zgodzi się ze mną co do tego – iż wyrzeczenia ostatnich lat nie zostały jednak zmarnowane.

Chciałbym, żeby w nadchodzących dniach te dążenia zrodziły naszym dumnym narodzie ducha, który wywoła u innych zazdrość wobec naszej siły i zdecydowania.

Życzę wam wszystkim dobrej nocy.

Z wyrazem surowości na swej przystojnej twarzy premier spoglądał w kamerę, dopóki nie zgasło czerwone światelko. Szef programu podszedł, by odpiąć mikrofon.

- Czy to poszło jednocześnie na kanałach komercyjnych?

- Tak jest, sir. Na wszystkich z wyjątkiem Satellite One. Oni puszcza to za godzinę, żeby od razu wejść na popołudniowe wiadomości w Stanach.

Wszedł dyrektor generalny, by odprowadzić premiera do samochodu.

Kiedy wyszli, szef programu podbiegł do telefonu i wykręcił numer w Hereford. Gdy po drugiej stronie ktoś odebrał, szef powiedział cicho:

- Tak, obydwaj – i odłożył słuchawkę.

Samolot British Airways, lot 139 do Paryża-Le Bourget, właśnie opuszczał główny korytarz wylotowy Londynu, kiedy otrzymał przez radio polecenie powrotu na lotnisko Heathrow. Pilot poprosił o podanie przyczyn, ale dowiedział się tylko, że nie ma to związku ze względami bezpieczeństwa.

Na kanale 24 inni piloci właśnie odbierali instrukcję straży przybrzeżnej w Dover, aby zawrócić do Dover lub Medway, jeśli nie

chcą narazić swych maszyn na skonfiskowanie przez francuskie władze celne.

Późnym rankiem programy radia BBC zostały przerwane wiadomością z ostatniej chwili: rząd Francji ogłosił, że w odpowiedzi na wycofanie się Anglików z EWG zakazuje tymczasowo utrzymywania wszelkich stosunków handlowych i komunikacji z Wielką Brytanią.

W dzienniku o trzynastej zapytano kilka znanych osobistości o ich reakcję na to posunięcie. Minister spraw zagranicznych określił je jako „niefortunne nieporozumienie”. Dyrektor CBI powiedział coś o „kolejnym przykładzie francuskiego szowinizmu” i stwierdził, że „jest to akcja z rodzaju tych, które wcześniej skłoniły Brytyjczyków do opuszczenia EWG”. Paryski korespondent „Evening Standard” - który akurat był tego dnia w Londynie - podkreślił, że zakaz określono jako tymczasowy.

Ambasador Francji został wezwany do MSZ, gdzie minister osobiście wyraził mu swoje oburzenie. Była to dla nich obu niezręczna sytuacja - znali się jeszcze ze studiów w Lycee w Lyonie i potem w Balliol. Kiedy oficjalna część spotkania została zakończona, Claude Hollis, minister spraw zagranicznych zwrócił się do kolegi:

- Na Boga, Henri, o co chodzi tym twoim?

- Bóg jeden wie. Nie pytali mnie o zdanie. Dowiedziałem się przez telefon ledwie godzinę przed podaniem tego w radio.

- To nie jest jakiś pojedynczy numer, prawda? Będą to dalej ciągnąć?

- Są w bardzo kiepskim humorze, Claude. Zresztą wiesz, jaki jest Becque. Niemcy pozostaną niezdecydowani, dopóki wybory się nie skończą, więc Becque chce teraz rozegrać swoją wielką grę o władzę.

- Boże, jak on nas musi nienawidzieć.

- Tak, nienawidzi. Ale jest jeszcze coś. On wie, że może przegrać następną kadencję. To wstrętna mała ropucha. Pewnie uważa, że jak zrobi świństwo Anglikom, to zbierze więcej głosów. I pewnie ma rację.

- Ale przecież na handlu może tylko stracić. Myśmy kupowali od was więcej niż wy od nas. Nie będziecie mogli się już wyklócać o Golden Delicious albo jakieś cholerne indyki.

- To prawda, ale u was z kolei pójda w górę ceny żywności. Może rolnikom się to spodoba, ale kobiety was rozszarpią.

- Jest jeszcze Australia i Nowa Zelandia.

- Claude, wiesz, że to nieprawda. Oni stracili tyle czasu i pieniędzy na znalezienie nowych rynków zbytu, że teraz tak szybko tego nie zmienią - przerwał na chwilę. - Lepiej bądźcie przygotowani na najgorsze. Becque będzie naciskał w EWG, żeby inni poszli w jego ślady.

- Nie wydaje mi się, żeby ktoś miał ochotę podkładać nam świnie z samej miłości do Becque'a.

Francuz westchnął tylko, żeby nie powiedzieć tego, czego powiedzieć nie było mu wolno. Odparł cichym głosem:

- W tej chwili Europa jest pod cholernie silną presją, Claude. Trzeba patrzeć głębiej, mój drogi. Pojawiły się pewne złowieszcze oznaki, których wasi ludzie zdaje się w ogóle nie zauważyli. A jeśli nawet zauważyli, to błędnie je zinterpretowali.

- Na przykład?

- Na przykład częste odwiedziny Niemców w Moskwie. Kontrakt na gaz ziemny na bardzo korzystnych warunkach - zbyt korzystnych jak na mój gust. Belgowie z kolei proponują, żeby zbadać możliwość zawarcia jakiegoś układu między EWG i RWPG. We Włoszech komuniści udzielają pomocy mocno nadwerężonej koalicji

prawicowej - przerwał na chwilę i dodał: - A wasza sytuacja jest przecież po prostu rozpaczliwa, Claude. Musicie działać i to szybko.

Hollis zgasił papierosa i cicho zapytał:

- Mówisz poważnie, Henri?
- Oczywiście. Jak najpoważniej.
- Myślisz, że to celowe? Że Becque tym jakoś steruje?
- Wnioski możesz sobie sam wyciągnąć.
- Ale co właściwie Francja na tym zyska?

Pamiętasz dawne czasy, kiedy byliśmy w Lycee i kazali nam prowadzić dyskurs na jakiś dowolnie wybrany przez nas temat?

- Nie pamiętam - Hollis westchnął i uśmiechnął się. - To było sto lat temu.

- Było. Ale ja pamiętam, jaki miałeś temat. Cytat z La Rochefoucauld'a „Dans l'adversite de nos meilleurs amis, nous trouvons quelque chose qui ne nous deplait pas.”

Hollis uśmiechnął się znowu i cicho powtórzył po angielsku:

- „Gdy naszych przyjaciół spotyka nieszczęście, zdarza się, że nam samym niezbyt wielką przynosi to przykrość”. No tak, ale ja sobie nie przypominam, żeby Paryż z Londynem miały jakieś dłuższe okresy przyjaźni.

- Wystarczająco długie na to, żeby się cieszyć ze swych nieszczęść - Francuz podniósł się z fotela. - Panie ministrze, przekażę pańskie uwagi memu rządowi. Jestem przekonany, że otrzyma pan szczegółowe wyjaśnienia.

Ambasador stał z wyciągniętą ręką. Hollis ujął jego dłoń. Francuz spojrzał mu w oczy i powiedział:

- To wszystko bardzo mnie martwi, przyjacielu. Pamiętaj - jeśli potop nadejdzie, dla ciebie i twoich bliskich jest zawsze miejsce we Francji - w moim domu.

Rozdział VI

Kiedy wysłannicy różnych programów telewizyjnych i asystenci szefów produkcji zaczęli wydzwaniać do kolejnych rzeczników i informatorów politycznych, według oczywistej w takich wypadkach listy, z prośbą o komentarz, ze zdziwieniem stwierdzili, że na razie wszyscy unikają poważniejszych wypowiedzi. Ludzie, którzy zwykle aż się palili do udzielania wywiadów, zrobili się nagle dziwnie powściągliwi. Niektórzy wykręcali się mówiąc, że potrzebują czasu na rozważenie oświadczenia premiera. Inni z cyniczną szczerością oświadczyli, że nie zamierzają wyręczać rządu w wyciąganiu gorących kasztanów z ognia, dopóki te trochę nie ostygną.

Skończyło się na kilku wywiadach ze zwykłymi komentatorami politycznymi z prasy. Ci zaś w swych wyjątkowo ostrożnych wypowiedziach nie posunęli się poza treść nagłówków, jakie pojawiły się nazajutrz w ich własnych gazetach. Daily Express napisał: „Oświadczenie premiera - przechodzimy na samowystarczalność”. Nagłówek w Timesie głosił: „Premier mówi Europie - dość”. Morning Star nie mógł się widocznie zdecydować i wspomniał tylko o przemówieniu w kolumnie wiadomości bieżących, dając tytuł - „Premier przemówił do narodu”.

Wyglądało to tak, jakby ktoś zakazał wszelkiej dyskusji. Nikt nie wiedział, jaką zająć postawę. Nikt też nie chciał być pierwszym zwiastunem waśni, czy nierozsądnym protagoniście polityki, która mogła oznaczać katastrofę. Po raz pierwszy w historii mediów nikt nie chciał komentować decyzji politycznej najwyższej rangi.

Przedstawiciele lewicy nie mogli się skarżyć, ponieważ sami od lat naciskali na wycofanie się kraju z obu organizacji. Prawica z kolei w ciągu ostatnich sześciu miesięcy zdążyła mocno znienawidzić Francuzów i Niemców za wszystkie afronty i obelgi, jakie musiała znosić z ich strony. Natomiast odwołanie się przez premiera do ducha Dunkierki, choć było w sumie tanim i banalnym chwytem, wydawało się jednak trafiać do dużej części społeczeństwa. Tak czy inaczej Brytania została sama, nie z wyboru, lecz dlatego, że Europa już jej nie chciała. Po obu stronach Kanału dawano upust roznieconym na nowo starym urazom i pretensjom.

W letniej rezydencji wypoczynkowej premiera w Chequers, w przytulnym pokoju tuż obok głównego hallu, siedział w skórzanym fotelu przewodniczący Oficjalnej Opozycji Jej Królewskiej Mości i pykając fajkę słuchał słów swego gospodarza.

- Nie rozumiem, jak możesz w ten sposób do tego podchodzić Arthur. Czyżby wszystkie dotychczasowe oświadczenia twojej partii były grą pozorów? Pamiętam przecież, jak zaraz po osiemdziesiątym roku, kiedy funt był mocny, ty i twoi ludzie twierdziliście, że to zrujnuje kraj, bo nasz eksport nie wytrzyma konkurencji z cenami na rynkach światowych. Z kolei w osiemdziesiątym drugim, czy coś koło tego, zaczęliście jęczeć, że kraj jest na skraju bankructwa, bo za dużo nas kosztuje import materiałów.

Przez całe lata na waszych zjazdach i w parlamencie wrzeszczeliście, że trzeba się wycofać z EWG, a teraz, kiedy wreszcie to zrobiliśmy, wy odmawiacie nam poparcia. Szaleńcy z waszej skrajnej lewicy gardłowali o jednostronnym rozbrojeniu. Teraz, gdy większość ich żądań się spełniła, ty mi mówisz, że narażamy na szwank bezpieczeństwo kraju. Dlaczego do cholery nie zdecydujecie się wreszcie, o co wam naprawdę chodzi?

Arthur Drury przywołał na twarz swój słynny pobłażliwy uśmiezek.

- Wspaniałe przedstawienie, Freddie. Ale na mnie to nie działa. Nie zrobiliście tego wszystkiego dla przyjemności naszej partii. Zrobiliście to, boście nie mieli wyboru. Teraz chodzi mi tylko o to, jaki wpływ będzie to miało na losy kraju.

- A jaki wpływ twoim zdaniem miałyby wtedy, gdy wyście to doradzali?

- To były inne czasy, Freddie. Inne układy, inne okoliczności. Nie byliśmy u kresu drogi. Teraz jesteśmy. Myślę, że nawet ty to przyznasz. Disraeli powiedział...

- Pieprzę, co mówił Disraeli. Co ty masz do powiedzenia?

- Przyszedłem tu, żeby posłuchać, a nie gadać, Freddie.

Wytrzeszczonymi ze zmęczenia, przekrwionymi oczami premier spoglądał gniewnie na swego rozmówcę. Nienawidził tego, co miał teraz powiedzieć, ale wiedział, że nie ma wyjścia.

- Proponuję ci koalicję, Arthur. Byłbyś moim zastępcą, dałbym ci też ministerstwo spraw wewnętrznych albo obronę. Moglibyśmy dogadać się co do szczegółów, tak, żeby odpowiadało to obu stronom.

- Nie da rady, Freddie. Sam musisz wypić to piwo. My nie chcemy ani łyka.

- Nie wiem, czy opinii publicznej spodoba się twoja odmowa.

- To im nic nie mów.

Następnego dnia premier ogłosił stan wyjątkowy. Jego rzecznik prasowy postarał się, by wiadomość o odrzuceniu przez opozycję propozycji utworzenia rządu koalicyjnego przeciekła do prasy.

Okolo osiemnastej na Downing Street zaczęły gromadzić się tłumy obserwujące przybywających tam i odjeżdżających znanych

polityków. Atmosfera w tłumie była przygaszona, wszyscy wiedzieli, że sytuacja jest krytyczna, ale nie byli całkiem pewni, o co dokładnie chodzi.

Późne wydania popołudniówek wydrukowały w skrócie szczegóły nowych rozporządzeń. Zostaje zawieszona prawo do strajku. Za każdą próbę strajku związki zawodowe będą karane olbrzymimi grzywnami. Posiadacze dewiz mają obowiązek zadeklarowania ich w ciągu 48 godzin. Niezastosowanie się do tego, jak również próby przerzutu złota, dewiz lub kosztowności za granicę będą karane więzieniem. Zabrania się zmiany miejsca pracy bez zgody właściwego ministerstwa; bezrobotni zostaną również skierowani do pracy. Wszystkie kobiety zamężne mają zwolnić się ze stanowisk, aby zapobiec bezrobociu wśród mężczyzn. Wszelka imigracja, tak czarnych jak i białych obywateli zostaje wstrzymana bez żadnych wyjątków. Ustawa o bezpieczeństwie publicznym zostanie znowelizowana, a policja już otrzymała całkowicie wolną rękę w postępowaniu wobec „burzycieli porządku”.

Reporterzy TV, którzy krążyli po ulicach w poszukiwaniu „oddolnych reakcji”, stwierdzili, że były one w większości stonowane. Jeśli rząd uważa, że to konieczne, to widocznie tak musi być. Wielu ludzi było w ogóle przekonanych, że stan wyjątkowy ogłoszono z powodu wzrastającej inflacji i bezrobocia. Niektórzy wymieniali jako dodatkowe przyczyny chuligańskie zamieszki w dużych miastach. Politycy unikali udzielania wywiadów, a biuro premiera ostrzegło środki przekazu, żeby nie podgrzewały nastrojów. Nie były to jakieś otwarcie wypowiedziane groźby, a jedynie pewne sugestie; jednak sygnał został odebrany właściwie: z programów zniknęły audycje publicystyczne; zastąpiono je komediami z dawnych lat. Niemal niedostrzegalnie w całym kraju zapanował na razie nastrój akceptacji tych jakże trudnych do

przyjęcia, nowych warunków życia.

Pojawienie się Charlesa Becque'a w loży rządowej na przedstawieniu „Der Rosenkavalier” nie było tylko uprzejmym gestem, związanym z odrodzeniem się francusko-niemieckiego detente. Choć nie był koneserem, niemniej szczerze uwielbiał operetki w rodzaju „Wesołej wdówki” czy „Cygańskiej księżniczki”. Dzisiejsze przedstawienie było zaś gwoździem sezonu - grali Haitink i Filharmonia Berlińska.

Dziewięć miesięcy wcześniej poproszono go o zgodę na umieszczenie na afiszach nagłówek „Premiera prezydencka”. Zwlekał z odpowiedzią przez parę dni, aby zadośćuczynić wymogom protokołu, po czym wyraził zgodę.

Zaledwie zdążył usadowić się po przerwie przed drugim aktem, kiedy jeden z sekretarzy podał mu wiadomość na piśmie. Zły, że mu przeszkadzają, starał się w miarę cicho otworzyć kopertę. Wzywano go do Pałacu Elizejskiego. Podpisał Thibaudet, minister spraw zagranicznych. Becque pochylił się do sekretarza i polecił mu postawić samochód na drugą przerwę. Pomyślał z żalem, że wolałby nie wiedzieć, o co chodzi. Było niemal pewne, że dostali potwierdzenie co do Wschodnich Niemiec. Nie wzywałiby go w takim pośpiechu, gdyby to była jakaś dobra wiadomość.

Zamknął na moment oczy, aby odpędzić te myśli i skoncentrować się na przedstawieniu. Słuchając tych melodyjnych walców, sam miał ochotę tańczyć, albo chociaż kiwać ręką do taktu. Siedział jednak spokojnie aż do przerwy, po czym oznajmił żonie, iż musi wyjść. Piętnaście minut później czarny Citroen przemknął przez bramę pałacu. Wciąż od nowa wprawiało go w podziw piękno tego miejsca i cała moc władzy, która z niego emanowała. Ale nie znosił tych nocnych alarmów - zawsze mogło się okazać, że to któryś

z ministrów chce się koniecznie wyróżnić, przesadzając z ważnością swojej sprawy. Świeżo upieczonym ministrom często się to zdarzało, choć najczęściej już po roku sami zaczynali szanować swój czas i spokój, szczególnie wieczorem. Ale Thibaudet nie był panikarzem. Jeśli uznał, że to pilne, to na pewno tak było.

Becque wszedł po szerokich schodach, a potem korytarzem do końca. Thibaudet już czekał na niego, był też Requier. Obydwaj stali, dopóki nie wskazał im krzeseł. Sam zasiadł za swym bogato zdobionym biurkiem, na krześle pokrytym adamaszkiem.

- No i co, Thibaudet, ma pan dla mnie jakieś dobre wieści? Czy powiadomili nas, że to tylko wspólne manewry?

- Obawiam się, że nie, panie prezydencie. Wczoraj uciekł na Zachód radziecki oficer. Przeszedł granicę w pobliżu Helmstead. NRD z udziałem radzieckich doradców zamierza wkroczyć do Republiki Federalnej.

Prezydent westchnął i zaczął się bawić szklanym przyciskiem do papieru.

- Skoro przeszedł, to pewnie wtyczka?

- Obawiam się, że nie. Był w kontakcie z wywiadem RFN od paru miesięcy. Dostarczył mikrofilmy rozkazów operacyjnych i dokumentów radzieckich zawierających ogólne plany całej akcji.

- I jak to ma wszystko wyglądać?

- Chcą dać gwarancję, że nie przekroczą linii Renu, ale cała RFN znajdzie się pod okupacją.

- Kiedy?

- Za dziesięć dni, czternastego.

- Czy Bonn powiadomiło Londyn lub Waszyngton?

- Nie. Tylko nas. Na osobiste polecenie Helmuta Bayera.

- Czy jest pan całkowicie przekonany, że dokumenty są autentyczne?

- Absolutnie. Nie ma najmniejszej wątpliwości.

- A co zamierza Bonn?

- Chcą zwołać specjalne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa na pojutrze. Porządkują dokumentację. Bayer osobiście stanie na czele delegacji.

Becque wstał i skinął głową obu mężczyznom.

- Dzięki Thibaudet. Jutro przedstawię panu mój pogląd na tę sprawę. Do tego czasu proszę nic nie robić, rozumie pan?

- Tak jest, panie prezydencie.

Gdy wyszli, Becque sięgnął po czerwony telefon i wcisnął kolejno dwa guziki. 30 sekund później miał już połączenie z Helmutem Bayerem w Bonn. Rozmawiali przez ponad godzinę. Po odłożeniu słuchawki Becque siedział chwilę z zamkniętymi oczami i poruszając bezgłośnie wargami przepowiadał sobie dokładnie tekst tego, co miał zaraz powiedzieć. Dwa razy wyciągnął znów rękę w stronę czerwonego telefonu i dwa razy cofnął ją. Napisał parę słów w notatniku leżącym koło aparatu, skreślił jakieś słowo, wpisał inne. W końcu podniósł słuchawkę, wcisnął guzik i poprosił o połączenie z I sekretarzem Jewgienijem Orłowem.

Ogromny Ził zjechał z Leningradzkiego Prospektu w tunel rowadzący do szosy Wołokołamskiej, a potem skręcił w lewo na szosę Petrowo-Dalnijską i pomknął dalej w kierunku rzeki.

Park w Archangielskoje położony był jakieś 16 km od Moskwy. Samochód przejechał przez park i dotarł do willi, której frontowe okna wychodziły na rzekę Moskwę. Becque sięgnął do klamki, ale jakiś człowiek z obsługi otworzył już drzwiczki i skłaniając się uprzejmie przed wysiadającym, dobrą francuszczyzną powiedział:

- Pan pozwoli za mną.

Uśmiechnięty młody człowiek wprowadził Becque'a do

apartamentu na parterze, wniósł jego jedyną torbę podróżną, znów się uklonił i oznajmił:

- Ministrowie są już w drodze. Będą tutaj lada chwila. Becque skinął głową. Młody mężczyzna wciąż się uśmiechał.

- Może pan czegoś potrzebuje, ekscelencjo; może drinka lub coś do jedzenia?

- Nie. Proszę mi dać znać, kiedy przyjadą.

Dziesięć minut później rozległo się pukanie i po chwili do pokoju wszedł Fomienko. Spotykali się wiele razy na różnych konferencjach, gdy Becque był jeszcze ministrem spraw zagranicznych, i niezle im się ze sobą rozmawiało.

- Monsieur le president, miło mi pana znów widzieć. Mam nadzieję, że podróż miał pan dobrą?

- Nie, podróż była okropna. I coś strasznie zimno w tym waszym szarym kraju, jak na maj.

Fomienko uśmiechnął się. Znał stare słabostki Becque'a.

- Gdy zakończymy rozmowy, może uda nam się pana jakoś rozgrzać. Teraz chodźmy już na dół, czekają na nas.

- Kto tam jest?

Fomienko rozłożył dłonie.

- Tak jak pan sobie życzył. Tylko I sekretarz Orłow i ja. No i tłumacz.

- Świetnie, to chodźmy.

Orłow był wysokim mężczyzną. Miał dużą, typowo rosyjską twarz, ale kiedy się postarał, potrafił jej nadać wyraz niezdarne go wdzięku. Po wymianie paru powitalnych banałów wskazał Becque'owi jeden z foteli.

- Darujmy sobie oficjalne formalności - uśmiechnął się - niech to będzie prywatna rozmowa, zgoda?

Becque skinął głową.

- Czy mogę mówić całkiem otwarcie?
- Oczywiście.
- Jeden z waszych oficerów zdradził na rzecz RFN trzy dni temu.

Oczywiście wiecie o tym.

Orłów zerknął na Fomienkę, a gdy ten skinął głową, spojrzał ponownie na Becque'a.

- Proszę mówić dalej.

- Ten oficer zabrał ze sobą komplet zmikrofilmowanych dokumentów dotyczących operacji „Igor” - Becque dostrzegł, jak tężeją mięśnie wokół ust Orłowa. - Bonn zamierza zwrócić się do ONZ o pilne zwołanie posiedzenia Rady Bezpieczeństwa.

Orłów siedział milcząc i Becque dorzucił jeszcze:

- Przyjechałem tu, panie Przewodniczący, aby zasugerować panu inne wyjście, ale chciałbym najpierw wiedzieć, czy zechce pan je w ogóle rozważyć.

- Niech pan po prostu mówi dalej - odparł powoli Orłów.

- Przyjmuję, że to posunięcie ma być ciosem wymierzonym bezpośrednio w USA. W moim przekonaniu jest to nie tylko posunięcie wysoce niebezpieczne, ale również wręcz szkodliwe dla interesów Związku Radzieckiego i to nie tylko w najbliższej perspektywie, ale i na wiele lat potem. RFN to stabilne, całkowicie neutralne państwo. Ani Amerykanie, ani nikt w Europie nie zaakceptuje żadnego argumentu, jaki moglibyście podać dla usprawiedliwienia tej akcji. Jeśli nie macie jakichś szczególnych, nieznanych mi powodów, to uważam, że naprawdę nie warta skórka wyprawki - szare oczy Becque'a spoglądały wprost w twarz Orłowa.

- Wszyscy uznają to za awanturę wywołaną dla ukrycia waszych wewnętrznych problemów i za prowokację wobec USA. Istnieje jednak alternatywa, która nie tylko może wam przynieść wymierne korzyści, ale będzie też bardziej do przyjęcia dla Europy i innych.

- Proszę powiedzieć coś więcej, panie prezydencie. Becque pokręcił głową.

- Panie Orłowie, nie przybyłem tutaj jako petent. Jestem stroną zainteresowaną w sprawie i prezydentem państwa, które ma tyleż niechęci do Ameryki, co szacunku dla pańskiego kraju. Przyjechałem porozmawiać, a nie wygłaszać monologu.

Orłowie westchnął głęboko.

- A nie przyszło panu do głowy, że być może po prostu nie ma o czym rozmawiać? - spytał Orłowie z lekką kpinią w głosie.

Becque wzruszył ramionami.

- W porządku. Dajcie mi samochód na lotnisko i mogę zaraz ruszać do domu.

Orłowie uśmiechnął się.

- Wy Francuzi jesteście zawsze tacy drażliwi.

- A wy Rosjanie zawsze jesteście tacy głupi.

Orłowie uniósł brwi.

- Proszę mi coś powiedzieć o tej naszej głupocie.

- Sam pan doskonale wie. Od lat wciąż popełniacie błędy.

- Niech pan powie o nich.

- Proszę bardzo. Chociażby Afganistan. Straciliście wszystkich przyjaciół w świecie muzułmańskim. Zmusiliście państwa Zatoki Perskiej do szukania ochrony u Amerykanów. Finansowanie wietnamskiej okupacji Kambodży narobiło Związkowi Radzieckiemu smrodu na całą południowo-wschodnią Azję. Chiny dogadują się teraz z Japonią i szukają zbliżenia ze Stanami. I stan wojenny w Polsce - do starych wrogów dołączyli nowi. I po co to wszystko? Kosztuje to was bardzo wiele i gospodarczo i propagandowo - Becque pochylił się i zniżył głos. - Jedyne, co pan osiągnął, to wyładowanie przez członków Politbiura ich kompleksów wobec USA. Nic więcej. A teraz chcecie to ciągnąć dalej. Przybędzie

wrogów, przybędzie dowodów na to, że jesteście rzeczywiście agresywni. I to agresywni nie z jakichś ważnych powodów, a tylko po to, by zmanifestować swoją siłę. Pokazać wała Waszyngtonowi - Becque wyprostował się w krześle potrząsając głową.

Orłow siedział cicho przez parę chwil, potem wziął głęboki oddech i odparł:

- Jesteśmy już zmęczeni obecnością Amerykanów w Europie. Czego oni właściwie szukają ze swoimi pociskami i oddziałami 150 km od naszej granicy? Podsyłają nam szpiegów, grożą nam i innych zachęcają do grożenia. Dzień w dzień wystawiają naszą wytrzymałość na próbę. A my nie możemy im nawet pogrozić palcem. Mamy już tego dosyć, Becque. Udowodnimy im, że bluffują.

- A jeśli oni wam udowodnią co innego?

Orłow parsknął śliną.

- To nie żaden bluff, panie prezydencie, przysięgam to panu - wybuchnął. - Niech tylko ktoś się ruszy, żeby nas powstrzymać, to zatrzymamy się - ale dopiero nad Kanałem la Manche. I podchody skończone.

- Naprawdę? Mówi pan poważnie? - spytał Becque spokojnie.

- Poważnie, klnę się na Boga, że poważnie.

- Czy jest sens płacić tak wysoką cenę?

- Co pan ma na myśli?

- Mam na myśli to, że istnieje dużo lepszy sposób. Możecie pozbyć się Amerykanów z Europy, nie robiąc sobie wrogów, a nawet zyskując przyjaciół.

- Jak?

- Jak pan ocenia obecną sytuację w Wielkiej Brytanii?

- Są skończeni. Dekadenci bez przywódcy. Statek bez steru i załogi. Żadnej przyszłości; są już tylko cyfrą w statystyce.

- Z jednym zastrzeżeniem. Te wyspy to panowanie na Atlantyku.

Nie mając Anglii jako sojusznika i jako bazy Amerykanie nie będą w stanie brać udziału w wojnie w Europie. Bez Anglii będą musieli w ogóle wynieść się z Europy.

Orłow odwrócił na sekundę wzrok, by spojrzeć na Fomienkę.

- Co pan sugeruje, Becque?

- A gdyby na przykład rząd brytyjski zwrócił się do ZSRR o pomoc w uwolnieniu Anglii spod dominacji amerykańskiej... w doprowadzeniu do neutralności kraju - Becque zmrużył oczy. - Finlandyzacja - to chyba właściwe określenie, prawda? W zamian - likwidacja walki klas. Wasi doradcy w Londynie pomagają w rozwiązaniu problemu bezrobocia. Prawo i porządek zostają przywrócone. Kto mógłby mieć pretensje, skoro wyświadczycie tylko przysługę, o którą was się poprosi?

- Wyobraża pan sobie Anglików proszących nas o pomoc, Becque?

- Dzisiaj nie. Ale za miesiąc, dwa w tym kraju będą jatki. Już wszyscy tam walczą ze wszystkimi. Rząd jest całkowicie bezsilny. Nikt nikogo nie słucha. Zrobią wszystko, żeby zapobiec totalnej anarchii. A jeśli prośbę o pomoc wystosowałaby sama klasa robotnicza... - uśmiechnął się. - „...delegacja brytyjskich związków zawodowych błaga w Moskwie o pomoc...”

- Przecież związki nie mają autorytetu.

- Oczywiście, że nie. To tylko pretekst. Zaproście po prostu premiera angielskiego do Moskwy i dajcie mu do wyboru - albo sam poprosi o pomoc, albo i tak ją otrzyma, tylko że krwawą, zamiast braterskiej.

- Przecież nikt go w Anglii nie poprze, nawet gdyby się zgodził na coś takiego!

- Może nikt. Ale on i teraz nie ma żadnego oparcia. Niech tylko podpisze potrzebne dokumenty - to wszystko, czego wam trzeba -

Francuz wzruszył ramionami. - Albo się zgodzi, albo czeka go potop. Amerykanie na pewno się ruszą, jeśli to będzie RFN, ale dla Anglików palcem nie kiwną. Cała Europa też ma ich już po dziurki w nosie. Są prawdziwą kulą u nogi.

Fomienko pochylił się w krześle.

- Z kim pan o tym rozmawiał, monsieur le president?

- Z nikim, panie Fomienko, absolutnie z nikim.

Orłow wstał.

- Jak długo pan u nas zostanie, przyjacielu?

- Muszę być w Paryżu najpóźniej jutro wieczorem, jeśli nie chcę wywołać niepotrzebnych komentarzy.

Stojąc już w drzwiach, Orłow odwrócił się do Francuza.

- Zastanawiam się, jaki pan może mieć interes w tym wszystkim.

Becque spojrzał na niego z uśmiechem.

- Mam z Anglikami pewne stare porachunki.

Orłow wyszedł bez dalszych komentarzy czy podziękowań. Zostawił jednak Fomienkę. Zjedli razem obiad. Tuż przed 22 Rosjanin zadzwonił do Moskwy, a potem czekał razem z Becque'm, dopóki specjalny samochód nie przywiózł dwóch zamówionych dziewcząt, zatrudnionych zresztą na stałe w KGB. Kiedy już zorientował się, która bardziej przypadła do gustu Francuzowi, zabrał drugą z nich z powrotem do Moskwy.

Nazajutrz rano Becque'owi dostarczono niewielki pakunek wraz z listem od Orłowa. Pakunek zawierał złotą Fabergerowską papierośnicę z rubinowym zameczkiem. Wewnątrz, na wieku, wygrawerowany był herb Romanowych. List zawierał jedno zdanie napisane po francusku na maszynie. Cytat z Kartezjusza: „Nie wystarczy mieć bystry umysł, trzeba go jeszcze umieć używać”. Pod spodem widniał pełen niezgrabnych ozdobników, ale niewątpliwie własnoręczny podpis samego Orłowa.

Fomienko zadzwonił o jedenastej. Wieczorem zostanie podane do wiadomości, że jedno z przedsiębiorstw francuskich wygrało przetarg na zainstalowanie w ciągu najbliższych 6 lat systemu komputerowego w zakładach przetwórstwa stali na Syberii. Kontrakt opiewa na ponad miliard dolarów. Ani słowa o rozmowie z poprzedniego wieczora. Przygotowany jest specjalny samolot Aerofłotu, którym Becque poleci do Brukseli. Stamtąd francuski samolot wojskowy zabierze go do Paryża. Gotowy tekst na temat transakcji komputerowej przeznaczony dla prasy zostanie mu doręczony na lotnisku Szeremietiewo.

Rozdział VII

Przez dwie noce i cały dzień Lew Sawalew odpowiadał na pytania komisji specjalnej. Składała się ona z dwóch ludzi z Armii Czerwonej, jednego z marynarki, trzech z lotnictwa, człowieka z GRU, dwóch wyższych funkcjonariuszy KGB, oficera łącznikowego między KGB a Politbiurem, oraz trzech mężczyzn o zimnych twarzach, których stopni i funkcji mu nie wyjaśniono.

Wiele razy z rzędu odtwarzano nagrane na video przemówienie premiera brytyjskiego. Przed każdym z członków komisji znajdowały się oprawione w przezroczysty plastik dwie różne wersje rosyjskiego tłumaczenia oraz oryginalny tekst angielski. Raz za razem proszono Sawalewa o wyjaśnienie każdego z możliwych znaczeń poszczególnych partii tekstu. Wszystkie jego interpretacje zostały nagrane, przepisane i przekazane do dalszych opracowań różnym grupom roboczym i komisjom.

Następnej nocy, około trzeciej nad ranem, przesłuchania wreszcie się skończyły i mógł pójść do domu. Na ulicach Moskwy leżała kilkucentymetrowa warstwa śniegu. Przestało już padać, ale zimny wiatr hulał po placach, kiedy Sawalew szedł w stronę położonego nad rzeką domu. O tej porze pewnie już będzie spała, ale przecież, do cholery, potrzebował się jakoś uwolnić od tego całego młyna, od tych pełnych ignorancji pytań facetów, którzy nie tylko nie znali angielskiego, ale nawet nigdy nie widzieli Anglii na oczy. Nie bacząc na jego stopień, traktowali go jak jeńca wojennego podczas śledztwa, a nie wyższego oficera KGB.

Wszedł po granitowych stopniach, tupnięciem otrzepując buty ze

śniegu i minął podwójne drzwi. Jej pokój znajdował się na czwartym piętrze, bez windy. Na górze nacisnął dzwonek przy drzwiach, oparł się o ścianę i czekał. Była najładniejszą dziewczyną w drugim balecie Teatru Wielkiego i jedną z trzech jego ulubionych dziewczyn do łóżka w Moskwie.

Kiedy usłyszał jej kroki, uniósł głowę. Zaskoczenie i zdenerwowanie malowało się na jej twarzy, gdy uchyliła drzwi. Była w jego szlafroku. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale uciszyła go kładąc palec na wargach i kręcąc głową.

- Co jest? - szepnął. - Co to ma znaczyć?
- Nie mogę cię wpuścić. Ktoś tu jest.
- Kto taki?
- Lepiej nie pytaj.
- Nie wygłupiaj się. Tania, kto to jest?

Wyszeptała nazwisko, a on zaklął pod nosem. Generał, głównodowodzący moskiewskich wojsk raketowych. Zawahał się moment, a ona dodała:

- Przepraszam, Lew. To prawdziwa świnia, ale... - zrobiła kwaśną minę. - Przyjdź jutro.

- Jutro mnie już tu nie będzie, głupia suko.

Zaśmiała się.

- A czego właściwie chciałeś?
- Dobrze wiesz, cholera, czego chciałem.

Śmiejąc się cicho, odparła:

- Idź do Nataszy, pod siedemdziesiąt cztery.
- Nie znam jej przecież.
- Znasz, to ta, co ci się tak podobała u Siemienowów.
- A czy ona gra?
- Jasne że tak. Zresztą dla ciebie na pewno zagra.

Odwrócił się i odszedł bez słowa. W „Rosiji” pokazał swoją

legitymację KGB i dali mu pokój. Rozbierając się, senny i wściekły zarazem, pomyślał sobie że maj nigdy nie był jego szczęśliwym miesiącem. Nie żeby był całkiem zły, raczej pełen drobnych przykrości, ale jednak. Chociaż jedyny naprawdę kiepski maj to było wtedy, gdy wraz z innymi wyrzucili go z Londynu, jeszcze za czasów Heatha. Ale pojutrze już będzie czerwiec.

Kiedy następnego ranka wrócił do siebie, na Plac Dzierżyńskiego, strażnik wręczył mu pismo w kopercie. Przeczytał je czekając na windę. Z dniem 27 maja awansowano go na podpułkownika i przydzielono nowe zadanie. Zostanie na razie w Suzdalu, ale z innym przydziałem czynności. Ma się zgłosić natychmiast w pokoju 7094.

Samochód ambasadora USA przemknął przez bramy Kremla i skierował się w stronę Pałacu Zjazdów. Człowiekiem, który wysiadł z auta, gdy się zatrzymało, nie był jednak ambasador. Sam Slanley przyleciał do Moskwy z Paryża i w ogóle nie rozmawiał z ambasadorem na temat swojej misji. W sprawę wprowadził go osobiście sekretarz stanu, który podczas ich spotkania w jednym z waszyngtońskich hoteli określił też zakres rozmów.

Igor Fomienko oczekiwał go w niewielkim, lecz pełnym przepychu pomieszczeniu przy końcu korytarza na parterze.

- Witam, panie Slanley. Mam nadzieję, że miał pan dobrą dróż.

- Niezłą, niezłą.

Amerykanin rozejrzał się wyczekująco; wywołało to uśmiech Fomienki.

- Będzie tu lada chwila. Musi podpisać kilka dokumentów państwowej wagi. Proszę, niech pan nie uważa tego za afront.

Slanley pokiwał głową.

- Pewnie, że nie. Nie ma sensu marnować afrontów na mnie,

towarzyszu. Jestem tak mało ważny, że i tak ledwie mnie widać.

- A jak się miewa ostatnio prezydent Wheeler?

- Świetnie. Zapracowany, ale to, zdaje się, ostatnio jest dość powszechne.

Kiedy I sekretarz Orłow wszedł do pokoju, ugrzeczniony i cały w uśmiechach, Slanley w lot domyślił się, że niepowodzenie jego misji jest już przesądzone. Zbyt często negocjował z Rosjanami, by nie rozpoznać tych nieomylnych sygnałów. Te słodkie minki na samym początku miały być zadośćuczynieniem za to, co następowało potem.

- Witamy w Moskwie. Jakże się miewa pański prezydent?

- Doskonale, ekscelencjo. I szczerze panu życzy tego samego - Slanley zamilkł na moment, sięgając do kieszeni marynarki, skąd wyciągnął mały pakunek. - Posyła też panu to.

Orłow z uśmiechem sięgnął po paczuszkę.

- Pozwoli pan, że obejrzę od razu?

- Ależ oczywiście.

Rosjanin odwinął papier, otworzył skórzane etui i patrzył do wnętrza przez długą chwilę. Na wyściółce z błękitnego welwetu leżał złoty zegarek z podwójnym cyferblatem. Jeden wskazywał czas moskiewski, drugi waszyngtoński. Nad radzieckim cyferblatem wygrawerowano sierp i młot, nad amerykańskim zaś orła.

Orłow popatrzył na Slanleya.

- Piękny podarunek. Doceniam znaczenie tego gestu. Poproszę towarzyszy ministrów, żebym mógł go zatrzymać dla siebie. Jest piękny i... - spojrzał na Fomienkę i powiedział coś po rosyjsku.

- Inspirujący - odparł Fomienko. Orłow kiwnął głową.

- Właśnie, bardzo inspirujący - wyciągnął rękę w stronę foteli. - Może usiądziemy.

Kiedy już zajęli miejsca, Orłow odezwał się półgłosem:

- Przekazano mi wiadomość, że prezydent Wheeler przysłał specjalnego wysłannika, który ma się ze mną spotkać osobiście. Czym więc mogę panu służyć?

Slanley pochylił się w fotelu.

- Przysłał mnie osobiście prezydent, ekscelencjo. To znaczy nie Kongres, ani rząd. To sprawa całkowicie osobista i prezydent miałaby prośbę do pana, żeby niezależnie od rezultatu naszego spotkania nic na jego temat nie przedostało się do prasy. Oczywiście my postąpimy tak samo.

- Nie ma problemu, Mr Slanley, nie ma problemu. Nie widzę przeszkód.

Slanley zrezygnował z wygłoszenia przygotowanego wcześniej tekstu. Jego tekst nie był może zbyt dobry, ale był szczery. A szczerość w tej chwili do niczego go nie doprowadzi.

- Panie przewodniczący. Przysłano mnie w nadziei, że może uda nam się zmniejszyć napięcie występujące ostatnio w stosunkach między USA i ZSRR i wzrastające z dnia na dzień coraz szybciej - przerwał, oczekując repliki; nie doczekawszy się jej, mówił dalej: - Rozwój wypadków w ostatnim okresie wygląda zdaniem Waszyngtonu na celowe działanie mające na celu sprowokowanie gwałtownej akcji USA przeciw Związkowi Radzieckiemu. Ubolewamy nad tą sytuacją. Uważaliśmy, prezydent tak uważał, że przed podjęciem jakiegokolwiek tego rodzaju akcji powinniśmy przynajmniej spróbować upewnić się, czy w intencjach Związku Radzieckiego te najnowsze posunięcia miały rzeczywiście stanowić prowokację.

Orłow uniósł dłoń.

- Mogę pana od razu zapewnić, Mr Slanley, że w intencjach rządu ZSRR nie leży prowokowanie Stanów Zjednoczonych w jakikolwiek sposób. Chyba, oczywiście, że uważacie za

prowokację obronę bezpieczeństwa naszego narodu, czy bezpieczeństwa zaprzyjaźnionych z nami krajów.

- Panie przewodniczący. Ja nie jestem dyplomata. Nie przywykłem zastanawiać się nad każdym słowem. Jednak czuję, że to, co pan powiedział, nie było całkiem jednoznaczne. Mówi pan, że nie macie zamiaru prowokowania Stanów Zjednoczonych w żaden sposób - Slanley skrzywił usta w uśmiechu. - Jednak nie wątpię, że zdaje pan sobie sprawę z tego, iż z intencją czy bez intencji właśnie to robicie. Prowokujecie nas. Dzień po dniu.

- Niech pan poda jakiś przykład.

Slanley wzruszył ramionami.

- To nie moja rola, panie przewodniczący. Ja mam rozmawiać w kategoriach ogólnych, a nie targować się o poszczególne akcje.

- Pana sprawa, panie Slanley. Ale proszę, niech pan mówi dalej.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia, panie przewodniczący. Powód dla którego mnie wysłano, jest prosty. Chodzi o to, żeby pan wiedział, iż prezydent Wheeler zaczyna się skłaniać ku opinii, że wiele z waszych ostatnich posunięć nie tylko godzi w interesy USA, ale że wręcz zostały one zaplanowane specjalnie w tym celu. Orłow uniósł brwi.

- Nie zdziwi to pana chyba, jeżeli powiem, że radziecka polityka zagraniczna w bardzo niewielkiej mierze uwzględnia to, czy będzie się podobała rządowi USA, czy nie.

- Cieszę się, że pan to powiedział, panie przewodniczący. Bo zaczynało już wyglądać na to, że radziecka polityka zagraniczna opiera się wyłącznie na dążeniu do antagonizmów ze Stanami Zjednoczonymi.

Orłow zerknął na Fomienkę, a potem znów spojrział na Slanley'a. Cichym, lecz wyraźnym głosem odpowiedział:

- Powiem panu całkiem szczerze Slanley. Już dawno minęły te

czasy, kiedy przy planowaniu naszej polityki zagranicznej braliśmy pod uwagę upodobania USA. Ale my nie dążymy do konfrontacji - to od was zależy, czy do niej dojdzie, czy nie. I świat też tak to będzie widział. Nic nigdy nie usprawiedliwiało utrzymywania waszych wojsk i broni w Europie. Czołgi, rakiety, lotnictwo, łodzie podwodne z głowicami atomowymi - i wszystko to po prostu tuż za naszą granicą! Tego oczywiście nie uważacie za prowokację. Twierdzicie, że państwa zachodnioeuropejskie życzyły sobie waszej obecności. Ale to tylko wykręty. Teraz wreszcie te państwa uświadomiły sobie, jaką cenę płacą za utrzymywanie was i wygląda na to, że zaczynają mieć dość. Każą wam się pakować. I nawet nie powinniście uważać tego za zdradę, za którą mogłaby należeć się zemsta. Ponieważ nie powinno was tam być od samego początku.

- Czy to właśnie jest przesłanie, które mam zawieźć od pana prezydentowi?

Orłow wstał powoli, wyglądając marynarkę.

- Pański prezydent nie potrzebuje ode mnie żadnego przesłania Mr Slanley - powiedział twardo. - On je odbiera już od dobrych trzech czy czterech miesięcy. Stany Zjednoczone nie są już żandarmem świata. Macie dość problemów u siebie. Zajmijcie się tylko swoim podwórkiem, a problem konfrontacji sam przestanie istnieć - spojrzał na Fomienkę, potem znów na Slanleya i już dużo łagodniejszym tonem dorzucił: - Z przyjemnością ugościmy pana dziś wieczór, albo, jeśli pan woli, możemy zawiadomić lotnisko, żeby przygotowali samolot do Paryża, czy dokąd pan sobie będzie życzył.

Slanley skłonił się szybko.

- Jeśli to możliwe, wolałbym zaraz odlecieć do Paryża. Orłow kiwnął głową i uśmiechając się lekko do Fomienki wyszedł z pokoju, nie podając Amerykaninowi ręki i nie mówiąc do widzenia.

Upominek od prezydenta pozostał wraz z opakowaniem na marmurowym blacie stołu.

Cała poranna prasa ukazała się z opóźnieniem, ponieważ oczekiwano na końcowe rozporządzenia stanu wyjątkowego. Nazajutrz ulice opustoszały, jeśli nie liczyć zatwardziałych agitatorów - paru członków parlamentu, garstki studentów i działaczy związkowych oraz nieodłącznych grupek lewaków. Wieczorem jednak atmosfera uległa zmianie - w śródmieściach większych miast wybuchły zorganizowane zamieszki i grabieże. Gaz łzawiący, gumowe kule i armatki wodne nie wystarczyły. Na mocy ustawy o porządku publicznym wezwano wojsko, które do rozproszenia tłumów użyło broni palnej.

Następnego dnia delegacja TUC zażądała od premiera natychmiastowego zwołania posiedzenia Izby Gmin, grożąc w przeciwnym razie wezwaniem swych członków do strajku generalnego. Kiedy odmówił poddania się temu tak otwarcie wyrażonemu szantażowi, w całym kraju na południe od Midlands wyłączono dopływ energii. Rozpoczęło się paniczne wykupywanie żywności i benzyny, które przerodziło się niemal w rabunek, gdyż obłężone sklepy nie były w stanie zaspokoić żądań kupujących.

Oliwy do ognia dolali jeszcze Francuzi. Ostentacyjnie wycofali swego ambasadora wraz z całą obsadą, reprezentowanie swoich interesów pozostawiając w rękach ambasady szwedzkiej. O północy tego samego dnia zadzwonił na Downing Street ambasador radziecki, żądając natychmiastowego spotkania. Dzień wcześniej zastąpił on poprzedniego ambasadora, sympatycznego i wykształconego dyplomatę, z całkowitym zresztą pominięciem protokołu.

Nie zdążył nawet jeszcze złożyć listów uwierzytelniających na

dworze królewskim. Minister spraw zagranicznych od razu wydał oświadczenie uznając go za persona non grata, ale zostało ono zignorowane przez Rosjan. W ambasadzie ZSRR odbywały się zupełnie otwarcie zebrania wojującej lewicy. Na dziedzińcu ambasady lewacy zwołali konferencję prasową, podczas której oskarżono rząd o „podsycanie walki klas” i „wypowiedzenie wojny związkom zawodowym i klasie robotniczej”.

Ambasador Górski miał wygląd chuligana i w kategoriach dyplomatycznych zachowywał się tak samo. Kiedy przybył na Downing Street 10, wpadł do biura premiera jak burza, na podobieństwo jakiejś kohorty nieprzyjacielskich wojsk dokonujących inwazji. I jak się później okazało, tym w istocie był. Bez żadnych wstępów stanął na środku gabinetu premiera i odczytał demarche Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Mówił zgrzytliwą, szorstką angielszczyzną, jednak groźba zawarta w odczytywanych słowach i jej pełne znaczenie były całkiem jasne. Związek Radziecki nie może dłużej stać na uboczu i przyglądać się obojętnie, jak niewinni ludzie są atakowani przez policję i wojsko za to tylko, że protestują – między innymi – przeciw stacjonowaniu amerykańskich rakiet na ziemi brytyjskiej i wykorzystywaniu ich kraju jako bazy dla amerykańskiego szpiegostwa i agresji przeciw miłującemu pokój narodowi radzieckiemu. Tylko bezpośrednie spotkanie w Moskwie pomiędzy premierem Wielkiej Brytanii i przywódcami ZSRR może zapobiec podjęciu przez rząd radziecki natychmiastowych i gwałtownych kroków mających na celu powstrzymanie tych prowokacyjnych posunięć. Było tam jeszcze parę zdań w typowo radzieckim żargonie, na temat kapitalizmu i pokojowych inicjatyw krajów Układu Warszawskiego. I to wszystko. Górski usiadł. Premier poprosił sekretarkę o połączenie go z przywódcą opozycji. Pół

godziny gorączkowych poszukiwań nie dało jednak rezultatu. W końcu zameldował się komisarz policji komunikując, że Arthur Drury prawdopodobnie znajduje się w samolocie lecącym do Warszawy, do którego wsiadł z fałszywym paszportem i pod fałszywym nazwiskiem. Rozpoznał go któryś z dziennikarzy, a także strażnik z lotniska Manston, kiedy późnym popołudniem wsiadał do samolotu odlatującego rzekomo do Rotterdamu. Samolot ten nie wylądował w Holandii, lecz jeszcze przed wkroczeniem w przestrzeń powietrzną RFN zgłosił zmianę punktu docelowego na Warszawę.

Premier zwrócił wzrok ku Górskiemu:

- Czy pana rząd grozi nam inwazją, panie ambasadorze?
- Prosi tylko o spotkanie z panem, panie premierze.
- To wiem. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Pytałem, czy grozicie zaatakowaniem naszego kraju?
- Nie upoważniono mnie do odpowiadania na takie pytania. Są to sprawy leżące poza moimi kompetencjami.
- Ale nie zaprzecza pan groźbie?
- Ani nie zaprzeczam, ani nie potwierdzam, panie premierze.
- Polecę do Moskwy jutro po południu. RAF uzgodni z waszymi ludźmi czas i trasę lotu.

Górski wstał. Spoglądał wrogo, nieustępliwie.

- Wydamy im odpowiednie instrukcje - odparł krótko.

Przez następnych siedem godzin ludzie z biura premiera usiłowali skontaktować się z czołowymi politykami i osobistościami życia publicznego. Wszyscy okazali się nieosiągalni. Niektórzy celowo zniknęli z pola widzenia. Kilku nie mogło wydostać się z własnych domów obleżonych przez rozwydrzone tłumy. Wielu zostało odciętych od świata przez strajk komunikacji miejskiej i blokadę energii. Dwóch zatrzymała policja i znajdowali się

w areszcie.

Premier przespał się dwie godziny, podczas gdy służący pakował jego bagaż. Przestał już liczyć na pomoc skądkolwiek i zrezygnował z prób skonsultowania się tak ze swoimi ludźmi, jak i z opozycją. Sprawy zaszły już za daleko. Jeśli wyśle do akcji więcej policji i wojska, rozruchy przekształcą się w całym kraju w wojnę domową. Z informacji napływających do jego biura wynikało zresztą, że istniejącą sytuację już można było określić jako stan wojny domowej. Dowódcy sił policyjno-wojskowych posiadali odpowiednie instrukcje na wypadek takiego rozwoju wydarzeń i premier nie wątpił, że wykonają te rozkazy najlepiej jak potrafią.

Rosjanie zażądali, by samolot RAF-u wylądował w Berlinie na lotnisku Schönefeld. Nie było sensu się o to spierać. Pomniejsze reguły protokołu dyplomatycznego i tak już dawno odstawiono na bok.

Premier Wielkiej Brytanii, sir Frederick Cooper stał samotnie na uboczu. Lekka bryza unosiła kosmyk jego siwych włosów.

Patrzył, jak oficerowie lotnictwa Armii Czerwonej gromadzą się wokół samolotu RAF. Angielski pilot i nawigator gawędzili, śmiejąc się, ze swymi radzieckimi odpowiednikami. Chociaż pochodzili z obcych sobie krajów, łączył ich wspólny zawód. Pewnie roztrząsali jakieś szczegóły techniczne, z równym entuzjazmem, z jakim sam zwykł rozmawiać o ogrodnictwie.

Cooper spojrzał ponad pasem startowym na budynki lotniska i wzdrygnął się. Zapadał już zmierzch i zrobiło się chłodno. To lądowanie bez powitania i pozostawienie go samego przy samolocie było bez wątpienia zamierzone i miało na celu upokorzenie go. Zastanawiał się, czy Chamberlain nie czuł się podobnie jak on raz, gdy jechał do Godesburga i Monachium. Benesz, ten nieszczęsny

Czech, pewnie też czuł tę samą presję.

Przypomniało mu się parę linijek z wiersza Housmana. Jak to było... „Płoną ogniska przestrogi, lecz nikt uwagi nie zwraca, i tak między nocą a rankiem, świat się w ruinę obraca.” Nabrał powietrza i chciał już westchnąć ciężko, ale powstrzymał się. Patrzcie tylko - premier Wielkiej Brytanii, stojący samotnie na rosyjskim lotnisku w Berlinie i ciężko wzdychający. To mu nic nie pomoże. To niewiarygodne, że zaledwie dwadzieścia cztery godziny upłynęły od chwili, gdy radziecki ambasador zażądał spotkania. To pewne, że tym razem nie bluffują.

Najpierw ledwie uchwytnie sugestie, potem wyraźniejsze już sygnały, w końcu otwarte groźby - to wszystko była prawda. Nawet to, czego jeszcze nie wyrażono słowami.

I premier - zupełnie już bezwiednie - pozwolił sobie jednak w końcu na westchnienie.

Gdy Chamberlain wrócił kiedyś z Monachium, wszyscy dodawali mu otuchy, wszyscy go pocieszali. Ale parę miesięcy później wypowiedział Niemcom wojnę. I niedługo potem Izba Gmin, wściekła, wysłała go na zieloną trawkę. Poszedł w zapomnienie. Teraz nie ma co liczyć na słowa otuchy, gdy on sam wróci do Londynu. Kto wie, może Rosjanie w ogóle nie pozwolą mu wrócić. Wszystko, czego chcieli, o czym w kółko gadali, to jego podpis na jakimś przekłętym dokumencie. Zawsze mieli fioła na punkcie podpisów, zależało im nie wiedzieć czemu na tym, by wszystkie ich posunięcia miały prawne podkłady. A gdy ktoś nie chciał podpisać, był zawsze jego zastępca. Albo zastępca zastępcy. Na którymś szczeblu tej drabiny zawsze znalazł się jakiś kolaborant na tyle pazerny lub na tyle wystraszony, żeby im ustąpić.

W tym momencie zauważył idącą w jego stronę stewardessę z Aeroflotu. Niosła w ręku bukiet czerwonych róż. Parę kroków za

nią postępował wysoki, przystojny Rosjanin w dobrze uszytym garniturze. Kiedy już się zbliżyli, mężczyzna wysunął się do przodu. Odezwał się najczystszą angielszczyzną, bez śladu akcentu:

- Sir Frederick. Zechce pan wybaczyć, że kazałem mu czekać, ale rozmawiałem z Moskwą. Zaraz startujemy. Polecono mi dopilnować, żeby niczego panu nie brakowało.

Premier skinął głową, lecz nie odezwał się. Rosjanin uśmiechnął się lekko i wskazał na nieduży samolot ze znakami Aeroflotu, który właśnie kołował w stronę głównego pasa. Podeszli obaj do samolotu i zaczekali, aż podjadą schodki. Potem Rosjanin poprowadził go na pokład.

Wnętrze samolotu wyglądało jak żywcem przeniesione z przedwojennego Orient-Expressu. To było niesamowite. Mahoniowe boazerie, ozdobne kandelabry, welurowe zasłony. W małych, srebrnych wazach bukiety pachnącego groszku i stokrotek. Meble wyściełane czerwonym pluszem. Wśród nich dwa głębokie fotele, ustawione blisko siebie przy małym intarsjowanym stoliku. Rosjanin wskazał na jeden z foteli i sam też usiadł. Na stoliku stała butelka whisky i szklaneczki. Cooper zauważył, że whisky to Glen Livet. Nawet to sprawdzili, gnojki - pomyślał.

- Sir Frederick, jestem Lew Sawalew. Będę panu służył jako tłumacz i doradca podczas tej wizyty. Mam nadzieję, że w tym historycznym momencie będę mógł być panu rzeczywiście pomocny.

Cooper odwrócił głowę i spojrzał na Rosjanina z nieskrywaną pogardą.

- Jeśli będę potrzebował rady, panie Sawalew, to na pewno nie od pana.

Sawalew uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie, sir Frederick. „Rada” to może złe słowo.

Chyba „wyjaśnienie” byłoby tu bardziej na miejscu.

Samolot nabierał prędkości. Premier pochylił się w fotelu i nalał sobie pół szklaneczki czystej whisky. Słyszał, jak za pluszową zasłoną oddzielającą kabinę załogi odzywa się po rosyjsku radio. Odstawił pustą szklankę z powrotem na stolik, wyciągnął nogi, przymknął oczy i oparł głowę na obłożonym w koronkowy pokrowiec zagłówek fotela.

Oddychał głęboko i równo, podczas gdy przez jego zmęczony, lecz niespokojny umysł przewijały się raz jeszcze wypadki ostatnich kilku tygodni. To pewne, że takich scen jak ostatnio Izba Gmin nie oglądała jeszcze w całej długiej historii Anglii. Nawet Cromwell z Karolem I nie posunęli się tak daleko. Szczytem wszystkiego było, kiedy ten idiota Dawson nazwał przewodniczącego opozycji zdrajcą na żołdzie Związku Radzieckiego i zaczął wykrzykiwać całą listę domniemych aktów zdrady na tle ryku podnoszącego się z ław opozycyjnych. Później ktoś z wojującej lewicy, najwyraźniej chcąc sprowokować posłów partii rządzącej, wyciągnął nie wiadomo jakim sposobem przemyconą tubę i wyrzaskiwał przez nią pod ich adresem całą litanię epitetów, począwszy od „mętów i szumowin”, a kończąc na „hienach kapitalistycznego wyzysku”. Te ostatnie słowa, wypowiedziane w tak typowo marksistowskim żargonie, stały się iskrą, od której wybuchł prawdziwy pożar. Taki zresztą był ich cel. To, co potem nastąpiło, mogłoby się wydawać niewiarygodne, gdyby nie to, że rzeczywiście się wydarzyło. Skończyło się na kawalkadzie karetek pogotowia i dwóch setkach policjantów przywracających porządek w Pałacu Westminsterskim. Dwie osoby zabite, 75 rannych. Parlament został zawieszony przez przewodniczącego. Oddziały straży królewskiej z karabinami maszynowymi rozstawiono wokół budynków i na Parliament Square. Straż w Pałacu Buckingham przejęła specjalna brygada

gwardii przybocznej króla.

Kiedy wylądowali na Szeremietiewo, lało jak z cebra. Gdy premier wraz z Sawalewem zeszli po schodkach samolotu, stojący o ich stóp radziecki milicjant w mundurze rozpostarł wielki parasol i trzymał go nad nimi, gdy szli po mokrym asfalcie ku budynkom portu lotniczego.

Poprowadzono ich z dala od głównej sali przylotów do miejsca, w którym jakiś człowiek przekładał właśnie bagaż Coopera z wózka do bagażnika czarnej Wołgi-limuzyny. Jej tylne drzwiczki otworzyły się i ze środka wysiadł niski, otyły mężczyzna. Wyciągnął rękę do Coopera.

- Azimow, panie premierze, ministerstwo spraw zagranicznych. Witamy w Związku Radzieckim.

Cooper ledwie dotknął wyciągniętej dłoni Rosjanina, lecz ten nie przestawał się uprzejmie uśmiechać.

- My mamy dla pana przyjemny dom przygotowany - oznajmił łamaną angielszczyzną. Przerwał i powiedział coś po rosyjsku do Sawalewa. Ten słuchał kiwając głową, po czym zwrócił się do Coopera:

- Wstępne spotkanie z przedstawicielami naszych władz odbędzie się za dwie godziny. Będzie pan miał czas odpocząć trochę i odświeżyć się.

Dom stał pośród otoczonego wysokim murem parku. Strażnicy otworzyli ciężkie wrota i samochód wjechał do środka. Droga biegła między dobrze utrzymanymi trawnikami, na których rosły brzozy i wierzby. W różnych punktach parku został rozmieszczony co najmniej tuzin żołnierzy; przy drzwiach wejściowych do budynku nie było jednak żadnego.

Był to piękny dom. W niewielkim hallu z podłogą z sosnowej klepki znajdowało się czworo czy pięcioro drzwi, a szerokie schody

prowadziły stąd na piętro. Sawalew i żołnierz niosący bagaż Coopera weszli na nie pierwsi, prowadząc go do położonego na końcu korytarza apartamentu umeblowanego jak muzeum. Bergerowskie krzesła, złożone stoliki, figurki z miśnieńskiej porcelany i bogato zdobiony zegar ze złożonego brązu na parapecie marmurowego kominka.

- To była willa jednej z faworyt Cara, panie premierze - odezwał się Sawalew. - Została zachowana w swym historycznym kształcie i przeznaczono ją wyłącznie dla specjalnych gości.

Cooper zwrócił się do Rosjanina:

- Czy nasz ambasador został powiadomiony, że tutaj jestem?

- Nie, sir. Uważaliśmy, że będzie najlepiej utrzymać to spotkanie w całkowitym sekrecie, dopóki nasze interesy nie zostaną załatwione ku obopólnemu zadowoleniu.

Cooper uniósł brwi.

- Interesy? Przyjechałem na rozmowy, a nie w interesach.

- Oczywiście, panie premierze, proszę wybaczyć - to mój kiepski angielski - uśmiech Sawalewa, gdy to mówił, był znaczący, jak u konspiratora, który chce mimo wszystko zachować pewne pozory.

W pokoju stała jeszcze jedna butelka whisky i kryształowy dzban z wodą, w której pływały kostki lodu. Mój Boże - pomyślał Cooper - oni chyba mają mnie za alkoholika. Stał parę chwil z rękami w kieszeniach, usiłując zwalczyć narastające w nim napięcie.

- Kto będzie na tym dzisiejszym spotkaniu?

- Wicepremier, dwóch członków Politbiura - Belinkow i Sloboda - i kilku wyższych oficerów naszych sił zbrojnych.

- A jutro?

- Jutro spotka się pan z całym Biurem Politycznym z wyjątkiem jednej osoby, która przebywa w szpitalu - Sawalew uśmiechnął się.

- Średni wiek członków naszego Politbiura waha się zwykle koło

sześćdziesiątki, no i niestety czasem nie wytrzymują oni napięć związanych z tą funkcją. Ten miał właśnie zawał. Jakie ma pan teraz plany, panie premierze?

- Chciałbym się wykąpać i przebrać, jeśli to możliwe.

- Oczywiście, że to możliwe - odparł Sawalew. - Nawet w czasach carskich były już u nas łazienki.

- Nie to miałem... Sawalew uniósł dłoń.

- Wiem, sir Frederick. To był tylko kiepski żart z mojej strony.

Łazienka i sama wanna były marmurowe. Złoczone krany miały kształt delfinich łbów. Leżąc w ciepłej, pieniącej się wodzie, Cooper zastanawiał się, która z ozdobnie oprawionych lamp ma wbudowany mikrofon i za którym ze złotych lusterek czai się kamera wideo.

Kiedy wrócił do wielkiej sypialni, zastał swoje torby już rozpakowane, zaniósł więc przybory do golenia z powrotem do łazienki i położył je na marmurowej półeczce nad zlewem.

W salonie, na okrągłym, orzechowym stole znalazł salaterkę pełną truskawek i srebrny dzbanuszek ze śmietaną oraz staroświecką cukiernicę. Rzeczywiście doskonale orientowali się w jego upodobaniach. Nałożył sobie truskawek i śmietany i jadł stojąc przy oknie.

Za oknem rozciągały się trawniki, gładkie i puste, jeśli nie liczyć paru klombów chryzantem i dalii. Widok przyjemny dla oka, jeśli tylko komuś udało się nie zauważyć żołnierzy i półciężarówki z czerwoną gwiazdą na drzwiach i karabinem maszynowym na dachu. Czyżby bali się, że będzie próbował uciec, albo jakaś fanatyczna grupa oddanych komandosów zechce uchronić go przed złym losem? Słowo „los” znów wzbudziło w nim przygnębienie. Czas nieubłagane pędzi naprzód. Kręci się koło historii. Za dziesięć, dwadzieścia lat jego nazwisko znajdzie się w podręcznikach. Będą je wymieniać razem z nazwiskami Chamberlaina i Quislinga, jako

synonim tchórzostwa i zdrady. Military Cross i ordery nic tu nie pomogą.

Tchórz i zdrajca. Z ław opozycji wyrzaskiwano do niego te słowa, gdy tylko stawał na mównicy. Trwał jednak na posterunku, dopóki starczało mu odwagi. Może dłużej niż należało. Może tylko o dzień za długo. Ale to wystarczyło. Kraj ogarnęło szaleństwo. Milcząca większość przestała istnieć. W jej miejsce pojawiły się tuziny ochrypłych od wrzasku niszczycielskich mniejszości, wywodzących się ze wszystkich klas i grup społecznych. Lewaccy bojówkarze wietrzący zwycięstwo w totalnym chaosie. Znękane klasy średnie, które zaczęły się odgryzać, rozwścieczone przeniesieniem się gwałtów i grabieży ze śródmiejskich ulic na ich spokojne dotąd przedmieścia.

Politycy poddali się rozpacz i zwątpieniu i zrejterowali, obezwładnieni gwałtownością rozruchów. Pozostało już tylko jedno: ogłosić stan wojny domowej i użyć wojska. Ale przeciwko komu? Wyłapanie nawet kilkuset bojówkarzy nic by nie dało. Pracując całe lata nad doprowadzeniem do takiej właśnie sytuacji, dążąc bez opamiętania do obalenia rządu i przejęcia władzy, nie mieli oni czasu zastanowić się nad tym, co będzie dalej, czym się to skończy. A teraz po prostu nie pozostało już nic, co mogliby przejąć. Cała maszyna nie tylko się zatrzymała, ale zwyczajnie rozpadła na kawałki. Ta maszyna - rząd Wielkiej Brytanii - po prostu przestała z dnia na dzień istnieć. Wszystkim, co pozostało z legalnego rządu, był on - Frederick Ansell Cooper.

Nikt oczywiście nie twierdził, że wszystko zależy teraz od niego. Nikt w ogóle niczego nie mówił. I nikt też nikogo nie słuchał. Byli zbyt zajęci szarpaniem się na ulicach albo obroną swoich domów. I pozbyli się wszystkiego za jednym zamachem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Magna Carta, Cromwell, wszystkie tak ciężko

wywalczone swobody i przywileje wyciekały jak przez dziurę w tamie. Jedyne, co mógł jeszcze zrobić, to uratować im życie. Nie dopuścić do tego, by stali się pierwszymi Europejczykami, którzy mieli poznać, co oznacza kompletna atomizacja i całkowity rozpad narodu. Z tej całej jatki musi jednak płynąć jakaś nauka. Jedyna, która mu przychodziła w tej chwili do głowy, to ta, że demokracja nie sprawdziła się. Była zbyt podatna na ciosy. Nie wolno po prostu stać bezczynnie i przyglądać się, jak nieodpowiedzialni ludzie rozbijają społeczeństwo, niszczą naród tylko dzięki temu, że nieodłączną częścią demokracji ma być wolność słowa. Czy jednak kłamstwu powinna przysługiwać taka sama wolność jak prawdzie?

W tym momencie do pokoju wszedł Sawalew, a z nim kilku innych ludzi, niektórzy z nich w mundurach. Cooper uświadomił sobie, że stoi, trzymając w rękach pustą miseczkę i łyżkę, jak jakiś uczeń przyłapany na buszowaniu w spiżarni.

Sawalew przedstawiał ich kolejno, ale Cooper nawet nie próbował zapamiętać nazwisk. Jedno czy dwa chyba już kiedyś słyszał, ale w sumie wszystkie rosyjskie nazwiska brzmiały dla niego tak samo. Wszyscy oficerowie byli wyżsi rangą i tylko oni wykazali się odrobiną kurtuazji, składając krótki ukłon, gdy ich przedstawiano. Cywile mieli twarze jak wycięte z karykatur Gilesa. Tylko jeden z nich wyglądał po ludzku - wysoki, szczupły mężczyzna około pięćdziesiątki, o rudawych włosach, z brodą i w okularach w złotej oprawce. To on właśnie poprowadził ich do sąsiedniego pokoju i rozmieścił wokół okrągłego stołu, bacznie zważając na to, by każdy usiadł na przeznaczonym dla niego miejscu. On też pilnował porządku obrad. Mówił niezłe po angielsku, cichym, lecz stanowczym głosem, i czasem tylko spoglądał na Sawalewa, gdy zabrakło mu jakiegoś słowa.

Na stole rozpostarto mapy lądowe i morskie - Wielka Brytania,

Morze Pomocne, Północny Atlantyk, Skandynawia, oraz osobna, dokładna mapa rejonu Murmańska w pobliżu granicy norwesko-fińskiej.

Do map przyczepiono arkusze kalki technicznej z naniesionymi tuszem oznaczeniami. Były to nabazgrane w pośpiechu czerwone i niebieskie cyfry, oraz długie, biegnące łukami strzałki. Wszystkie strzałki wskazywały jakąś część Wielkiej Brytanii.

Padaly krótkie objaśnienia, tłumaczone zaraz na angielski; wszystko to było najwyraźniej dobrze uprzednio wyćwiczone. Słuchał jednym tylko uchem tego strumienia kryptonimów, numerów i nazw jednostek lądowych, morskich i powietrznych Armii Czerwonej. Zrozumiał, o co chodzi, kiedy tylko wyciągnęli mapy. Mniej więcej tego zresztą się spodziewał, zanim jeszcze opuścił Londyn. Jeśli nie spełni ich żądań, radzieckie siły zbrojne dokonają inwazji na Wielką Brytanię, wspierane przez tysiące ich sympatyków w kraju, gotowych w każdej chwili zablokować dopływ energii, odciąć wodę i gaz, sparaliżować transport. Jedyne, czego jeszcze nie wiedział, to to, czego zażądają w zamian za odstąpienie od inwazji. Kiedy o to zapytał, głos zabrał Sawalew. - Panie premierze, jedynym celem niniejszego spotkania jest uświadomienie panu, że tym razem rząd radziecki nie bluffuje, ani nie próbuje wprowadzić nikogo w błąd. To, co panu pokazano, to dokumentacja ściśle tajnej Operacji Rieka.

- Tyle zrozumiałem, panie Sawalew. Ja tylko pytam, po co mi to wszystko pokazujecie?

Sawalew wzruszył ramionami.

- Po to, żeby był pan w pełni zorientowany w sytuacji przed jutrzejszym spotkaniem. I żeby nie miał pan wątpliwości co do naszych intencji i naszych możliwości wprowadzenia ich w życie.

- Panie Sawalew, przed tym, do czego jesteście zdolni,

przestrzegałem nasz parlament przez ostatnie 15 lat. Nie jeden raz sugerowałem - na pewno doskonale pan o tym wie - że kiedy tylko Związek Radziecki uzna, że mu się to opłaci, bez wahania zaatakuje każdego ze swych europejskich sąsiadów, a nawet i wszystkich naraz. Nie potrzebuję oglądać tych papierzysk, ani wysłuchiwać szczegółów technicznych, żeby uwierzyć że zdecydowaliście się na agresję. Wie pan o tym równie dobrze jak ja. Więc po co ta cała szarada?

Sawalew zawahał się na chwilę, po czym spojrzał na mężczyznę w złotych okularach i powiedział coś do niego po rosyjsku. W jego głosie brzmiały gniewne nuty. Gdy Sawalew skończył, mężczyzna pokiwał głową i wstał, mówiąc coś cicho do pozostałych, którzy również zaczęli wstawać i z wyrazem zaskoczenia na twarzach opuszczać pokój. Przynajmniej dwóch generałów zajrzało w twarz Cooperowi, podobnie jak czasem ludzie w Londynie - nie do końca pewni, czy rzeczywiście widzą premiera - przyglądali mu się, zanim poprosili o autograf i dopóki ktoś z ochrony nie kazał im odejść.

Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim z mężczyzn, Sawalew zwrócił się niecierpliwie ku Cooperowi i powiedział:

- Panie premierze, jak już mówiłem, zostałem panu przydzielony jako doradca podczas tej wizyty. To nie był tylko zwrot retoryczny. Dokładnie takie właśnie otrzymałem rozkazy. Myślę, że wyrażam się jasno?

- A w jakimż to przedmiocie chciałby pan mi służyć radą?

- W przedmiocie prowadzenia przez pana negocjacji tutaj, w Moskwie.

- Zapewne się nie mylę sądząc, że jest pan oficerem KGB, prawda, Sawalew?

- Moja funkcja jest tu bez znaczenia.

- Tu się pan myli. Agresorzy nie będą mi doradzać, w jaki sposób

mam reagować na ich pogróżki. Niech pan udziela rad swoim rodakom, a nie mnie.

- Przyjmując taką postawę, zachowuje się pan bardzo nierozsądnie, panie premierze.

Cooper uśmiechnął się kwaśno, w sposób tak dobrze znany przywódcy opozycji. Odparł spokojnie:

- Byłoby niemądre, gdybym przyjął inną, panie Sawalew. Jeśli nie ma pan już nic do dodania, chciałbym się trochę przespać. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Gniewne błyski w oczach Sawalewa i napięte mięśnie wokół jego ust nie wiadomo czemu sprawiły Cooperowi prawdziwą przyjemność.

- Jak pan sobie życzy, panie premierze. Proszę zadzwonić, gdyby pan czegoś potrzebował - i Sawalew, najwyraźniej wściekły, wyszedł z pokoju.

Rozbierając się, Cooper pomyślał, że chyba po raz pierwszy od jakichś dwunastu lat mógł swobodnie powiedzieć to, co myśli. Mógł wygadać się do woli, bez rozważania wszystkich za i przeciw. Oczywiście, jego słowa nie są w stanie powstrzymać biegu wypadków. Mogą co najwyżej przynieść jakieś nieznaczące kosmetyczne zmiany, nic ponadto. Ściągnęli go tutaj, bo tylko on mógł nadać pozory legalności temu, co planują. Rosjanie lubowali się w zachowywaniu pozorów. Choć pewnie tym razem zrobiliby swoje, nawet nie mając żadnej prawnej podkładki. Będzie im po prostu trochę trudniej stawić czoła opinii światowej, która zresztą zapewne nie uroni zbyt wielu łez. Protesty poszczególnych rządów nie wykrócą prawdopodobnie poza ton przyjęty dotąd w ich własnych stosunkach z Moskwą.

A połowa z nich będzie zachwycona, widząc Brytanię wreszcie upokorzoną raz na zawsze.

Tej nocy spał mocnym, głębokim snem, po raz pierwszy od lat.

Mimo wszystko przyjemnie było wrócić do rzeczywistości ze świata „Alicji w krainie czarów”, w jaki zmieniło się angielskie życie Apolityczne w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Rozdział VIII

Orłow i Fomienko usiedli razem po jednej stronie polakierowanego na wysoki połysk stołu. Sawalew zajął miejsce przy Cooperze i tłumaczył słowa Orłowa, zerkając od czasu do czasu na kartkę, która – jak się domyślał Cooper – zawierała pełny tekst przemówienia. Pierwsze pięć minut upłynęło na przedstawianiu radzieckiej wersji stosunków pomiędzy Wielką Brytanią a Związkiem Radzieckim, poczynawszy od roku 1917. Była to istna litania upokorzeń i prowokacji ze strony kolejnych rządów brytyjskich oraz przyjacielskich gestów miłujących pokój narodów Związku Radzieckiego odtrącanych nieustannie przez zaślepionych własnym interesem kapitalistycznych burżujów.

Cooper zauważył, że jego umysł zaczyna bawić się tym żargonem. Nigdy nie był do końca pewny, kto to właściwie są ci „burżuje”. Natomiast najwyraźniej słowo „klasy pracujące” nie oznaczało wcale ludzi, którzy coś robią, którzy pracują. Trzeba było posiadać jakieś specjalne właściwości, żeby zasłużyć sobie na miano „robotnika”. Odnosił wrażenie, że wszystkie te śliczne sekretarki z Downing Street 10, które harują po dziesięć godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu, nie są jednak „klasą pracującą”. Ale na pewno były nią panusie, które przychodziły sprzątać na pół etatu. Żeby być prawdziwym „robotnikiem” należało wyglądać raczej niechlujnie. A jeśli ktoś był Anglikiem, to powinien w dodatku nieustannie złorzeczyć rządowi, gdyż inaczej mógł łatwo stać się „sługusem burżuazji”. Próbował rozpaczliwie skupić się na tym coraz nudniejszym bajdurzeniu, żeby nie przegapić, kiedy Orłow

zacznie po prostu mówić, o co chodzi. Minęło jeszcze pół godziny, nim to się stało.

- ...niczym więcej jak tylko bazą dla amerykańskich podżegaczy wojennych. Broń nuklearna na lądzie i morzu wycelowana w radzieckie miasta... jedynym celem jest niewinna ludność cywilna... z czystej nienawiści do walczących o pokój władz radzieckich... zniszczenie radzieckiego stylu życia... aparatura szpiegowska dostarczana przez CIA... szpiegostwo i działalność wywrotowa inspirowana... dłużej tolerować... - Cooper nadstawił ucha.

- Robotnicy angielscy nie mogli już dłużej tolerować faszystowskiego jarzma, nie mogli przyglądać się beczynnie narastającej agresji wobec ich radzieckich współtowarzyszy, robotników ojczyzny socjalizmu. Delegacja przedstawicieli angielskiej klasy robotniczej przybyła do Moskwy, zwracając się z prośbą o pomoc do swych radzieckich kolegów. Biuro Polityczne naszej partii postanowiło jednomyślnie, że należy zapobiec rozlewowi krwi. Należy położyć kres przekraczającym wszelką miarę prowokacjom amerykańskich militarystów używających Wysp Brytyjskich jako bazy wojennej. Nadszedł czas, by przywrócić Europie pokój i poczucie bezpieczeństwa. Związek Radziecki nie ma żadnych ambicji terytorialnych w Europie czy gdziekolwiek na świecie. Jesteśmy jednak gotowi towarzyszyć Wielkiej Brytanii na drodze powrotu, do grona narodów miłujących pokój, jeśli tylko rząd brytyjski poprosi nas o to... z powodu obecnej sytuacji w Wielkiej Brytanii jedynym wiarygodnym przedstawicielem rządu angielskiego stał się premier... przychylimy się niezwłocznie do złożonej przez niego prośby o pomoc.

Orłow usiadł, spoglądając chytrze na Coopera, podczas gdy Sawalew wypowiadał ostatnie słowa tłumaczenia.

Cooper nie patrząc na Sawalewa zapytał:

- Czyżby pan Orłow spodziewał się, że poproszę Związek Radziecki o dokonanie inwazji na mój kraj?

Orłow znał angielski na tyle, by zrozumieć pytanie Coopera. Uniósł swą pulchną dłoń na znak, że nie potrzebuje tłumaczenia. Następnie zwrócił się po rosyjsku do Sawalewa i kazał mu „uświadomić wreszcie tego upartego Anglika”.

- Przewodniczący Orłow poprosił mnie, abym szerzej naświetlił panu sytuację, tak jak ją widzą władze radzieckie. Otóż odpowiednie oddziały Armii Czerwonej znajdują się w pogotowiu bojowym już od 10 dni. Jeżeli zajdzie konieczność rozwiązania sprawy siłą, ocenia się, że przeprowadzenie takiej operacji zajmie nie więcej niż trzy dni. Pojedyncze ogniska oporu mogą przetrwać dwa - trzy tygodnie, ale kraj jako całość zostanie spacyfikowany.

Nasi dowódcy wojskowi przewidują, że niezależnie od zniszczenia dużej części budynków, ilość ofiar w ludziach może sięgnąć od stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy zabitych i ciężko rannych. Straty własne oceniamy na około siedem tysięcy ludzi. Cooper spojrzął na Orłowa.

- Kiedy w takim razie zaczynacie inwazję?

Orłow ruchem głowy pokazał Sawalewowi, by mówił dalej.

- Przewodniczący Orłow wolałby nie wydawać takiego rozkazu i prosi, żeby pan rozważył inną możliwość.

- Jaką? - spytał Cooper z kwaśnym uśmiechem i odchylił się w fotelu, zaplatając ręce na piersiach.

- Jako alternatywę proponujemy, by zwrócił się pan do Związku Radzieckiego o udzielenie Wielkiej Brytanii pomocy ekonomicznej, organizacyjnej i technicznej w rozwiązaniu przygniatających wasz kraj trudności.

Cooper westchnął niecierpliwie.

- Skończmy już z tą drętwą mową, na Boga. O co konkretnie wam chodzi?

- Przedłożymy panu do podpisu odpowiedni dokument, wyszczególniający warunki, na jakich Związek Radziecki zgodzi się odpowiedzieć pozytywnie na wyrażoną przez pana oficjalną prośbę o pomoc - Sawalew sięgnął po leżącą na stole czerwoną teczkę na dokumenty. - Oto pański egzemplarz, z rosyjskim i angielskim tekstem.

- Chciałbym to od razu przeczytać.

W tym momencie wtrącił się po rosyjsku Orłow. Sawalew przetłumaczył:

- Pierwszy sekretarz proponuje, żebyśmy zostawili teraz pana samego na parę godzin, aby mógł pan się dokładnie zapoznać z tekstem - machnął ręką w stronę telefonu. - Może pan w każdej chwili otrzymać bezpośrednie połączenie gorącą linią z pańskimi kolegami w Londynie, jak też z przywódcami innych państw europejskich. Telefonistki mówią doskonale po angielsku.

Orłow i Fomienko wstali. Na chłopskiej twarzy Orłowa malowało się napięcie. Wpatrywał się intensywnie w Coopera, próbując odgadnąć, jaka będzie jego reakcja. Gdy obaj Rosjanie ruszyli ku drzwiom, Sawalew podniósł ze stołu czerwoną teczkę i wręczając ją Cooperowi zapytał:

- Czy chciałby pan, żebym z panem został, panie premierze, na wypadek, gdyby były potrzebne jakieś dodatkowe wyjaśnienia?

- Jeśli kazali panu zostać, to niech pan zostaje. Mnie jest to obojętne - odparł Gooper, otwierając teczkę.

Sawalew usadowił się wygodniej w fotelu. Strona tytułowa głosiła po prostu:

„TRAKTAT O NEUTRALNOŚCI, POROZUMIENIU

I WSPÓŁPRACY POMIĘDZY RZĄDAMI ZWIĄZKU SOCJALISTYCZNYCH REPUBLIK RADZIECKICH I ZJEDNOCZONEGO KRÓLESTWA”.

Odwrócił kartkę. Obie wersje traktatu wydrukowano równolegle - angielską z prawej strony, rosyjską z lewej. Czytał dalej.

PREAMBUŁA

Rząd Zjednoczonego Królestwa zwraca się niniejszym do rządu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich z prośbą o pomoc w przywróceniu prawa i porządku oraz spokoju społecznego i dobrobytu w Wielkiej Brytanii. Rząd Zjednoczonego Królestwa stwierdza jednocześnie, że jedną z głównych przyczyn wytworzenia się obecnej poważnej sytuacji stał się wpływ rządu Stanów Zjednoczonych i jego agend na terenie Wielkiej Brytanii. Stwierdza się także, że jedynie współpraca ze Związkiem Radzieckim może dopomóc w przezwycięzeniu nękających obecnie Zjednoczone Królestwo trudności. W tym celu oba rządy podpisują poniższe dziesięciopunktowe porozumienie, zwane odtąd „Angielsko-radzieckim traktatem o porozumieniu i współpracy”. Układające się strony zaaprobowały tekst o brzmieniu jak następuje: 1.

Zjednoczone Królestwo odwołuje natychmiast wszystkie układy zawarte z innymi krajami, dotyczące współpracy gospodarczej, finansowej i wojskowej. 2.

Przez okres najbliższych pięciu lat prawa obowiązujące w ZSRR będą w całości obowiązywały również w Zjednoczonym Królestwie. 3.

Rząd i administracja Zjednoczonego Królestwa funkcjonować będą zgodnie z zaleceniami odpowiednio wyznaczonych doradców radzieckich. 4.

Zjednoczone Królestwo staje się automatycznie członkiem RWPG, a jego polityka zagraniczna i gospodarcza dostosowana zostanie do wymogów tej organizacji. 5.

Przy interpretacji postanowień niniejszego traktatu znaczenie rozstrzygające ma wersja radziecka. 6.

Rząd ZSRR gwarantuje obronę neutralnego statusu Zjednoczonego Królestwa i podejmie wszelkie kroki niezbędne dla wypełnienia tego zobowiązania. 7.

Rząd ZSRR udzieli wsparcia rządowi Zjednoczonego Królestwa w likwidacji bezrobocia, przywróceniu prawa i porządku i stworzeniu równych szans dla wszystkich obywateli. 8.

Zasady wymiany handlowej i technologicznej między układającymi się stronami zostaną ustalone w odrębnym porozumieniu. 9.

W okresie najbliższych pięciu lat Zjednoczone Królestwo nie stanie się republiką ZSRR ani członkiem Układu Warszawskiego. Jeżeli przy końcu tej pierwszej pięcioletniej rząd Zjednoczonego Królestwa wystąpi z propozycją takiego członkostwa, zostanie ona rozważona przez rząd ZSRR. 10.

Niniejszy traktat obowiązywać będzie przez okres pięciu lat, z możliwością odnowienia w razie potrzeby na kolejne okresy pięcioletnie - jeżeli strona brytyjska wyrazi takie życzenie. Traktat wchodzi w życie w dniu podpisania. 11.

Cooper skończył czytać. Westchnął ciężko i przeczytał cały tekst jeszcze raz od początku. Potem zamknął teczkę i rzucił ją na stół.

Sawalew natychmiast ułożył ją porządnie na miejscu. Cooper odchrząknął i powoli, jakby mówił do siebie, zapytał:

- Jestem bardzo ciekaw, jak dawno zaplanowaliście to wszystko?
- Nie planowaliśmy w ogóle. To, co się stało w Wielkiej Brytanii,

to przecież wyłącznie wasze dzieło, a nie nasze - odparł Sawalew.

- Jeśli w to uwierzę, drogi panie, to uwierzę we wszystko.

- Może jest coś, co mógłbym wyjaśnić?

- Czy oni naprawdę mają zamiar dokonać inwazji, jeśli nie podpiszę tego świstka?

- Czyżby pan w to wątpił?

Cooper odwrócił się w fotelu i spojrzał na Sawalewa.

- A jak się panu zdaje, co zrobią inne kraje europejskie? Będą po prostu stać i patrzeć?

Sawalew machnął ręką w stronę telefonów.

- Proszę zadzwonić i sprawdzić. Możemy pana połączyć z głową dowolnego państwa. Z kim chce pan rozmawiać?

- Dobra, dajcie mi Bonn. Porozmawiam z kanclerzem.

- Proszę bardzo, sir. Wystarczy powiedzieć telefonistce. Pięć minut później nadeszła wiadomość z Bonn. Kanclerz RFN jest w tej chwili nieosiągalny, a minister spraw zagranicznych przebywa w Quebecu. Zadzwonił do Paryża. Prezydent Francji jest nieosiągalny, a minister spraw zagranicznych wyjechał na wakacje na Seszele. Cooper nie spodziewał się usłyszeć niczego więcej, jak tylko stereotypowych wyrazów poparcia. Fakt, że w tak demonstracyjny sposób odprawiono go z kwitkiem, uświadomił mu jednak, że tamci doskonale wiedzieli, co się święci i co więcej - zgadzali się na to. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Waszyngtonu, ale uzmysłowił sobie, że oni też już muszą wiedzieć. Na pewno zresztą będą chcieli rozgrywkę z Moskwą poprowadzić po swojemu, w wybranym przez siebie momencie. Zresztą teraz, kiedy sama Ameryka wymaga obrony, los innych mało ich obchodzi i reszta wolnego świata musi się bronić sama. Jak zwykle poniewczasie, widział teraz jasno, że zapowiedź nieszczęścia była wyraźna już w czasie tej afery z Falklandami. Tych z EWG

obchodziło tylko jedno: żeby nie ucierpiały ich stosunki handlowe z juntą, żeby nie stracić ani dolara. A i Stany pilnowały tylko, żeby ktoś nie podgryzł ich kawałka tortu. No i ci cholerni Irlandczycy, gotowi jak zwykle wsadzić Anglikom nóż w plecy, gdy tylko nadarzy się okazja. A w Izbie Gmin istny cyrk – politycy siedzący okrakiem na barykadzie i mający nadzieję, że opinia publiczna tego nie zauważy.

Sawalew przyglądał mu się uważnie. Przez moment Cooper miał wrażenie, że dostrzega w jego brązowych oczach cień współczucia.

- Gdzie się pan nauczył tak dobrze mówić po angielsku? - zapytał.

- W szkole i na Uniwersytecie Moskiewskim, a potem w Nowym Jorku i w Londynie - odparł Rosjanin z uśmiechem i dodał: - Byłem jednym z tych wyrzuconych przez Heatha.

- W takim razie był pan funkcjonariuszem KGB.

- Byłem, ale w tej chwili już nie jestem. No, ale proszę powiedzieć, co pan myśli o traktacie - zmienił temat Sawalew. - Ma on też i swoje dobre strony, nie sądzi pan?

- Jakie mianowicie?

- Na przykład pełne zatrudnienie.

- Przymusowe zatrudnienie. Pracuj, gdzie każą i bierz, co dają - zaśmiał się Cooper sarkastycznie. - Brak prawa do strajku i ostre represje. Czy wybraliście już nam miejsce na Gułag?

- Pomieścicie się wszyscy w naszym - odparł zimno Sawalew. W jego oczach nie było już śladu współczucia.

- Już dawno dokładnie to obliczyliście, co?

- Oczywiście.

- Więc co jeszcze zyskamy, podpisując ten traktat?

- Wie pan to równie dobrze jak ja, panie premierze.

- I naprawdę spodziewają się, że ja to podpiszę? - Cooper

ruchem głowy wskazał czerwoną teczkę.

- Oczywiście. Wiedzą, że nie ma pan wyboru. I pan też to wie. Podpis, albo pański kraj stanie w ogniu. Będzie pan miał swoich rodaków na sumieniu. Dajemy panu możliwość wyboru. Szansę uniknięcia wojny, którą musicie przegrać. Brak wam broni i ludzi, macie słabe lotnictwo, a przede wszystkim brak wam woli walki.

- A jeśli podpiszę?

- Wojny nie będzie, a nasi specjaliści zrobią porządek z całym tym pańskim bałaganem.

- A co ze mną?

- Na razie będzie pan nadal premierem. W ciągu kilku dni wróci pan do Londynu.

- Wyobrażam sobie reakcję przewodniczącego Opozycji Jej Królewskiej Mości.

- Opozycja Jej Królewskiej Mości już nie istnieje. Rodzina królewska wylądowała dwie godziny temu w Kanadzie.

- Co jeszcze się tam dzieje?

- Zaczęło się plądrowanie domów prywatnych. Potem je podpalają. Najgorzej jest w Midlands i na Południowym Wschodzie. Do akcji wkroczyło wojsko, a dziś rano ogłoszono godzinę policyjną. Od dziewiętnastej do siódmej. Niewiele to pomaga, ale...

- Dobra, to mi zupełnie wystarczy - uniósł rękę Cooper.

- Burza przed ciszą, można by rzec - podsumował Sawalew. - Za tydzień będzie po wszystkim. Zostanie tylko przykre wspomnienie.

- Niech pan im powie, że jestem gotów. Sawalew spojrzał na zegarek, a potem na Coopera.

- W tej chwili wszyscy są na przyjęciu w ambasadzie Etiopii. Będą tu za jakieś 20 minut.

Po raz pierwszy Cooper zaczął odczuwać złość i upokorzenie. Oto ludziom, którzy rządzą. Związkiem Radzieckim, którzy chcą

dokonać inwazji na jego kraj, nie zależy na jego podpisie na tyle, żeby zrezygnować z paru minut przyjęcia w jakiejś zaplutej afrykańskiej ambasadzie. Muszą być bardzo pewni swego. W tym momencie Cooper zdał sobie sprawę, że Sawalew znów coś do niego mówi.

- ...Biuro Polityczne w pełnym składzie. Zachowane zostaną wszelkie reguły dyplomacji. Będziemy unikać przedstawiania sprawy w kategoriach zwycięstwa i porażki. Po prostu jest to rzeczowa współpraca między dwoma zaprzyjaźnionymi krajami... Nikt nie zamierza upokarzać Anglii, czy pana osobiście.

Cooper westchnął głęboko i zamknął oczy. Nie był szczególnie religijny, ale nagle zaczął odmawiać w myśli „Ojcze Nasz”. Kiedy jednak doszedł do „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”, nie mógł sobie przypomnieć, co było dalej. Poczul, że łzy napływają mu do oczu, wstał więc i podszedł do olbrzymiego obrazu wiszącego na ścianie. Było to jedno z tych szkaradnych, socrealistycznych malowideł, z obowiązkowym Leninem na pierwszym planie, wskazującym ręką na jakąś fabrykę w tle. Wokół niego jak zwykle zgromadził się tłum wyglądających jak amazonki robotnic i odzianych w jakieś workowate ubrania mężczyzn. Wszyscy stali w bezruchu, wpatrzeni tępo w przestrzeń, jakby zahipnotyzowani przez swego rzucającego zaklęcia boga.

Jakiś oficer przyniósł Sawalewowi kartkę z wiadomością. Po jej przeczytaniu Rosjanin zwrócił się do Coopera:

- Przysłali po nas samochód. Będzie pan przyjęty z pełną pompą w Wielkim Pałacu Kremłowskim. Całe Biuro Polityczne, telewizja, radio, prasa. Jest pan gotów?

Cooper skinął głową. Rzeczywiście dopięli wszystko na ostatni guzik. I z góry założyli, że nie będzie na tyle narwany albo głupi,

żeby się sprzeciwić.

Dostrzegł własną twarz w lustrze i był to dla niego wstrząs. Oczy przekrwione ze zmęczenia, zapadnięte policzki, ściągnięte kurczowo wargi odsłaniające zęby, jakby był jakimś dzikim zwierzem warczącym na wroga.

Gdy przejeżdżali przez bramę Kremla, strażnik sprezentował broń. Zatrzymali się przed wejściem do Wielkiego Pałacu. Zauważył flagi - brytyjską i radziecką - podświetlone reflektorami i w tym momencie ogarnęło go przygniatające poczucie potworności tego, co miał za chwilę zrobić. To niemożliwe, wprost nie do uwierzenia, że mogło do tego dojść.

Pół roku temu, nawet jeszcze pięć miesięcy temu, były jakieś niepokoje, ale nie większe niż normalnie. I nagle cały kraj ogarnięty amokiem zaczął pędzić ku całkowitemu unicestwieniu. Służby wywiadowcze ostrzegały zresztą rząd o nasileniu się działalności wywrotowej. Przemysł, transport, energetyka, Partia Pracy, związki zawodowe, wszystko to było - jak wynikało z raportów wywiadu - spenetrowane w niebywałym wprost stopniu i w gruncie rzeczy znajdowało się pod całkowitą kontrolą aktywistów skrajnej lewicy.

Tego typu raporty napływały na biurka poszczególnych ministrów przynajmniej od dziesięciu lat. Jednak tym razem były one bardziej konkretne i nagłe. Mimo to robiono w tych sprawach niewiele. Znów, jak zwykle, zaczęto kpić, że „uwaga czerwony, pod łóżkiem zaczajony”. I jak zwykle było to jedną z przyczyn zlekceważenia alarmującej wymowy raportów. Działalność wywiadu była zresztą nieustannie atakowana przez lewicowych komediantów w Izbie Gmin, SPG znajdowało się w rozsypce, a niezależność policji od parlamentu poddawano ciągłej krytyce. W obliczu tego wszystkiego dużo łatwiej było po prostu zaniechać wszelkiego działania, tym bardziej, iż stawało się oczywiste, nawet dla

zwykłych obywateli, że władze nie są już dłużej w stanie wymóc na społeczeństwie przestrzegania prawa.

Orkiestra wojskowa grała jakiś hymn. Cooper stanął na baczność razem z Rosjanami. Nie był pewien, czy to „Czerwony sztandar”, czy „Międzynarodówka”. Jednak chyba „Międzynarodówka”, bo „Czerwony sztandar” zawsze przecież śpiewali na zakończenie kongresów Labour Party. Oglądał to w telewizji aż nazbyt często. Wszyscy trzymali się za ręce, i starali się nie napotkać wzroku innych. Wszystkie te żalosne gnojki - Wilson, Callaghan, Benn, Foot. Chcieli czerwonej flagi - będą ją teraz mieli.

Później Sawalew poprowadził go do środka, poprzez olbrzymi hali i długie, wyłożone dywanami korytarze. I oto już Orłow, ściskający jego dłoń. Dzięki Bogu, odbyło się bez tego obejmowania się i pocałunków, za którymi oni tak przepadają. Orłow przedstawiał kolejno ludzi zgromadzonych przy długim stole. Wokół stołu ekipa telewizyjna ustawiła kilka kamer, a jego środek skąpany był w jaskrawym świetle reflektorów. Cooper usiadł. Spozrzegł, że przed nim i przed Orłowem leżą już na stole oprawione w skórę egzemplarze traktatu.

Gdy Orłow wstał, rozległy się oklaski. Pewny siebie i zadowolony Rosjanin poklepał się ukradkiem po kieszeni, jak sprzedawca używanych samochodów, który właśnie zrobił świetny interes i sam jeszcze nie może uwierzyć, że mu tak dobrze poszło. Uśmiechając się dobrodusznie, wykonał szeroki gest powitalny w stronę Coopera. W końcu włożył okulary i wziął do ręki dwie kartki kredowego papieru z napisanym na maszynie tekstem. Następnie, nieco się zacinając, odczytał po angielsku swoje przemówienie.

- Drodzy przyjaciele, nasi brytyjscy towarzysze. Posyłamy wam w dniu dzisiejszym nasze serdeczne uczucia braterskiej miłości. Przez ostatnie lata obserwowaliśmy ze smutkiem, jak wasz dumny

naród traci poczucie właściwego kierunku. Podpisując ten traktat, składamy dziś zapewnienie wszechstronnej pomocy Związku Radzieckiego w dziele przywrócenia waszemu krajowi stabilności, pełnego zatrudnienia i poszanowania prawa. Przy dobrej woli obu stron nasze wspólne starania na pewno zostaną uwieńczone powodzeniem - Orłow powoli uniósł głowę i spojrzał prosto w skierowaną nań kamerę. - Niech żaden człowiek ani żaden kraj nie ośmieli się podważać naszych wysiłków. Każda taka próba spotka się bowiem z należytą i surową odprawą. Wielki Rosjanin - Lew Tołstoj - tak napisał w swej powieści „Anna Karenina”: „Nie ma takich warunków, do których człowiek nie mógłby się przyzwyczaić, szczególnie gdy widzi, że wszystko wokół niego żyje właśnie w taki sposób”. Kieruję te słowa do naszych widzów w Wielkiej Brytanii. Przemyślcie je sobie spokojnie dziś wieczór w waszych domach. Zmiany, które was czekają, są nieuchronne. Ale są to zmiany, które przyniosą ład i porządek waszym miastom i wioskom, a wam samym pełne zatrudnienie i szansę na przyszłość pełną nadziei, a nie rozpacz. W imieniu narodu radzieckiego, w imieniu wszystkich radzieckich ludzi pracy posyłam wam dziś braterskie pozdrowienie z Wielkiego Pałacu Kremłowskiego. Życzę wam wszystkim dobrej nocy.

Obu przywódcom podano pióra. Dokumenty zostały podpisane. Orłow wstał i skierował się do drzwi. Inni ruszyli za nim i w końcu w pokoju pozostał tylko Cooper w towarzystwie Sawalewa i urzędnika zbierającego papiery. Party się skończyło.

Rozdział IX

Pracownicy agencji Nowosti już zawczasu zawiadomili telegraficznie wszystkie europejskie stacje telewizyjne o mającej nastąpić ważnej transmisji z Moskwy. W niektórych stacjach retransmitowano ją od razu w wieczornych blokach programowych. Inne poprzestały na nagraniach magnetowidowych i dopiero później – gdy zorientowano się w powadze sprawy – przerwały normalny program, aby nadać tę sensację w pierwszej kolejności. W barze Klubu Prasowego panował tłok, zresztą bynajmniej nie z powodu transmisji z Moskwy, lecz z przyczyn zupełnie przyziemnych.

Kiedy Orłow pojawił się przed kamerami, nikt specjalnie się tym nie zainteresował. Po chwili ukazały się na ekranie pierwsze angielskie napisy – komputerowy przekład słów sprawozdawcy radzieckiej TV. W barze stopniowo robiło się coraz ciszej. Ludzie stawali, wpatrzeni w ekran, trzymając w rękach niedopite drinki i niezapalone papierosy. Rozległy się pomruki niedowierzania, a potem, gdy Orłow zaczął przemawiać po angielsku, niecierpliwe nawoływania o ciszę. Kiedy transmisja dobiegła końca, ekran ściemniał, a po chwili puszczone dalszy ciąg wieczornego filmu. Przez chwilę panowało głucho milczenie, a potem wybuchła wrzawa. Dziennikarze popędzili do telefonów i taksówek. Jednak kilkunastu spośród tych, którzy byli już po dyżurze, zostało na miejscu.

- Cholera, o co właściwie chodzi? - zawołał reporter Daily Express, rozglądając się po twarzach kolegów. - Facetowi chyba coś odbiło!

- Czy ktoś dzwonił do Morning Star? Może oni jakoś to skomentują.

- Chyba nie. Pójdę i zadzwonię. Podzielimy się tekstem.

Po pięciu minutach dziennikarz z Expressu wrócił do baru. W rękę trzymał kopertę, na której zapisanych było parę zdań. Odczytał je głośno i powoli.

- Sir Frederick Cooper, premier Wielkiej Brytanii podpisał traktat o czymś tam ze Związkiem Radzieckim. Rosjanie przysła doradców w dziedzinie obronności, gospodarki, administracji i tak dalej, którzy pomogą rządowi brytyjskiemu w przywróceniu spokoju i dobrobytu - rzucił kosę spojrzenie na otaczający go tłumek. - Co to ma do jasnej cholery wszystko znaczyć!

- To znaczy, że nasz Freddie miał do wyboru zmierzyć się z inwazją na wielką skalę albo zwinąć interes - parsknął śmiechem facet z Timesa.

- Jak to - zwinąć interes?

- Normalnie. Poprosić czerwonych, żeby wyleźli spod łóżka.

- Żeby co?

- Żeby tu wleźli, zajęli kraj i rządili nami, człowieku!

- No nie, Chryste Panie, oni chyba nie myślą, że będziemy stać i patrzeć. Przede wszystkim armia do czegoś takiego nie dopuści.

- Daj spokój, Martin. Armia i policja nie są w tej chwili w stanie poradzić sobie z całą tą bandą na ulicach, a co dopiero z regularną inwazją - wtrącił się cicho ktoś z Guardiania.

- Wrócę lepiej do biura. Może to tylko jakaś mistyfikacja - pamiętacie ten numer Orsona Wellesa w Stanach?

Dziennikarz z Guardiania uśmiechnął się.

- Lepiej, kochasiu, przejrzyj swoje archiwum i sprawdź, coś tam wypisywał o Ruskich przez ostatnie lata.

Do baru napłynęła nowa fala członków klubu, którzy powierzyli

już swoje dzisiejsze teksty komputerom i przyszli tu, żeby odpocząć i dowiedzieć się czegoś nowego.

Jednak to nie stali bywalcy klubu, lecz jakiś regionalny korespondent od Thomsona przyniósł pierwsze poważniejsze wieści. Dzwonił już do Moskwy i Paryża, a także do biura TASS na Gough Square.

- Nasza ambasada w Moskwie nie ma o niczym zielonego pojęcia. Nie uprzedzili ich nawet o transmisji. Nie wiedzą, gdzie jest Cooper, i nie wiedzieli, że w ogóle był w Moskwie.

- A chłopcy z TASS co powiedzieli? Mężczyzna skrzywił się.

- Zaskoczyło ich to tak samo jak i nas. Ale już dostali z Moskwy jakieś wytyczne. Ogólnie rzecz biorąc, mają pisać, że przy sowieckiej pomocy będziemy mieli co dzień święto. Wszyscy trzymają się za rączki, a w tle zachód słońca i te sprawy. Ale wyczułem też, że gdzieś pod spodem mają jednak trochę stracha.

- Przed czym?

- Przed reakcjami - u nas i na świecie. A szczególnie w Stanach.

- Czuję się zupełnie tak samo jak w czasie wyborów parlamentarnych - skomentował któryś z dziennikarzy - kiedy wszyscy siedzą przez całą noc i czekają na wyniki.

Co jakiś czas wchodził do Klubu ktoś nowy, przynosząc kolejne strzępki informacji. Na prowincji panował zadziwiający spokój. Żadnych rozruchów, ulice niemal opustoszały. Biuro prasowe pałacu Buckingham odmówiło jakichkolwiek komentarzy. Ktoś rzucił plotkę, że ambasada USA ewakuuje się w szybkim tempie wraz z całym personelem i dokumentalnymi, korzystając z którejś z amerykańskich baz lotniczych. Tak zazwyczaj dobrze poinformowani i zorientowani dziennikarze, nagle stwierdzili, że wiedzą nie więcej niż ich czytelnicy. Jeszcze następnego dnia o świecie spora grupa doświadczonych komentatorów utrzymywała,

że wszystko to jest tylko jakąś psychologiczną zagrywką ze strony Rosjan.

W ciągu dwóch następnych dni napłynęło niewiele świeżych wiadomości. Najwięcej zwolenników zdobyła sobie teoria, że Wszystko to jest jednak mistyfikacją – głównie dlatego, że nie było żadnych namacalnych dowodów, iż jest inaczej. Zarówno źródła amerykańskie jak i europejskie także pozbawione były jakichkolwiek konkretnych informacji. Jedna z japońskich stacji radiowo-telewizyjnych twierdziła, iż posiada dowody na to, że cała transmisja była przypadkowo nadanym reportażem z prób teatru telewizji. Źródła w Moskwie donosiły, że są zasypane istną lawiną teleksów i telefonów z pytaniami, na które nie są w stanie na razie odpowiedzieć. Tymczasem mogą tylko potwierdzić, że transmisja była autentyczna, nie posiadają jednak żadnych bliższych szczegółów sprawy.

Trzeciego dnia, wczesnie rano, pojawiła się pierwsza konkretna informacja, która spadła na wszystkich jak grom z jasnego nieba. Było to doniesienie agencyjne z Ottawy, w którym podano, że brytyjska rodzina królewska znajduje się w Kanadzie. Widziano ją w Kingston, w prowincji Ontario, gdzie przebywa w posiadłości jednego z członków kanadyjskiej Partii Liberalnej, zajmującego niegdyś stanowisko w rządzie Trudeau. Rzecznik rządu w Ottawie oficjalnie zaprzeczył tej informacji i określił ją jako plotkę. Redaktorzy działów wiadomości towarzyskich i kronik dyplomatycznych zaczęli jednak sprawdzać doniesienia dotyczące działalności rodziny królewskiej i okazało się, że coś rzeczywiście jest nie tak.

W ciągu ostatnich dwóch dni nikt z mieszkańców pałacu Buckingham, nawet spośród mniej ważnych członków rodziny, nie

odbywał żadnych spotkań i nie był widziany publicznie.

Może to dziwne, ale wiadomość ta wywarła na ludziach silniejsze wrażenie niż transmisja z Moskwy. Nie dlatego, że rodzina królewska wyjechała z kraju, ale dlatego, że zrobiła to potajemnie.

Fakt ten wywołał w społeczeństwie depresję i lęk o skali znacznie przerastającej wagę samego wydarzenia. O dwudziestej pierwszej tego dnia ogłoszono, że premier powrócił do kraju i w ciągu najbliższych 48 godzin należy spodziewać się różnych oświadczeń i wyjaśnień z jego strony. Cooper, który jeszcze niedawno w ogóle dla ludzi nie istniał, zaczął być uważany nagle niemal za zbawcę. Był jedynym człowiekiem, który wiedział, co się naprawdę dzieje. Człowiekiem, który najwyraźniej tylko dlatego udał się do Moskwy, gdyż wiedział, że jest to jedyna szansa utrzymania pokoju.

Aż do tej chwili środki przekazu zachowywały ostrożność, unikając ostrych komentarzy w szczerym dążeniu do niepogarszania sytuacji. Na wieść o powrocie premiera ton artykułów wstępnych w całej prasie natychmiast uległ zaostrzeniu. „Jak powiedzieć narodowi prawdę” - stało się tematem dnia. Najostrzejszy komentarz zamieścił Daily Telegraph, porównując całą sprawę do Monachium i pytając: „Czy naród rzeczywiście zdecydował, że lepiej być czerwonym niż martwym? A może była to tylko decyzja małej grupy słabych ludzi, którym zabrakło w ciągu ostatnich dwóch lat odwagi, by wyplenić chwasty, a teraz gotowi są poddać się tym samym siłom, które sami jeszcze niedawno określali jako wywrotowe i antydemokratyczne?” - zapytywał autor artykułu i dodawał dramatycznie - „Czy to już koniec demokracji w Wielkiej Brytanii? Czy to świt Nowej Epoki Lodowcowej?”

Starszy kontroler ruchu na lotnisku Heathrow siedział w samej

koszuli w okularach podsuniętych na czoło i wykręcał zastrzeżony numer wieży kontrolnej w Gatwick. Głos, który odezwał się po drugiej stronie, był spokojny i zrównoważony.

- Collins, wieża kontrolna w Gatwick.

- Jezu, Percy, masz głos, jakbyś miał za chwilę odśpiewać hymn. I co tam u was?

- Daliśmy sobie spokój, Charlie. Cywile pozajmowali nam w bezczelny sposób wszystkie częstotliwości. Dwie godziny temu weszli na 119.45. Strefa Kontrolna Londynu już się wyłączyła. W Biggin odpuścili 129.4, bo nie dało rady się utrzymać. I to samo na całym południowym wschodzie. Headcorn, Lydd, Manston, Southend. Używają, cholera, nawet częstotliwości Yolmet. A jak u ciebie?

- Jakoś się trzymam, ale to i tak na nic. Piloci w ogóle nie reagują na polecenia. Pasy wyglądają jak jakiś pieprzony postój taksówek. Prywatni startują nawet na trawie. To się skończy potworną katastrofą, jeżeli ktoś szybko czegoś nie zrobi.

- Na przykład kto?

- Nie wiem, CCA, Home Office, albo nawet ministerstwo obrony.

- W żadnym z tych miejsc nawet nie podnoszą słuchawki, Charlie. Wszyscy się przyzwyczaili że „oni muszą coś zrobić”. I zawsze robili. A teraz gdzieś ich wcięło, zostawili to wszystko nam na głowie.

- Ruscy się pokazali?

- No, było dziewięć Iłów w nocy, jeszcze przed tą całą paniką. Słyszałem, że Amerykanie przerzucają tysiące swoich przez bazy lotnicze do Shannon. Dublin i Shannon dostają obłędu, ale kogo to teraz obchodzi. Prywatni piloci zgarniają po sto tysięcy za lot do Cork, Shannon albo Dublina.

- A ty co zamierzasz?

- Ja? Ja mam żonę i troje dzieci. I nie mam wyboru. Zostaję i zobaczę co będzie. Jak nie masz nikogo, to radzę ci stary - spiesz się stąd czym prędzej.

- Wiesz, nie mogę jeszcze uwierzyć, że to się stało. Tak po prostu, z dnia na dzień.

- Nie bądź dzieckiem, chłopie. To się zbierało od 10 lat, aż się nazbierało. Myśmy po prostu patrzyli w inną stronę. Cwaniacy poprzeczali swoją forszę za granicę zaraz, jak Maggie zniosła zakaz wywozu waluty. A popatrz chociażby, co się porobiło z krugerrandami i to tylko w ostatnich trzech miesiącach. Na całym świecie cena złota - 380 funtów za uncję. A w Londynie w zeszłym tygodniu płacili za krugerrandy 1200 za uncję. Niektórzy widzieli, na co się zanoszą, stary. No nic, będę leciał. Chcemy zrobić w kantynie ostatnią popijawę, zanim tamci tu wleżą z tym swoim śniegiem na butach.

- Dobra, daj znać, jakby... W słuchawce zapadła nagle cisza. W tym momencie bowiem grzecznie, lecz stanowczo zachowujący się Rosjanie zaczęli wydawać polecenia obsłudze central telefonicznych w Londynie i całej Anglii.

Pomimo że samoloty najróżniejszych typów uwijały się w powietrzu jak oszalałe osy, bez jakiegokolwiek kontroli z ziemi, odnotowano tylko siedem wypadków rozbitych maszyn z pięćdziesięcioma czterema ofiarami w ludziach. RAF i Marynarka Królewska współpracowały bardzo skutecznie. Lotniskowce zabierały na pokład samoloty, o jakich przewożeniu ich kapitanom nigdy się dotąd nie śniło. Część wojskowych maszyn odleciała w konwojach na Gibraltar i Cypr. Zaginął jeden Harrier, ale poza tym cała operacja odbyła się bez ofiar.

Posterunki straży przybrzeżnej dość wcześnie zrezygnowały z kontrolowania ruchu granicznego. Na Kanale zaroilo się od

dużych i małych statków i łodzi, zupełnie jak w czasach Dunkierki. Tyle, że tym razem płynęły w przeciwnym kierunku, do Francji, Belgii, Holandii. Bardziej przedsiębiorczy tworzyli konwoje po kilka jednostek i wybierali trudniejszą, lecz mniej zatłoczoną trasę przez Morze Północne.

W portach po francuskiej stronie Kanału zdarzyło się kilka wypadków bijatyki pomiędzy uchodźcami z Wielkiej Brytanii przedstawicielami władz portowych. Były to jednak mecze do jednej bramki. Nielegalni przybysze znajdowali się bowiem w stanie autentycznej rozpacz i desperacji. Francuzi otrzymali wkrótce polecenie od swego rządu, by zaprzestać wszelkich interwencji przez najbliższe trzy dni. Siedzieli więc w swoich biurach ómiąc Gauloisy, wyrównywanie rachunków odkładając na później. Brytyjczycy zawdzięczali taki obrót sprawy rządowi amerykańskiemu, który zagroził zamrożeniem, a nawet konfiskatą francuskich wkładów bankowych w USA, jeśli Francja nie udzieli wszystkim uchodźcom przynajmniej tymczasowego schronienia.

Rozdział X

Samolot Aeroflotu wiozący Coopera z powrotem do Anglii wylądował na niewielkim lotnisku w Lydd, na wybrzeżu Kentu. Stamtąd helikopter typu Wessex zabrał go do Londynu. Wylądowali w miejscu parad Gwardii Konnej. Po wyjściu z samolotu Cooper ze zdumieniem spostrzegł Sawalewa, oczekującego już nań w towarzystwie kilku innych mężczyzn. Przedstawiono mu każdego z nich z osobna - wszyscy byli Rosjanami i wszyscy świetnie mówili po angielsku. Sawalew zaproponował, by przeszli piechotą na Downing Street 10.

W siedzibie premiera nic się pozornie nie zmieniło. Z wyjątkiem personelu, który składał się teraz wyłącznie z Rosjan, również władających doskonałą angielszczyzną. Cooper stwierdził, że dziewczęta wybrano równie ładne jak ich angielskie poprzedniczki. Sawalew wszedł razem z nim do gabinetu.

- Jurij Smetana prosił mnie, bym pana zapoznał z sytuacją, sir Frederick.

- Kto to jest Jurij Smetana?

- Jest Głównym Komisarzem Radzieckim.

- A co to znaczy?

- To znaczy, że stoi na czele całego programu przebudowy. Będzie głównym przedstawicielem władz radzieckich w Zjednoczonym Królestwie. Polubi go pan. Mówi dobrze po angielsku. Mieszkał wiele lat w Stanach. Przeszedł specjalne szkolenie przygotowujące go do objęcia tego stanowiska. Jest kompetentnym i energicznym organizatorem.

- A pan?

- Ja będę jego doradcą, ponieważ mam więcej doświadczenia, jeśli chodzi o Anglię. Usiądźmy może. Powiem panu, jak wygląda nasz plan przebudowy.

Cooper wzruszył ramionami i usiadł na najbliższym krześle.

- Dziś wieczorem Smetana wystąpi w TV, by z grubsza wyjaśnić, na czym będą polegały nowe sposoby działania. Nie będę tego powtarzał, sam pan zobaczy. Zasady nowego prawodawstwa już zostały opracowane. Zasadniczo opierać się ono będzie na radzieckim systemie prawnym, zawiera jednak pewien nowy, ważny przepis. Chcielibyśmy, żeby go pan uprawomocnił swoim podpisem. Chodzi o instytucję doradcy. Mamy zamiar ustanowić doradców radzieckich dla wszystkich miast liczących powyżej 25.000 mieszkańców. Będą oni dysponowali własnym, wykwalifikowanym personelem, który zajmie się wszystkimi lokalnymi sprawami - administracją, zarządzaniem gospodarką, finansami, a także przestrzeganiem prawa i porządku. Będą także zarządzać radziecką pożyczką rekonstrukcyjną.

- Co to takiego?

- Pierwsza jej część wyniesie około sto milionów rubli i będzie przeznaczona na działalność oświatowo-szkoleniową.

Zadzwoił telefon. Sawalew odebrał i słuchał, kiwając głową, po czym odłożył słuchawkę.

- Smetana chciałby się teraz z panem zobaczyć. Stałą siedzibę będzie miał tutaj, pod dziesiątką. Pan zajmie dom obok, pod jedenastym - Sawalew wstał. - Czeka na nas na górze, w prywatnym gabinecie.

Smetana wyglądał zupełnie inaczej, niż się Cooper spodziewał. Tuż po pięćdziesiątce, dobrze ubrany, przypominał raczej absolwenta Harvard Business School niż partyjnego aparatczyka.

Wstał z uśmiechem i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Brytyjczycy coś niezbyt dbają o swoich premierów, sir Frederick. Widać, że bardziej cenicie sobie tradycję niż własne wygody - wskazał ręką fotel. - Zechce pan usiąść.

Cooper usiadł w fotelu, a Smetana przysiadł na krawędzi starego, mahoniowego biurka, machając nogą, z wyrazem pewności siebie na twarzy.

- Mamy pewne problemy z lokalnymi władzami. Nie wszyscy do końca akceptują nadzór Komisarzy Miejskich. W niektórych wypadkach chcielibyśmy pana prosić o udanie się na miejsce i rozładowanie sytuacji. Staramy się przeprowadzić to wszystko w miarę łagodnie, minie jednak trochę czasu, nim ludzie przyzwyczają się do nowych porządków. Mam nadzieję, że mój dzisiejszy występ w telewizji też trochę w tym pomoże. Najpierw jednak chciałem się spotkać z panem, by wyjaśnić, jakie jest moje ogólne nastawienie. Powiem krótko: jest pozytywne i konstruktywne, ale stanowcze. Nie zamierzam stwarzać niepotrzebnych problemów, ale szkodników będę traktował z całą surowością radzieckiego prawa. Nie wymagam od Brytyjczyków niczego ponad to, czego wymagałbym od każdego obywatela Związku Radzieckiego. Te same będą prawa i obowiązki, te same kary i nagrody. I te same zobowiązania wobec państwa. Ciężka praca i posłuszeństwo spotkają się z szacunkiem i odpowiednim wynagrodzeniem. Z próżniakami i rozrabiakami będziemy zaś postępować tak, jak robimy to w Związku Radzieckim.

- Wygląda na to, że waszym pierwszym problemem stanie się Izba Gmin - zauważył Cooper sarkastycznie.

Smetana wstał.

- Chyba nie, sir Frederick, nie wydaje mi się - odparł z wyrazem rozbawienia na twarzy. - Izby Gmin nie będzie. - I śmiejąc się

dorzucił: - Acha, dziś wieczorem wydaję przyjęcie w naszej ambasadzie. Chciałbym mieć nadzieję, że pan przyjdzie. Przyrowadź go koniecznie, Lew.

Przemówienie Smetany nadano we wszystkich programach telewizji i radia. Cooper oglądał transmisję w telewizji razem z Sawalem. Usiłował rozpoznać utwór muzyczny, który puścili podczas wyświetlania nagłówka. Nie był to na pewno „Czerwony sztandar”. Przez chwilę wydawało mu się, że rozpoznał starą pieśń „Wagon Wheels”. Jednak Cooper nie był zbyt muzykalny. Muzyka została dobrana osobiście przez Smetanę. Był to melodyjny fragment Symfonii Dworzaka - „Nowy świat”. Nagłówek zaś oznajmiał po prostu: Główny Komisarz Radziecki Wielkiej Brytanii.

Gdy napis zgasł, ukazał się Smetana w błękitnym garniturze, białej koszuli i ciemnoczerwonym krawacie. Wyglądał niemal jak któryś z dyrektorów IBM. Dłonie ułożył splecione na biurku przed sobą. Za nim na ścianie wisiał portret Churchilla pędzla Karsha.

- Dobry wieczór. W ostatnich dniach środki przekazu i rozmaite odłamy opinii publicznej próbowały snuć najróżniejsze domysły na temat tego, jak wyglądają plany programu przebudowy. Niektórzy przewidywali scenariusz pełen ogni piekielnych i siarki, zupełnie jak w jakiejś starej walijskiej legendzie. Inni malowali nieco łagodniejszy obraz tego, co nas czeka. Dziś chciałbym uspokoić rozgorączkowane umysły.

Wasz kraj - wasz naród - ma za sobą długą historię odważnych i postępowych dokonań... rząd Związku Radzieckiego polecił mi doprowadzić ten kraj z powrotem do jego dawnej świetności. I to nie w ciągu dziesięciu, czy nawet pięciu lat. Czas tego dokonania liczyć się będzie nie w latach, lecz w miesiącach. Może ktoś powie, że to niemożliwe, ale zapewniam was, że jest to możliwe, oznaczać

to będzie przede wszystkim konieczność zmian w postawach ludzi i w sposobie ich życia. Wierzę, że zdecydowana większość waszego narodu z ochotą dostosuje się do tych zmian. Pozwólcie, że wyszczególnię teraz niektóre problemy i sposób, w jaki się za nie wspólnie zabierzemy.

Bezrobocie to zbrodnia przeciwko ludowi. Nie może być dlań żadnego usprawiedliwienia. Każdy obywatel, każdy mężczyzna i każda kobieta ma prawo - i obowiązek - pracować. Wydałem już Komisarzom Miejskim polecenie, żeby wszyscy bezrobotni zostali skierowani do pracy w ciągu 21 dni. Płace i premie, we wszystkich zawodach będą dokładnie takie same jak w Związku Radzieckim. Wszystkim, którzy będą musieli się przekwalifikować, zapewnimy natychmiast odpowiednie przeszkolenie. Dotyczy to również zatrudnionych w siłach zbrojnych, którzy w przewidywalnej przyszłości nie powrócą do swojego zawodu. Żołnierze, lotnicy, marynarze zamiast siedzieć samotnie z dala od ojczyzny, w jakichś jarach w Niemczech, czy gdzie indziej - na pewno lepiej przysłużą się krajowi, wykorzystując swoje zdolności do pracy w przemyśle czy handlu.

Przejdę teraz do zagadnień prawa i porządku. Wszystkie gospodarstwa domowe otrzymają w najbliższych dniach broszury wyjaśniające zasady prawa radzieckiego. Dowiedcie się, jakie macie prawa, jakie obowiązki i czego robić wam nie wolno. Elementy kryminalne, chuligani i szkodnicy, zostaną potraktowani z całą surowością, tak jak stałoby się to, gdyby mieszkali w Moskwie, czy Leningradzie, Czas tych, którzy łamią prawo, skończył się.

W licznych artykułach prasowych spekulowano ostatnio na temat intencji radzieckich. Autorzy artykułów używali często terminu „finlandyzacja”, mając na myśli naszą bliską współpracę z północnymi sąsiadami. Inni sugerowali, że Wielka Brytania może

zostać włączona do ZSRR. Wszystkie te przypuszczenia nie odpowiadają prawdzie. Prasa zachodnia i amerykańska zwykła przedstawiać Związek Radziecki jako naród podżegaczy wojennych dążący do poszerzania swych granic we wszystkich kierunkach. Podczas II wojny światowej 20 milionów Rosjan zostało zabitych przez faszystów. Cała moja rodzina znalazła się wśród ofiar. Dla mnie nie były to tylko numery na liście. To byli ludzie, których kochałem. Moi najbliżsi, moje życie. Jakże mógłbym być podżegaczem wojennym? Jakże mógłby którykolwiek z radzieckich przywódców pragnąć zostać kimś, kto prowadzi naród radziecki do nowego Armagedonu? Zastanówcie się nad tym sami. Nie mogliśmy już dłużej znosić tej nieustannej wrogości okazywanej nam przez Amerykanów. To tu, na tych wyspach, montowali oni swoje szpiegowskie akcje przeciwko Związkowi Radzieckiemu. I to właśnie te wyspy widzieli jako główną swoją bazę w następnej wojnie. Przez wiele lat Związek Radziecki tolerował te prowokacyjne działania w imię pokoju światowego. Ale wreszcie trzeba było położyć temu kres. Dotąd, i ani kroku dalej. Tridenty, pociski rakietowe, bazy morskie, bazy lotnicze – zbyt wiele już się tego nazbierało. W głębi duszy wy sami również o tym wiedzieliście, ale nie pozostawiono wam wyboru. Kiedy zatem wasz premier zwrócił się do nas z prośbą o pomoc w rozwiązaniu tych nabrzmiałych problemów, uznaliśmy, że jej udzielenie jest po prostu naszym obowiązkiem.

Kiedy zakłada się podstawy nowego społeczeństwa, niezbędna jest przebudowa sposobu myślenia i nowe metody działania. Chciałbym teraz powiedzieć coś o zmianach, które was czekają.

W nowoczesnym społeczeństwie nie może być miejsca dla lordów i książąt, baronów i hrabiów. Od tej chwili wszystkie tego rodzaju tytuły przestają cokolwiek znaczyć. Politycy również niezbyt dobrze

służyli temu krajowi. Zamiast konstruktywnie, działali destrukcyjnie. Szukali jedynie korzyści dla siebie i swych mocodawców. Na okres pięciu lat przestają zatem istnieć w tym kraju wszystkie partie polityczne. Dotyczy to również naszych przyjaciół, członków Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. Zakładanie nowych partii jest zakazane.

I jeszcze jedno, o czym chciałbym wspomnieć. Poleciałem, aby przywrócono do życia coś, co robiliście tu zaraz po wojnie. Nazywało się to Festival of Britain. Miał on na celu ukazanie światu waszej inwencji i zdolności twórczych. Zleciłem memu personelowi organizację nowego Festival of Britain w ciągu najbliższych dwóch miesięcy.

Zastanówcie się nad tym, co dziś powiedziałem. Wierzę, że zgodzicie się ze mną, iż zmiany były nieuniknione, i że będą one z korzyścią dla nas wszystkich. Dobranoc.

Sawalew pochylił się i wyłączył telewizor.

- I co pan o tym myśli? - zwrócił się do Coopera.

- Bardzo sprytne. I bardzo dziwne.

- Co pana tak zdziwiło?

- Ogólny ton tej wypowiedzi.

Sawalew skinął głową.

- Ale pan w to nie wierzy?

- Oczywiście, że nie. Los tego kraju nic was nie obchodzi. Wyssiecie z nas wszystkie soki, tak jak to zrobiliście we wszystkich innych krajach, które udało wam się podporządkować.

- Nie ma pan racji. Całkowicie się pan myli. Jesteśmy zdecydowani pokazać światu, czego może dokonać komunizm, jeśli zostanie wprowadzony w kraju wysoko rozwiniętym. W Związku Radzieckim musieliśmy się wydobywać z wieków poddaństwa i zacofania. Kosztowało nas to wiele wyrzeczeń i ofiar. Bóg tylko

wie jak wiele: ale w swoim czasie doczekamy się nagrody. W waszym kraju natomiast będziemy mogli pokazać światu dobrodziejstwa komunizmu nie za kilkadziesiąt lat, ale już po paru miesiącach.

- Słucha się pana, jak jakiejś agencji z Madison Avenue, reklamującej nowe nawozy sztuczne.

Sawalew zaśmiał się i pokręcił głową.

- Niech pan poczeka i zobaczy na własne oczy. Będzie pan zaskoczony, mój drogi. Już dawno powinniście byli zrobić to sami. Ale pan i pański naród przyglądaliście się tylko, jak kraj się rozpada i nikt z was nie ruszył nawet palcem, żeby temu zapobiec.

Upłynęło kilka tygodni, nim Brytyjczycy zdołali jako tako oswoić się z wymaganiami, jakie stawiali przed nimi nowi władcy. Większość z radzieckich doradców i komisarzy nie wyróżniała się niczym szczególnym, poza tym może, że nosili bardzo niemodne pobrania. Niektórzy z nich, bardziej lękliwi, obawiali się początkowo, że mogą stać się ofiarami rozruchów czy napadów. Nic takiego jednak się nie wydarzyło.

Od swoich przełożonych i wcześniej na szkoleniach otrzymali dokładne instrukcje, jak mają postępować. Firmy zatrudniające ponad 50 pracowników łączono w większe grupy, które z kolei stawały się częściami głównych, oczywiście upaństwowionych zjednoczeń. We wszystkich przedsiębiorstwach rozklejono plakaty informujące o nowych warunkach pracy i płacy.

Dawne Agencje Zatrudnienia stały się agendami ministerstwa pracy. Wszyscy bezrobotni w nich zarejestrowani zostali skierowani do pracy albo na szkolenia w nowo powstałych ośrodkach przyspobienia zawodowego. Zlikwidowano zasiłek dla bezrobotnych, ponieważ samo bycie bezrobotnym stało się

nielegalne. Zlikwidowano również Social Security i wstrzymano wypłatę wszelkich ubezpieczeń i świadczeń.

Ceny na wszystkie towary zostały ustalone odgórnie. Pozostawiono jedynie niewielki margines dla prywatnych sklepikarzy. Jednak handel w tych warunkach przestał im się opłacać i mogli zarobić na życie jedynie sprzedając swój interes za ustaloną stawkę państwowemu zjednoczeniu handlowemu, a potem pozostając w swych byłych sklepach, na państwowych etatach sprzedawców.

Produkcja towarów uznanych za społecznie zbędne została wstrzymana, a ich fabryki musiały się przestawić na wytwarzanie przedmiotów codziennego użytku.

Właściciele domów pozostawiono na razie w spokoju, ale wolno im było posiadać tylko te budynki w których na stałe mieszkali. Wszelka inna własność, łącznie z ziemią, została przejęta przez państwo, przy czym jedyną grupą społeczną, którą potraktowano demonstracyjnie źle, byli wielcy właściciele ziemscy. Tym, którzy okazywali chęć współpracy, pozostawiano czasem domy na wsi lub niewielkie mieszkania w oficynach pałaców, lecz cała reszta ich posiadłości przechodziła na własność państwa. Przepisy w tej mierze były proste. Nie bawiono się w żadne zawiłości prawne. Cały problem został załatwiony bezwzględnie i skutecznie w ciągu kilku godzin.

Arcybiskup Canterbury i Prymas Anglii zostali ostrzeżeni, że jakakolwiek próba mieszania się kościoła do polityki spotka się z surową odprawą. Poza tym kościoły mogą działać jak dotychczas. Ich działalność będzie jednak bacznie obserwowana tak przez KGB, jak przez ministerstwo spraw publicznych. Już w pierwszą niedzielę po zaprowadzeniu nowego reżimu kościoły wszystkich wyznań zapełniły się tłumami wiernych. Szczególnie księża katoliccy

z trudnością radzili sobie z napływem wielkiej ilości nowo nawróconych.

Swoboda poruszania się została ograniczona do podróży wewnątrz własnego hrabstwa. W uzasadnionych wypadkach można było jednak uzyskać zezwolenie na dalszą podróż. Wprowadzono racjonowanie paliwa, ale lokalne komisje zarządzane przez Brytyjczyków wydawały kartki na benzynę bez większych trudności. Możliwość swobodnego korzystania z telefonów zastrzeżono dla ograniczonych kategorii użytkowników. Natomiast publiczna sieć telefoniczna była dostępna dla ogółu trzy razy w tygodniu od 18 do 19.

Czynsze ustalono w wysokości 5% dochodów całej rodziny, niezależnie od tego, czy dom stanowił własność prywatną, czy komunalną.

Utworzono tak zwane Zapobiegawcze Obozy Odosobnienia. Powstało ich co najmniej dwanaście w różnych miejscach Zjednoczonego Królestwa, często w byłych koszarach wojskowych i w odludnych rejonach kraju. Ilość uwięzionych sięgała dziesiątek tysięcy. Znaleźli się wśród nich oczywiście aktywni działacze związkowi, trockiści, pisarze i wydawcy, funkcjonariusze Labour Party, byli posłowie labourzystowscy i liberalni, wykładowcy uniwersyteccy i historycy. Jakimi jednak kryteriami kierowano się, osadzając w obozach tysiące zwykłych obywateli – nie sposób było ustalić. Wiele domysłów i komentarzy wywołał fakt, że władze radzieckie zezwoliły wielu znanym członkom Partii Konserwatywnej na znalezienie sobie jakiegoś azylu w przemyśle czy handlu.

Wszystkie pięć głównych banków oraz banki handlowe, łącznie z Building Societies i Trustee Savings, zostały przejęte przez państwo. Ten sam los spotkał towarzystwa ubezpieczeniowe. Giełdę i zamknięto bez żadnych ceregieli już w pierwszym tygodniu.

Dla każdego, kto nieco uważniej obserwował poczynania władz radzieckich, stawało się oczywiste, że wszystko to musiało zostać zaplanowane już dużo wcześniej. Całą operację przeprowadzano szybko i bezwzględnie. O powoływaniu się na dawne prawa, czy liczeniu na jakiegokolwiek odszkodowania nie mogło być w ogóle mowy.

Przed upływem pierwszych dwóch tygodni każda rodzina otrzymała ośmiostronicowe kwestionariusze, zawierające kilkaset pytań. Należało na nie odpowiedzieć w ciągu czterech dni. Pytania obejmowały czasowo trzy pokolenia i dotyczyły sytuacji rodzinnej, wykształcenia, zatrudnienia, stanu majątkowego i przynależności do organizacji politycznych i społecznych każdego z członków rodziny. Niewypełnienie ankiety lub nieoddanie jej na czas powodowało utratę prawa do otrzymania plastikowej karty rejestracyjnej dającej z kolei uprawnienia do zakupu żywności i do podjęcia pracy. Podanie fałszywych informacji groziło karą pięciu lat obozu pracy w ZSRR.

Prezydent Wheeler uwielbiał poranne spotkania przy śniadaniu. Upodobania tego nie podzielali jego czołowi doradcy, a szczególnie sekretarz stanu Brodsky. Wheeler miał sześćdziesiąt dwa lata. Zajmował się polityką przez całe życie i kochał każdą minutę spędzoną w pracy. Brodsky miał 55 lat i często żałował, że nie jest z powrotem w Amherst.

- Powiedz, co tam w Londynie, Joe - rzekł prezydent. Jakie są najnowsze wieści?

- Lotnictwo Armii Czerwonej używa naszych dawnych baz we wschodniej Anglii, w ambasadzie urządzili muzeum kultury radzieckiej, przejęli brytyjskie aktywa naszej spółki komputerowej ICL. I tak to leci.

- A co na to wszystko Brytyjczycy?

- Dają się na razie nabierać. Nie ma bezrobocia, na ulicach spokój. Byłej prawicy podoba się, że załatwiono związki zawodowe. Byłej lewicy podoba się, że załatwiono baronów i hrabiów. Czarni jeszcze się nie przyzwyczaili do równości, ale powoli zaczynają z tego korzystać. Dla każdego coś miłego. Tyle, że w negatywnym sensie - widzisz, jak twój wróg obrywa po nosie.

- Wojnę propagandową chyba faktycznie wygrywają. Nie zrobili jeszcze fałszywego kroku.

- Propaganda to jedno, panie prezydencie, a życie to drugie.

- A cóż to za głębokie mądrości, Joe? Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że jeśli ktoś umiera z pragnienia na pustyni, to modli się o wodę i przysięga sobie, że nigdy już nie zostawi niedokręconego kranu. A jak już go uratują, to za pół roku nalewa pełną wannę i nawet o tym nie myśli.

- Nie widzę związku.

- Anglicy tkwili po uszy w cholernym bałaganie. Na razie są zajęci sprzątaniami i nie mają czasu na nic innego. Jak wyjdą z tego i trochę ochłoną, a sytuacja się poprawi, zaczną myśleć i wtedy się okaże.

- Co się okaże?

- Czy demokracja i wolność w ogóle są coś warte. Czy to tylko piękne słowa.

Wheeler w milczeniu popatrzał na Brodsky'ego.

- Na ile my jesteśmy za to odpowiedzialni? Czy jest coś, co mogliśmy zrobić, a nie zrobiliśmy tego? - zapytał cicho.

- Moim zdaniem bardzo niewiele - odparł Brodsky. - Może próbowaliśmy rozwiązać zbyt wiele problemów w zbyt wielu miejscach w tym samym czasie. Południowo-wschodnia Azja, Kanał Panamski, Środkowy Wschód, Libia i Kadafi, połowa Ameryki

Południowej. Może pan wymieniać dowolne miejsca na świecie – wszędzie musieliśmy być. Problemy europejskie mieliśmy też w małym palcu. To z Anglikami wyskoczyło nagle. Ale sami do tego doprowadzili. Robotnicy wiecznie żądali pieniędzy, politycy pogubili się i puścili wszystko na żywioł. Motłoch dorwał się do władzy. Rosjanie pracowali nad tym od lat, ale nikt nie wierzył, że czegoś podobnego może dojść w dobrej, starej Anglii. No i doszło.

- Chyba masz rację, Joe. Powiedz teraz, co z tym Izraelem?

Jamie Boyle siedział na brzegu mahoniowego biurka w swoim biurze i słuchał przez radio przemówienia Komisarza Radzieckiego. Gdy się skończyło, pochylił się i wyłączył odbiornik. Siedział potem kilka minut z zamkniętymi oczami, kiwając z wolna jedną nogą i próbując zebrać myśli.

Setki razy zastanawiał się, co zrobi, kiedy nadejdzie krytyczny moment. Teraz, kiedy się to stało, wszystkie te zamierzenia wydały mu się zbyt drastyczne. Zbyt krańcowe. To nie taki kryzys mieli na myśli. On, Harry Andrews i reszta. To jednak co innego snuć plany siedząc w ogrodzie w słoneczne popołudnie, a co innego wprowadzać je w życie. Różnica taka sama jak między rozmową o ubezpieczeniu na wypadek śmierci a samą śmiercią. Ich wyobrażenia na temat tego, co się stanie, w niczym się nie sprawdziły. Nie sięgały tak daleko, nie dotyczyły całej ludności, nie brały pod uwagę łajdaków rodzimego chowu, dobrze każdemu z nich znanych. Rzeczywistość przerosła wszelkie oczekiwania. Sięgnął po telefon, który w tym momencie zadzwonił.

- Boyle, MacNay i Fowler, słucham.

- To ty, Jamie?

- Tak, Harry.

- Słyszałeś mowę?

- Tak, ale jeszcze to do mnie nie dotarło. Jeszcze nie mogę uwierzyć.

- Już tu są. Na Heathrow i Gatwick wstrzymano wszelki ruch. Pasy są pełne ruskich samolotów. Ponad dwa tysiące ich personelu jest już na miejscu, jesteś nadal z nami?

- A przymierzacie się wciąż do tej sprawy?

- Jasne. Teraz jeszcze bardziej.

- OK. To jestem z wami.

- Ile czasu ci potrzeba, żeby się pozbierać?

- Może być tydzień?

- Dobra. Zjawisz się na miejscu, jak tylko będziesz wolny?

- Tak.

- Byłeś ostatnim, do którego dzwoniłem. Nikt nie skrewił. Ale teraz będzie do zrobienia dużo więcej, niż przewidywaliśmy.

- Będę na miejscu, Harry. Zrobię, co będzie trzeba.

- Dzięki, do zobaczenia. Boyle rozejrzał się po swym biurze. Zastanawiał się, co powiedziałyby jego dziadek widząc, jak to wszystko się wali. I to z takim hukiem. Prawo, to była dla starszego pana rzecz święta. Kościół Szkocji, Lord Przewodniczący Court of Session i Robbie Burns – to były filary jego świata. Nigdy by nie uwierzył w to wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich pięciu lat. Szukanie usprawiedliwień dla zachowań przestępczych, troska o kryminalistów zamiast o ich ofiary. Powiedziałyby pewnie, że zbierają teraz to, co sami zasiali. Ale kto? Kim byli ci „oni”, ludzie, którzy chcieli do tego doprowadzić? Niewielu spośród polityków, to pewne. Niezależnie od tego, do której z rządzących partii należeli. Opinia publiczna także nieustannie oburzała się przeciw na bezwolność władzy. Kilkuset krzykaczy z wojującej lewicy? Nie mieli przeciw władzy ani poparcia społecznego. Kto w takim razie wciąż wstrzymywał podjęcie zdecydowanych działań dla

zachowania prawa? Kto wciąż twierdził, że społeczeństwo samo jest sobie winne?

Boyle pokręcił głową. Usiadł przy biurku i wyciągnął szufladę, a z niej kilka arkuszy papieru firmowego. Pisał zamasyście, bez poprawek. Miał nadzieję, że potrafią czytać między wierszami. Przekazał na piśmie całość praktyki swemu wspólnikowi i kierownikowi kancelarii. Napisał też, że gdy będą czytać ten list, jego nie będzie już w kraju. Zaklejając kopertę przypomniał sobie, że przerzucił do Nowego Jorku 75.000 funtów wiele lat temu, kiedy wyglądało jeszcze na to, że Benn mógłby zostać przywódcą rozpadającej się Labour Party. Wciąż tam były. Nie potrzebował ich dotąd, a zostały całkiem nieźle zainwestowane.

Zdjął z półek kilkanaście segregatorów z aktami i położył je na biurku. Zamknął szuflady biurka, zdjął dwa klucze z pęku na kółku, a pozostałe położył obok listu. Gdy zanosił ostatni segregator do auta, zatrzasnął za sobą drzwi kancelarii i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Jeanie czekała na niego. Na niskim szklanym stoliku stały już dwie szklanki słodowego piwa. Już ponad rok temu ostrzegł ją, że może nadejść taki czas, kiedy będą musieli po prostu zostawić dom i wszystko, co mają, i wyjechać.

Ona też słuchała przemowy Komisarza Radzieckiego i spakowała już rzeczy do dwóch walizek. Ten domek w Crammond był ich domem przez siedem lat i Boyle wiedział, że Jeanie nienawidziła myśli o wyjeździe. W ogrodzie za domem spalił wszystkie akta z wyjątkiem dwóch teczek i dokładnie rozgrabił popiół.

Robiło się już jasno, gdy przejechali Grangehill i skierowali się ku plaży, do miejsca, w którym droga zawracała, okrążając wybiegający w morze przylądek. Dziesięć minut później wjechali na biegnącą pod drzewnym tunelem drogę dojazdową, prowadzącą do

starego, kamiennego domu.

Pomimo porannej godziny stary MacKay nie spał i czekał na nich. W szkockim szalu Black Watch i błękitnej kurtce wyglądał w każdym calu jak szkocki ziemianin, choć wcale nim nie był. Kamienny dom i teren wokół niego były wszystkim, co posiadał. Żył skromnie, z wypłacanej mu z funduszy trustu rodzinnej renty, która pozwalała mu utrzymać się na nienajgorszym dla samotnego mężczyzny poziomie.

Starszy pan objął Jeanie ramieniem i pocałował w policzek. - Wyglądasz ślicznie, moja droga. Chodźcie do środka, tam jest cieplej - odwrócił się, by spojrzeć na Jamie Boyle'a. - Twój ojciec już tu jest, chłopcze. Ucieszy się, że dotarłeś bezpiecznie i w dobrej formie.

Obudzili się dopiero po południu. Później Robert Boyle poprowadził syna na trawnik za domem, ku drewnianej ławce stojącej pod starą magnolią. Kiedy usiedli, ojciec spojrzał na niego i powiedział:

- Wyglądasz na zmartwionego, chłopcze. Czy coś cię trapi?

- Jestem zaniepokojony, ojcze, ale nie zmartwiony - odparł z uśmiechem.

- Wszyscy się niepokoimy. Słyszałeś, że rozwiązali obie Izby, aż do odwołania? A to znaczy na tak długo, jak oni tu będą.

- O tym nie słyszałem. Nie marnują czasu.

- Nie będę wypytywał, co teraz zamierzasz, chłopcze, ale chcę cię ostrzec. Oni są nie tylko twardzi i zdecydowani. Są bezwzględni.

Nawet bardziej niż hitlerowcy. Proszę cię, uważaj. Ty i Jeanie to wszystko, co mi zostało.

- Będę uważał, tato. Nie gryź się tym. A Jeanie zamieszka tu na stałe.

- Czy to wszystko ma coś wspólnego z tym człowiekiem, którego mi wtedy przedstawiłeś? Z pułkownikiem Andrewsem?

Jamie uśmiechnął się i położył dłoń na dłoni ojca.

- Nie pytaj, tato. Po co masz być w to wmieszany. Będą na pewno mieć oko na członków parlamentu - z kim się kontaktują i dalej.

- Tak.

- Załatwiłem pieniądze na wydatki dla Jacka MacKaya na czas waszego pobytu tutaj, więc nie przejmuj się, że będziesz dla ego ciężarem. Jest zresztą bardzo zadowolony z towarzystwa. Bardzo lubi twoją Jeanie i na pewno się nią dobrze zaopiekuje, kiedy ty będziesz się gdzieś włóczył. Ja zostanę w Corstorphine. Jeślibyś czegoś potrzebował, to zawsze możesz się ze mną skontaktować - Robert Boyle klepnął się po kolanach i wstał. Tym gestem dodawał sobie pewności, do której było mu w tej chwili bardzo daleko.

Jamie Boyle zniknął z domu zaraz po północy.

Usiedli kołem na zboczu pagórka. Glyn Thomas, Sanjiva Singh, Jamie Boyle, Cameron Davies, Meg Thomas, Joe Langley i Harry Andrews. Na niebie nie było ani jednej chmurki, ale odległe góry przesłaniała podnosząca się z doliny mgiełka. Panowała cisza zakłócona jedynie beczaniem owiec pasących się wyżej na wzgórzu, dalekim śpiewem ptaków i pluskiem strumienia skaczącego po głazach.

Andrews od niechcienia zerwał łodygę czerwonej koniczyny i patrząc w ziemię pomiędzy swoimi brązowymi „traktorami” - obracał ją chwilę w palcach. Potem spojrzał kolejno na każdego z nich i powiedział:

- Ustaliliśmy to, cośmy ustalili, dawno temu. Prawie przed rokiem. To, o czym wtedy mówiliśmy, w końcu się stało. Nie w taki sposób, jak przypuszczaliśmy, i szybciej, niż przypuszczaliśmy.

Może któryś z was, albo nawet wszyscy, uważaliście, że bujamy w obłokach. Nie wydawało nam się wtedy prawdopodobne, że kiedykolwiek będziemy zmuszeni wprowadzić te plany w życie. Jeśli ktoś się rozmyślił i chciałby się wycofać, to teraz jest na to odpowiedni moment - przenosił wzrok z jednej poważnej twarzy na drugą. - Chcę powiedzieć, że tak samo będę szanował tych, co się wycofają, jak tych, co pozostaną. Brak głębokiego przekonania do tego, co się robi, może kosztować życie setek ludzi. A całe to zadanie będzie się bardzo różnić od tego, cośmy zamierzali na początku. Naprawdę bardzo.

Andrews czekał w milczeniu kilka minut. Nikt się nie odezwał.

- Kiedy zaczęliśmy to wszystko planować - ciągnął dalej - odnosiliśmy to do ówczesnej sytuacji i do naszego własnego społeczeństwa. Do lewicowych - czy prawicowych - ekstremistów, którzy tak się rozbestwili, że policja, a nawet armia nie były w stanie ich pohamować. Naszymi atutami były - wyszkolenie, doświadczenie, w akcjach w rodzaju partyzantki miejskiej, w walkach ulicznych, nasza wzorowa organizacja i dyscyplina, nasza anonimowość, a także - nie owijając w bawełnę - fakt, żeśmy zdecydowani działać bez oglądania się na przepisy krępujące policję, czy wojsko.

Teraz przyjdzie nam się zmierzyć z wyszkolonymi do walki żołnierzami, nie zaś ze zwykłymi bandziorami. Tak więc... czy nie powinniśmy się jeszcze nad tym wszystkim zastanowić? - znów przerwał, oczekując jakiejś odpowiedzi. Gdy nadal nikt się nie odezwał, mówił dalej: - Uważam, że nadal posiadamy przewagę przeciwnikiem. Będzie o wiele trudniej - to jednak jest wojsko. Ale pamiętajmy, że to wojsko nie umie czytać ani mówić w naszym języku. Są w obcym kraju i nie orientują się w otoczeniu - pułkownik zawahał się. - Jest jednak coś, czego przedtem nie

braliśmy pod uwagę, a co będzie działało na naszą niekorzyść, czegokolwiek by Rosjanie nie ogłosili oficjalnie, są jednak niczym więcej jak po prostu agresorem i okupantem. Nie będą mieli względów dla ludzi. Mogą zacząć brać zakładników i zabijać ich w odwecie za nasze akcje. Będzie wchodziło w grę życie niewinnych ludzi. Tak więc wszystkie nasze posunięcia muszą być starannie zaplanowane. Nie będzie miejsca na zabawę w kowbojów, czy w Robin Hooda.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy udało nam się wspaniale rozbudować nasze siły. Trzydzieści grup - w każdej dwudziestu jeden ludzi podzielonych na trzyosobowe drużyny. Przybędzie ich jeszcze, gdy tamci zaczną popełniać błędy i pokażą swoje prawdziwe oblicze. Ludzie przekonają się, kim oni faktycznie są - po prostu armią okupacyjną. Oprócz naszych grup mamy jeszcze tysiące sympatyków, którzy będą nam pomagać biernie, wykorzystując swoje stanowiska i układy.

Andrews dostrzegł, że Jamie Boyle uniósł dłoń.

- Tak Jamie?

- Czy rzeczywiście możemy nadal polegać na tych sympatykach teraz, kiedy scenariusz tak bardzo się zmienił?

- Nie na wszystkich - odparł Andrews. - Będziemy musieli jeszcze raz oddzielić ziarno od plew. I musimy upewnić ich w przekonaniu, że ich pomoc dla nas nigdy, przenigdy nie zostanie ujawniona. Pamiętajcie też, że czas pracuje na naszą korzyść, nie tamtych. Nie będziemy podejmować żadnej akcji na łapu capu. Najpierw musimy zdobyć jak najwięcej informacji. No i trzeba przeczekać miesiąc miodowy, bo na początku będą się starali zrobić dobre wrażenie. Zabierze to trochę czasu, zanim się ludzie przekonają, o co im rzeczywiście chodzi.

- A o co im rzeczywiście chodzi, pułkowniku? - Cameron Davies

wciąż, mimo wszelkich ostrzeżeń machinalnie tytułował go pułkownikiem. Andrews uśmiechnął się.

- Słyszałeś przemówienie Komisarza Radzieckiego. Na pewno nie przybyli tu w żadnym z tych celów, które on wymienił. Ich cel strategiczny to kontrola nad Pomocnym Atlantykiem. Polityczny natomiast - rozłożenie NATO i wygryzienie Amerykanów z Europy - jeśli się uda. A myślę, że się uda. I wreszcie cel ekonomiczny - wydoić nas do ostatniej kropelki. Jak tylko poczują się w miarę bezpieczni, przykręcą śrubę tak, że staniemy się zwykłą kolonią pracy niewolniczej. Wygłodzoną, ogołoconą ze wszystkiego i pozbawioną choćby skrawka wolności - odetchnął głęboko i mówił dalej: - Ale nie oszukujmy się. Niektórym się to spodoba. Znajdą się kolaboranci, znajdą się Quislingowie. Tacy zresztą będą jednym z naszych celów - Andrews skinął na Joe Langleya. - Tak, Joe?

- Czy jakakolwiek guerilla, choćby najbardziej oddana sprawie jest w stanie pokonać armię okupacyjną?

- W Wietnamie tak się stało, Joe. Afgańczycy też sobie nieźle poczynają. Nawet tym z IRA prawie się to udało - Andrews wstał powoli. - Chodźmy teraz zjeść, a potem możecie wrócić do swoich baz.

Harry'emu Andrewsowi wydawało się, że tamta noc w Pen-y-Fan to było strasznie dawno. Ale nie miał wyjścia. Zaledwie trzy dni po wkroczeniu Rosjan znowu miała atak. Widziała, jak pali swój mundur w sadzie, jak ładuje rzeczy na furgonetkę i widocznie zdała sobie sprawę, że coś przed nią ukrywa. Odgadła, że jest to coś, co jej mąż chciałby ukryć również przed Rosjanami. I zaczęła odgrywać Bette Davis. Nie pamiętał, z jakiej to było sztuki - w każdym razie główna bohaterka chodząc w tę i z powrotem w bryczesach do konnej jazdy i uderzając się szpicrutą o udo,

składała donos na człowieka, który oszukał jej ojca. Paula, z pałającymi oczami, z rękami na biodrach, wykrzykiwała natomiast, że doniesie na niego Rosjanom.

Podróż do Walii była prawdziwym koszmarem. Blokada dróg co parę mil, a na siedzeniu obok jędrza. Trwało to dziesięć godzin i kiedy dotarli do farmy, był zupełnie wyczerpany. Ona, cała w uśmieszkach, próbowała flirtować z Glynem, który udawał, że tego nie widzi, ponieważ widział to już tyle razy przedtem.

W nocy, kiedy został sam z Glynem, powiedział mu o jej groźbie. Glyn, spokojny, spojrzał łagodnie w płonące ze zmęczenia i napięcia oczy Andrews.

- Mam to zrobić, Harry, czy ty sam?

- Ja bym nie mógł, Glyn. Nie mógłbym.

- Wiesz, że nie ma wyboru. Życie zbyt wielu ludzi wisi na włosku.

- Wiem.

- Wezmę strzykawkę. Nawet nie poczuje, przyrzekam ci to. Andrews zamknął oczy jak do modlitwy. Po chwili potrząsnął głową, jak gdyby chciał strząsnąć z siebie lęk.

- Dobra, Glyn. Zrób to.

Glyn namówił go, by wziął środek nasenny i Andrews obudził się dopiero wczesnym wieczorem następnego dnia. Nic nie mówili, widział jednak, że zniknęły wszystkie jej rzeczy. Starał się nie myśleć o niej zbyt często. Nie kochał jej już od dawna, a i przedtem była to być może tylko namiętność i żądza, ale trwało to jednak długo.

Następnego dnia, ze świadomością, że ma już to wszystko za sobą, Andrews wszedł na piętro domu i odczekawszy chwilę nasłuchując, nacisnął środkowy ćwiek w podkowie wiszącej na białej ścianie pomiędzy dwoma talerzami z ozdobionej niebieskimi listkami wierzbowymi chińskiej porcelany. Cichy syk sprężonego

powietrza był jedynym dźwiękiem, jaki towarzyszył wysuwaniu się spod sufitu aluminiowej drabinki. Po wejściu na poddasze nacisnął jeden z przełączników na tablicy rozdzielczej i drabinka powoli wsunęła się z powrotem do góry wraz z klapą maskującą otwór w suficie.

Nie było tu okna, ale włączony ekran monitora ukazywał jakieś cienie i światła, które po wyregulowaniu ostrości okazały się stodołą i drogą biegnącą ku farmie. Andrews poruszył tarczą sterującą i zewnętrzna kamera obróciła się, ukazując kolejno podwórko za domem, sadzawkę i niewielki sad.

Na długiej, niskiej półce stały dwa magnetofony Revoxa i zgrabny, czarny radioaparat nadawczo-odbiorczy, którego antena prowadziła do podstawy czegoś, co wyglądało jak tubus peryskopu. Powyżej, na ścianie, wisiały przypięte pinezkami wykresy przedstawiające warunki łączności radiowej w Europie, Kanadzie i USA w ciągu całego roku. Z boku stały różne urządzenia w metalowych obudowach, wśród nich stabilizator napięcia, licznik częstotliwości FC-841, skaner Bearcat 220 i zegar kwarcowy wskazujący czas Greenwich z dokładnością jednej sekundy. Na drugiej ścianie wisiały trzy zegary cyfrowe wskazujące różnice czasu między jakimiś nieoznaczonymi miejscami. Na metalowym wózku pod nimi stał odtwarzacz videodysków i komputerowy procesor tekstów.

Ściany pomieszczenia pokryte były boazerią i przypominało ono nieco saunę. Stało w nim polowe łóżko i sfatygowany fotel, a w rogu elektryczna kuchenka i czajnik obok małego zlewu z jednym kranem i termą do podgrzewania wody. Podłogę w całości pokrywała szara wykładzina.

Andrews rozstawił drewniane składane krzesło i usiadł obok półki z nadajnikiem. Sięgnął po leżący tam ołówek i notatnik.

Wypełnił trzy strony równym pismem, a potem przeczytał to, co napisał, przekreślając niektóre zdania i skreślając tu i ówdzie słowo. Następnie wprowadził cały tekst do komputera i gdy pojawił się on na ekranie odtwarzacza, przeczytał go jeszcze dwa razy. Tekst składał się z czterystu słów i kilku cyfr. Około 1100 znaków. Po wciśnięciu drugiego klawisza znaki zostały zaszyfrowane.

Połączył teraz odtwarzacz koncentrycznym kablem z niewielką, szarą, metalową skrzynką zaopatrzoną z przodu w licznik. Skrzynkę z kolei połączył drugim kablem z jednym z magnetofonów. Dziesięć minut później mógł już odtworzyć z taśmy cały tekst zapisany alfabetem Morse'a w tempie 35 słów na minutę. Po ponownym przetworzeniu całość zmieściła się w 7 sekundach nagrania i została utrwalona na drugim magnetofonie. W tej formie dźwięki Morse'a były nierozpoznawalne, a tekst zapisany losowo wybieranym kodem, zmienianym elektronicznie co godzinę, stał się całkowicie nie do odszyfrowania.

Andrews zjadł pół puszki pieczonej fasoli na zimno z grzanką, czekając, aż zegar wskaże 2400.000 GMT. Wówczas wstał i podszedł do nadajnika. O 2403.000 wcisnął klawisz odtwarzania w magnetofonie i obserwował, jak miga wskaźnik sygnału w nadajniku. Powtórzył tę operację w 23 minuty później, ponieważ był to 23 dzień miesiąca.

Nie gasząc światła, pułkownik powoli rozebrał się i położył na łóżku polowym, naciągając stary koc wojskowy na ramiona, a potem na głowę. W myślach przemknęły mu wypadki ostatnich dwóch dni. Wszystko poszło lepiej, niż się spodziewał.

Na schodach Ratusza w Birmigham tęgi oficer KGB odepchnął na bok dwóch stojących u ich szczytu mężczyzn. Komisarz Miejski Anatolij Lewinski był już i tak w kiepskim nastroju. Próbował

zrozumieć, jaka do diabła jest różnica między „city” a „town” a nikt z personelu nie potrafił mu tego wyjaśnić. Nie pozwolił im zapytać nikogo z miejscowych. Podczas krótkiego zebrania, na którym wysłuchiwał codziennego raportu, warczał i krzyczał, wściekły na wszystkich. Teraz wracał do swojego biura. Jeden z mężczyzn prześliznął się obok kagiebisty i wyciągnął do Lewinskiego rękę, w której trzymał bukiet czerwonych róż. Komisarz odepchnął kwiaty.

- O co chodzi?

- Jestem Rory Maquire, a to - wskazał na swego kolegę - jest Coulthard.

- Czego chcecie - wrzasnął Lewinski - mówcie, czego chcecie!

- Jesteśmy pana ludźmi, tu w Birmingham. Ja jestem delegatem na zjazd - odezwał się Coulthard. - Chcielibyśmy pomóc wam, towarzyszu, w waszej odpowiedzialnej pracy.

Lewinski odwrócił się do oficera KGB i powiedział coś szybko po rosyjsku parskając ze złością śliną. Oficer skinął głową i machnął ręką do swoich ludzi, a następnie wskazał na dwóch Brytyjczyków.

Pochwycono ich i wepchnięto do czarnej limuzyny stojącej z boku przy schodach ratusza. Dwadzieścia minut później siedzieli już rozebrani do naga w osobnych celach więzienia Winson Green. Po czterech dniach wprowadzono ich, wciąż nagich, do pokoju widzeń, gdzie czekał już na nich ten sam oficer KGB. Kiedy go ujrzeli, odprężyli się, jakby czując, że ktoś tak blisko współpracujący z Komisarzem na pewno doskonale ich zrozumie. Chudszy z nich, Coulthard, zdobył się nawet na słaby uśmiech.

- Jestem wykładowcą socjologii, towarzyszu. W Aston University. Zostałem delegatem, kiedy nasz przyjaciel... - zawahał się, widząc gniew w oczach oficera, ale brnął dalej. - Nasza organizacja jest niewielka, ale wyjątkowo aktywna i oczekujemy...

- Cisza! - odbity echem betonowych ścian okrzyk oficera brzmiał jak wystrzał z pistoletu. - Narobiliście tylko kłopotów Komisarzowi. Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze, sukinsyny: w-tym-kraju-nie-ma-żadnych-partii-politycznych! Jasne? Zostały zlikwidowane.

- Ale cała nasza praca...

- Jaka znów praca?! Banda starych bab dyskutująca o korzyściach materializmu dialektycznego! Nazywacie to pracą? Nie ośmieszajcie się - zniżył głos i wyrecytował: - Zostaliście osądzeni przez trybunał ludowy i uznani winnymi działania na szkodę państwa. Skazano was na dwa lata odosobnienia w obozie pracy komisji leśnictwa. Zrozumiano?

- Ale przecież nasze rodziny... my...

Pięść oficera wylądowała z trzaskiem na twarzy szczupłego mężczyzny, który zatoczył się, przyciskając ręką swój złamany nos. Po palcach pociekła mu krew. Jak przez mgłę usłyszał szcęk zamykanych metalowych drzwi. Dziesięć minut później strażnik odprowadził ich z powrotem do cel.

Joe Langley i dwóch innych działaczy związkowych siedzieli i słuchali z uwagą Rosjanina, który odczytywał komunikat nadesłany z Londynu.

- ...wysokość płac zostanie ustalona według skali zamieszczonej w instrukcji. Będzie to wypłacony w funtach ekwiwalent przeciętnych zarobków obowiązujących obecnie w Związku Radzieckim. Wszelkie dodatkowe wynagrodzenia zależą od wykonania norm produkcyjnych - Rosjanin podniósł głowę znad kartki. - Podpisał Komisarz Smetana, parafował wasz własny premier Frederick Cooper. Są pytania?

Pierwszy nie wytrzymał Charlie Harris.

- A co z naszym własnym związkiem?

- To jest wasz własny związek. Jedyny legalny związek w Wielkiej Brytanii.

- Pan mnie nie rozumie - my jesteśmy związkiem zawodowym. Wszyscy nasi ludzie to wykwalifikowani pracownicy, fachowcy.

- Toteż znajduje to odbicie w waszych płacach, towarzyszu.

- Ale nie możemy przecież negocjować w imieniu pracowników niewykwalifikowanych, czy też różniących się specjalizacją.

- Negocjować? Czego?

- Różnych spraw - zróżnicowania płac, chorobowego... no, w ogóle wszystkiego - argumentował coraz słabiej Harris.

- Zróżnicowanie już zostało uwzględnione w obowiązujących stawkach. Chorobowe będzie takie samo dla wszystkich.

- To co wobec tego będzie robił związek?

- Związki zawodowe reprezentują interesy pracowników wobec władz.

- No, a co na przykład, jeśli chodzi konkretnie o odlewników?

- A co by miało być?

- Piętnaście procent naszych członków należy do Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. Zawsze popieraliśmy waszą politykę.

Rosjanin westchnął.

- Żadnych partii politycznych już w tym kraju nie ma. Co było kiedyś, to było kiedyś, towarzyszu.

- To się skończy strajkami, kolego. Poczekać tylko, co powiedzą górnicy, kolejarze, energetycy. Nigdy w życiu się na to nie zgodzą.

- Na co?

- Na to, żeby nie było negocjacji. Rosjanin wstał.

- Każdy pracownik nie przestrzegający prawa zostanie surowo ukarany.

- Chcesz powiedzieć, że wsadzicie Arthura Scargilla i Micka

McGaheya do więzienia?

- A co to za jedni?

- Przywódcy Związku Zawodowego Górników.

- Nie istnieje nic takiego jak Związek Zawodowy Górników, towarzyszu, i nie ma żadnych przywódców związkowych. Państwo reprezentuje wszystkich pracowników. Żyjecie dniem wczorajszym.

Rosjanin skinął głową wszystkim trzem Anglikom i z wyrazem nieskrywanej pogardy na twarzy skierował się do drzwi.

Wieczorem tego dnia Joe Langley siedział przy stole, jedząc parówki z ziemniakami puree. Jego żona robiła na drutach i oglądała telewizję. Szedł program o budowie nowej zapory wodnej na granicy radziecko-chińskiej. Pochyliła się i wyłączyła dźwięk.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie zostawili partii komunistycznej. Przecież to ich ludzie.

- Nic podobnego, kochanie. Z Ruskich są tacy sami komuniści, jak i z tych tutaj.

- Ale przecież w Rosji wszyscy są komunistami, czyż nie, Joe?

- Gdzie tam. To bolszewicy. Dyktatorzy, tyrani. Tacy sami faszyci jak Hitler. Zawsze nimi byli i zawsze będą. Chodzi im tylko o władzę. Podpierają się Leninem i Marksem, ale to pić na wodę, zwyczajna dyktatura.

- Nigdy cię takim nie widziałam, Joe. Kiedyś nawet myślałam, że też się zapiszesz do partii.

- Myślałem o tym, jak miałem 18 czy 19 lat. Ale potem, w związkach, przekonałem się, na czym to wszystko polega. Manipulacje, kombinacje. Reżyserowane zebrania. Robione wybory i robione egzekutywy. Później to samo zaczęli robić w Labour Party. Ryli jak robaki w jabłku. Tych niby lewicowców, tych bojowników od siedmiu boleści obchodzi to tyle, co zeszłoroczny śnieg. Chodzi im

tylko o jedno - o władzę dla siebie. Widziałaś ich przecież, kochanie. Jak się puszą w tych telewizyjnych rozmówkach, jak się wykręcają od konkretnych odpowiedzi, jak pieprzą te same stare bzdury. Ale każdy by tylko występował w „Czy są pytania?“, a jak się nie da, to chociaż w „Magazynie działkowicza”. Byle się tylko móc pokazać.

- Czy mówiłeś coś na zebraniu?

- Nic nie powiedziałem. Ani słowa, kochanie.

- Dlaczego?

- Jak trzeba, to się mówi, a jak trzeba, to się myśli i robi. Teraz nie czas na gadanie. Mam już tych gadułów, po dziurki w nosie.

- Ale jak myślisz, Joe, czy oni... Rosjanie... może robią jednak coś dobrego?

- Powiem ci za pięć lat, dziecinko. Poczekamy, zobaczymy.

- Aha, Joe, nie ma dziś budyniu. Zabrakło w sklepie - zaśmiała się do siebie. - Kto by pomyślał, że może kiedyś zabraknąć budyniu.

Rozdział XI

Prezydent Wheeler jeszcze nigdy w ciągu całej kadencji nie czuł się tak bezradny jako prezydent. Stało się już normą, że w swojej pracy musiał codziennie wysłuchiwać utyskiwań, krytyki i doniesień o niepowodzeniach amerykańskiej dyplomacji, wywiadu, kontrwywiadu oraz polityki ekonomicznej we wszystkich pięćdziesięciu stanach USA i prawie całej Ameryce Południowej, na Bliskim Wschodzie, w Afryce, od Kairu do Przylądka Dobrej Nadziei i co najmniej w dwóch czy trzech sojusznicznych krajach Europy. Ale wydarzenia ostatnich dwóch tygodni nie były już tylko niepowodzeniami. Były prawdziwą katastrofą.

Żaden ze scenariuszy stworzonych kiedykolwiek przez Pentagon czy CIA nawet w przybliżeniu nie oddawał obecnego rozwoju wydarzeń. Nie tylko trzeba było podejmować jedną błyskawiczną decyzję po drugiej, ale jeszcze w dodatku sytuacja zmieniała się szybciej, niż trwało wykonanie tych decyzji. W ciągu ostatnich dziesięciu dni prezydent spał po trzy-cztery godziny na dobę. Nie dlatego, że nie mógł spać - po prostu nie było na to czasu. Wrzało wszędzie - z wyjątkiem Europy. W Europie już kipiało.

- Powiedz mi - prezydent spojrzał na Brodsky'ego - powiedz mi, czy jest do ciężkiej cholery chociaż jedna rzecz, którą moglibyśmy zrobić poza tą całą szarpaniną.

Sekretarz stanu sypiał nie dłużej niż prezydent. Nie był jednak prezydentem, wziął więc głęboki oddech i powtórzył wszystko kolejny raz.

- Możemy ujawnić w ONZ, co wiemy o Becque'u i jego roli

w całej tej sprawie. Możemy zwołać spotkanie szefów państw NATO, to znaczy tego, co pozostało z NATO. Możemy podjąć jakąś akcję odwetową przeciwko Sowiecom gdziekolwiek poza Europą.

- Gdzie na przykład?

- Na Kubie, w Angoli, Mozambiku, Etiopii...

- O Boże, rzygać już mi się chce, jak słyszę nazwy tych wszystkich państw naszych i ich.

- Możemy też w ogóle nie reagować, panie prezydencie. Możemy to odpuścić i niech robią co chcą.

Prezydent zrobił zbolalą minę.

- Wielka Brytania pod okupacją radziecką. Francja i RFN umizgują się do Moskwy. NATO w strzępach. Nasze oddziały wycofane z Anglii, a te w Europie tylko czekają na rozkaz powrotu. A my mamy siedzieć i nic nie robić. Zdarli z nas gacie, ale przecież, na Boga, nie musimy im dokładać jeszcze koszuli!

- Akcja i reakcja to nie to samo, panie prezydencie.

- Nie filozofuj, Joe. Mam już dość słuchania wykładów. Co proponujesz?

- Proponuję, żebyśmy nie rzucali pereł przed wieprzem. W tej chwili straciliśmy nasze wpływy w Europie. Nie mamy już baz w Wielkiej Brytanii, a to oznacza, że Rosjanie kontrolują Północny Atlantyk. Kontrola nad Atlantykiem była nam potrzebna, by bronić Europy. Wypełniliśmy to zadanie aż do samego gorzkiego końca. Francuzi nawet nie próbowali udawać. Począwszy od de Gaulle'a, aż po Giscarda nienawidzili nas jak zarazy. Poddali się Niemcom w czasie wojny, a myśmy ich wyzwolili. Musieli nas za to znienawidzić.

Niemcy z kolei boją się jak ognia, że Sowieci mogliby ich zaatakować i urządzić im wojnę. A reszta Europy rozgrywa swoje własne, małe gierki. Do tego ciągle demonstracje tych, pozał się

Boże, pacyfistów. Berlin Zachodni, Bonn, Londyn, Paryż, Madryt - wszędzie wrzeszcza: „Amerykanie do domu”. No to zrobmy to. Niech im będzie. Dajmy Europie to, czego się domaga. Nasi chłopcy wrócą do domu i oszczędzimy Bóg wie ile miliardów dolarów, które będziemy mogli wydać w kraju z większym pożytkiem dla nas wszystkich.

Wheeler spoglądał na stojącą na jego biurku fotografię rodzinną w srebrnej ramce. Na parę minut zapadło milczenie. Wreszcie podniósł głowę i popatrzył na Brodsky'ego.

- Wolałbym, żebyś nie miał racji, Joe, ale niestety ją masz - rzekł wzdychając. - Wygląda na to, że nadszedł dla wszystkich czas nauki. Anglicy nauczą się, do czego może doprowadzić rozwydrzony motłoch, jeśli się go dopuści do głosu. Reszta Europy dowie się, jak to jest, gdy ma się Moskwę jako sojusznika. A my przypomnimy sobie, co to znaczy wycofać się na swoje podwórko i nie wystawiać nosa za płot - wyprostował się w krześle. - Pokażemy im, Joe - zabębnił palcami po biurku. - W ciągu 48 godzin chcę widzieć gotowy projekt uchwały. Żadnej pomocy dla nikogo, żadnych trzecich światów. Chcą budować sobie międzynarodowe lotniska, proszę bardzo, niech sami wykładają gotówkę. Wstrzymujemy fundusze dla ONZ. Wycofujemy wkłady z MFW - Wheeler pokiwał głową. - Ty wiesz, o co mi chodzi, Joe. Stwórz jakiś dobry zespół do tego. Zakręcamy wszystkie krany. Wszystkie. I zabierzmy nasze wojsko z Europy. Zawiadom ważniejsze sieci TV, że chcę przemówić do narodu... powiedzmy... w piątek wieczorem - żeby ludzie przez weekend mieli czas zastanowić się spokojnie nad tym wszystkim - uśmiechnął się sarkastycznie. - Nie musimy wcale spuszczać nosa na kwintę, Joe. Ludziom się to spodoba, zobaczysz. Tak jak mówiłem - czas na naukę. Lekcja numer jeden, temat - miłość bliźniego zaczynaj od własnej rodziny.

Reakcje pozostałych krajów EWG na francuskie usiłowania uzyskania ich poparcia dla przejęcia władzy w Londynie przez Rosjan były zróżnicowane: od lodowatych do niemal ciepłych.

Holandia zdecydowanie potępiła okupację jako akt agresji, a próby usprawiedliwiania jej jako dokonanej „na prośbę Brytyjczyków” określiła jako nawiązywanie do metod propagandy goebelsowskiej. Co bardziej zjadliwe komentarze holenderskiej prasy przypominały, że na początku II wojny światowej, kiedy Niemcy okupowały Holandię, Związek Radziecki był ich sojusznikiem. Rząd Belgii oświadczył, że tą sprawą powinna zająć się Rada Bezpieczeństwa. Opozycja belgijska wskazała jednak z kolei na fakt, że w istocie to jeden z członków Rady pogwałcił granice innego państwa, również będącego jej członkiem.

Rząd Niemiec Zachodnich również nalegał na rozpatrzenie sprawy przez ONZ, a niemieckie środki przekazu zbliżyły się do granicy otwartej krytyki Rosjan na tyle, na ile starczyło im odwagi. Ton artykułów wstępnych w prasie wahał się pomiędzy „jeśli stało się to rzeczywiście na zaproszenie legalnego rządu brytyjskiego, to inne państwa nie powinny się wtrącać”, a zawołowanymi odniesieniami do postępowania Hitlera wobec Czechów. W jednej z gazet zastępca redaktora naczelnego na wszelki wypadek wykreślił jednak słowo „Anschluss”, chociaż jego użycie jasno wynikało z kontekstu.

Rząd francuski wykazał szczególną obłudę, chwając Brytyjczyków za zwrócenie się o pomoc z zewnątrz i podkreślił, że: „jeśli była ona rzeczywiście potrzebna, to lepiej było jej szukać z dala od europejskich rywali Wielkiej Brytanii.” Francuskie media powtarzały argumentację swego premiera, z wyjątkiem Le Canard Enchaine, który opublikował zdjęcie przedstawiające jakoby Becique'a na dziedzińcu willi w Moskwie, idącego w towarzystwie

oficjeli radzieckich z I sekretarzem Orłowem na czele. Dziennik sugerował, że to właśnie prezydent Francji był inspiratorem tej zdradzieckiej akcji przeciwko niedawnemu sojusznikowi. Pałac Elizejski zareagował groźbami, ale w Canard byli już do tego przyzwyczajeni. W następnym tygodniu w piśmie zamieszczono obok siebie zdjęcia Becque'a i Nataszy Kuzniecovej, tancerki moskiewskiego baletu. Fotografie opatrzone wspólnym nagłówkiem - „Jeden lubi rybki, a drugi... Nataszę”.

Przez parę tygodni spotykały się różne komisje i podkomisje Organizacji Narodów Zjednoczonych, aż w końcu ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ w gniewnym oświadczeniu określił keję ZSRR jako „niewątpliwy akt wojny i brutalne zlekceważenie opinii ONZ i wolnych narodów całego świata”. Ale wolny świat zauważył użycie słowa „niewątpliwy” i odetchnął z ulgą. Prasa amerykańska przypominała sprawę Afganistanu, a radziecka - Salvador. Oba kraje powoływały się przy tym na traktaty dwustronne jako na podstawę „prawa do oczyszczania własnego podwórka”.

Jednak w miarę jak kurz retoryki spowijał coraz gęstszą chmurą fakty i sedno sprawy - po to zresztą został wzniecony - świat powrócił znów w swoje stare koleiny. Brak jakichkolwiek działań tłumaczono koniecznością dania Brytyjczykom „szansy uwieńczenia powodzeniem przedsięwzięcia, które podjęli przecież z własnej woli”. „Nikt nie ma prawa ingerować w wewnętrzne sprawy innych państw”. I tak dalej. Zarówno poszczególne narody jak i ich rządy nie miały ochoty zbyt długo rozwodzić się nad tym, co się stało. Jak po wizycie u dentysty - zepsuty ząb usunięto, a krwawienie, puste miejsce najlepiej zignorować - zarośnie samo. Poza tym mało kto w Europie nie cieszył się z faktu, że Amerykanom wreszcie przytarto nosa.

Kamera telewizyjna ukazywała prezydenta w półpostaci, siedzącego przy biurku, z miniaturką flagi narodowej stojącą po jego prawej ręce. Następnie pokazano w dużym zbliżeniu twarz prezydenta. Makijaż podkreślał jego opaleniznę, a opalenizna podkreślała błękit jego oczu. Mówił nieco wolniej niż na co dzień, czy na kameralnych spotkaniach.

- Dobry wieczór. Myślę, że nadszedł już czas, aby powiedzieć narodowi o paru problemach, z którymi ostatnio mieliśmy do czynienia i o tym, w jaki sposób rząd Stanów Zjednoczonych ma zamiar się z nimi uporać.

Decyzja rządu brytyjskiego wycofania się z programu Trident stała się jedynie początkiem całego szeregu problemów, które pojawiły się w Europie. Ale pod wieloma względami była ona typowa dla tego, co nastąpiło potem. Zostało bowiem zawarte poważne i zobowiązujące obie strony porozumienie. Został zawarty kontrakt pomiędzy rządami. I ten kontrakt został jednostronnie zerwany przez rząd brytyjski. Rozważaliśmy właśnie, jakiego rodzaju finansowej pomocy moglibyśmy udzielić Wielkiej Brytanii, kiedy nagle postawiono nas w obliczu faktu, że nasz długoletni sojusznik podpisał tak zwany „Traktat o Współpracy” ze Związkiem Radzieckim.

Niedługo potem okazało się, że pozostali członkowie Paktu Północnoatlantyckiego nie zamierzają dłużej utrzymywać swego członkostwa w tej organizacji.

Wobec takiego rozwoju wypadków wydałem polecenie wszystkim naszym oddziałom w Europie, aby natychmiast, wraz z całym wyposażeniem, powróciły do Stanów Zjednoczonych. Połowa z nich znajduje się już obecnie w kraju. Ponadto powiadomiłem przywódców zainteresowanych państw, że Stany Zjednoczone wycofują się ze wszystkich porozumień zawartych w ramach NATO.

Porozumień, które owe państwa same swoim postępowaniem przekreśliły i zniszczyły.

Wielu komentatorów z różnych kręgów politycznych, jak również środki masowego przekazu, zarówno w Ameryce jak i za granicą, twierdziło, że wydarzenia te stanowią naszą dyplomatyczną porażkę, że są całą serią porażek rządu Stanów Zjednoczonych. Jak przy wielu poprzednich tego rodzaju okazjach, tak również i teraz, ośmielałam się mieć odmienne niż eksperci zdanie. Jeśli twój sąsiad odrzuca twoją ofertę pomocy, kiedy jego dom staje w płomieniach, lub jest on atakowany przez chuliganów, to trudno to nazwać porażką. Może to raczej nasuwać przypuszczenie, że sąsiad nie ma po prostu zamiaru bronić swojej rodziny ani swojej własności. Ale w warunkach demokracji jest to oczywiście jego prawo. I jego własna odpowiedzialność.

W naszych stosunkach z innymi narodami wymogi dyplomacji często zmuszają nas do niemówienia głośno tego, co mamy na myśli, do nastawiania drugiego policzka. Do zachowywania milczenia, kiedy jesteśmy odtrącani i obrażani przez tych ludzi, którzy zamęczają nas wciąż nowymi prośbami o milionowe pożyczki czy o udostępnienie im owoców naszej nauki i technologii. Wielu zwykłych obywateli, nie obeznanych z zasadami tak zwanej dyplomacji, zastanawia się, dlaczego wysyłamy tysiące ton naszych produktów rolnych do innych krajów po to, aby przyglądać się potem, jak te kraje handlują nimi na czarnym rynku. Być może zastanawiają się również, dlaczego wydajemy miliony dolarów na Organizację Narodów Zjednoczonych tylko po to, żeby potem stawiały nas pod pręgierzem te same narody, które proszą o naszą materialną i rzeczową pomoc, i które tą pomoc otrzymują. Mógłbym długo jeszcze kontynuować to wyliczanie. Lista tych anomalii jest obszerna i napawa przygnębieniem. Przez zbyt długi już czas

z perspektywy Waszyngtonu postrzegaliśmy świat międzynarodowej dyplomacji jako świat fantazji, w którym szczodrość wynagradzana jest obelgami, roztaczanie opieki - morderstwami, a dobra wola - zdradą.

Moi rodacy, Amerykanie, od dzisiaj kończymy z tym wszystkim. Nasi wrogowie nie będą nas już dłużej traktować po łajdacku, a nasi sojusznicy nie będą nas już dłużej wykorzystywać. Dzień dzisiejszy to początek nowej gry. Wydałem już odpowiednie polecenia skarbowi państwa, sekretarzowi stanu i właściwym ministrom, aby od północy dnia dzisiejszego żadne fundusze rządowe nie były wykorzystywane do jakichkolwiek celów poza granicami Stanów Zjednoczonych. Nasz przeciążony budżet federalny nie będzie już dłużej musiał uginać się pod brzemieniem połowy problemów tego świata. Wszystkie te kraje jakże często skarżyły się, że dając im pieniądze, odbieramy im jednocześnie niezależność. Od dziś nie będą już miały powodów do narzekań. Staną się stuprocentowo niezależne. Wzięliśmy na siebie zbyt wiele, moi drodzy. Nasi podatnicy znów będą mogli swobodnie odetchnąć, nasi chłopcy pozostaną tutaj, gdzie jest ich miejsce. Pozostaną w kraju. Stany Zjednoczone dobrze przyswoiły sobie tę lekcję. Jak mówią słowa piosenki: „...czas na dziś zakończyć pracę” - prezydent uśmiechnął się i był to wzbudzający zaufanie, otwarty uśmiech. - Dobranoc wam wszystkim.

W Białym Domu i we wszystkich stacjach radiowych i telewizyjnych centrale telefoniczne nie nadążały z odbieraniem telefonów z gratulacjami. Na ulicach niektórych miast rozpoczęło się spontaniczne świętowanie. Nie ulegało wątpliwości, że prezydent Wheeler trafił tym razem w dziesiątkę. Jeśli ktoś miał jakiegokolwiek wątpliwości, wołał je zatrzymać dla siebie.

Ponieważ istniała tylko jedna gazeta - British News i tylko jedna sieć radiowo-telewizyjna - New British Broadcasting Company, ludzie nie bardzo orientowali się w tym, co się dzieje poza ich najbliższą okolicą. Wszyscy woleli zresztą zajmować się swoimi sprawami, ostrożnie unikając komentarzy nawet wobec najbliższych przyjaciół.

Fabrykom i biurom przydzielono radzieckich doradców, ale jak na razie nie spieszyli się oni z przeprowadzaniem jakichś istotniejszych zmian.

W Hyde Parku odbył się Festival of New Britain. Zaprezentowano na nim całą gamę różnorodnych osiągnięć angielskiego przemysłu, sztuki i rzemiosła. Publiczność jednak zupełnie nie dopisała, mimo że wstęp był bezpłatny. Natomiast po bilety na występy baletu Bolszoi i radzieckiej grupy akrobatycznej ustawiały się kolejki. Dynamo Moskwa i Dynamo Tbilisi rozegrały kilka towarzyskich spotkań z miejscowymi drużynami w większości dużych miast, a w Portsmouth ustawiała się bardzo długa kolejka chętnych do zwiedzenia radzieckiego lotniskowca „Mińsk”.

Większość luksusowych hoteli i wiele budynków użyteczności publicznej zostało przejętych przez Rosjan na mieszkania i biura administracji. Żołnierzy Armii Czerwonej wypuszczano na ogół poza teren koszar, jednak ci, którzy otrzymali przepustki do miasta, zachowywali się uprzejmie czy wręcz przyjaźnie. W sumie jednak starali się trzymać na uboczu, a indywidualnych kontaktów z poszczególnymi mieszkańcami w ogóle im zabroniono.

Przed końcem lata większość zakładów pracy została podporządkowana znacjonalizowanym zjednoczonym kontrolowanym całkowicie przez personel radziecki. Bezrobotną młodzież skierowano do pracy na roli, w leśnictwie i przy budowie dróg. Kobiety kierowano do pracy w szpitalach i w przemyśle

lekkim. W początkowym okresie tylko niewielka część tych młodych ludzi zdecydowała się na sprzeciw wobec nowych przepisów. Zostali osądzeni przez miejscowe sądy ludowe i otrzymali długoletnie wyroki więzienia. Opinia publiczna zdawała się darzyć ich niewielką sympatią i niewielu zdecydowało się ich naśladować.

Na ulice miast powrócił spokój. Ustały wszelkie akty przemocy i grabieży, a jakiegokolwiek próby zachowań chuligańskich były karane bardzo surowo. Zdarzające się gdzieś wykroczenia przeciw prawu były popełniane w większości przez nałogowych przestępców i policja całkowicie panowała nad sytuacją. Większość funkcjonariuszy policji pozostawiono na ich dawnych stanowiskach. Jedynie miejscy i regionalni szefowie policji znajdowali się pod stałą kontrolą urzędników radzieckich.

Pierwsze braki w zaopatrzeniu zaczęły występować dopiero wczesną jesienią. Początkowo dotyczyły one mniej ważnych artykułów, takich jak długopisy, włóczka, sztucce czy guziki. Nie wywoływały one jednak jeszcze zbyt wielkiego rozdrażnienia, a w nowo utworzonych „klubach pracowniczych” krążyło na ich temat wśród robotników zaledwie kilka dowcipów. Jednak w listopadzie zaczęło brakować żywności i półki większości sklepów w połowie opustoszały. Niektóre artykuły, jak chleb, masło i mąkę zaczęto racjonować, ale mimo to nieczęsto były one dostępne. Pojawiły się plotki o kolejkach radzieckich statków handlowych oczekujących w portach brytyjskich na załadunek zboża i kontenerów pełnych angielskich produktów.

Jeden z aktorów występujący w nadawanym na żywo telewizyjnym programie rozrywkowym pozwolił sobie na dowcip na temat radzieckich statków i braków w zaopatrzeniu i został aresztowany natychmiast po wyjściu ze studia. Tym razem władze zadowolily się niewielkim wyrokiem i opisaniem całej sprawy na

pierwszej stronie „British News” jako przestrogi dla innych.

W pierwszym tygodniu grudnia na Trafalgar Square ustawiono wielką, dwudziestometrową choinkę jako dar żołnierzy Armii Czerwonej. Jakby dla podkreślenia faktu zmiany ofiarodawcy tej tradycyjnej świątecznej dekoracji tej samej nocy zaczął padać śnieg.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia podwojono racje żywnościowe, jednak w sklepach nie było ani indyków, ani gęsi. W radiu i telewizji niemal codziennie można było natomiast usłyszeć pogadanki na temat dobroczynnego dla zdrowia działania diety opartej na ziemniakach, rzepie i surówkach owocowych.

Nawet „Harrods”, który nazywał się teraz „Wjentorg”, tak jak jego odpowiednik w Moskwie, miał niewiele do zaoferowania radzieckim oficerom i wyższym urzędnikom, którzy jako jedyni mieli prawo dokonywać w nim zakupów. Pojawiła się plotka, że władze w Moskwie były zaniepokojone wrażeniem, jakie wywarła na ich funkcjonariuszach tak wielka obfitość towarów swobodnie dostępnych w sklepach, i celowo wycofały ze sprzedaży wszystko to, co było rzadko dostępne także w Moskwie, nawet dla uprzywilejowanych. Na wiosnę pozwolono na przyjazd do Wielkiej Brytanii pewnej ilości radzieckich grup turystycznych i również ich reakcje należało brać pod uwagę.

Nie wiadomo skąd pojawiła się pogłoska, że królowa wygłosi swoje tradycyjne orędzie świąteczne jak zwykle w Wigilię o czternastej. Lecz oczywiście nie z Londynu, tylko z Ottawy. Niektórzy odnieśli się krytycznie do faktu opuszczenia kraju przez członków rodziny królewskiej, jednak większość zwykłych ludzi uważała, że nie mieli oni wyboru. Nikt nie chciał powtórzenia Jekatierinburga w 1984 roku. Jednak w pogłoskę o tym, że królowa przemówi przez radio, uwierzyło tylko niewielu.

Joe i Mary Langley znajdowali się wśród kilku milionów tych Anglików, którzy w Wigilię zdecydowali się jednak na kilka minut przed czternastą nastawić swoje odbiorniki na falę, na której kiedyś nadawano program czwarty. Nowe BBC zajęło tę częstotliwość, ale w wielu domach znajdowały się anteny talerzowe, które większość ludzi kupiła sobie jeszcze w 1983 roku, aby móc odbierać programy satelitarne. Używano ich nadal, pomimo zakazu wydanego przez władze radzieckie. Nowych przepisów i zakazów wydano zresztą tak wiele, że ani policja, ani Rosjanie nie byli w stanie dopilnować przestrzegania ich wszystkich. Kilka osób, które popełniły poważniejsze wykroczenia, ukarano wysokimi grzywnami, ale jak do tej pory nikogo nie skazano na więzienie.

Dokładnie o 1358 Joe złapał jakiś szum pomiędzy National Service i dawnym programem trzecim. O 1400 z odbiornika rozległy się dźwięki „God Save the Queen”. Fala chwilami zanikała, ale nawet w najcichszych momentach głos królowej był wyraźnie słyszalny. Mówiła powoli i wyraźnie, jak zawsze, kiedy przemawiała przez radio.

- Chciałam powiedzieć wam kilka słów tego szczególnego dnia. Dzięki współpracy rządu kanadyjskiego stało się to możliwe.

Kiedy powiedziano mojej rodzinie i mnie, że musimy opuścić ojczyznę, aby uniknąć dostania się w ręce sił okupacyjnych, nasze życie uległo dramatycznej zmianie. Ale taki los stał się wówczas udziałem wszystkich angielskich rodzin. W ciągu ostatnich kilku lat byliśmy świadkami zmian, których możliwość nie przyszlaby nigdy nikomu do głowy, w żadnym demokratycznym państwie. A szczególnie w naszym kraju. Ludzie złej woli, kierujący się niskimi pobudkami, wykorzystali naszą tradycyjną tolerancję i demokratyczne swobody dla swoich własnych, podłych celów. Kiedy przemoc i anarchia stały się codziennością, okazało się, że

zarówno moralnie jak i politycznie jesteście nieprzygotowani do stawienia czoła takiej sytuacji. Dawni przyjaciele porzucili nas, a niektórzy posunęli się nawet do tego, że starali się przyspieszyć nasz upadek. Dziś nasz dumny kraj jest okupowany przez Związek Radziecki, a wy wszyscy doświadczacie tej samej okrutnej tyranii, której ludzie w ZSRR poddani są już niemal od siedemdziesięciu lat. Garstka samozwańców mianująca się elitą, towarzystwo wzajemnej adoracji na Kremlu, decyduje o tym jak mają myśleć miliony ludzi i co im wolno wiedzieć, a czego nie. A wszystko to pod kontrolą tajnej policji, której działania stały się synonimem brutalności i obojętności na podstawowe zasady człowieczeństwa.

Bardzo bym pragnęła posłać wam dzisiaj słowa wybawienia, ale jest to niestety niemożliwe. Nadzieja zaś, którą mogę wam oferować, nie jest nadzieją na następny miesiąc, czy nawet na następny rok, ale jest to nadzieja na całą przyszłość, ponieważ to, co się stanie z wami w przyszłości, będzie wyznacznikiem przyszłości całego rodzaju ludzkiego.

Sir Winston Churchill przemawiając w 1941 roku przez radio z właściwą sobie przenikliwością określił, którądy biegnie zasadniczy nurt historii. Oto co powiedział: „Kiedy dzieją się wielkie sprawy tego świata, poruszając dusze wszystkich ludzi, powodując, że porzucają oni ciepłe miejsca przy kominku, odrzucają wygodę, bogactwo i pogoń za szczęściem w odzwie na impulsy równie porywające, co przejmujące lękiem, wówczas przekonujemy się wciąż od nowa, że tym, co nami kieruje, nie są zwierzęce instynkty, ale porywy ducha ludzkiego. Byłoby hipokryzją z mojej strony życzyć wam Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku. Ale jestem całym sercem z wami, nawet jeśli obecna sytuacja zmusza mnie do pozostania tutaj. Niech Bóg błogosławi was wszystkich.”

Kiedy zabrzmiały dźwięki dawnego hymnu narodowego, Joe

Langley wyłączył odbiornik. Przez kilka minut oboje siedzieli w milczeniu.

Mary Langley wytarła łzę w kąciku oka i pochyliła się, aby podnieść robótkę leżącą obok jej krzesła na podłodze.

- Biedaczka, pewnie cały czas się zastanawia, skąd ją dosięgnie następny cios.

- W Kanadzie jest raczej bezpieczna.

- A te wszystkie demonstracje przeciwko nim? Francuzi kanadyjscy, czy jak tam ich nazywają. Widziałam w telewizji.

- Ten film był zrobiony przez Ruskich. Na tej całej demonstracji było wszystkiego nie więcej jak setka ludzi. Po prostu filmowali tych samych ludzi z kilku kamer pod różnymi kątami.

Mary Langley odłożyła swoją robótkę i spojrzała na męża. - Czy mogę ci zadać jedno pytanie, Joe?

- O ile cię znam i tak nie byłbym w stanie cię powstrzymać - odparł z uśmiechem.

- Kiedy ostatnio nie było cię w domu, dlaczego kazałeś mi powiedzieć, gdyby przyszedł ten Rosjanin z fabryki, że jesteś chory?

- Nie chciałem, żeby wiedział, że mnie nie ma.

- To wiem, ale to niepodobne do ciebie, żeby oszukiwać ludzi. Żeby kłamać.

- Czasy się zmieniły, kochanie i ja musiałem się zmienić razem z nimi. Tak samo jak wielu innych ludzi, nie uważam okłamywania Rosjan w ogóle za kłamstwo. Szczególnie, jeśli może się to przysłużyć dobrej sprawie.

- Czy powiesz mi coś o tej dobrej sprawie, Joe? - spytała cicho Mary.

- Nie. Będzie lepiej, jeżeli nic nie będziesz wiedziała. W każdym razie nie jest to nic, czego należałoby się wstydzić. To ci mogę przysiąc.

- Ale ja się boję, Joe. Boję się o ciebie. Jesteś wszystkim, co mam.

- Nic się nie bój, kochanie, wiem, co robię. Joe wstał z fotela.

- Czy jest jeszcze trochę mleka, bo chciałbym sobie zrobić kakao?

- Jest. Ale potrzebujemy go na owsiankę dla ciebie. Zresztą i tak nie mamy kakao. Przywieźli wczoraj trochę do Lampertsza, ale zabrakło, ledwo ustawiła się kolejka. Dostało tylko parę osób. Napij się herbaty, mamy jeszcze odrobinę. Pani Wilson dała mi trochę za to, że naprawiłeś jej zlew.

Joe machnął ręką.

- Chodź, kochanie, pójdziemy się lepiej położyć. Jutro mam ciężki dzień.

Rozdział XII

Helikopter osiadł łagodnie na dziedzińcu katedry św. Filipa w centrum Birmingham. Żołnierze Armii Czerwonej wyprężyli się w salucie, podczas gdy Sawalew i Cooper zaczęli schodzić po metalowych schodkach. Przedstawiono im Brytyjskiego Komisarza Miasta i jego rosyjskiego odpowiednika, a następnie udali się samochodem do ratusza. Na drzwiach pomieszczenia, w którym kiedyś mieścił się salon burmistrza, widniał teraz napis: Komisarz Miejski (radziecki).

Oczekiwali już na nich tutaj Komisarz Policji, przewodniczący miejskiego oddziału Narodowych Związków Zawodowych i sekretarz Urzędu Miasta. Po wymienieniu zdawkowych powitań wszyscy usiedli wokół stołu i Cooper zagaił posiedzenie.

- Przybyłem tutaj z dwóch powodów. Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, co u was słyhać, jak stoją sprawy. Po drugie zaś dlatego, iż dotarły do mnie informacje, że macie tutaj pewne problemy. Chciałbym usłyszeć coś bliższego na ich temat. Może zacznijmy najpierw właśnie od tych problemów.

Komisarz Miejski (brytyjski) skinął na szefa policji. Jak większość policjantów, zarówno oficerów jak i zwykłych posterunkowych, również i on pozostał na swoim dawnym stanowisku. Ktoś i tak musiał to robić i szef policji uważał, że lepiej, żeby był to ktoś z doświadczeniem. Poza tym Rosjanie dali policji władzę, o jakiej nigdy przedtem nawet jej się nie śniło. Takiego autorytetu i tak wysokiej pozycji społecznej, jak obecnie, nie miała chyba od dobrych sześćdziesięciu lat. Jednak stosunek Rosjan do

przestępców powodował niepotrzebne zadrażnienia z miejscową ludnością. Komisarz policji mówił, patrząc prosto przed siebie i unikając napotkania czyjegokolwiek wzroku.

- Sytuacja zmusza nas do marnowania setek godzin pracy na udzielaniu odpowiedzi na pytania ludzi o miejsce pobytu skazanych. Najczęściej nie możemy im nic odpowiedzieć, ponieważ sami nie jesteśmy zorientowani. Krążą plotki, że wielu z nich znajduje się w obozach pracy w Związku Radzieckim, a to wzmaga jeszcze wrogość mieszkańców wobec moich ludzi. Nie wiem, jak mamy sobie z tym poradzić.

- Jak wiele osób w ciągu tygodnia zgłasza się do was z tego typu sprawami? - zapytał Sawalew.

- Trzysta, czterysta osób. A konkretnej odpowiedzi jesteśmy w stanie udzielić jakimś pięciu procentom.

- Co odpowiadacie pozostałym?

- Najczęściej, że sami nic nie wiemy, ponieważ tak rzeczywiście jest.

- Nic poza tym?

- Cóż jeszcze moglibyśmy im powiedzieć, skoro rzeczywiście nie wiemy, gdzie są ci ludzie.

- Jakie są reakcje pytających?

- Reakcje są wrogie. Obrzucają nas obelgami.

- Jakiego rodzaju to są obelgi?

- Zawsze te same bzdury. Mówią, że jesteśmy brytyjskim KGB, że liżemy tyłki Rosjanom. Tego typu rzeczy.

- Czy pomogłoby wam, gdybyście mogli odpowiadać, że przestępcy zostali wysłani do Związku Radzieckiego w celu odbycia kary?

- Coś takiego bardzo ulżyłoby moim ludziom. Wszyscy by wiedzieli, że to wasze władze są za to odpowiedzialne, a nie my.

- Nie chcecie brać na siebie odpowiedzialności, co?

Twarz komisarza policji poczerwieniała. Nie z zakłopotania jednak. Nawet nie z gniewu, lecz po prostu z oburzenia.

- Nie mam zamiaru brać na siebie odpowiedzialności za działania, których się ze mną nie konsultuje, i z którymi osobiście się nie zgadzam.

Sawalew uniósł brwi.

- Z czym to się pan nie zgadza i dlaczego?

- Z tym, że więzi się ludzi z dala od ich własnego kraju. Gdzieś, gdzie nie mogą się porozumieć, ponieważ nie znają języka, gdzie ich krewni nie mają do nich dostępu.

- To zdaje się pan był autorem złożonego pięć lat temu w Home Office memorandum, postulującego wydawanie wyroków krótkoterminowych, lecz o zaostrzonym rygorze. Czyżby zmienił się pański pogląd na tę sprawę?

- Nie.

- No a przecież więźniom przeniesionym do obozów pracy w Związku Radzieckim skraca się karę do zaledwie jednej trzeciej?

- To jest bez znaczenia, panie Sawalew. Te wyroki są i tak o wiele za długie.

- Sądzi pan, że angielscy przestępcy powinni dostawać krótsze wyroki niż radzieccy?

- Być może jedni i drudzy powinni dostawać krótsze.

Sawalew nie wydawał się zachwycony.

- Czy był pan już na kursie przystosowawczym?

- Nie, jakoś nie było dotąd czasu.

- W takim razie w przyszłym tygodniu pańskie obowiązki przejmie pana zastępca, a pan weźmie udział w kursie.

Sawalew zwrócił się z kolei do przedstawiciela Narodowych Związków Zawodowych.

- A pan, przyjacielu? Jakie ma pan kłopoty?

- Trochę trudno to wyjaśnić, panie komendancie, może gdyby...

Sawalew przerwał mu gniewnie.

- Nie jestem komendantem. W tym kraju nie ma żadnych komendantów. Nazywam się Sawalew.

- W porządku, w porządku - odparł mężczyzna, wierząc się niespokojnie na krześle.

- Proszę wobec tego przedstawić wasz problem, towarzyszu.

- Ludzie skarżą się, że związki im nie pomagają.

- W jakim sensie? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie możemy negocjować na temat płac i warunków pracy.

- Decyzje w tych sprawach podejmują wyłącznie władze państwowe. Nie należą one do kompetencji związków zawodowych.

- Wiem, właśnie im to powiedziałem, ale dalej narzekają.

- Kto konkretnie narzeka?

- Jest z pół tuzina takich, którzy zupełnie nie dają mi spokoju.

- Proszę podać ich nazwiska mojemu koledze - Sawalew wskazał ręką na radzieckiego Komisarza Miejskiego i powiedział do niego coś po rosyjsku. Ten pokiwał w odpowiedzi głową.

Z kolei Cooper zwrócił się do brytyjskiego Komisarza Miejskiego.

- A jak wygląda sytuacja w mieście?

Mężczyzna wyprostował się w krześle i z uśmiechem odpowiedział:

- Całkiem dobrze, biorąc pod uwagę, jak wiele się zmieniło. Ludzie potrzebują trochę czasu, żeby przyzwyczać się do nowego sposobu myślenia, ale ogólnie rzecz biorąc, przyjęli to wszystko bardzo dobrze. Z ulic zniknęli chuligani, nie ma już aktów przemocy. Prawie w ogóle nie ma przestępców, a jeśli się jakiś trafi załatwiamy się z nim krótko. Ktoś mi ostatnio powiedział, że w Birmingham jest teraz życie jak w niedzielne popołudnie

w Swansea - mężczyzna uśmiechnął się. - I chyba miał rację. Większość ludzi też tak uważa.

- A co z punkami, skinami?

- Posłaliśmy ich wszystkich do pracy przy budowie dróg. I pracują. Zresztą nie ma już zasiłków, więc nie mają wyjścia. Nie mają nawet czasu poużalać się nad sobą i przestali ustawicznie wszystko krytykować. W ogóle już nie ma z nimi problemu.

W drodze powrotnej do Londynu Cooper usiadł w samolocie obok Sawalewa, popijając whisky. Mimo wszystko zaczynał powoli lubić tego Rosjanina. Nieraz miewał okazję przyglądać się, jak Sawalew używa swojego wpływu dla ukształtowania właściwej postawy Rosjan wobec Brytyjczyków. Zdawał się całkiem nieźle rozumieć ten kraj i jego mieszkańców.

- Bardzo dziś byłeś ostry, Lew.

- Być może. Chyba dlatego, że denerwują mnie te wieczne angielskie narzekania. Prostujemy przecież konkretne sprawy, które szły niewłaściwym torem. A jednak zawsze znajdzie się ktoś, kto ma jakieś „ale”. Ludzie są wiecznie niezadowoleni. Wszyscy nasi komisarze miejscy mówią to samo. Ostrzegałem ich jeszcze na szkoleniach, że mogą się z czymś takim spotkać, ale jest gorzej, niż się spodziewałem. Dużo gorzej. Cooper uśmiechnął się.

- Gdybyś był członkiem któregoś z ostatnich rządów, Lew, przekonałbyś się, że to, co się teraz dzieje, jest zupełnie niebywałe. Wtedy było o wiele gorzej. Wszystko, co robiliśmy, nieustannie spotykało się z krytyką. A środki przekazu dolewały jeszcze oliwy do ognia. Nie mieliśmy żadnych szans. To, co was teraz spotyka, to jest nic.

Sawalew wyglądał przez okno. Nie odwracając głowy, zapytał:

- Dlaczego nie ożeniłeś się drugi raz, Freddie, po śmierci twojej żony?

- Nigdy nie spotkałem nikogo, na kim mógłbym polegać w tym samym stopniu, co na niej. A żaden połowiczny związek mnie nie interesuje.

- A może byś się zajął jakąś miłą Rosjanką - rzekł ze śmiechem Sawalew. - Będę musiał ci wybrać jakąś na próbę.

Cooper również się roześmiał.

- Te twoje są dla mnie trochę za młode.

Sawalew zachichotał.

- Dla mnie też są za młode, ale takie lubię najbardziej.

- Słyszałem, że ostatnio zajmujesz się całkiem poważnie osobą należącą do arystokracji.

- Czy masz na myśli Daphne, Honourable Daphne Mather?

- Tak, właśnie.

Sawalew poprawił się w fotelu.

- Wiesz, jak pierwszy raz ją zobaczyłem, miała dziewiętnaście lat i wyglądała jak taka typowa chłodna blond piękność. Byłem pewny, że to prawdziwa góra lodowa. Kiedy pierwszy raz poszliśmy do łóżka, powiedziała, że jestem jak prawdziwe zwierzę. Ale wiedziałem doskonale, że strasznie jej się to wszystko podobało. Wierz mi. Jest nienasycona.

- Ale z twojej strony to nic więcej, jak tylko łóżko?

- Nigdy się nie ożenię, Freddie, jeśli ci o to chodzi. Nigdy.

- Ale dlaczego?

- Jeżeli nie ma się zamiaru mieć dzieci, to to wszystko nie ma sensu. A ja już dawno temu postanowiłem, że nigdy nie będę miał dzieci.

- Trudno mi to zrozumieć, Lew. Widziałem przecież, jak świetnie się bawisz z moimi wnukami.

- O, tak. Ja bardzo lubię dzieci. Ale one powodują, że stajesz się podatny na ciosy. Wam tutaj trudno jest zrozumieć, dlaczego my,

Rosjanie, wciąż powtarzamy o tych dwudziestu milionach ludzi, których straciliśmy w czasie wojny. Ja miałem dwie siostry i dwóch braci. I Bóg wie, jak wiele ciotek, wujków, siostrzeńców i siostrzenic. No i oczywiście matkę i ojca. Moja matka przeżyła. Załatwiłem jej kawalerkę w Moskwie. Mieszka tam sama i rozmawia tylko ze sobą albo ze swoimi kotami. Czasami mnie poznaje; czasem myśli, że jestem moim ojcem albo jednym z moich braci. Ona i ja to wszystko, co pozostało z naszej rodziny. Pamiętam, jak zachodni komentatorzy nie mogli się nadziwić, dlaczego „Saga Rodu Forsythów” stała się jednym z najbardziej popularnych seriali w naszej telewizji. Mogę ci powiedzieć, dlaczego. Ludzie mogli zobaczyć w tym filmie rodzinę, która istnieje i rozwija się przez całe lata, przez całe dekady. Której członkowie umierają tylko ze starości. Dla nas, Rosjan, to było zupełnie jak sen. Na Zachodzie panuje przekonanie, że my nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że wszystkiego nam brak, ponieważ ślepo przyjmujemy to, co serwuje nam Biuro Polityczne. Wydaje się wam, że powinniśmy protestować, ponieważ prawie jedna czwarta naszego dochodu narodowego idzie na zbrojenia. Ale nam to nie przeszkadza, Freddie. Dopóki ten system pozwala nam choć trochę być Forsythami. Życ w wielkich, rozgałęzionych rodzinach, w których wszyscy trzymają się razem przez całe dziesięciolecia. I umierają tylko ze starości.

- Dlaczego w takim razie Lew Sawalew nie miałby mieć rodziny?

Wzrok Coopera napotkał przez chwilę spojrzenie brązowych oczu Sawalewa. Rosjanin westchnął, odwrócił się z powrotem do okna i odparł:

- Ponieważ nie jestem w stanie uwierzyć, że to potrwa jeszcze dostatecznie długo.

Nikt tak naprawdę nie wiedział, dlaczego wybrali akurat Tommy'ego Pardoe. Nawet on sam tego nie wiedział. Kiedy przyszli Rosjanie, był szeregowym reporterem w Daily Mail. Nie miał żadnej specjalizacji i pisywał raczej rutynowe artykuły na tematy ogólne. Ale kiedy zamknięto wszystkie gazety, nowy szef biura agencji TASS na Gough Square zaproponował mu pracę. Otrzymał stanowisko konsultanta i szybko stało się jasne, że nie zatrudniono go w celu pisania artykułów do British News. Otrzymał natomiast niewielkie, samodzielne biuro, oraz polecenie dokładnego czytania od deski do deski każdego wydania gazety, a następnie sporządzania pisemnego komentarza na temat jej treści dla redaktora naczelnego Pietrowa. Rosjanom zależało szczególnie na komentarzach dotyczących tych aspektów ich działań propagandowych, które mogły wywołać niechęć społeczeństwa brytyjskiego lub stanowić dla niego obrazę.

Pietrow zaglądał do jego biura codziennie rano i przysiadł na biurku z raportem z poprzedniego dnia w ręce. Któregoś dnia pod koniec pierwszych dwóch tygodni został dłużej. Usiadł w jednym dodatkowym krześle znajdującym się w niewielkim biurze i zapytał:

- Dlaczego w ostatnim komentarzu wspomniał pan krytycznie o sposobie, w jaki odnosimy się do rodziny królewskiej?

- Ludzie będą oburzeni. To nic wam nie da.

- W jakim sensie to nic nie da?

- Prawda, czy dyplomacja? Pietrow roześmiał się.

- Zatrudniam was po to, żeby znać prawdę, towarzyszu.

W przeciwnym razie obaj tracilibyśmy tylko czas.

- Łatwo powiedzieć, Mr Pietrow. Ale nie chciałbym skończyć w jakimś moskiewskim więzieniu albo w szpitalu psychiatrycznym.

- Niech pan tylko przedstawi swój pogląd, tak jak to panu dyktuje doświadczenie i nie obawia się żadnej kary, ponieważ takie

niebezpieczeństwo nie istnieje.

- Dobra. Więc rodzina królewska... Przede wszystkim większość ludzi po prostu ich lubi. Po drugie w tej chwili nie mogą się bronić, a na to ludzie są bardzo wyczuleni. Po trzecie każde dziecko wie, że rodzina królewska to tylko figuranci. Nie oni rządzą krajem i oskarżanie ich o to, co się stało, to dla wszystkich oczywisty chwyt propagandowy. Oczywisty i całkowicie mijający się z prawdą. Jeżeli pisze pan coś, o czym wszyscy wiedzą, że to bzdury, to albo pomyślą, że nie zna pan podstawowych faktów, albo że sieje pan fałszywą propagandę. Tak czy inaczej, już nigdy nie uwierzą w nic, co pan napisze.

- Czy ludzie w ogóle wierzą w cokolwiek z tego, co my piszemy?

- Chyba tak. Wierzą na przykład w rewelacje na temat machlojek i korupcji wśród polityków. A w te kawałki na temat przywracania prawa i porządku nie tylko wierzą, ale wręcz przyjmują je z aprobatą. Widzą, że to się sprawdza w rzeczywistości. Z tego samego powodu wierzą również w to, co się pisze na temat pełnego zatrudnienia. Ale już na przykład niektóre cyfry w porównaniach dotyczących płac w Wielkiej Brytanii i w Związku Radzieckim nie zgadzają się. Ludzie rozmawiają przecież z Rosjanami i wywnioskowali, że zawyżacie dane dotyczące wysokości zarobków otrzymywanych przez waszych robotników, że manipulujecie przelicznikami kursu funta w stosunku do rubla.

- Czy jest coś jeszcze, co szczególnie nie trafia im do przekonania?

- Tak. Na przykład to, co wypisujecie o Amerykanach. To już zupełne dno. Przecież ludzie w Anglii wiedzą o Stanach Zjednoczonych więcej niż wy. I nigdy nie uwierzą, że wszystko się tam nagle zmieniło w ciągu paru tygodni.

Pietrow wykonał nieokreślony ruch ręką i odparł:

- A jednak wiele się zmieniło. Zostawili Europę na pastwę losu. Obchodzi ich teraz wyłącznie przetrwanie.

- Być może, ale przedstawiacie to w niewłaściwy sposób. Piszecie o tym tak, jak gdyby ludzie nie wiedzieli, co się dzieje na świecie. W ten sposób można pisać w Prawdzie, czy w Izwiestiach. Chociaż nawet i u was ludzie nie wierzą w połowę tego, co im się mówi. A jeżeli tutaj będziecie nadal uprawiać propagandę w tym samym stylu, to po prostu przestaną wam w ogóle wierzyć. I nie uwierzą już nigdy, nawet jeśli zaczniecie pisać prawdę.

- Uważa pan może, że powinniśmy pisać o Amerykanach same przyjemne rzeczy?

- Tak nie uważam. I nie proponuję tego. U nas zawsze było wiele krytycyzmu w stosunku do Amerykanów, ich polityki zagranicznej, ich sposobu życia i różnych innych rzeczy. I to na długo przedtem, zanim wyście tutaj przyszli. Ale wszystko to opierało się na konkretnych faktach. Jeśli chcecie dokopać Amerykanom, to podawajcie po prostu fakty. Możecie cytować nawet dosłownie amerykańskie gazety. Znajdziecie tam tyle materiału, ile dusza zapagnie, ale nie dodawajcie do tego żadnych wstępniaków ani komentarzy. Niech fakty mówią same za siebie. Wstępniaki będziecie sobie mogli pisać, kiedy już ludzie się do was przyzwyczają. I kiedy wreszcie wyłożycie towar na stół.

- Towar na stół?

- Kiedy dacie ludziom to, coście im obiecali. Pokój i dobrobyt. Pietrow spojrzał na Tommy'ego Pardoe.

- Był z was chyba kiedyś bardzo dobry reporter, towarzyszu Pardoe.

- Nie, byłem przeciętny. Po prostu jest to mój kraj i mój naród. A nie wasz.

Pietrow wyglądał na zaskoczonego, ale wstał, powstrzymując się

od dalszych komentarzy. Chwytną już za klamkę, odwróci się jeszcze i zapytał:

- Czy naprawdę tak bardzo się nas boicie, towarzyszu Pardoe?

Pardoe pokiwał głową.

- Jak cholera, towarzyszu. I mówię to całkiem poważnie.

Niewielka wioska Headcorn w hrabstwie Kent stała się w XVII wieku schronieniem dla uciekinierów z Flandrii i do dziś zachowało się w niej kilka zbudowanych przez nich domów. Była to typowo farmerska osada, aż do dnia, w którym jakiś prywatny przedsiębiorca wykupił część gruntów i zbudował na nich niewielkie lotnisko i szkołę pilotażu. Z lotniska korzystali niemal wyłącznie właściciele prywatnych samolotów oraz piloci zajmujący się opryskiwaniem pól. Od wielu lat lokalna społeczność toczyła walkę z właścicielami lotniska, sprzeciwiając się jego powiększaniu.

Nikt jednak nie zaprotestował, kiedy Rosjanie w ciągu kilku miesięcy potroili wielkość lotniska. Dwóch mieszkańców wioski, którzy przedtem należeli do czołówki jego przeciwników, zostało złapanych, kiedy na starym dębie rosnącym na jego skraju próbowali przybić plakat. Na plakacie był tylko napis: „Dżyngis Chan rządzi jak trzeba”. Następnego dnia skazano ich na pięć lat więzienia i nikt nie wiedział, gdzie odsiadują karę. Część z wcześniej protestujących zmieniła zdanie, ponieważ mieli nadzieję dostać dobrą pracę u Rosjan. Inni zachowali milczenie po prostu ze strachu przed konsekwencjami..

Lotnisko stało się teraz bazą dla pięciu pocisków rakietowych SS 16 i przydzielonej do ich obrony eskadry myśliwców SU-15. Nad bezpieczeństwem całości czuwał pułk strzelców zmotoryzowanych Armii Czerwonej. Rosjanie wprowadzili lokalną godzinę policyjną obowiązującą od 2200 do 600 rano, a ludzie pracujący przy

porannym udoju otrzymali specjalne przepustki.

Cameron Davies wraz z dwoma innymi mężczyznami siedzieli w kuchni na jednej z farm. Po raz ostatni sprawdzili zapalniki i mechanizmy zegarowe w plastikowych ładunkach wybuchowych. Davies założył na ręce chirurgiczne rękawiczki, żeby migdałowy zapach szarego plastiku nie pozostawił śladu na jego dłoniach. Na stole leżała torba uszyta z kawałka wykładziny podłogowej, dwie pary nożyc do cięcia drutu i pół tuzina jajowatych izolatorów z wystającymi z nich kablami w kolorowych plastikowych koszulkach. Obok stał niewielki licznik, w którego okienku jarzył się czerwono znak „plus”.

Na podłodze pod stołem leżał matowo-czarny granatnik z czterema granatami. Ich oznaczenia wskazywały, że zostały wyprodukowane w Czechosłowacji. Davies spojrział na zegarek, a następnie na starszego z dwóch mężczyzn.

- Nie będziesz czekał, żeby zobaczyć, jak poszło. Odpalasz tylko i natychmiast wracasz do bazy. Jeśli nam się uda, dołączymy do ciebie. Jeśli nie, działaj zgodnie z rozkazem i przyczaj się tam na cztery dni. Potem tamci przyjdą po ciebie, ale nie wychodź, dopóki nie dadzą sygnału. I nie pakuj się w żadne dodatkowe historie. Zrozumiano?

Mężczyzna pokiwał w milczeniu głową. Davies zwrócił się teraz do drugiego z nich.

- Ty zostaniesz przy ogrodzeniu. Dasz mi trzy minuty. Jeśli w ciągu trzech minut nie wrócę, zmywasz się. Tą samą drogą, którą przyjdziemy, wrócisz do bazy i dołączysz do Jacko. OK?

- OK, szefie.

- Jeśli któryś chce się załatwić albo wysikać, to zróbcie to teraz.

Żaden z nich się nie ruszył. Davies skrzywił usta w uśmiechu i rzekł:

- I tak mamy szczęście. Jesteśmy pierwsi. Nikt do tej pory nie ruszył jeszcze palcem przeciwko tym wszarżom i niczego się nie spodziewają. Po dzisiejszym będą latać jak oparzeni i będzie już dużo trudniej. Dzisiejsza akcja to czysta radocha. Pójdzie gładko jak po maśle.

Davies spojrzał na nich uważnie. Nie wyglądali na przekonanych, ale żaden nawet nie chrząknął, żeby nie dać po sobie znać, że uważają jego słowa za czczą gadaninę.

- Dobra, Jacko. Odsłoń zasłony, wyciągnij latarkę i ruszamy w drogę.

Tej nocy w ambasadzie radzieckiej odbywało się przyjęcie. Świętowano pierwszą rocznicę podpisania traktatu. Wiele się przez ten czas wydarzyło, ale Cooperowi aż trudno było uwierzyć, że już rok upłynął od tej upiornej nocy na Kremlu. Być może było tak dlatego, że Rosjanie tak świetnie to wszystko zaplanowali. Byli niezwykle skuteczni i przebiegli w działaniu. Mogłoby się wydawać, że to jedna międzynarodowa spółka handlowa przejmuje jakąś inną, która trochę podupadła. Jedni na tym zyskali, inni stracili; jednym się to podobało, innym nie. Oczywiście poszło im tak łatwo również dlatego, że nie musieli nikogo pytać o zdanie, z nikim się konsultować, czy zawierać jakichkolwiek porozumień. Po prostu zrobili to, co chcieli. Ale nawet od strony technicznej było to zadziwiające. Te tysiące „specjalistów” gotowych do działania, doskonale przeszkolonych i przygotowanych. Całą operację przeprowadzono przecież właściwie w ciągu kilku dni. Było to przerażające. Przerażająca była świadomość, że już wiele lat wcześniej wydano na Kremlu rozkazy, które ich twórcom dały możliwość opanowania Wielkiej Brytanii w dowolnym momencie, jaki uznali za korzystny dla siebie. Albo przy pomocy inwazji, albo

podstępem. Nie miało zresztą znaczenia, w jaki sposób się to stało. Prawdopodobnie tego rodzaju plany posiadali dla każdego kraju europejskiego. Być może dla całego świata. Czy któryś z tych krajów mógłby się temu oprzeć? Czy któryś w ogóle próbowałby się opierać? Na pewno Stany Zjednoczone, również Chiny, ale chyba nikt więcej.

Cooper stał samotnie ze szklaneczką whisky w ręce. Nagle uświadomił sobie, jak niewielu Brytyjczyków tu przyszło. Wszyscy ci, co do których można by się spodziewać, że zostaną faworytami Rosjan, zostali przez nich całkowicie zlekceważeni. Wszyscy ci wściekli lewicowcy – Benn, Scargill, McGahey i cała reszta – zostali bezlitośnie spławieni. W oczach Rosjan byli tylko małymi ludźmi, pozbawionymi jakiegokolwiek władzy. Nie byli im już dłużej do niczego potrzebni. Ludzie, którzy tak usilnie się starali, żeby doprowadzić rząd do upadku, mogliby przecież znowu spróbować zrobić to samo. Większość z nich osadzono więc w obozie internowania na wyspie Wight.

W tłumie gości nie było również widać polujących na plotki dziennikarzy i reporterów z telewizji, z tego prostego powodu, że niezależne środki przekazu przestały istnieć. Było tylko New British Broadcasting Company ze swym ogólnokrajowym ośrodkiem telewizyjnym i narodową rozgłośnią radiową oraz siedmioma regionalnymi stacjami radiowymi. Walia i Szkocja miały swą własną telewizję i radio. Wszystko to oczywiście upaństwowiono. Wszystkie prywatne i komercyjne stacje radiowo-telewizyjne zlikwidowano również już w pierwszych dniach. Ze starego programu pozostawiono natomiast ulubione przez publiczność seriale telewizji ITV, w czym Cooper dopatrywał się zresztą ręki Sawalewa. Jediną dostępną prasą były jak dotąd British News i angielskie wersje kilku rosyjskich czasopism.

Do wydawnictw, bibliotek i księgarń rozesłano długie listy zakazanych książek. Listy te wywieszono do wglądu we wszystkich bibliotekach publicznych. Posiadanie książki znajdującej się na liście prohibitów uważane było za poważne przestępstwo wobec państwa. Lista zakazanych książek stała się prawdziwą kostką Rubika dla intelektualistów, a nawet czymś jeszcze bardziej skomplikowanym, ponieważ nie poddawała się żadnej analizie. Nikt nie wiedział na przykład, dlaczego można było drukować opowiadania szpiegowskie Grahama Green'a natomiast stare wydania „Left Book Club” Gollancza były zabronione. Najlepiej potraktowano kobiety. Jako pierwsze dostały zaszczytu akceptacji Barbara Cartland i Catherine Cookson, ponieważ w rosyjskich przekładach ich powieści zaczytywała się żona sekretarza Orłowa. Również seria romansów wydawnictwa „Mills and Boons” została pochwalona publicznie w prasie i otrzymała praktycznie nieograniczone przydziały papieru. Pojawili się także jacyś zupełnie nowi pisarze i wydawcy zaczęli drukować w masowych nakładach opasłe tomy ich wywodów na temat zalet Nowego Społeczeństwa. Niezwykle intratnym przemysłem stało się publikowanie poradników typu „Jak żyć pod rządami czerwonych”. Były równie chodliwe jak w czasach sprzed Traktatu broszurki w rodzaju „Jak żyć z recesją” albo „Jak żyć ze samym sobą”.

Rosyjski stał się drugim językiem nauczania we wszystkich państwowych szkołach. Innych szkół zresztą nie było. Uczelnie w Eton, Winchester i Harrow Rosjanie zamienili w ośrodki treningu przystosowanego dla nauczycieli i urzędników administracji, a pozostałe przekształcili w instytucje oświatowe kształcące dorosłych w oparciu o doświadczenia Uniwersytetu Otwartego. Podziwiali bardzo ideę Uniwersytetu Otwartego i kilka grup z ośrodka Miliona Keynesa wysłali nawet do Związku Radzieckiego,

aby dopomogły tam w stworzeniu radzieckiej wersji UO.

Cooper zauważył, że Sawalew tańczył z dziewczyną, która niegdyś, jeszcze przed przyściem Rosjan, była Hon. Daphne Mather. Uśmiechnął się do siebie, kiedy przypomniał sobie, co Rosjanin mówił mu o niej w samolocie. Trudno byłoby wyobrazić sobie parę tańczącą bardziej statecznie niż tych dwoje. Sawalew nie ukrywał swego upodobania do ładnych dziewcząt, ale również nie afiszował się z nim. W ogóle trudno było powiedzieć, co on naprawdę myśli. Najżarliwszych wyznawców twardej linii Rosjanie nazywali „ludźmi radzieckimi” i był to wyraz najwyższej oficjalnej aprobaty. O Sawalewie zawsze wyrażali się jako o „człowieku radzieckim”, ale czasem mówił on takie rzeczy, albo uśmiechał się jakoś dziwnie, jak gdyby zupełnie nie wierzył w prawdy, które głosi, że Cooper zastanawiał się, czy nie popełniali błędu określając go tym mianem. Niektóre jego wypowiedzi w obecności Smetany albo wprost do niego były prawdziwym przeciąganiem struny. Być może jednak Rosjanie byli na tyle bystrzy, by zdawać sobie sprawę, iż najważniejsze jest, żeby Sawalew służył im swoją głęboką znajomością Brytyjczyków i Anglii. Gdyby zaś myślał jak prawdziwy „człowiek radziecki”, nigdy nie byłby w stanie osiąść tej wiedzy. Cooper zauważył, że Sawalew przepycha się przez tłum, prowadząc pod rękę dziewczynę. Rosjanin skłonił się z uśmiechem.

- Dobry wieczór panie premierze. Pozwoli pan, że przedstawię panu moją przyjaciółkę, Daphne - pan premier.

Dziewczyna wyciągnęła dłoń.

- Dobry wieczór, sir Frederick.

- Dobry wieczór. Obawiam się, że już nie sir. Po prostu zwyczajny pan Cooper.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Do diabła z ich durnymi pomysłami. Dla mnie jest pan wciąż sir

Frederickiem. Ale nie powiem tego głośno, bo mój kochany Lew mógłby się rozzłościć – odwróciła się i uśmiechnęła do Rosjanina.

Cooper uświadomił sobie, że dla tej dziewiętnastoletniej dziewczyny Sawalew musiał być bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Był nie tylko bardzo przystojny, ale przy całej swej elegancji i wdzięku był ponadto jednym z dwóch najpotężniejszych ludzi w kraju.

Dziewczyna znów zwróciła się do Coopera.

- Powiedział mi, że musi zabrać pana na jakieś spotkanie z samym głównym szefem.

Sawalew potwierdził to skinieniem głowy.

- Smetana prosił, żebyś zechciał poświęcić nam parę minut. Cooper rozłożył ręce.

- Pański pokorny sługa, towarzyszu. Dziewczyna puściła ramię Sawalewa.

- To ja idę, Lew – powiedziała.

- OK. Weź mój wóz. Ja pojedę służbowym. Zobaczymy się później.

Potem obaj mężczyźni przeszli krótkim korytarzem do pokoju ambasadora. Gdy weszli, Smetana rozmawiał akurat przez telefon, wykrzykując gwałtownie i szybko po rosyjsku. Skinął im głową i w końcu wyrzuciwszy z siebie całą serię „da”, odłożył słuchawkę.

- No i tak, Lew. No i tak.

- Co powiedzieli?

- Faza druga. Wydali już rozkazy. Nie było nawet sensu dyskutować.

Smetana spojrzał na Coopera. Jego twarz poczerwieniała, w oczach pojawił się gniew.

- Może się pan już domyśla, o czym rozmawiamy, panie Cooper.

Po raz pierwszy Rosjanin zwrócił się do niego po nazwisku, zamiast, jak to było dotąd w zwyczaju, per „panie premierze”.

- Obawiam się, że nie, panie komisarzu.
- Czy słyszał pan kiedykolwiek o miejscowości Haedcorn?
- Nie, brzmi trochę z amerykańska.
- Gówno tam z amerykańska. Brzmi z angielska, bo to jest w Anglii.

Cooper milczał, ponieważ nie miał nic do powiedzenia. Nie miał zupełnie pojęcia, o co chodzi Smetanie. Usłyszał jednak ciężkie westchnienie Sawalewa i domyślił się, że cokolwiek to mogło oznaczać, sprawa musiała być poważna. Sawalewowi nieczęsto zdarzało się wzdychać.

Ostry głos Smetany przerwał jego myśli.

- Zapamięta pan dzisiejszy dzień, Cooper. Zapamięta go pan do końca życia. Te gnojki zmarnowały całą moją pracę, zniszczyły wszystkie nasze wysiłki. O Boże, jakże chciałbym ich dopaść.

Smetana wstał aż skurczony ze złości i nagle jego wielka dłoń rzuciła stos akt leżących na biurku. Papiery pofrunęły we wszystkie strony i zasłały całą podłogę.

- Może jednak mi pan powie, co się stało, panie komisarzu. Smetana spojrział na niego, ukazując zaciśnięte ze złości zęby.

- Przestań się popisywać tą swoją cholerną brytyjską flegmą, ty łajdaku! - wrzasnął. - Jesteś częścią tego całego świństwa tak samo jak tamci!

W ciszy, która zapadła, spokojnym głosem odezwał się i Sawalew.

- Daj spokój, Jurij, uspokój się. Potrzebujemy teraz współpracy pana premiera jeszcze bardziej niż przedtem.

Ale Smetana wciąż płonął.

- Współpraca! - ryknął. - Jaka tam współpraca! Ten facet po prostu stał z boku i zgadzał się na wszystko! Robił to, cośmy mu kazali, po to, żeby zyskać na czasie! Cooper wstał.

- Może lepiej będzie, żebym sobie poszedł.

Smetana walnął pięściami w biurko, a potem wyciągnął prawą rękę w stronę Coopera i pogroził mu palcem.

- Zostań na swoim miejscu! I ostrzegam cię, daj mi tylko powód, choćby pół powodu, a już ja cię dopadnę. Ty pierdolony angielski gnojku! Wybiegł z pokoju, trzaskając drzwiami z taką siłą, że aż zatrzęsły się ściany. Sawalew siedział z rękami na kolanach, z opuszczoną głową. Powoli uniósł głowę i spojrzał w twarz Coopera, a potem odezwał się cicho:

- Czy wiedziałeś coś o tej dzisiejszej historii?

- Skądże. Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

- Ta miejscowość... Headcorn... to była baza raketowa. Było tam pięć SS-16. Dziś w nocy cztery z nich zostały zniszczone. Oprócz tego dwa myśliwce i około dziesięciu tysięcy galonów paliwa. Zginęło dwunastu żołnierzy Armii Czerwonej.

- Ale co się na Boga stało. Kto to zrobił?

- Nie mam pojęcia. Przeczesują teraz cały teren, ale nie mamy jeszcze żadnych szczegółów.

- Czy to aż tak poważne? Przecież na pewno złapiecie w końcu sprawców i ukarzecie ich.

- Nic nie rozumiesz, Freddie - westchnął Sawalew. - Ale dlaczego właściwie miałbyś rozumieć. Nikt z tobą o tym nie rozmawiał.

Sawalew wstał, rozluźnił krawat i zaczął spacerować wolnym krokiem po pokoju. W końcu zatrzymał się i odwrócił w stronę Coopera.

- Nie powinienem ci tego mówić, Freddie. Ale będziemy potrzebowali twojej pomocy, więc lepiej, żebyś wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. W Moskwie ścierają się przez cały czas dwie szkoły, dwie koncepcje naszego podejścia do sprawy brytyjskiej.

Z jednej strony generałowie, którzy chcieli całą sprawę załatwić zwyczajnie i po prostu. Najpierw inwazja na wielką skalę, potem okupacja. Inni, wśród których byłem i ja, podkreślali, że jest to szansa, która trafia się raz na milion. Szansa pokazania światu, że w rozwiniętym, uprzemysłowionym kraju komunizm może dobrze funkcjonować, a ludność zaakceptuje go, kiedy tylko przestawi się na nowy sposób myślenia. Tego rodzaju spory toczyły się całymi miesiącami. Doszło do prawdziwego rozłamu w Biurze Politycznym. Przedstawiciele obydwu stron grozili podaniem się do dymisji. W końcu zdecydowali się na głosowanie. I generałowie wygrali większością dwóch głosów. Zapadła decyzja o inwazji na Wielką Brytanię. Ale wówczas... wówczas Jewgienij Orłow postanowił wziąć swój polityczny los we własne ręce i sprzeciwił się inwazji. Czyniąc to, postawił całą swoją karierę na jedną kartę. Zaufał radom moim i Smetany, i naszym zapewnieniom, że jesteśmy w stanie poprowadzić sprawę jak należy. Ten dzisiejszy atak może oznaczać dla niego poważne niebezpieczeństwo. Nie od razu oczywiście. Ale będzie miał odtąd związane ręce - Sawalew znów ciężko westchnął.

- Jak duża Lew?

- Osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Przynajmniej taką liczbę podał Orłow Smetanie.

- A co będzie z tobą i ze Smetaną?

- Zostajemy na stanowiskach i będziemy pracować jak przedtem. Ale atmosfera tego wszystkiego cholernie się zmieni. Od tej pory koniec z przyjacielską współpracą, będzie to po prostu okupacja wrogiego kraju.

- Czy kiedykolwiek można to było nazwać przyjacielską

współpracą, Lew?

- Co masz na myśli?

- Przecież nie podpisałem tego traktatu dobrowolnie. Podpisałem, żeby zapobiec czemuś jeszcze gorszemu. Wam chodziło głównie o to, żeby wygryźć Amerykanów z Europy. A te wszystkie twoje marzenia i tak nigdy by się nie spełniły.

- Dlaczego? - zachnął się Sawalew.

- Nawet spośród twoich mało kto dzieli z tobą te marzenia, Lew. Związek Radziecki to reżim, zwyczajny, bezlitosny reżim. Twój naród od 60 lat żyje pod okupacją, taką samą, pod jaką my teraz żyjemy. Oczywiście - nie można powiedzieć, że Rosja nie zrobiła ani kroku naprzód od 1917 roku. Ale biorąc pod uwagę, że minęło już 68 lat, to żadne osiągnięcie. Cały świat idzie naprzód, to normalne. A większość krajów poczyniła postępy większe niż Związek Radziecki. Ujmując to jeszcze inaczej, wasze społeczeństwo, gdy tylko próbuje wyrazić swoje niezadowolenie z sytuacji, jest traktowane tak źle, że wszyscy boją się głośno mówić to, co myślą. W obozach Gułagu redukujecie własnych obywateli do poziomu zwierząt. Naszym ludziom oczywiście spodobało się to, że skończyły się gwałty na ulicach i myślę, że się od was czegoś nauczyli. Jeżeli chuligani zaczynają się za bardzo panoszyć, należy odpowiedzieć zdecydowanym uderzeniem, zamiast posyłać ich do psychologa. Ludzie są też zadowoleni, że nie ma bezrobocia, ale to tylko dlatego, że nie połapali się jeszcze, w jaki sposób to osiągnąć. Kto nie pracuje, gdzie każą, ten nie je. Nie to, że bywa po prostu głodny, ale zwyczajnie nie ma co jeść i traci dach nad głową. A razem z nim cała jego rodzina. Prędzej, czy później ludzie zorientują się, na czym to wszystko polega. I uświadomią sobie, jaką zapłacili za to cenę.

- Jaką, przyjacielu?

- Ta cena, to ich wolność. Zapłacili za to swoją wolnością.

- Coś mi się zdaje, że jesteś po ich stronie?

- Nie jestem po niczyjej stronie. Po prostu mówię ci, jak jest, stwierdzam fakt. Chyba jesteś dość bystry, żeby zrozumieć, że w tej chwili mówię prawdę. Byłeś dość bystry już przedtem. Ale do tej pory nie poruszaliśmy nigdy tej właśnie kwestii, kwestii wolności. Wy, Rosjanie, nigdy nie zaznaliście prawdziwej wolności: najpierw rządzą wami carowie, potem bolszewicy. Za późno do nas przyszliście. Ostatnim dyktatorem był u nas król Jan. XVII wiek i Magna Carta to koniec z wszelką dyktaturą w Anglii. Spóźniliście się, Lew - Cdooper uśmiechnął się. - Szkoda, że kiedyście to wszystko wymyślali, nie było wśród was żadnego Anglika.

- Kiedy tak słucham tej twojej przemowy, Freddie, to sam zaczynam prawie wierzyć, że się pomyliłem - Sawalew był teraz niemal tak wściekły, jak przedtem Smetana. - Ale 80 tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej zrobi z tym wszystkim porządek.

- Czy mogę już teraz odejść? - spytał Cooper.

- Możesz - odparł krótko Rosjanin. Cooper zatrzymał się w drzwiach.

- Można powiedzieć, że bardzo niewiele się pomyliłeś, Lew. Zapomniałeś tylko o ludziach. To oni są prawdziwym problemem. Zawsze tak było, od Adama i Ewy poczynając. Możesz ofiarować im raj - po roku i tak zaczną narzekać. Chrześcijaństwo, nawet komunizm, mógłby być jakimś rozwiązaniem, gdyby nie ludzie. Jeślibyś potrzebował mojej rady, jestem w każdej chwili do dyspozycji. Wystarczy poprosić.

- Mam nadzieję, że jednak nie masz racji, Freddie. Chyba zacznę się modlić, żebyś jej nie miał. Dla dobra nas wszystkich.

- Daswidanija.

Na twarzy Sawalewa, gdy usłyszał rosyjski Coopera, pojawił się

cień uśmiechu.

- Ciao - odpowiedział.

Przez całą noc, aż do rana, słychać było w górze warkot samolotów. Ciężkie transportowce wiozące helikoptery i żołnierzy nadlatywały falami, po kilku godzinach lotu z baz położonych wokół Murmańska.

W porannych wiadomościach radiowych i w gazecie głównym tematem stał się nocny atak na bazę raketową. W biurze agencji TASS w Londynie rozgorzał spór o to, w jaki sposób należy go potraktować w komentarzach. Wielu uważało, że mimo wszystko powinno się sprawę załagodzić. Przed pomocą nadeszły jednak instrukcje z Moskwy: należy ją maksymalnie rozdmuchać. Położyć nacisk na to, że zostali zamordowani niewinni radzieccy żołnierze.

Podkreślić, iż celem ataku były nie radzieckie rakiety, lecz system obronny Wielkiej Brytanii. Komentarz ma się kończyć jednoznaczną sugestią, że cała akcja była prawdopodobnie inspirowana przez Amerykanów.

Artykuł, który ukazał się na pierwszej stronie British News, obwiedziono grubą, czarną ramką. Na stronie drugiej zamieszczono wzmiankę o tym, że Moskwa, choć z poważnymi oporami, zdecydowała się wysłać więcej oddziałów do obrony Wielkiej Brytanii. Natomiast notatka o przyjęciu w Kensington Gardens, wydanym z okazji rocznicy podpisania traktatu, została usunięta z numeru. W radiu nadawano muzykę poważną.

W miarę upływu dnia, kiedy warkot samolotów w górze nie ustawał, ludzie zaczęli sobie zdawać sprawę, że ich życie znowu ulegnie zmianie. Tak wielka ilość wojska świadczyła o tym, że Rosjanie poczuli się poważnie zagrożeni. Wielu ludzi wręcz przeklinało tych, którzy dokonali ataku. Niektórzy mieli nawet nadzieję, że zostaną oni niedługo złapani. Niewielu tylko było

naprawdę zadowolonych, że Rosjanie wreszcie dostali po nosie. Obawiali się zresztą mówić o tym głośno. Również w Haedcorn mieszkał człowiek, który myślał w ten sposób. I to właśnie on zauważył prostokątny skrawek łąki, na którym trawa zaczęła więdnąć i brązowieć.

Tommy Couchman urodził się i wychował w hrabstwie Kent. Pierwsze pięć lat życia spędził w Chatham, a pozostałe 23 lata w Haedcorn. Od sześciu miesięcy usiłował powstrzymać rozsadzającą go wściekłość. On i jego dziewczyna czekali, aż zwolni się mały domek należący do farmy, w którym mieli zamieszkać. Ale kiedy Rosjanie przejęli lotnisko, jeden z oficerów rosyjskich zobaczył Ann w sklepie, gdzie pracowała. Tydzień później Tommy Couchman dowiedział się, że jego dziewczyna mieszka w domu należącym do Rosjan i nie pracuje już w sklepie. Poszedł do tego domu któregoś dnia zaraz po porannym udoju, mając nadzieję, że jeśli uda mu się z nią zobaczyć, przekona ją, żeby do niego wróciła.

Przed domem stał na straży żołnierz Armii Czerwonej. Nie mówił po angielsku, ale uniesiona lufa jego karabinu dawała jasno do zrozumienia, co się stanie, jeżeli Tommy spróbuje otworzyć bramę na podwórze. Kiedy mimo to wyciągnął rękę w jej stronę, kolba karabinu minęła o włos jego usta i zmiażdżyła mu nos.

Minęło niemal osiem tygodni od tego wydarzenia, kiedy dostrzegł na polu brązowe linie tworzące prostokąt o powierzchni około metra kwadratowego. Przebiegały w miejscach, gdzie trawa zwiędła i zbrązowiała na skutek przecięcia darni. Tommy wbił w ziemię swój nóż i usłyszał zgrzyt, kiedy nóż uderzył w coś, co na pewno nie było ziemią ani kamieniem. Pod darnią znajdowała się plastikowa płyta. Kiedy ją uniósł, okazało się, że zakrywa ona głęboki dół wykopany w ziemi. Tommy ułożył płytę z powrotem na miejscu i starannie, jak tylko mógł najlepiej, zamaskował miejsca przecięcia darni.

Zatrzymał to odkrycie dla siebie.

Dwa dni po ataku na lotnisko wracając z udoju znowu przechodził w pobliżu tego miejsca. Zauważył że już cały prostokąt darni zaczął robić się brązowy. W czasie przerwy na posiłek podlał trawę wodą, którą przyniósł w wiadrze ze strumyka. Ten, kto wykopał tę dziurę, na pewno nie pochodził ze wsi. Inaczej bowiem wiedziałby, że dwucalowa warstwa torfu jest zbyt cienka, żeby zatrzymać dość wilgoci potrzebnej do tego, by trawa mogła rosnąć. Jednak niezależnie od tego, kto to mógł być, Tommy Couchman czuł, że jest po jego stronie.

Rozdział XIII

Dziewczyna miała na sobie jedwabną letnią sukienkę, białą w czerwone kwiatki. Czarny pasek podkreślał jej wąską talię i krągłe biodra. Była bardzo ładna, wysoka, smukła i długonoga. Miała niewiele ponad 20 lat. Siedzieli na ławce na Placu Centralnym w Mińsku. Wiatr lekko unosił jeden kosmyk jej włosów i zwiewał go jej na twarz.

- Co to za pomnik, Josefie? Albo raczej, czyj to pomnik?
- To Janko Kupała, najślynniejszy poeta białoruski.
- Kiedy zmarł?
- Zdaje mi się, że w 1942.
- A jakie pisał wiersze?

Josef odwrócił się i spojrzał na jej piękną twarz.

- Na pewno napisałby wiersz o tobie, jak ubrana w letnią sukienkę w czerwone kwiatki siedzisz na ławce w parku w wiosenny dzień.

Uśmiechnęła się nie odwracając głowy.

- Zaczynasz prawić komplementy. Josefie Andriejewiczu, zupełnie jak jakiś typowy moskiewski podrywacz.

- To ty masz na mnie taki wpływ. Zaraziłem się od ciebie moskiewskimi manierami.

Dziewczyna ujęła jego dłoń i spytała:

- Czy ten twój kolega zgodził się wziąć dzisiaj twoją zmianę?
- Zgodził się; jutro ja wezmę jego - odwrócił się znów do niej. - Będzie mi ciebie bardzo brakowało, Anno.
- Mnie też będzie ciebie brakowało, Josefie.

- Naprawdę tak myślisz, czy to tylko tak z uprzejmości?

- Naprawdę tak myślę, Jo-Jo. A jeśli za trzy tygodnie uda ci się dostać ten urlop, to będziemy mogli spędzić razem w Moskwie cały tydzień.

- Jesteś pewna, że uda ci się załatwić dla mnie pozwolenie na Moskwę?

- Oczywiście - wzdrygnęła się lekko, a potem wstała, wciąż trzymając go za rękę. - Wracajmy do ciebie.

- Zostaniesz dziś u mnie na noc?

Skinęła głową, spoglądając w stronę Mińskiego Pałacu Kultury.

- Jakież to ohydny budynek, Jo-Jo. Co to jest?

- Związkowy Pałac Kultury. Styl stalinowski.

- Ten Stalin to naprawdę musiał być straszny potwór.

- A skąd tobie to przyszło do głowy?

- Czytałam przemówienie Chruszczowa na dwudziestym zjeździe. Mają to w bibliotece zakładowej. Był chyba gorszy od cara.

- No. To nie to, co takie anioły jak Chruszczow, Breżniew i Orłow, prawda? - Josef uśmiechnął się wypowiadając te słowa, ale poznała po jego oczach, że mówi poważnie.

- Nie mów o nich, Jo-Jo, to niebezpieczne.

- Przecież to tylko ludzie, a nie jacyś bogowie.

- Chodźmy, Josef, robi mi się zimno.

- Zaraz cię ogrzeję, dziewczynko - odparł z uśmiechem i pocałował ją mocno w usta.

Leżąc na łóżku przyglądała się Josefowi, jak sięga po biało-czarną paczkę papierosów i zapalniczkę, leżące na małym nocnym stoliku. Zdenerwował ją ten gest. Dlaczego mężczyźni zawsze zachowują się tak samo, gdy już skończą się z nią kochać. Jak gdyby teraz, kiedy już zażyli swojej przyjemności, wracali z powrotem do realnego

świata. Świata papierosów, zapalniczek i nowych bramkarzy Dynama Moskwa. Jeszcze pięć minut temu tak strasznie jej pożądał, a teraz, kiedy leżała naga i dostępna, wszystkim, czego mu było trzeba, stał się papieros. Zupełnie tak samo, jak tamci w Moskwie.

- Trzeba troszkę poczekać, kochanie - odezwał się nagle Josef.

- Na co?

- Na to, o czym właśnie myślałaś.

- A o czym ja właśnie myślałam?

- Że jesteś piękna, młoda i naga i leżysz tu z rozchyłonymi nogami, a ten głupek pali papierosa. - Skąd wiedziałaś, że o tym myślałam? Odpowiedział na jej pytanie zagadkowym uśmiechem i rzekł:

- To sprawa biologii, kochanie. Musi minąć pewien czas, zanim znowu będę mógł to robić.

- Nie odpowiedziałeś mi. Skąd wiedziałaś?

- Nie wiedziałem, ale sam bym tak właśnie pomyślał, gdybym był dziewczyną, która tu leży.

Uniosła się nieco na łokciu i zauważyła, że jego wzrok powędrował ku jej piersiom.

- Dziwny z ciebie człowiek, Josef. Powiedz, żeby kręcić filmy, trzeba chyba być bardzo byстрыm, nie?

Parsknął śmiechem, pocałował ją lekko i odparł z rozbawieniem:

- Ja nie kręcę filmów, tylko piszę scenariusze.

- Ale na pewno bardzo dużo wiesz o ludziach. W tym kraju to przekleństwo, a nie zaleta.

- Dlaczego?

Josef spoważniał, palił chwilę w milczeniu, nim odpowiedział.

- Dziś po południu powiedziałaś, że niebezpiecznie jest rozmawiać o Breżniewie i Orłowie. Oczywiście masz rację, to jest niebezpieczne, ponieważ jeżeli ludzie o tym rozmawiają, to mogą

zacząć zastanawiać się nad tym, co się dzieje w Moskwie i jaki to ma później wpływ na to, co dzieje się w Mińsku, Kijowie i wszystkich innych miastach.

- A dlaczego miałyby to nas w ogóle obchodzić? Zaśmiał się cicho.

- Naprawdę jesteś jeszcze gąską, moja Aniu. Jak mogę pisać dobre scenariusze o tym, jak naprawdę żyją ludzie, kiedy nasi panowie w Moskwie twierdzą, że żyjemy w rajach, a ja wiem, że większość z nas żyje w piekle. Tylko ci na górze żyją w rajach i ukrywają to przed całą resztą. Wiesz przecież o tym, bo pomagasz im w utrzymaniu tego rajach, pracując w tym cholernym biurze w Moskwie.

- Ale ja lubię tę pracę, Josef.

- No pewnie, że lubisz. Możesz sobie na przykład załatwić bilety do Teatru Wielkiego, które dajesz dentyście, który naprawia twoje śliczne ząbki, albo dzwonisz do jakiegoś faceta w Ministerstwie Komunikacji i zawiadamiasz go, że przywieźli właśnie nowe japońskie radia samochodowe, a wtedy on odstępuje ci swoje bony na benzynę dla naczelstwa, dzięki czemu chłopak twojej przyjaciółki może ją zawieźć w niedzielę do Pieriediełkino na motorowerze, za to, kiedy ty z kolei będziesz chciała zjeść kurczaka, to ona przyniesie ci jednego z fermy, na której pracuje jej ojciec. Mówisz, że to błąd, zwykłe załatwianie po znajomości. Ale to nie tak, to też jest część tego całego kłamstwa, które nas otacza.

- Uważasz, że nie powinnam robić takich rzeczy, Jo-Jo?

- Oczywiście, że powinnaś, musisz przecież żyć, kochana. Ale mnie nie podoba się takie życie, które zmusza ludzi do egoizmu i nieuczciwości dla jakiegoś cholernego kurczaka.

Uśmiechnęła się do niego.

- Powiedziałaś do mnie „kochana”...

Znał się na dziewczętach na tyle, żeby wiedzieć, że na razie trzeba sobie dać spokój z wykładem politycznym. Zaczął całować jej piersi, a potem położył się na niej, a ona objęła go i oplótła mocno swymi drugimi, smukłymi nogami.

Dom na ulicy Granowskiego 2 jest brzydkim brązowym budynkiem zupełnie pozbawionym stylu. Przy jego wejściu wisi na ścianie tablica pamiątkowa głosząca, iż Lenin przemawiał tu do dowódców Armii Czerwonej, zanim wyruszyli do walki podczas wojny domowej. Jednak nie to było powodem, dla którego przed budynkiem stały drugie rzędy czarnych rządowych limuzyn. Nie zważając na przepisy, kierowcy zaparkowali je częściowo na chodnikach i czekali na swoich pasażerów, zabijając czas paleniem i rozmową. Powodem, dla którego stało tu tyle samochodów, była dużo mniejsza tabliczka umieszczona we wnęce przed drzwiami. Widniał na niej napis „Biuro Przepustek”.

W tym właśnie biurze pracowała Anna Simenowa. Każdego dnia wydawała prominentom specjalne kupony na żywność niedostępną w normalnych sklepach. Lubiała tę pracę. Obsługiwała samych ważnych ludzi, czołowych naukowców, laureatów Nagrody Lenina, dziennikarzy z Prawdy i Izwestii, a czasami nawet kosmonautów. Większości swych interesantów nie znała oczywiście z nazwiska, wiedziała jednak, że wszyscy zajmowali wysokie stanowiska państwowe.

W piątki i soboty przenosiła się do innego budynku, znajdującego się obok kina na Nabrzeżu Berseniewskim. Ci, którzy pracowali w tym budynku na stałe, nie mówili o nim nigdy inaczej, jak o Domu Rządowym, a interesanci, którzy tu przychodzili, byli nawet jeszcze ważniejsi od tych, których obsługiwała na co dzień. Byli to w większości członkowie Rady Najwyższej Związku Radzieckiego.

Ludzie, których twarze wszyscy znali z prasy i telewizji.

Anna szczególnie lubiła pracę w Domu Rządowym, ponieważ pracowała tutaj także jej przyjaciółka, Jewgienia. Pierwszego piątku po powrocie z Mińska Anna powiedziała swojej przyjaciółce o młodym człowieku, z którym się tam spotkała. Nie wymieniła jego nazwiska, ale dla Jewgienii było oczywiste, że jest on dla jej przyjaciółki kimś więcej niż tylko weekendowym kochankiem.

Anna mówiła o nim przez cały wieczór, kiedy przygotowywały kolację w ich wspólnym pokoju i jeszcze potem, gdy już leżały w łóżkach. Jewgienia była równie zachwycona, co zmartwiona. Anna dostała ten pokój jako kochanka Lwa Sawalewa, a ściślej mówiąc, jedna z jego kochanek. Jednak nawet kiedy Sawalew był akurat w Moskwie, spotykała się również z innymi mężczyznami. Najczęściej byli to klienci rządowych sklepów, którym wpadła w oko urodziwa urzędniczka wydająca przepustki. Wyglądało to zawsze tak samo. Kochały się z ważnymi ludźmi, zyskując w zamian możliwość załatwienia różnych spraw dla siebie, swoich przyjaciół i znajomych. Jeżeli teraz miałyby się pojawić w tym wszystkim prawdziwa miłość, mogło to spowodować dla nich obu poważne problemy.

Radziecka łódź patrolowa zawróciła powoli i podpłynęła do burty kutra. Kiedy opuścili odbijacze i zawiązali cumy, na pokład kutra wszedł młody porucznik marynarki radzieckiej. Był to manewr, który łódź patrolowa robiła wiele razy w przeszłości, ale młody oficer wciąż dumny był z precyzji, z jaką udawało mu się go wykonywać. Była to łódź klasy Pchele, wyposażona w radarowy szperacz typu Pot Drum i inne elektroniczne cacka, których zresztą bardzo rzadko używali podczas patrolowania wybrzeża Walii w pobliżu Conwy.

Porucznik sprawdził licencję kutra, a na odchodnym jak zwykle pobrał haracz w wysokości pół tuzina homarów. Zdążył już poznać wszystkich szyprów łowiących w tej okolicy i najczęściej przeprowadzał patrole w sposób rutynowy. Od czasu do czasu robili niespodziewane rewizje i przeszukiwali kutry od dziobu do rufy, ale nigdy nie znaleźli niczego niepokojącego. Zdarzało się im natrafić na karton, czy dwa papierosów, które załoga dostawała od rybaków irlandzkich łowiących na tych samych wodach. Ale nic ponadto.

Kuter ruszył w dalszą drogę do portu w Conwy i po pewnym czasie przybił do nabrzeża, gdzie wyładowano skrzynie pełne śliskich i lśniących ryb różnych gatunków, stanowiących plon trzydniowego połowu. Nie był to najlepszy plon, jak na tyle dni łowienia, ale jedną trzecią ryb mieli prawo sprzedać na wolnym rynku. To przynosiło największy dochód. Miejscowi mieszkańcy jadaliby już nawet takie ryby, które niegdyś rzucano na pożarcie kotom pałętającym się po nabrzeżu.

„Gwynedd Princes” stała na cumach przez cały dzień. Na pokładzie zostali jedynie szyper i bosman.

O zmierzchu od strony Ros Hill Street nadjechał powoli wóz konny, który minął zamek, wjechał na nabrzeże i zatrzymał się przy trzech kutrach zacumowanych obok siebie. Z pierwszych dwóch łodzi wyładowano na wóz kilka pustych skrzynek, które wymagały naprawy. Podjeżdżając ku „Gwynedd Princes”, woźnica zawołał na szypra i nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, zeskoczył z wozu i wdrapał się na pokład kutra.

Trochę już podenerwowany opuścił się na dół po zejściówce i wówczas spostrzegł mężczyznę siedzącego przy stole w niewielkiej mesie. Na stole stała opróżniona do połowy butelka wódki i szklanka, a mężczyzna uśmiechnął się szeroko na widok wchodzącego.

- Na Boga, mów natychmiast, jak wam poszło? - zapytał gość zdenerwowanym, lecz cichym głosem.

- Jak po maśle, Johnny, podwodna już czekała i mamy teraz cztery tony towaru na dole. Stary rzeczywiście nieźle to załatwił.

- Co dostaliście?

- Pociski SAM, wyrzutnie, zapalniki elektroniczne, materiał wybuchowy, lonty. Możemy tego mieć ile będziemy chcieli.

- Widziałeś się z tym facetem z CIA?

- Tak, ale trwało to tylko chwilę. Ich nastawienie całkiem się zmieniło.

- Byłem tego pewien.

- Chcą jak najszybciej zobaczyć Andrewsa. Jeśli on ich do końca przekona, dostaniemy wszystko, czego nam potrzeba. Gotówka, broń, specjaliści, czego tylko dusza zapragnie.

- To oficjalne, czy nieoficjalne?

Szyper wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Nieoficjalne, ale prosto z Białego Domu. Z ich strony to jest zmiana kursu o 180 stopni. Harry Andrews to teraz ich człowiek.

- Dobra, kiedy możemy rozładowywać?

- Dzisiaj w nocy. Ja wypływam znowu pojutrze rano. Ilu ludzi możesz dać?

- Pięciu. A ty?

- Tylu, ilu będzie potrzeba, nawet trzydziestu.

- Ruszajmy w takim razie.

- Najpierw się napij dla uczczenia sprawy. Gość pokręcił głową. - Nie, nie. Lepiej od razu zaczniemy knucie.

Jamie Boyle wciąż jeszcze nie był pewny Macgregora. Ten krępy przywódca związkowy z Clyde Bank często określany był przez prasę jako zagorzały sympatyk czerwonych. Jednak kiedy Boyle

pracował jako doradca prawny jego związku, odkrył, że tego szorstkiego w obejściu Szkota niemal zupełnie nie interesuje polityka. Interesował się tylko warunkami pracy i zarobkami swoich ludzi. Podobnie jak wielu innym młodym ludziom z robotniczych przedmieść Glasgow, również Macgregorowi Rosja po rewolucji wydawała się być po prostu rajem na ziemi. Ale kiedy jako delegat związkowy pojechał z wizytą do stoczni w Leningradzie, przekonał się na własne oczy, jak rzeczywiście wygląda życie robotników w Związku Radzieckim. Sama idea związków zawodowych jako organizacji podporządkowanej rządowym biurokratom w kraju, w którym strajki były nielegalne i gdzie karano je dziesięcio - czy piętnastoletnim więzieniem lub obozem pracy, wydała się Macgregorowi okrutną farsą. Mimo to, podobnie jak wielu innych, którym również otworzyły się oczy, nie potrafił się zdobyć na publiczne wystąpienie i zdemaskowanie systemu radzieckiego. I etykieta zagorzałego komunisty przylepiła się do niego na stałe.

Boylowi zawsze trudno było zrozumieć, dlaczego torysi nie zdają sobie sprawy z prawdziwego nastawienia ludzi pracy. On sam nieraz przekonywał się, że ich poglądy są niemal skrajnie prawicowe. To właśnie dokerzy i robotnicy wielkich zakładów przemysłowych mieli spojrzenie bardzo zbliżone do poglądów Enocha Powella, czy podstarzałych dam z Partii Konserwatywnej. Najchętniej wyrzuciliby wszystkich czarnych, przywrócili z powrotem karę śmierci i chłostę i sformowali ochotnicze bojówki do zwalczania gwałcicieli, zboczeńców i chuliganów.

Podczas wszystkich akcji przeciwko Rosjanom w Szkocji Macgregor i podlegli mu dowódcy podziemnych grup oporu nękali okupanta wciąż z tym samym, niczym nie umniejszonym entuzjazmem. Boyle wiedział jednak, że powodzenie ich obecnego planu zależało przede wszystkim od tego, czy zdołają trafnie

rozpoznać aktualny stan nastrojów społecznych.

Jamie Boyle spojrział na zegarek i jednocześnie wstrząsnął nim dreszcz. Od pięciu dni miał gorączkę, której nie mógł się w żaden sposób pozbyć. Warunki, w jakich egzystował od miesięcy, nie sprzyjały zwalczaniu choroby. Monotonne wyżywienie, nieustannie mokre ubranie i sypianie gdzie popadło powodowały, że wpadał z jednego przeziębienia w drugie. Początkowo wyskakiwał czasem na parę dni do domu na wybrzeżu i do Jeanie, odkrył jednak, że tych kilka dni spokoju i bezpieczeństwa jest dla niego nie do zniesienia. Nienawidził stamtąd wracać. Przekonał się, iż istnieje olbrzymia różnica pomiędzy działaniem w sformalizowanej organizacji, takiej jak SAS, a pracą w czymś, co wydawało mu się czasem całkowitą nie dającą żadnej satysfakcji próżnią. Jak większość członków SAS, był z natury samotnikiem, a przebyte treningi i wieloletnie doświadczenie uczyniły z niego samotnika wysoce skutecznego w działaniu. Ale zawsze stała za tym cała struktura. Oddział, kompania, pułk, a jeszcze wyżej armia i rząd, który dysponował środkami finansowymi na utrzymanie bezpieczeństwa, kraju. Był system zachęt, nagród, awansów i była trwała świadomość tego, że wszystko, co człowiek robił, stanowiło część jakiegoś planu i miało określony cel. Wielki lub mały, tymczasowy lub wybiegający w przyszłość. Zaś o tym, co należało robić, decydowali ludzie dysponujący wiedzą, inteligencją i doświadczeniem.

Gdy Harry Andrews po raz pierwszy podzielił się z nim swoimi myślami, obaj wciąż jeszcze mocno tkwili w tej pełnej autorytetu i celowości strukturze. Jednak zaraz na samym początku, kiedy tylko ich pomysły przeobraziły się w realne działania, cała ta działalność wydała mu się zbyt mało konkretna, zbyt niejasna, zbyt rozproszona, zbyt nieokreślona. Andrews twierdził, że dysponuje kilkunastoma grupami liczącymi po 300 do 400 ludzi. Każda z nich

dowodzona była przez byłego członka SAS. Utrzymywał, że obecnie mają co najmniej 4.000 aktywnych członków i ponad 30.000 ludzi, których można w każdej chwili poprosić o informacje lub innego rodzaju pomoc nie związaną z użyciem przemocy. Jak im to często Andrews powtarzał - okoliczności nie były zbyt sprzyjające dla Rosjan. Jeden działacz ruchu oporu przypadał na każdych dwunastu czy trzynastu ich żołnierzy. Żołnierze ci znajdowali się w obcym i nowym dla nich otoczeniu. Nie potrafili mówić ani czytać po angielsku. Część z nich nie umiała nawet czytać ani mówić po rosyjsku. Jednak Boyle zdawał sobie sprawę, że poza tą optymistyczną statystyką, jaką im Andrews nieustannie przypominał, należało jeszcze mieć świadomość tego, iż Rosjanie w każdej chwili, w ciągu kilku dni mogą sprowadzić dwa czy trzy razy więcej żołnierzy, jeśli tylko uznają to za konieczne.

Przy każdym spotkaniu z Andrewsem Boyle pytał go, co właściwie uważa za główny cel podziemia. Odpowiedź była zawszenia sama - pozbyć się tych sukinsynów z naszego kraju. Boyle był jednak przekonany, że Andrews w głębi serca wie, iż mogą zabić setki Rosjan, wysadzić ich składy broni i niszczyć kolejne garnizony, jeśli jednak przywódcy na Kremlu będą chcieli, żeby ich oddziały pozostały w Anglii, to pozostaną one tam bez względu na wysokość ponoszonych strat. I na pewno nasilą się ich działania odwetowe. Zaś ich działania odwetowe będą wciąż przybierały na sile. Będą z miesiąca na miesiąc stawały się coraz bardziej brutalne i nie przebierające w środkach. W świetle tego wszystkiego ludzie Andrews'a wydawali się być po prostu muchami kęsającymi słońca.

Zaczynał zapadać zmierzch i Boyle przykucnął tuż przy oknie drewnianej chaty, wyglądając na rozciągające się na zewnątrz pole golfowe i zastanawiając się, z jakiego kierunku nadejdzie

Macgregor. W końcu zobaczył go, jak idzie z postawionym kołnierzem zmagając się z wiatrem. Boyle z gniewem zauważył, że Macgregor nie jest sam. Przyprowadził z sobą jeszcze kogoś, pomimo ścisłych instrukcji dotyczących bezpieczeństwa.

Boyle wycofał się w cień i zaczekał, aż Szkot otworzy drzwi. Potem rzucił ostro:

- Ktokolwiek to jest, każ mu poczekać na zewnątrz.

Macgregor zawahał się, a potem odparł szeptem:

- To nie mężczyzna, to dziewczyna, Jamie. Ma dla ciebie wiadomość od pułkownika.

I nie czekając już na odpowiedź, Macgregor wepchnął swą towarzyszkę do środka. Twarz miała zasłoniętą jedwabnym szalikiem, który ściągnęła teraz na ramiona. Powiedziała cicho:

- Harry mnie tu przysłał. To on kazał Macgregorowi, żeby mnie do ciebie przyprowadził.

Boyle obserwował jej twarz w stłumionym świetle zmierzchu. Miała ciemną karnację i była niezwykle piękna. Domyślał się, że jest Hinduską lub Pakistanką.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Indira Singh. Jestem córką Sanjiva Singha. Spotkaliśmy się kiedyś. Dwa lata temu w Pen-y-Fan. Byłam tam z ojcem.

- A co to za wiadomość? - zapytał Boyle głosem, w którym nie czuło się już napięcia.

- Ojciec dowiedział się, że Azjaci i Czarni w Glasgow odmawiają współpracy z Macgregorem, dopóki on osobiście się tam nie pojawi. Zgodzili się jednak, żebym ja go reprezentowała, więc mnie tu przysłał. Mam pomóc tobie i Macgregorowi.

- Czy widziałaś się już z Azjatami?

- Nie zrobię tego, dopóki nie dostanę polecenia od ciebie. Boyle

milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- Czy ojciec powiedział ci, jak masz z nimi rozmawiać?

- Tak.

- Dobra, w takim razie działaj i to szybko, bo mamy bardzo mało czasu.

- To nie potrwa długo. Wystarczy, że przekonam czterech najważniejszych. Nie powinnam mieć z tym większego problemu, zapewniam cię.

- Gdzie się nauczyłaś tak świetnie mówić po angielsku? W odpowiedzi usłyszał jej cichy śmiech.

- Na Uniwersytecie Londyńskim. Urodziłam się w tym kraju.

- Obawiam się, że nie mogę ci zaproponować nic do jedzenia ani ugościć w żaden inny sposób - rzekł Boyle i rozejrzał się bezradnie po izbie. - Niczego tu nie mam.

- Słuchaj chłopcze, chciałbym, żebyś poszedł teraz ze mną do mnie - wtrącił się w tym momencie Macgregor. - Tam będziemy stuprocentowo bezpieczni, a musimy dziś w nocy omówić parę spraw.

Boyle zawahał się przez chwilę, a potem odparł krótko:

- OK., Mac, prowadź.

Dziewczyna wróciła pół godziny przed godziną policyjną. Boyle zastanawiał się, czy jej rzucająca się w oczy pewność siebie ma przyczynę w tym, że jest tak piękna, czy też wypływa z czegoś innego.

- No i jak ci poszło? - zapytał. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Bez problemu. Wszystko załatwione - spojrzała na Macgregora.

- Będą się stosować do pana poleceń, panie Mac. Weszła Lily Macgregor i zaczęła się krzątać przy kuchni.

- Najwyższy czas, żebyśmy wszyscy coś zjedli - powiedziała.

Boyle nie jadł gorącego posiłku od siedmiu tygodni. Oboje Macgregorowie byli bardzo przejęci jego mizernym wyglądem. Jako główne danie Lily podała pasztet pasterski z duszonymi jabłkami i słodkim sosem, a gdy skończyli jeść, Boyle - wciąż głodny - zaczął się zajadać pajdami razowego chleba. Kiedy wreszcie i jego posiłek dobiegł końca, wszyscy usiedli na powrót przy stole, by porozmawiać.

- Co to za problemy z tymi Azjatami, Mac? - rozpoczął pytaniem Boyle.

- Nie byli do końca przekonani, czy występowanie przeciw Rosjanom rzeczywiście leży w ich interesie.

- Jak to? Macgregor wzruszył ramionami.

- A dlaczego mieliby być? Jeszcze nie tak dawno nie mieli u nas łatwego życia, a Rosjanie nie żalowali czasu ani pieniędzy na propagandę skierowaną do kolorowych. Nie idą za tym żadne konkrety - to tylko czcze obietnice, ponieważ oni oczywiście mają wszystkich kolorowych głęboko gdzieś. Ale w każdym razie na pewno nie traktują ich gorzej niż białych. A to już jest coś, jeśli się to porówna z naszym postępowaniem.

Boyle spojrzał na dziewczynę.

- Jak zdołałaś ich przekonać?

- Ojciec mi powiedział, co mam im mówić. Bardzo sprytny z niego człowiek - odparła śmiejąc się.

- Powiedz, co im powiedziałaś?

- Ojciec powiedział, żebym zapytała ich przede wszystkim o to, dlaczego przyjechali tutaj, a nie do Rosji. Dlaczego nikt nigdy nie porwał samolotu, ponieważ chciał się przedostać do Związku Radzieckiego. Dlaczego nieszczęśliwi i zrozpaczeni boat-people z południowo-wschodniej Azji nigdy nie skierowali swoich łodzi do Związku Radzieckiego. Powiedział, żebym ich zapytała, czy

kiedykolwiek słyszeli, żeby jakaś radziecka ambasada gdziekolwiek na świecie była oblegana przez ludzi pragnących się dostać do Rosji. Kazał mi też zapytać, czy myślą, że mur berliński wybudowano po to, żeby Niemcy z zachodu nie mogli się przedostać na wschód, czy też ci ze wschodu na zachód.

- I co odpowiedzieli na to wszystko?

- Nic - odparła Indira i roześmiała się. - Zamurowało ich.

- Ale przecież musieli o tym wszystkim wiedzieć już wcześniej!

- To się panu tylko tak zdaje, panie Boyle. Skoro może być Święty Mikołaj, Jezus Chrystus, Budda, Mahomet, Brahma, to czemu by nie Karol Marks? Modlimy się, prosimy naszych bogów o pomoc i otrzymujemy niejasne odpowiedzi - ale wierzymy dalej, ponieważ gdybyśmy nie mieli Boga, nie mielibyśmy niczego. Tak bardzo boimy się zostać samotni na tym świecie, którego nie potrafimy zrozumieć.

Lity Macgregor miała już dość tego filozofowania.

- Chodź, dziecko. Czas, żebyś się trochę przespaała. Przygotowałam ci łóżko. Powiedz panom dobranoc.

Dziewczyna parsknęła śmiechem i wzięła w objęcia tęgą Szkotkę.

- Mówi pani zupełnie jak moja mama, kiedy byłam mała. - Odwróciła się z uśmiechem do mężczyzn.

- Dobranoc panowie.

Kiedy zostali sami, Macgregor zapytał:

- Wiesz, kim ona jest, Jamie?

- To córka Sanjiva Singha.

- Nie tylko. Byłem przekonany, że wiesz.

- Nie rozumiem.

- To dziewczyna pułkownika.

- Mówisz o Harrym?

- Tak.

- Trudno mi w to uwierzyć. Harry Andrews z młodą kochanką?

- To coś więcej, chłopie. Dużo więcej.

- Co masz na myśli?

- Nie jestem do końca pewien. Ale to nie tylko łóżko. To jakaś dziwna historia. On we wszystkim na niej polega. Ten facet przecież zawsze doskonale wie, czego chce. Tak było dotąd i przypuszczam, że będzie tak nadal. Ale ona go w jakiś sposób inspiruje. To trochę tak, jakbyś grał w szachy i umiał przewidywać tylko dwa ruchy naprzód, a nagle okazuje się, że potrafisz przewidzieć sześć.

- Ale jak to się dzieje? Co ona takiego robi?

- Ona jest przyczyną... nie, nie przyczyną. Nie wiem jak to wyjaśnić. Przedtem Harry robił to wszystko, ponieważ uważał, że tak trzeba. Sam postanowił, że to musi nastąpić i sam doprowadził do tego, że nastąpiło. Nie oczekiwał nagrody, traktował to jako obowiązek. A teraz nagle ona jest tą nagrodą, będzie nią w każdym razie, jeśli wszystko pójdzie tak, jak zaplanował. Zanim ta krowa, jego żona, zniknęła, przez całe życie miał tylko SAS i ten swój plan. Obowiązek, i to raczej nudny obowiązek. A teraz Indira dodała temu wszystkiemu blasku.

Boyle mimo wyczerpania zdobył się na uśmiech.

- Może Robbie Burns wyjaśniłby mi to lepiej, ale tobie też nieźle wyszedł ten opis samotnika, który nagle zakochał się i odkrył, że mu się to podoba.

Macgregor uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- To jeszcze coś więcej, Jamie. Poczekaj, aż ich zobaczysz razem... No, chodźmy spać. Wyglądasz na wykończonego.

- I jestem, Mac. Jestem tak wykończony, że chyba nie zasnę.

- No to już, ruszajmy się, panie szyper.

Cztery dni później dwa miasta - Glasgow i Edynburg - tuż po

pólnocy przestały funkcjonować. Nie był to jakiś zwykły zgrzyt w maszynarii, ale całkowite jej zatrzymanie. Ani jeden sklep nie został otwarty. Nikt nie poszedł do pracy. Nie jeździły pociągi ani autobusy. Nie było elektryczności i nie działały telefony. Zamknięte były urzędy pocztowe i banki, nie było gazet, nie było listów i zamarła wszelka łączność ze światem. Na pustych ulicach panowała zupełna cisza. Było to bardzo uciążliwe dla mieszkańców, ale dla Pełnomocnika Radzieckiego i jego ludzi oznaczało to coś znacznie gorszego. Nikt się do nich nie odzywał, a kiedy wysłali samochody po ważniejszych przedstawicieli władz brytyjskich, siedzieli oni bez ruchu w absolutnym milczeniu. Kilkunastu z nich aresztowało KGB, lecz nie było policjantów, którzy mogliby ich pilnować, a obsługa więzienia nie odpowiadała na dzwonienie i walenie w wielką bramę wejściową.

Akcja trwała tydzień i prowadzona była wyłącznie środkami pokojowymi, ale osiągnęła swój cel. Uświadomiła Rosjanom, że bez współpracy społeczeństwa są niezdolni do działania, a obszar ich władzy stanowi samotną wyspę. Niektórzy z nich potraktowali rzecz lekceważąco, jako drobną niedogodność. Ale władze radzieckie w Londynie zdawały sobie sprawę z jej znaczenia. Pomimo ich szczerych wysiłków, pomimo przywrócenia prawa, porządku i pełnego zatrudnienia, nie mieli poparcia społecznego. To, co się stało w Glasgow i Edynburgu, było rzeczywiście jedynie niedogodnością. Ale jeśli następna taka akcja obejmie cały kraj, nie da się jej powstrzymać bez aresztowań i stosowania przemocy.

Rozdział XIV

Pilot myśliwca Jak-36 przeleciał nad wybrzeżem Norfolku na południe od Great Varmouth z szybkością nieco powyżej 650 mil na godzinę, czyli dużo niższą niż jego szybkość maksymalna. Ponad światłami Bungay zatoczył hak i zawrócił z powrotem w stronę morza.

Wysłano go z lotniskowca „Kijów” jako eskortę wielkiego samolotu transportowego, który miał jakieś problemy z urządzeniami nawigacyjnymi. Zataczając szerokie koła wokół ogromnego „Antonowa 12”, połączył się z pilotem, żeby wspólnie z nim sprawdzić kurs, a następnie nawiązał kontakt radiowy z „Kijowem”, skąd otrzymał pozwolenie na przejęcie całkowitej kontroli nad „Antonowem”, który zaczął już powoli kierować się na swój właściwy kurs w stronę lotniska w Diss.

Kiedy wielki samolot zbliżył się do wybrzeża, pilot „Jaka” zanurkował i znalazł się 1500 stóp poniżej. Wówczas wystrzelił racę sygnalizującą przekroczenie wybrzeża we właściwym punkcie, znów poprowadził myśliwca w górę poprzez oświetlone księżycem cumulusy i zawrócił powoli, wynurzając się powyżej transportowca i za nim, podczas gdy ten zaczął już podchodzić do lądowania w Diss.

Myśliwiec pozostawił już wybrzeże daleko za sobą, kiedy pilot zauważył jakiś błysk na ekranie radaru. Wyłączył radar i włączył go ponownie; błysk wciąż tam był. Kiedy przełączał radiostację na częstotliwość „Kijowa”, nagle oślepił go potężny błysk wybuchającego pocisku przeciwlotniczego. I w tym momencie jego

myśliwiec przestał istnieć. Pilot i nawigator transportowca widzieli to wszystko na dużym ekranie swojego radaru. Pilot akurat odwrócił się, zdziwiony, do nawigatora, gdy drugi z pocisków uderzył ich samolot prosto w dziób, gdzie znajdowały się wszystkie urządzenia elektroniczne. Transportowiec przewrócił się powoli na wznak i zaczął bezwładnie opadać w stronę ziemi. Kiedy odpadły tylne luki pokładowe, pęd powietrza wyssał na zewnątrz wszystkich znajdujących się na pokładzie spadochroniarzy. Samolot spadł na ziemię i roztrzaskał się na szosie A-143. Natomiast szczątki „Jaka” opadły w obszarze o promieniu pięciu mil na pola po obu stronach rzeki Yare. Było tuż po pomocy.

Nad południową Anglią wielki Tupolew wiozący 420 pasażerów rozleciał się, kiedy pocisk trafił go tuż po opuszczeniu głównego korytarza wylotowego Londynu ponad Brookmans Park. Nad Warrwick został strącony samolot pasażerski Aerofłotu wiozący radziecką delegację związkową i dwudziestu pięciu piłkarzy klubu „Dynamo” Moskwa.

Kiedy do radzieckiego Centrum Obrony w Whitehall zaczęły napływać meldunki z różnych stron kraju, okazało się, że nie można się stąd połączyć z żadnym lotniskiem ani dowództwem wojskowym z powodu buczenia o wysokiej częstotliwości, wypełniającego wszystkie używane przez Armię Czerwoną pasma nadawania. Zanim przełączono nadajniki na częstotliwość satelitarną, zwłoka w przesłaniu rozkazów urosła do dwudziestu minut. Gdy z poszczególnych rejonów zaczęły napływać odpowiedzi mówiące o przerwaniu dopływu energii z powodu zniszczenia sieci wysokiego napięcia i lokalnych stacji przekaźnikowych, dowódcy Armii Czerwonej zrozumieli w końcu, że mają do czynienia ze zorganizowaną akcją.

Smetana był akurat na przyjęciu w ambasadzie polskiej, kiedy

otrzymał pierwsze wiadomości o katastrofie Tupolewa. Ale nikomu jeszcze wtedy nie przyszło na myśl, że samolot stał się celem pocisku przeciwlotniczego. Sprawa zaczęła się wyjaśniać dopiero około drugiej w nocy, gdy do Smetany - który właśnie rozbierał się w swym pokoju w hotelu Savoy, przejętym przez Rosjan na siedzibę urzędu pełnomocnika - dotarły kolejne informacje. Kilka minut później siedział już na tylnym siedzeniu swej czarnej wołgi z radziecką flagą powiewającą na masce. Z ledwością powstrzymywał gniew. Ulice z powodu godziny policyjnej były puste, poruszały się jedynie pojazdy wojskowe zajmujące wyznaczone miejsca. Dwa wozy pożarnicze blokowały wejście na dworzec Charing Cross, a na Trafalgar Square stało cztery czy pięć czołgów T-64.

Przy Admiralty Arena zauważył kilka oddziałów Armii Czerwonej i ciężarówki do przewozu żołnierzy. Jakiś kapitan wyrzaskiwał rozkazy, wskazując ręką w kierunku parku. Smetana dobrze rozumiał jego uczucia, ale wiedział też, że jest to oznaka słabości, a nie siły. Był rad, że to zobaczył - pomoże mu to uniknąć zachowania się tak samemu. Nadszedł czas, by być spokojnym i opanowanym dowódcą.

Kiedy wjechali w Horse Guards, zobaczył setki żołnierzy oraz szwadron samojezdnych haubic wspieranych przez kilkanaście wyrzutni raketowych typu AN-21. Westchnął ciężko, wysiadając, z auta i skierował się w stronę Centrum Kontrolnego byłego brytyjskiego ministerstwa wojny.

Zgromadzeni w pokoju konferencyjnym mieli niewesołe miny. Sawalew zdążył już mu powiedzieć, że w Moskwie czekają na jego telefon. Wojskowi doszli w końcu do głosu i wyglądało na to, że na Kremlu zdecydowano już, iż nadszedł czas, by pokazać Brytyjczykom, że zabawa się skończyła.

Podczas długiej rozmowy telefonicznej z Moskwą wyparował gdzieś ze Smetany spokojny i opanowany dowódca. Z Orłowa zaś wyszła cała jego chłopska natura. Szpikując swą reprimendę wulgarnymi wyzwiskami, oskarżył Smetanę o oszukiwanie Biura Politycznego i osobiście jego samego. Padło nawet słowo zdrada. Smetana został również poinformowany, że jego rodzinę umieszczono w areszcie domowym. Rozkaz, jaki otrzymał, brzmiał jednoznacznie - zostanie na stanowisku Pełnomocnika, by Biuro Polityczne mogło zachować twarz, lecz faktyczne dowództwo obejmie generał Maliutin. Ludności Wielkiej Brytanii nie będzie się już dłużej uważać za neutralną, czy tym bardziej nastawioną przyjaźnie. Zostaje odtąd uznana za naród zamieszkujący wrogie państwo znajdujące się pod okupacją i będzie traktowana z najwyższą surowością. Konsekwencje, jakie wyciągnie się w stosunku do Smetany, będą zależą od tego, w jakim stopniu uda mu się odzyskać pełną kontrolę nad Brytyjczykami.

Przez następną godzinę Smetana wyrównywał swe porachunki z generałami, wyrzaskując obraźliwe słowa na temat ich niekompetencji i grożąc ujawnieniem Moskwie rewelacji o ich skorumpowaniu i prowadzeniu się niegodnym człowieka radzieckiego. W końcu, gdy cały nagromadzony w nim jad się wyczerpał, uspokoił się na tyle, żeby móc wysłuchać aktualnych raportów o ostatnich wydarzeniach.

- Jakie działania podjęło dotąd wojsko, towarzyszu generale? - zapytał Smetana.

- Przerzuciliśmy piechotę mongolską w rejon lotniska Heathrow. Otrzymali rozkaz przeszukania wszystkich domów po kolei. Mają przy tym napędzić porządnego stracha Wszystkim mieszkańcom - mężczyznom, kobietom i dzieciom - bez żadnego wyjątku. KGB próbuje ustalić miejsca, skąd wystrzelono pociski, ale nie otrzymali

jeszcze dokładnych danych liczbowych z Dowództwa Sił Powietrznych.

- A jeśli przeszukanie nic nie da? Jeśli nic nie znajdziemy?

- Wówczas zacieśnimy kontrolę nad całą ludnością, nałożymy kontrybucję w wysokości pięciu, sześciu milionów rubli płatnych w naturze, ogłosimy dzień żałoby narodowej za naszych zmarłych i weźmiemy zakładników. Czterech za jednego.

- Ilu ludzi straciliśmy dzisiejszej nocy?

- Ponad ośmiuset zabitych. Nikt nie ocalał.

- Jak myślicie, dlaczego to zrobili?

- Ponieważ byliśmy dla nich zbyt łagodni.

- Ale tylko w ten sposób mieliśmy szansę pokazać światu, że komunizm może się sprawdzić w kraju wysoko rozwiniętym.

- Nie wciskaj mi tego gówna, Smetana. U nas też by się sprawdził, gdybyśmy nie pilnowali ich wszystkich na każdym kroku. Myślisz, że marnowalibyśmy pieniądze i inne środki, gdyby nie było to konieczne? Ludzie są tylko ludźmi, gdziekolwiek na całym świecie, mój drogi. Dać im palec, to zaraz chcą całą rękę. Odtąd ten kraj staje się integralną częścią Związku Radzieckiego i będzie rządzony normalnie, a nie jak jakiś pensjonat dla emerytów.

Smetana pokręcił głową.

- I niech cały świat patrzy, jak nam kolejny raz nie wychodzi, Polska, Afganistan, Egipt, Wietnam, Somalia, Erytrea, cała południowo-wschodnia Azja. Wszyscy wzywają nas jako przyjaciół i aliantów, żebyśmy udzielili im pomocy, a kończy się to okupacją i walką z partyzantami popieranymi przez całą ludność, która nienawidzi nas z całego serca. Miliardy rubli idą w błoto, tysiące naszych ginie i wszystko na nic.

Maliutin uśmiechnął się. Był to kwaśny uśmiech nie obejmujący jego oczu.

- Nałykaliście się za dużo moskiewskiej propagandy, towarzyszu Smetana. Teraz wojsko jest przy władzy. Nikt nam niczego nie musi podawać na srebrnej tacy, sami sobie weźmiemy, co nam się podoba. I nie potrzebna nam do tego żadna zakichana zagranica. To, co myśli reszta świata, mamy głęboko gdzieś. Zniszczymy każdego, kto spróbuje choćby ruszyć palcem przeciwko nam, jak to kiedyś mówił Chruszczow. Tyle, że on wtedy blefował. Nie byliśmy dość silni, by zapanować nad światem. Teraz mamy tę siłę i użyjemy jej, jak mi Bóg miły - generał wciągnął głęboko powietrze i mówił dalej. - Wszystko, czego od was żądam, Smetana, to żebyście nie wchodzili mi w drogę. Ci z Kremla chcą zachować twarz - proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu - ale wasza kolejka się skończyła. Teraz jest nasza. Baw się w swoje małe gierki gdzieś na boku. Jeśli będziesz się zachowywał poprawnie, to przetrwasz - wyciągnął gruby palec w kierunku Smetany. - Ale jeden fałszywy krok, przyjacielu, a ty i cała twoja rodzina dostaniecie bilety w jedną stronę - do Gułagu. I mówię to całkiem serio.

Generał wstał powoli, spoglądając wyzywająco na Sawalewa, Smetanę i pozostałych wojskowych.

Kiedy Sawalew i Smetana zostali sami, ten pierwszy odezwał się cicho:

- Jacy sympatyczni są jednak ci absolwenci Akademii Wojskowej imienia Frunzego.

Lecz Smetana nie był w nastroju do żartów.

- Chyba pojedę do Moskwy i porozmawiam z nimi - rzekł.

- Rób wszystko, tylko nie to.

- Dlaczego nie?

- Obedrą cię żywcem ze skóry. Poczekajmy, niech się to wszystko trochę uleży. Niech teraz ci cholerni wojskowi się pomęczą.

- A wszystkie nasze plany i pomysły? Nic z tego nie zostanie,

gorzej niż nic!

- Tak, wiem - potwierdził Sawalew ponuro i dodał: - Jeszcze o jednym nie powiedziałaś. O nadziejach. Ty i ja oparliśmy się za bardzo na naszych pobożnych życzeniach. Stary Maliutin może i jest cholernym dinozaurem, ale na pewno jest też większym realistą niż my obaj. Tak jak to on powiedział - i miał niestety rację - nie można pozwolić ludziom decydować o wszystkim. Ile byś im nie dał, będą wciąż żądać więcej. Jedyne sposoby, to pozbawić ich w ogóle możliwości wyboru. Ma być tak i tak, i niech wszarże harują. Żadnych „ale”, żadnych „gdyby”. Podporządkuj się, albo utną ci łeb. To jedyny sposób, Jurij.

Smetana odwrócił się z wolna i spojrzał na Sawalewa.

- To moskiewskie teoryjki, Lew.

- Więc co?

- Widziałaś przecież nieraz akta KGB dotyczące dysydentów, zajmują ładnych kilkanaście pokoi, od sufitu do podłogi.

Sawalew wzruszył ramionami.

- Ale ten system wciąż jednak działa, towarzyszu Smetana. Tyle, że będziemy potrzebować teraz trochę więcej gilotyn.

- Tak. I coraz większych obozów.

- O, nie, w końcu przestaniemy się z nimi bawić. Trzeba ich po prostu wreszcie powykańczać, tak będzie taniej i łatwiej.

Był to typowy warsztat, podobny do setek innych, które przyczyniły się niegdyś do ugruntowania dumnego powiedzenia, iż w Birmingham produkuje się wszystko - począwszy od lokomotyw, a skończywszy na pinezkach. Wałący się dwupiętrowy budynek nad kanałem, stojący w miejscu, gdzie krzyżuje się on z Fatheley Street, mieścił na parterze około pół tuzina pras tłoczących, dwie zginarki, starą niemiecką tokarkę, kilka stojących świderów i nowoczesną

szwedzką wiertarkę automatyczną. Wszędzie czuć było nawarstwiający się od dziesiątek lat zapach oleju maszynowego i opiłków metalu.

W dużym pomieszczeniu na piętrze, używanym częściowo jako magazyn, a częściowo jako biuro, siedziało na podłodze dwudziestu dwóch mężczyzn. Andrews usadowił się na odwróconej skrzynce, ustawionej tuż pod oknem, tak aby mógł wyglądać przez niewielkie kółko, które wytarł na czarnej od brudu szybie. Okno wychodziło na kanał i biegnącą wzdłuż niego ścieżkę, zarośniętą pokrzywami i ostami. Sam kanał był całkowicie pokryty zielonymi algami, a na przeciwległym jego brzegu wystawała częściowo z wody zardzewiała rama rowerowa, w pobliżu której siedziała jakaś obejmująca się para. Nic dziwnego, że stanie na czatach jest tak popularne wśród młodzieży - pomyślał Andrews i wracając myślą do rzeczywistości, spojrzał na Joe Langleya, który stał przy rozklekotanym stole, trzymając lekko w swoich wielkich dłoniach karabin. Joe, choć z natury małomówny, o broni mógł mówić w nieskończoność. Miał nad pozostałymi tę wielką przewagę, że nie tylko wiedział, jak tej broni używać, ale znał się także na jej konstrukcji. Birminghamski akcent dodawał jego słowom posmaku szczerości, a jednocześnie pewnej poetyckości.

- ...tak więc od tej chwili nie nazywajmy go już Kałasznikowem - mówił Joe. - Jest to karabin bojowy AK-47. I to nie dlatego, że nie lubimy używać rosyjskich nazw, ani nie dlatego nawet, że nie jest nam miło przyznawać się do używania broni skonstruowanej przez Rosjan, a jedynie z tego powodu, że jest to w końcu tylko zwykły karabin, a mówiąc ściśle, rosyjski plagiat niemieckiego karabinu, na niemieckie naboje M-43. To był szwabski projekt, panowie, trochę tylko ulepszony przez Rosjan. A teraz rozbierzemy go na części i zobaczymy, co...

Andrews przypomniał sobie sierżanta Langleya stojącego pod wielkim dębem i mówiącego dokładnie te same słowa. Tylko wówczas Langley był niewiele starszy niż ci młodzi mężczyźni, do których teraz przemawiał. W pamięci pułkownika te dawno minione dni zachowały się na zawsze jako letnie i słoneczne, i pamiętał też, jak spierali się w mesie o to, czy trzeba koniecznie znać budowę karabinu, żeby być dobrym strzelcem wyborowym. A Malins powtarzał ciągle, że Kałasznikow i tak nie nadaje się na broń dla snajpera.

- ...Dobre pytanie. Niemcy używali dużych naboń, podobnie jak my. Waga 200 gramów, szybkość 2.500 stóp na sekundę i dobra celność przy odległości poniżej 1.000 jardów. Jednak było w tym wszystkim parę niedogodności, po pierwsze 1.000 jardów to jest ponad pół mili, a piechota w walce rzadko strzela na odległość większą niż 400 jardów. Poza tym, większość ludzi i tak nie umiała trafić w cel nawet z tych 400 jardów, tak więc było to marnowanie siły ognia. Ten niemiecki nabój M-43 był kulisty, a to oznaczało, że można by go używać do tańszej, lżejszej i bardziej skutecznej broni. To z kolei doprowadziło...

Andrews był świadkiem na ślubie Langleya, ponieważ nie miał on żadnych krewnych ani przyjaciół. Dziwnie było widzieć tego twardego, pewnego siebie żołnierza z pulchną, uśmiechniętą dziewczyną, która najwyraźniej miała się stać nie tylko żoną, ale i matką mężczyzny stojącego teraz obok niej w wyjściowym mundurze. Mężczyzny, który wiedział wszystko o tym, jak zmusić ludzi do największego wysiłku, ale który traktował swą młodą narzeczoną tak delikatnie, jakby to był granat z wyciągniętą zawleczką...

- ...I następne minusy: rygiel nie pozostaje otwarty po wystrzeleniu ostatniej serii z magazynka. Tak więc warto pamiętać

o tym, żeby liczyć serie, bo inaczej może się okazać, że będziecie ciągnąć za spust przy pustej komorze, a wówczas...

Andrews próbował kiedyś, dawno temu przekonać Langleya, żeby ten podpisał kontrakt z SAS jeszcze na cztery następne lata. Jednak Langley otrzymał inne instrukcje od dziewczyny czekającej w wynajętym mieszkaniu w Birmingham i były one dla niego ważniejsze niż wszystko pozostałe, łącznie z oficerami, Regulaminem Sił Zbrojnych i awansem na drugi stopień oficerski...

- ...Tak, mamy Dragunowy, ale wy, chłopaki, ich nie dostaniecie. To broń dla snajperów. Będę szczęśliwy, jeśli uda wam się trafić w cel strzelając z tego tu węża ogrodniczego. Więc na razie lnie ma co gadać o pojedynczym strzelaniu. No, dobra. Dziesięć minut przerwy na papierosa, a potem zajmiemy się sposobami ataku małymi grupami w warunkach miejskich.

Langley podszedł do Andrewsa i stanął przy nim, opierając się o ścianę.

- Ilu z nich wytrzymałoby do końca w SAS, Joe? - zapytał pułkownik.

- Żaden, sir. Ale są pełni zapału i mają głęboką motywację. To chłopaki z jajami i w razie czego na pewno się spiszą jak należy. Cała reszta też przecież nie sprawiła jak dotąd zawodu.

- A ilu ma już za sobą kursy instruktorskie?

- Dziewięciu z całej dwusetki. Siedmiu już szkoli rekrutów.

- Biorąc pod uwagę cały region, Joe, ilu mógłbyś w tej chwili zebrać takich, którzy byliby gotowi rzucić wszystko i pójść na całość?

- Dobrze ponad dwa i pół tysiąca w samym mieście, sir. I jeszcze ze trzy tysiące, jeżeli doliczyć Stanford, Coventry, Worcester i Black Country.

- Ilu miałeś zdrajców?

- Jak dotąd pięciu.
- I co z nimi zrobiłeś?
- Ujmijmy to może tak, że... poradziłem z tym sobie. Z wyjątkiem jednego.
- A ten wyjątek?
- Miał raka. Zostało mu tylko kilka miesięcy życia. Chciał być z rodziną. Umarł parę tygodni temu.
- A co z rodziną?
- Zajmujemy się nimi - obiecaliśmy mu to. A propos rodziny - może znalazłby pan chwilę czasu, żeby odwiedzić ze mną moją żonę? Mieszka teraz w Aston, niedaleko parku.
- Z przyjemnością, Joe. Możemy iść jak tylko skończysz zajęcia.
- Świetnie. Może uda mi się załatwić dla pana drugi rower.

Dwie ciężarówki pełne wojska wspięły się powoli na Gravelly Hill od strony Spaghetti Junction i zatrzymały się u wylotu Kingsbury Road w miejscu, gdzie główna droga skręcała w stronę Erdington. Kingsbury Road była długą, zamieszkałą głównie przez niższą klasę średnią ulicą, zabudowaną identycznie dwurodzinnymi domkami w stylu wiktoriańskim. Miały one wykuszowe okna na parterze i piętrze, małe ogródki od frontu i wybetonowane lub żwirowane ścieżki prowadzące do małych ganeczków z przeszklonymi drzwiami.

Podoficer dowodzący kolumną zeskoczył z szoferki pierwszej ciężarówki i stanął przy samochodzie, spoglądając w głąb ulicy. Była prawie północ i tylko w niektórych domach paliły się jeszcze świece i lampy naftowe. Podoficer trzymał w ręku mały, przenośny nadajnik, w którym nacisnął teraz przycisk nadawania, oraz drugi przycisk łączący go z pozostałymi oddziałami. One również powinny już znajdować się na swoich miejscach w Six

Ways, na Tyburn Road, w Stockland Green i Sutton Coldfield. Językiem, którym się z nimi porozumiewał, był Khalka, urzędowy język Mongolskiej Republiki Ludowej. Większość z jego ludzi mówiła po buriacku, ale rozkazy należało wydawać w języku uznawanym oficjalnie.

Dał sygnał kierowcom, żeby wyłączyli silniki i zgasili światła. Zaśmiał się z czegoś, co usłyszał przez radio, mruknął jakieś przekleństwo i wyłączył nadajnik. Następnie schował antenę teleskopową i wsunął radio z powrotem do kieszeni. Spojrzał na zegarek, uniósł do ust gwizdek i gwizdnął przeciągle dwa razy.

Nadal stał przy szoferce pierwszej z ciężarówek, podczas gdy jego ludzie zaczęli wyskakiwać na ziemię. Było ich sześćdziesięciu trzech, wszyscy uzbrojeni w lekkie karabiny maszynowe. Na dany znak rozbiegli się trójkami w kierunku domów. Podoficer usłyszał brzęk tłuczonego szkła, trzaskanie łamanego drewna i krzyki mieszkańców. Parę minut później z jednego z domów wybiegła naga dziewczyna, a za nią żołnierz, który chwycił ją za długie, czarne włosy i wciągnął z powrotem do budynku. Dwa czy trzy razy zabrzmiały wystrzały z karabinów maszynowych, a po nich kolejne krzyki. Potem zapadła cisza. Podoficer uśmiechnął się do siebie. Jaka szkoda, że nie mogę tego robić za każdym razem, kiedy jakiś samolot z Moskwy zostanie strącony na ziemię. Rozkaz mówił, żeby dać im trzydzieści minut, więc dowódca spojrzał znów na zegarek. Zostało jeszcze dziewięć minut. Jeśli nie będą marnować czasu, każdy z nich zdąży zaliczyć jeszcze przynajmniej po jednej kobiecie.

Kiedy wskazówka minutowa na jego zegarku przesunęła się, dowódca skinął głową do obu kierowców i dmuchnął dwa razy w gwizdek. Kierowcy zaczęli zdejmować z ciężarówek blaszane beczki, a następnie żołnierze, którzy nadbiegli w międzyczasie, przynosili je w stronę domów. Dziesięć minut później wszystkie

domy stały w płomieniach, a ich mieszkańcy biegali z krzykiem po ulicy. Niektórzy byli nadzy, inni tylko na wpół ubrani; niektórych trzeba było wynosić z płomieni. W innych częściach dzielnicy inne oddziały przeprowadziły podobne operacje. Natomiast w Ilford, Shepherd's Bush, Finchley i Croydon domy nie zostały spalone, ale za to pozwolono żołnierzom doszczętnie je obrabować po zakończeniu gwałtów. Oddziały otrzymały dodatkowe puste ciężarówki, które wracały teraz pełne telewizorów, odbiorników radiowych, mebli, lodówek, kuchenek i dywanów. Lekcja się skończyła. Lekcja w prawdziwie moskiewskim stylu. Również w Berlinie żyli jeszcze ludzie, którzy z łatwością rozpoznaliby ten scenariusz.

O piątej rano zaczęło się rozjaśniać. U podnóża skały w Hastings mężczyzna z bostońskim akcentem odczytywał na głos tekst ze spiętych spinaczem kartek, przytrzymując je drugą ręką, żeby nie trzepotały na wietrze. Trzymetrowa antena była wyciągnięta na całą długość. Mężczyzna trzymał mikrofon tuż przy ustach. Mówił powoli, literując nazwiska i nazwy miejscowości, a następnie podając numery rejestracyjne ciężarówek i opisy insygniów Czwartego Mongolskiego Pułku Granicznego. Zajęło mu to wszystko ponad pół godziny. Potem zmienił kanał i wcisnął guziki odbioru. Odezwał się głos z nieznacznym holenderskim akcentem i potwierdził przyjęcie całej nadanej wiadomości. Pół godziny później agencja UPI przekazywała już tę wiadomość do tysięcy odbierających jej serwis redakcji gazet i stacji radiowo-telewizyjnych na całym świecie.

Dwa dni po dokonaniu przez Armię Czerwoną zemsty na ludności cywilnej, Tommy Pardoe siedział przy swoim biurku.

Przed nim stała walizkowa maszyna do pisania z wkręconym

arkuszem papieru. Papier tkwił w maszynie już od dwóch godzin i był zupełnie czysty.

Godzinę później wszedł Pietrow, rzucił krótkie spojrzenie na małą kartkę przypiętą do ściany, przeczytał ją, a potem spojrzał na Pardoe.

- Dlaczego jeszcze nie ma raportu o wczorajszym wydaniu? - rzucił ostro.

Pardoe podniósł głowę i spojrzał na Rosjanina.

- Może zgadzam się ze wszystkim, co napisaliście - odparł. Pietrow skinął ku przypiętej do ściany kartce.

- Lepiej to zdejmij, przyjacielu, jeśli nie chcesz napytać sobie biedy.

Pardoe odwrócił się i również spojrzał na kartkę. Było na niej wydrukowane tylko jedno zdanie: „Ocenzurowana prasa wywiera demoralizujący wpływ... cenzura zabija ducha obywatelskiego”.

Pardoe spojrzał znów na Rosjanina.

- Jak to napytać sobie biedy? Przez coś takiego? - spytał niewinnym tonem.

- Cholera, Pardoe, nie udawaj idioty. Znasz zasady gry tak samo dobrze jak ja - odparł Pietrow z irytacją.

- Może znam je nawet lepiej niż pan - odrzekł Anglik.

- A cóż to ma znaczyć?

- To nie ja wymyśliłem te słowa. To jest cytat właśnie z faceta, który ułożył zasady gry.

- Przestań się ze mną bawić, Pardoe - Pietrow wyciągnął rękę i zerwał kartkę ze ściany, a potem przedarł ją dwukrotnie na pół, rzucając kawałki w stronę kosza na śmieci.

Pardoe westchnął i uśmiechnął się krzywo.

- Gdyby był tu z panem któryś z waszych specjalistów od ideologii, to nie ja, lecz pan musiałby się tłumaczyć, Pietrow.

- Co jest z tobą, Pardoe? Skąd ta agresja? - Pietrow był autentycznie zaskoczony.

- Czy pan wie, kto powiedział te słowa?

- Gównu mnie obchodzi, kto je powiedział.

- Szkoda. To cytat z Karola Marksa.

- Żartujesz chyba.

- Stawiam swoją miesięczną pensję przeciwko pańskiej, że nie żartuję, przyjacielu. Niech pan spyta kogoś z waszych specjalistów od Marksa. To nie żaden żart, to tylko dowód, że to, co zawsze o was mówili, było prawdą.

- A cóż takiego mówili, jeśli można wiedzieć?

Pardoe zaczerpnął głęboko powietrza i przez sekundę zastanawiał się, czy Rubikon był prawdziwą rzeką, czy tylko mityczną.

- Mówili, że wy tam na Kremlu nie jesteście ani marksistami, ani komunistami, tylko po prostu bandą łajdaków, która dorwała się do władzy.

Przez kilka chwil Pietrow stał w milczeniu, a potem ścisząc głos zapytał:

- Czy coś ci się stało, Pardoe? Jesteś może chory?

Pardoe wstał i trzęsącymi się rękami wyciągnął kartkę z maszyny. Potem odwrócił się i spojrzał Rosjaninowi prosto w oczy.

- Dwie noce temu szlachetni rycerze z pańskiej Armii Czerwonej zgwałcili moją matkę i siostrę. Nie w tym samym domu, nawet nie w tej samej dzielnicy. Matka zmarła na atak serca dziś rano. Z tego, co wiem, to samo spotkało setki kobiet w całym kraju. Spuściliście ich ze smyczy na nasze kobiety, Pietrow, i Bóg świadkiem, że pożałujecie tego - po twarzy Pardoe spływały powoli łzy. - To może potrwać lata, Pietrow, ale zemścimy się, możesz być tego pewien. To już koniec z wami! Pokazaliście, kim naprawdę jesteście,

barbarzyńcy, dzikusy, zwierzęta!

Na oczach stojącego bez ruchu Rosjanina Pardoe chwycił maszynę do pisania i rąbnął nią o ziemię, po czym wyszedł z pokoju. Pietrow sięgnął po słuchawkę wewnętrznego telefonu, zawahał się chwilę, a potem cofnął rękę.

Kiedy o drugiej nad ranem na Alma Street w Chiswick niespodziewanie włączono prąd, obudziło się kilka mających lekki sen osób. Większość z tych ludzi wyrwało ze snu światło, które zapomnieli zgasić wieczorem, jedną z rodzin obudziło nie wyłączone radio, samotnie mieszkającego mężczyznę odkurzacz, który również nie został wyłączony, kiedy jak zwykle zamknięto dopływ energii o jedenastej wieczorem. Dziesięć minut później wszyscy oni byli z powrotem w łóżkach, próbując ponownie zasnąć.

O drugiej trzydzieści w Alma Street wjechał czarny Fiat. Samochód jechał powoli wzdłuż ulicy zabudowanej jednakowymi domami z tarasami na piętrze. W środku siedziało czterech mężczyzn. Kiedy mijali numer 27, jeden z nich kazał kierowcy zatrzymać auto, po czym wszyscy czterej wysiedli. Mieli na sobie ciemne płaszcze deszczowe i kapelusze. Najwyższy z całej czwórki poprowadził ich krótką ścieżką pod drzwiami domu i nacisnął guzik dzwonka. Wszyscy stali, czekając na niewielkim ganku. Po chwili zadzwonili jeszcze raz. Kilka minut później zauważyli w środku światło lampy parafinowej i usłyszeli, że ktoś drepcze do drzwi, a potem odsuwa dwie zasuwę i opuszcza łańcuch.

Kiedy drzwi się otworzyły, stanął w nich mężczyzna, który miał na sobie tylko spodnie, kaptcie i zarzucony na ramiona ręcznik. Spojrzał na stojące w ciemności na ganku postacie i zapytał:

- Kto tam?

Wysoki odepchnął go na bok i wszedł do środka, a pozostali za

nim. Jeden z nich włączył światło. Człowiek, który wpuścił ich do środka, zrobił zdziwioną minę. Po chwili ustąpiła ona miejsca przerażeniu. Nikt nie był w stanie spowodować, żeby włączono światło w środku nocy i nikt nie składał wizyt o tak wczesnej porze. Z wyjątkiem KGB. Wysoki zapytał:

- Gdzie jest Joseph Ash?
- Ja jestem Joseph Ash.
- Ma pan syna imieniem Joseph?
- Tak.
- Czy on tu mieszka?
- Tak. Ale teraz śpi.

Wysoki skinął na jednego z pozostałych i obaj ruszyli w stronę schodów.

- Hej, nie wolno wam tam wchodzić! - zawołał, Ash. - To mój dom, proszę pana. Nie macie prawa nachodzić nas w ten sposób. Nie macie...

Twarda pięść trafiła go w usta łamiąc protezę. I stary człowiek zatoczył się, łapiąc gwałtownie powietrze. Zostawili go na dole i weszli na schody. Gdy zapalili światło w pierwszej sypialni, kobieta w średnim wieku z lokówkami na włosach usiadła gwałtownie na łóżku, otwierając ze zdumienia usta.

- Gdzie twój syn sypialnia? - padło pytanie.

Kobieta, zaskoczona pokręciła tylko głową i zaczęła dygotać, kiedy ujrzała w ich dłoniach pistolety. Wysoki odwrócił się i przeszedł do sypialni naprzeciwko. Mężczyzna około trzydziestki zdążył już włączyć w niej światło i zakładał właśnie spodnie. Podniósł głowę, kiedy Rosjanin stanął w progu.

- Ty Joseph Ash?
- Tak. I co z tego?
- Pracujesz w Harvey Engineering?

- Tak.
- W maszynowni?
- Tak. Jestem brygadzystą. A co się stało?
- Jesteś aresztowany.
- Ja? A za cóż to u diabła?
- Sabotaż. Mówiłeś przeciwko państwu do swoich ludzi.
- To bzdury. Nigdy z nikim nie rozmawiam o polityce.
- Mówiłeś radzieccy inżynierowie są niekompetentni.
- Chyba pan zwariował. Nie znam żadnych radzieckich inżynierów.
- Znasz Grabowskiego. On radziecki inspektor twojej pracy, tak?
- No to co?
- Ty krytykowałeś go do robotników.
- Ja krytykowałem?
- Mamy podpisane oświadczenie świadka. On słyszeć twoje słowa.
- Kto taki?
- Lojalny obywatel. Nie lubił twoje mówienie.
- I co ja takiego powiedziałem jego zdaniem?
- Nieważne. Jest oświadczenie. Teraz chodź.
- Gdzie? Żądam adwokata. Wysoki skrzywił się.
- Zakładaj koszula i buty, towarzysz.

Joe Ash zawahał się tylko sekundę, lecz było to o sekundę za długo. Muszka pistoletu rozorała mu policzek. Przez chwilę, zanim szrama wypełniła się krwią, Joe Ash stał nieruchomo, pełen niedowierzania, aż poczuł, że ciepła krew spływa mu po policzku i niżej, na bladą szyję. Wówczas bez namysłu skoczył naprzód z uniesioną ręką, lecz Rosjanin kopnął go w kolano i Joe padł na podłogę zwijając się z bólu. Obaj Rosjanie związali mu ręce i zanieśli jego bezwładne ciało do samochodu. Wysoki zwrócił się do

swego kolegi:

- Ja przeszukam jego pokój, a ty obejrzyj resztę.

Granica strefy połowów na Morzu Irlandzkim i wokół Fastnet została wyznaczona przez Rosjan bez konsultacji z Dublinem, ale ogólnie rzecz biorąc, stosowali się oni do dawnych ustaleń. Czerwona Flota aktywnie i agresywnie patrolowała północno-wschodnie wybrzeże naprzeciw Zatoki Belfastu, ponieważ były to okolice bazy okrętów wojennych, lecz bliżej Fastnet patrole były o wiele rzadsze i bardziej pobłażliwe, ponieważ statki floty brytyjskiej nadające się do żeglugi oceanicznej zostały przez Rosjan przerzucone na Bałtyk albo unieruchomione pod strażą w portach, zaś kutry rybackie z Walii czy Kornwalii, które przekraczały granice irlandzkiej strefy połowów, były zawracane z powrotem przez patrole irlandzkie.

Robiło się już ciemno, kiedy dojrzeli światło latarni morskiej na Fastnet Rock, migającej z pięciosekundowymi interwałami. Wówczas prześliznęli się wzdłuż wybrzeża tuż poza granicą irlandzkich wód przybrzeżnych i krótko przed północą zarzucili kotwicę w pobliżu wyspy Dursey. Prognoza dla Fastnet i Shannon zapowiadała nie więcej niż trzy stopnie w skali Beauforta i brak mgły aż do rana.

Owen Phillips zaczekał, aż fala i prądy obrócą łódź stojącą na kotwicy, a potem poluzował maksymalnie łańcuch. Trzyosobowa załoga kutra czuwała na zmianę, przepatrując horyzont, chociaż brakowało jeszcze godziny do momentu spotkania, wyznaczonego na pierwszą w nocy.

Dokładnie w wyznaczonym czasie zauważyli światełko aldissu mrugające od strony pełnego morza. Sygnał G709 został powtórzony cztery razy, a potem Phillips odpowiedział dwa razy

tym samym sygnałem. Następnie przy pomocy korby podnieśli kotwicę i popłynęli wolno w stronę miejsca, z którego nadano sygnały. Dziesięć minut później dojrzeli kadłub. Był gładki i błyszczący jak grzbiet wieloryba. Wrażenie zakłócała jedynie wysoka wieżyczka obserwacyjna z szeroko rozpostartymi stabilizatorami.

Phillips opuścił nadmuchiwaną łódź i Andrews zeskoczył niezgrabnie na dół, podczas gdy rybacy przytrzymywali nylonową linę. Następnie zaczęli ją powoli luzować. Gumowa dinghy z wolna pokonywała przestrzeń dzielącą kuter od łodzi podwodnej. Jeden z ubranych w nieprzemakalne kombinezony marynarzy wyciągnął w jej kierunku bosak.

W ciemności nocy Andrews płynął w kompletnej ciszy, słysząc tylko pluskacie fal i swój własny oddech. Kuter pozostał już dwadzieścia stóp za nim, a do kadłuba łodzi podwodnej wciąż brakowało jeszcze dziesięciu stóp. Upłynęło jeszcze kilka minut, zanim mógł dosięgnąć bosak i zawiązać na nim pętlę przy pomocy liny umocowanej do steru dinghy. Kiedy łódka dotknęła stalowego kadłuba łodzi, marynarz wskazał mu drabinkę linową zwieszającą się z burty. Andrews chwycił drabinkę i stopą namacał pierwszy z drewnianych szczebli. Niezgrabnie wspinał się coraz wyżej, aż poczuł, że przytrzymują go czyjeś ręce i po chwili stał już na pokładzie, podtrzymywany w pół przez marynarza, który wskazywał ręką w stronę cienkiego snopa światła wydobywającego się z otworu w górującej nad pokładem masywnej wieży. We wnętrzu wieży, tuż przy wejściu, stało dwóch mężczyzn w mundurach marynarki. Obaj byli młodzi i opaleni. Jeden z nich, blondyn, zasalutował pułkownikowi i powiedział:

- Witamy na pokładzie, sir.

Potem amerykański kapitan łodzi przedstawił go komandorowi

Brytyjskiej Marynarki Królewskiej, który nazywał się Harris. Odprawiali go obaj do kabiny, zadziwiająco jasnej i kolorowej. Podczas gdy Andrews rozglądał się po kabinie, kapitan odezwał się:

- Niech się pan czuje jak u siebie w domu, sir. Zostawiam panu komandora Harrisa, żeby zapoznał pana ze wszystkim.

Harris oprowadził go po łodzi. Andrewsowi wydała się ona bardzo duża i wygodnie urządzona. Ponieważ załoga spędzała na niej z reguły trzy miesiące bez zawijania do portów, US Navy starała się, żeby wszystkie pomieszczenia i urządzenia były zaprojektowane z myślą o jak największej wygodzie użytkowników. Pokazano mu skomputeryzowane centrum kontroli nawigacyjnej, a także komputerowe urządzenia sterujące pociskami. Nie był do końca pewien, czy wszystko to bardziej go zadziwia, czy przeraża. Najbardziej niesamowite wrażenie zrobiło jednak na nim czerwone oświetlenie kabiny sterowniczej. Harris z uśmiechem wytłumaczył mu, że kiedy na zewnątrz zapada noc, zarówno sterówkę jak i pozostałą część łodzi „ustawia się na czerwone”, by zaznaczyć różnicę między dniem i nocą. Nagle przyszło mu do głowy, że wojna, którą on sam prowadzi, jest wobec tego wszystkiego beznadziejną amatorszczyzną. Później, kiedy razem z Harrisem i kapitanem zasiedli do obiadu, podzielił się z nimi tą myślą. Amerykanin czekając, aż ostygnie mu zupa, spojrzał na Andrewsa z powagą:

- Są różne rodzaje wojny, pułkowniku. Przekonaliśmy się o tym sami w Wietnamie, płacąc za to zresztą dość słono. Mieliśmy okręty, nowoczesne lotnictwo, helikoptery, artylerię, czołgi, najnowszą broń i amunicji ile dusza zapagnie. I co nam to wszystko dało? Złobili nam skórę. To tak, jakby pan próbował zabić muchę dziesięciokilowym młotem. Mam na tym statku stu dwudziestu siedmiu ludzi załogi. Na lądzie czeka druga załoga, która zmieni

nas, kiedy trzy miesiące patrolu dobiegną końca. W wyrzutniach znajduje się szesnaście rakiet typu Polaris A-3. Wystarczy wskazać na mapie jakiegokolwiek miasto w Rosji i za chwilę możemy je zrównać z ziemią. Trzeba tylko nacisnąć guzik - kapitan zamilkł na chwilę. - Cały pic polega jednak na tym, że nigdy tego wszystkiego nie użyjemy. Ani Moskwa, ani Waszyngton nie ma najmniejszego zamiaru naciskać guzika. Ponieważ jest to guzik działający na dwie strony. Jedenaście minut później takie same ptaszki polecą w przeciwnym kierunku. Mieliśmy przecież to wszystko - kapitan zatoczył huk ręką - już w czasach Wietnamu, ale gdybyśmy tego użyli, świat rozerwałby nas na strzępy - roześmiał się i wyciągnął łyżkę w stronę Andrews. - Pan i pańscy udzie jesteście Wietnamczykami, a Rosjanie to my w Wietnamie. W obcym kraju, nie znający języka, nie potrafiący odróżnić jednej wioski od drugiej. Zwycięzcie, przyjacielu. To tylko kwestia czasu i wytrwałości.

Kiedy skończyli jeść, Andrews zapytał:

- Kiedy spotkamy się z lotniskowcem?

- Mniej więcej za 24 godziny. I muszę powiedzieć, że aby to zrobić, złamiemy wszystkie możliwe przepisy.

- Jakie przepisy?

- Przede wszystkim rozkaz numer 1. Znam go na pamięć: „W czasie trwania całego patrolu łodzią podwodną Robert E. Lee SSBN 601 obowiązuje absolutny - powtórnie - absolutny zakaz wynurzania się na powierzchnię.”

- W jaki sposób może pan złamać taki rozkaz?

Kapitan parsknął śmiechem.

- W taki, że otrzymałem rozkaz przeciwny, i to od samego Naczelnego Dowódcy Floty. Coś mi się widzi, drogi kolego, że sporo o panu myślą w Waszyngtonie.

Następny dzień ciągnął się w nieskończoność. Harris

dotrzymywał Andrewsowi towarzystwa, lecz ten niewiele miał mu do powiedzenia. Pochodzili z dwóch różnych światów i pułkownik nie bardzo wiedział, o czym mógłby rozmawiać z człowiekiem, który spędzał cały swój czas w stoczni Marynarki Wojennej w Bostonie, prowadząc życie, które można było nazwać w miarę normalnym.

O trzeciej nad ranem Andrews przeszedł na pokład lotniskowca, a trzydzieści godzin później odleciał z niego samolotem, który wylądował na lotnisku Marynarki Wojennej na Long Island. Stąd przewieziono go rządowym samochodem na lotnisko La Guardia, gdzie przesiadł się na samolot do Waszyngtonu.

Rozdział XV

Anna wysłała mu bilet kolejowy i przepustkę do Moskwy. Spotkali się na Dworcu Leningradzkim. Kiedy patrzyła na niego, gdy szedł peronem w stronę wyjścia, uświadomiła sobie po raz któryś z rzędu, jaki jest przystojny. Był jasnym blondynem o błękitnych oczach, barczystym i bardzo wysokim. Jak to dobrze, że udało jej się namówić Jewgienię, żeby jej pożyczyła samochód na cały tydzień.

Nie było to wcale takie proste. Telewizor ojca Jewgienii zepsuł się i potrzebne były części, których nie można było dostać w sklepie. Chyba, oczywiście, że miało się znajomego urzędnika w ministerstwie energetyki, który marzył o parze czarnych, włoskich butów z miękkiej skóry, które z kolei mógł załatwić szef Jewgienii, który bardzo chciał pójść do łóżka z jej piękną przyjaciółką Anną. Tak więc Anna wylądowała w łóżku z Władimirem Zagorskim w jego przytulnym dwupokojowym mieszkaniu w pobliżu Centralnego Urzędu Statystycznego, a następnego ranka miała moskiewskie prawo jazdy, kartki na 20 litrów benzyny i dziesięciodniowe ubezpieczenie w Ingostraku.

Kiedy przyglądała się, jak przechodzi koło budki kontrolnej, pomyślała sobie, że mimo wszystko Josef Andriejewicz Andriejew, scenarzysta filmowy, wart był całego tego zachodu. Ucałowali się mocno, lecz bez przesady, żeby nie wywoływać sensacji w miejscu publicznym, a potem poprowadziła go do samochodu. Z zadowoleniem stwierdziła, że zrobił na nim wrażenie.

Kiedy znaleźli się w jej małym mieszkaniu, rozejrzał się wokół

i głośno wyraził swój podziw, jak przystało na dobrze wychowanego gościa.

- Gdzie pójdziemy coś zjeść, Anno?

- Ty decyduj, ty jesteś szefem.

- W takim razie chłopak z Mińska zabiera swoją dziewczynę do hotelu „Mińsk”. I poczęstuje ją prawdziwymi grzybami po ukraińsku.

- A gdzie to jest?

- Nie mów mi, że nie wiesz, to przecież na Gorkiego. Wy, Moskwiczanie jesteście jednak zupełnie wsioki - mówiąc to roześmiał się głośno i pchnął ją lekko na łóżko.

Kiedy wyszli z hotelu „Mińsk” i ruszyli wolnym krokiem ulicą Gorkiego, w oknach budynku Izwiestii paliły się już światła. Byli lekko wstawieni, ale nie pijani.

Gdy zatrzymali się na chwilę po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Mossowietu - siedziby władz miasta - młody człowiek odrzucił lekko głowę i spoglądając na świecący ponad dachami księżyc, nieco niewyraźnie wymawiając słowa, zaczął recytować:

Sił nam z każdą chwilą ubywa
Chociaż winy naszej w tym nie ma
Ponad Rosją w okowach systemu
Gaśnie księżyc - numer na pasiaku

Wszystkie gmachy, co służą tej władzy
Deszcz ze śniegiem opryskał jak krew
Blindy w oknach jak zaćma na oczach
Jak bez twarzy przywódców oblicza...

- Jezu Chryste - powiedział nagle - jakże ja nienawidzę tego

miejsca.

Dziewczyna pociągnęła go gwałtownie za sobą i nie odzywali się już do siebie, dopóki nie znaleźli się z powrotem w jej pokoju. Josef wyciągnął się na łóżku, nie zdejmując ubrania, a ona spytała z wyrzutem:

- Dlaczego mówisz takie rzeczy na ulicy, Josef? Za coś takiego mogliby cię zamknąć.

Uśmiechnął się i przymknął oczy.

- W takim razie chyba nie lubisz poezji, moja piękna Aniu.

- To nie była żadna poezja, to propaganda atypaństwowa. Chyba oszalałeś, żeby pisać takie wiersze.

- To nie ja napisałem, słoneczko, chociaż Bóg świadkiem, że chciałbym.

- Co za poeta mógł powypisywać coś podobnego?

- Co za poeta? Aleksander Arkadiewicz Galicz, urodzony w październiku 1919 r., żołnierz pierwszej linii w Wielkiej Wojnie Narodowej, autor scenariuszy do „Na siedem wiatrów” i „Wierni przyjaciele”, wyrzucony ze Związku Pisarzy i Związku Filmowców w grudniu 1971, szczuty przez swoich kolegów pisarzy do tego stopnia, że musiał opuścić Związek Radziecki. Teraz mieszka w Norwegii.

- Czy to jego piosenki były na tych taśmach?

- Tak, właśnie jego.

- Przecież wszyscy za nimi szaleją.

Złapała go czkawka, więc kiwnął tylko głową.

- Pewnie, że tak - odparł po chwili. - Ale jak Kreml uzna, że nie istniejesz, to nie istniejesz, słonko. Wystarczy, że kiwną tylko palcem, a ich pieski robią za nich całą brudną robotę.

Spostrzegła łzę na jego policzku i zapytała ze szczerym przejęciem:

- Dlaczego płaczesz?

Josef potrząsnął niecierpliwie głową i otarł łzę rękawem.

- Nie płaczę, Anno. Nie tak naprawdę. Po prostu ogarnia mnie szalona złość.

- Na co?

- Na wszystko. Na to, jak żyjemy, na tych gnojków z Kremla, którzy decydują, czy pisarz, malarz, muzyk, albo jakiś cholerny filmowiec jest dobry, czy zły. Te filisterskie błazny są w stanie zrobić z ciebie kogoś, albo zmieszać cię z błotem, chociaż sami nie potrafią pomalować nawet drzwi, a cóż mówić o obrazie. Zresztą nie chodzi tylko o sztukę. Wystarczy trochę za bardzo się wychylić, a już jesteś w więzieniu albo w Gułagu.

- Ale przecież o tym decydują sądy.

- Och, kochanie, czy jest w ogóle sens z tobą rozmawiać...

Chyba nie myślisz, że sąd uniewinni człowieka, którego jakiś typ z góry chce widzieć w obozie. Prawo, konstytucja i cała ta reszta, to tylko papier. Nikt się tym nie przejmuje. Robimy, co nam każą, ponieważ się ich boimy. I nie mamy nawet odwagi powiedzieć, co myślimy, bo systemu nie można krytykować bezkarnie, bo każdy, kto krytykuje system, jest prędzej, czy później skończony.

- Ale przecież ani ty, ani ja nie możemy nic na to poradzić. Tak już po prostu jest.

- No właśnie. To dlatego oni mogą sobie na to wszystko pozwalać. Dlatego, że ludzie myślą dokładnie tak samo jak ty.

- No, a co jeszcze można zrobić? - dziewczyna wzruszyła ramionami. - Jesteśmy tylko zwykłymi ludźmi.

- Ach, dajmy temu spokój, dziecinko - odparł siadając na łóżku i stawiając nogi na podłodze. - Zaczynam trzeźwieć, chodź, pobawimy się jeszcze trochę.

We wtorek Anna urwała się wcześniej z pracy i pospieszyła do domu. Kiedy weszła do kamienicy, stara dozorczyńca, ubrana jak zwykle w gruby sweter i wymiętą spódnicę, postąpiła jej długie, wymowne spojrzenie, a gdy dziewczyna wchodziła już na schody, rzuciła za nią:

- Niedługo będę potrzebowała znowu trochę tej szynki. A tam na górze już dwóch czeka na panią.

Anna kiwnęła w przelocie głową, nie zastanawiając się nad tymi słowami, toteż kiedy weszła do mieszkania, zaskoczył ją widok obcego mężczyzny siedzącego przy stole z Josefem. Miał około pięćdziesiątki, był smagły i czarnowłosy, miał bladobłękitne oczy i najbardziej przenikliwe spojrzenie, jakie widziała w życiu.

Josef powiedział, że gość nazywa się Oktiabr. Pomyślała, że to głupie nazywać człowieka nazwą miesiąca, ale podała mu rękę na powitanie, uśmiechając się uprzejmie, po czym usiadła razem z nimi przy stole. Człowiek imieniem Oktiabr nalał jej pół kubka whisky. Przyszło jej do głowy, że musi mieć niezłe znajomości, skoro udało mu się załatwić tak rzadki trunek.

Oktiabr uniósł szklanekę.

- Na zdrowie.

- Na zdrowie.

- Josef mi mówił, że pracuje pani w biurze przepustek.

- Z wyjątkiem piątków i sobót.

- Podoba się tam pani?

Wzruszyła ramionami.

- Nie jest źle. Praca jak praca.

- A co pani myśli o swoich klientach? Same waśniaki, co?

- Nigdy o nich nie myślę.

- Zna pani człowieka nazwiskiem Litowkin, Anatolij Litowkin?

- On rzadko przychodzi. Jego szofer wszystko odbiera.

- Gdzie się pani urodziła?

- W Tbilisi.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Ach, miasto ciepłych źródeł, jak to mówią. A od kiedy jest pani w Moskwie?

- Przyjechałam cztery lata temu.

- Jak się to pani udało?

- Odwiedził mnie znajomy z Moskwy, a potem załatwił mi tutaj pracę.

Oktiabr uśmiechnął się znacząco.

- No tak, oczywiście. A gdzie pani mieszkała w Tbilisi?

- Na ulicy Ordżonikidze, ta jest między dworcem kolejowym a stadionem Dynamo.

- Proszę mi przypomnieć - jak nazywa się ta ulica, przy której jest główne wejście na stadion?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Ulica Brdzola. Dlaczego pan o to wszystko pyta? Zna pan Tbilisi?

- Znam je doskonale, moja droga. Doskonale - odparł, podnosząc się z krzesła. - No, na mnie już czas - uśmiechnął się. - Wygląda na to, że nieźle pani zawróciła w głowie temu młodemu człowiekowi. Proszę się nim dobrze opiekować. Bardzo go potrzebujemy.

Kiedy wyszedł, dziewczyna spojrzała na Josefa.

- Kto to jest, Jo-Jo?

- Nikt znajomy. Był moim instruktorem w wojsku. Ma stopień majora.

- A teraz?

- Teraz wykłada historię i filozofię.

- Gdzie?

- Tutaj, na uniwersytecie.

- A o co mu chodziło z tym, że mam się tobą opiekować?

Josef roześmiał się.

- Chodziło mu o to, że masz się ze mną kochać, kiedy tylko tego zapragnę.

Parsknęła śmiechem.

- Wariat z ciebie. Ale miły wariat. A co to za „my”?

- Nie rozumiem.

- Powiedział: „my” go potrzebujemy. Kto to są ci „my”?

Josef machnął ręką.

- To tylko takie powiedzonko. Niby, że poleca mnie tobie, żeby mi wyrobić u ciebie chody.

- Nikt ci nie musi niczego u mnie wyrabiać - powiedziała miękko i pochyliła się całując go. - A dlaczego pytałeś mnie o Litowkina?

- Nie wiem, może go zna.

- Ale przecież on nie ma nic wspólnego ze szkolnictwem, jest w ministerstwie obrony.

- Może to po prostu jego kolega. Jak ci się udało wrócić dziś tak wcześniej do domu?

- Poprosiłam koleżankę, żeby mnie zastąpiła. Powiedziałam, że źle się czuję. Zjemy, dzisiaj kolację w domu, w mieście mogłabym spotkać kogoś z pracy.

- Mnie to odpowiada - odparł obejmując ją. - Zresztą nie mam jeszcze ochoty na jedzenie.

Kiedy w czwartek wróciła z pracy do domu, człowiek imieniem Oktiabr już na nią czekał. I nie było Josefa.

- Gdzie jest Josef? - zapytała.

- Wróci, Anno. Wróci niedługo. Chcę z tobą porozmawiać. Usiądź.

Zawahała się przez chwilę. Nie podobało jej się, że musi słuchać

rozkazów we własnym domu, ale gdy napotkała jego wzrok, przysunęła sobie krzesło i posłusznie usiadła.

- Mam poważny problem, moja droga. On chce się z tobą ożenić.

Przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu. Zaskoczyło ją to, ale jednocześnie obudziło podejrzenia.

- Nic mi o tym nie mówił.

- Powie ci. Chcę, żebyś odpowiedziała „nie”.

- Dlaczego? Bardzo go lubię. Na pewno byłby dobrym mężem.

- Ale ty nie byłabyś dla niego dobrą żoną.

- Dlaczego? Nic pan o mnie nie wie. Kim pan w ogóle jest? Jakim prawem pan mnie osądza? To nie pański interes.

Mężczyzna wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki jakąś złożoną na czworo kartkę.

- Mam tu listę mężczyzn, z którymi byłaś w łóżku w ciągu ostatnich sześciu miesięcy - uśmiechnął się kwaśno. - Może kilku brakuje, ale w sumie i tak jest to 29 nazwisk.

- Czy Josef coś o tym wie? - spytała niemal szeptem.

- Nic mu jeszcze nie mówiłem. Nie przypuszczam, żeby coś wiedział.

- Ale jeśli poprosi mnie o rękę i ja powiem „tak”, to wtedy pan mu powie?

- Oczywiście.

- A co to właściwie pana obchodzi, za kogo ja wyjdę, czy z kim on się ożeni?

- Masz legitymację partyjną?

- Nie.

- Legitymację Komsomołu?

- Nie.

- Chcesz się z nim ożenić?

- Bardzo go lubię.

- Nie wciskaj mi tych bzdur. Pytałem, czy chcesz się z nim ożenić, czy tylko chodzić do łóżka.

- Proszę się wynosić z mojego pokoju, proszę pana. Albo zadzwonię po milicję.

- Nigdzie nie zadzwonisz, żabciu. Ta lista to pewna odsiadka za niemoralne prowadzenie się. Minimum pięć lat obozu. Więc lepiej odpowiedz na moje pytanie. Chcesz wyjść za niego?

Wzruszyła ramionami.

- Nie, jeśli pan nie chce, żebym wyszła.

- Grzeczna dziewczynka. Teraz nareszcie się rozumiemy. Więc zacznijmy jeszcze raz od początku. Zapomnijmy o tym, cośmy teraz mówili. On chce się z tobą ożenić. Rozumiesz?

Dziewczyna skinęła głową.

- Uważasz, że byłby dobrym mężem, tak?

- Tak. Myślę, że tak.

- I ja też tak myślę. Dlatego proponuję ci interes. Powiesz „tak” i wyjdiesz za niego. Pod jednym warunkiem. Chcę, żebyś załatwiła mi parę rzeczy, o które cię poproszę. To tylko drobne przysługi. Zezwolenia, przepustki, bony i tym podobne drobiazgi. Załatwisz mi to i razem będziemy strzec naszej małej tajemnicy. W porządku?

- W porządku.

Mężczyzna spojrział na zegarek i wstał. Zanim wyszedł, zatrzymał się na chwilę w drzwiach.

- Dostanę chyba zaproszenie na ślub?

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Dawno już nauczyła się rozpoznawać oznaki prawdziwej władzy, a ten człowiek o przenikliwych, wyblakłych błękitnych oczach na pewno ją posiadał. Czulo się to na kilometr.

Dostał kilkudniowy urlop na swój ślub z Anną. Gdy wrócił do

pracy, okazało się, że przeniesiono go na nowe stanowisko, które wymagało między innymi, żeby spędzał trzy tygodnie w miesiącu Moskwie, a tylko tydzień w Mińsku.

W ciągu następnych czterech miesięcy Anna załatwiła dla człowieka imieniem Oktiabr cały stos najróżniejszych zezwoleń, przepustek i innych dokumentów. Nie pytał jej, w jaki sposób to robi, ona również nie paliła się do informowania o szczegółach, ani też nigdy nie zastanawiała się, nawet przez chwilę, do czego ktoś może potrzebować aż takich ilości wszystkiego.

Z mężem nigdy o tych sprawach nie rozmawiała. Ponieważ z biegiem czasu jej uczucie stało się czymś dużo poważniejszym niż tylko chwilowe zakochanie, nienawidziła myśli, że ma przed nim jakieś tajemnice. Nienawidziła też sposobu, do jakiego musiała się uciekać, dla załatwienia większości z tych dokumentów. Gdyby się jednak czegokolwiek dowiedział, oznaczałoby to na pewno absolutny, nieodwołalny koniec ich związku.

Rozdział XVI

Jamie Boyle jechał na rowerze drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża. Opuścił nisko głowę, ponieważ silny wiatr wiejący od morza podnosił co chwilę tumany śniegu. Gdy w końcu skręcił w krótki, kręty podjazd prowadzący w stronę domu, zsiadł z roweru i idąc zwirowaną ścieżką tak cicho, jak to tylko było możliwe, dotarł do kępy rododendronów rosnącej za garażem i schował w niej rower.

Wstał szary świt i niebo zasnute było ciężkimi, czarnymi chmurami, które - jeśli nie rozpędzi ich wiatr - zwiastowały śnieżycę. Dom był zupełnie ciemny. Jamie przeszedł powoli przez trawnik w stronę stojącej pod bezlistną teraz magnolią ławki, tej, na której siedzieli z ojcem, kiedy pierwszy raz tu przyjechał.

Usiadł na ławce i przyglądając się domowi, rozmyślał ponuro o długich miesiącach, które spędził z dala od Jeannie. Parę razy posłał jej wiadomość okazją, ale sam nigdy żadnej nie otrzymał. Nie miał po prostu adresu, na który mogłaby napisać, a ona nie miała telefonu, gdyż Jock MacKay nie dostał pozwolenia na jego używanie. Raz czy drugi posłał jej też pieniądze, ale nie było tego wiele. I po co to wszystko? Po to tylko, żeby zorganizować i przeciwiczyć ludzi, którzy mieli kierować grupami innych ludzi, wierzących, iż jest możliwe dokuczenie Rosjanom do tego stopnia, że zdecydują się zakończyć okupację. Chociaż nigdy nie rozmawiał na ten temat z innymi, wydawało mu się to teraz tylko nierealną mrzonką. Iluzją, zrodzoną dawno temu w ten letni wieczór, kiedy zaczęli wszystko planować. Były to jednak plany rozprawienia się z niezorganizowanymi chuligańskimi bojówkami, a nie z tysiącami

świetnie uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy wrogiego państwa. Czasem przypominały mu się jego własne słowa. Te, które wypowiadał, zagrzewając swoich ludzi do walki; słowa o lojalności, odwadze i patriotyzmie. Ale czy sam rzeczywiście wierzył w to, do czego usiłował przekonać innych? A nawet jeśli wierzył, czy musiał się koniecznie do tego stosować?

Większość ludzi próbowała po prostu zwyczajnie żyć, na tyle, na ile się dało. Nie przychodziło im do głowy, że powinni sypiać w stodołach i piwnicach, w szopach i na strychach.

W tym momencie zauważył, że w jednej z sypialni zapaliło się światło. Nacisnął po raz drugi blaszany guzik dzwonka i stał, czekając na niewielkim ganku. Parę chwil później drzwi uchyliły się lekko, nadal przytrzymywane od zewnątrz grubym łańcuchem. Jock MacKay, ubrany w staromodną nocną koszulę i kapcie, wyjrzał przez wąską szczelinę.

- Czego pan chce? - zapytał z nutką agresji w głosie.

- Jock, to ja - odparł Jamie szeptem.

- Co za ja?

- Jamie, Jamie Boyle.

Stary człowiek przysunął twarz do szczeliny, spoglądając spod wpół przymkniętych powiek. Potem pokiwał powoli głową.

- Ach tak, Jamie, oczywiście, oczywiście.

Szczęknięta zasuwka łańcucha i drzwi się otworzyły. MacKay założył na nos okulary i wyciągnął rękę. Kiedy Boyle odwzajemnił uścisk, MacKay odezwał się:

- No to wróciłeś w końcu. To świetnie. Tak będzie lepiej. Chodź do kuchni, właśnie miałem robić herbatę. Napijemy się.

Usiedli przy drewnianym stole kuchennym. Boyle spojrzał na Jocka i zaskoczyło go, jak bardzo się postarzał od ich ostatniego spotkania. Zniknęła gdzieś jego dawna dziarskość, mówił powoli

i co chwilę wpadał w roztargnienie.

- Jak się czuje Jeanie?

- Świetnie, świetnie. A ty?

- Wiele bym oddał za kąpiel i wygodne łóżko. Jak stoją sprawy, Jock? Są jakieś problemy?

MacKay wzruszył ramionami.

- A kto ich dziś nie ma. Jak nie to, to tamto, wiesz jak to jest. Boyle spostrzegł nagle, że w oczach starca pojawiły się łzy.

- Czy coś się stało? - zapytał.

Starzec wstał i podszedł do zlewu, niosąc w dygocących rękach filiżankę, która stuknęła lekko o spodek. Boyle siedział w milczeniu, czekając na odpowiedź, ale starzec wydawał się być całkowicie pochłonięty myciem filiżanki i spodka.

- Pójdę na górę i zobaczę, czy Jeanie się obudziła, Jock.

- Tak, tak, zrób to chłopcze.

Boyle wspiał się po szerokich schodach i skręcił w lewo do jej sypialni. Kiedy otworzył drzwi, Jeanie odwróciła się na i uniosła głowę, spoglądając na niego sennie i odgarniając ręką włosy z oczu.

- Jamie, mój Boże, nie poznałam cię - usiadła wygładzając kołdrę.

- Kiedy przyjechałeś? Jak to cudownie, że jesteś.

Po chwili trzymali się już w objęciach. Przytuliła się do niego, kładąc mu głowę na ramieniu. Czuł na policzku dotyk jej miękkich włosów. Potem uniosła głowę i spojrzała w jego twarz.

- Kiedy przyjechałeś?

- Przed chwilą, zdążyłem tylko wypić filiżankę herbaty z Jockiem.

Uniosła lekko brwi, jak gdyby Jock nie był już jej ulubieńcem.

- Wyglądasz na wykończonego, Jamie. Przygotuję ci kąpiel. Będzie zaledwie ciepła, ale na pewno cię to odpręży.

- Coś jest nie w porządku z Jockiem?

- Ach, nic. Po prostu zaczyna trochę zrzedzić na starość. Chodź,

zdejmij te ohydne ciuchy, już puszczam wodę.

Zasnął, leżąc w wannie i Jeanie musiała go obudzić, owinąć w ręcznik i zaprowadzić do łóżka. Spał przez cały dzień, noc i aż do południa następnego dnia. Kiedy się obudził, przygnębienie gdzieś zniknęło i poczuł, że jest w dobrej formie.

W ogrodzie leżała cienka warstwa świeżego śniegu, ale poważniejsze opady wystąpiły dopiero gdzieś w głębi kraju. W dużym pokoju na dole płonęły na kominku grube polana i wszyscy troje siedzieli w pobliżu ognia, pijąc herbatę i jedząc grzanki.

- No, to opowiadajcie teraz, jak sobie tutaj radzicie.

MacKay siedział w milczeniu, chociaż Jeanie najwyraźniej czekała, aż się odezwie. Kiedy nic nie powiedział, odpowiedziała sama:

- U nas wszystko w porządku, Jamie, brakuje często tego czy owego, ale jakoś sobie radzimy. A co u ciebie?

- Niewiele mogę powiedzieć, kochanie. W każdym razie cały czas do przodu. Powoli, ale do przodu.

Jock MacKay wstał i powiedział:

- Zostawię was samych, żebyście mogli sobie porozmawiać. Jakbyś chciał dorzucić do ognia Jamie, to polana leżą w kuchni za drzwiami.

- Mam takie uczucie, jakby nie był zbyt zadowolony, że mnie widzi. Nie wiem dlaczego. Wydaje się jakiś obcy - powiedział Boyle, kiedy zostali sami.

- Och, nie zwracaj na to uwagi, Jamie. Starzeje się i wciąż nie może się przyzwyczać do nowych warunków. To kwestia wieku.

- A ty, jak się czujesz? Wzruszyła ramionami.

- Samotnie, rzecz jasna. To odludne miejsce. Ale nie przejmuj się

mną - przerwała na chwilę. - Czy w twoim nastawieniu do tego, co teraz robisz, nic się nie zmieniło?

- Mam czasem wątpliwości. Jak nie jestem w formie. Kiedy mi ciebie brak.

- A może już wystarczy, Jamie? Moglibyśmy przecież żyć jakoś inaczej.

- Dlaczego tak mówisz?

- No bo czy to warto? Są tu i nic ich stąd nie ruszy - westchnęła ciężko. - Większość ludzi już się przyzwyczaiła. Niektórym nawet ta sytuacja odpowiada bardziej niż to, co było przedtem.

Boyle pokręcił głową.

- Masz na pewno rację, jeśli chodzi o to, czy warto, czy nie warto. Ale reszta z tego, co powiedziałaś, jest oparta na jakimś fałszywym rozumowaniu. Pewnie, ludzie rzeczywiście są zadowoleni, że prawo i porządek znów są górą, że wszyscy mają pracę. Ale to przecież nie znaczy, że są szczęśliwi z powodu faktu, że rosyjska armia okupacyjna trzyma wszystkich za mordę.

- Czy to naprawdę ma aż takie znaczenie? Zawsze musi być ktoś, kto innym siedzi na grzbiecie, a ci nasi nie zapewnili nam ani prawa i porządku, ani pełnego zatrudnienia. Kiepsko się spisali.

- W sumie, to, co mówisz, ma jakąś logikę. Ale jedno jest pewne. Straciliśmy wolność. Czy było to tego warte?

- Powiedz mi konkretnie, które z naszych swobód straciliśmy.

- Prawie wszystkie, jakie można sobie wyobrazić.

- Konkretnie.

Jamie oparł czoło na dłoniach i zaczął mówić:

- Może powiem tak. Wczoraj, kiedy tu przyjechałem, nie chciałem was budzić tak wcześnie, więc usiadłem sobie na ławce i naszyły mnie myśli bardzo podobne do twoich. Ale to tylko dlatego, że byłem zmęczony, w kiepskiej formie. No więc... w ogóle nie

mamy swobód. Dobrze, jest pełne zatrudnienie, ale to dlatego, że ma związków zawodowych, płace są nędzne, technologia i organizacja pracy do niczego. I nawet nie można sobie swobodnie zmieniać pracy. Tak zwane prawo i porządek faktycznie zostały przywrócone. Ale przyczyna tego jest taka, że jeśli się popełni przestępstwo, choćby najdrobniejsze, to nie ma się nawet cienia szansy na normalny proces. Podpis, pieczętka i do więzienia. Jeśli policja albo Rosjanie uznają cię za winnego, to koniec. Przyznaję, że to skutkuje, ale nikt mi nie powie, że to ma cokolwiek wspólnego z wymiarem sprawiedliwości. A poza tym: nie można mówić, co się myśli, nie można czytać tego, na co się ma ochotę, nie można mieszkać tam, gdzie chce się mieszkać, i nie można wychować dzieci w taki sposób, jaki się uważa za słuszny. Przecież to zwyczajne niewolnictwo. Roześmiała się.

- Napracowałeś się na czwórkę, Jamie. Może na czwórkę plusem. Ale czy to w końcu jest ważne, że z technologią jest kiepsko, skoro wszyscy mają pracę? Przecież to nie jest chyba źle, że wszyscy mogą pracować. No, a jeśli już istnieje jakieś prawo, to chyba dobrze, że ktoś pilnuje, żeby ludzie tego prawa przestrzegali. A zresztą, nie mam ochoty rozmawiać o polityce. Systemy i ideologie nic mnie nie obchodzą, mam to gdzieś.

- Uważasz, że lepiej czerwony niż martwy?

- Ależ ja nie jestem „czerwona”. Nie jestem żadna. Lepiej żywy niż martwy, mniejsza o kolory.

- Wygląda na to, że sporo o tym myślałaś, Jeanie, jak na kogoś, kto nie interesuje się polityką.

Zaczerwieniła się.

- Może po prostu zaczęłam patrzeć na to wszystko bardziej realistycznie.

Później, kiedy skończyli się już kochać, odsunęła się trochę

i spojrzała mu w twarz.

- Jak długo jeszcze zostaniesz?
- Muszę wyruszyć jutro koło południa.
- Może mogłabym ci w czymś pomóc? Może czegoś potrzebujesz?
- Czego na przykład?
- Nie wiem, czegokolwiek.
- Nie, dzięki, kochanie. Jakoś sobie radzę, jak dotąd.
- A jak długo tym razem potrwa, zanim cię znów zobaczę?

- Mniej więcej tak samo jak zawsze. Dwa miesiące z dokładnością mniej więcej do tygodnia. Zależy, gdzie akurat będę i jakie będą układy.

Pocałowała go delikatnie.

- Pokochajmy się jeszcze.

Wyruszył w południe i kiedy odjeżdżał zwirowanym podjazdem, pomachał jej jeszcze z roweru ręką na pożegnanie. W Kirkcaldy czekał już na niego Macgregor z furgonetką. Krótco po ósmej zatrzymali się pod domem ojca. Drzwi otworzyły się już po pierwszym dzwonku i stary Boyle ujął jego dłoń, prowadząc go do małego przedpokoju.

- Cudownie, że cię znów widzę, Jamie. Nie ma dla mnie większej radości.

Boyle zmarszczył brwi.

- Spodziewałeś się mnie?

Ojciec puścił do niego oko.

- Pewien mały ptaszek mi zaśpiewał, że może będę miał dziś szczęście.

- Co za ptaszek?

- Mniejsza o to, chłopcze. Zdejmij kurtkę, wchodź do środka i siadaj. Boyle pokręcił głową.

- Nie rozumiem, tato. Jeśli ktoś powiedział tobie, to mógł też

powiedzieć innym. Muszę, wiedzieć.

Ojciec machnął ręką, jakby chciał zbagatelizować sprawę.

- Macgregor mi o tym napomknął i tyle. Chciał, żebym na pewno był w domu, kiedy przyjedziesz. A teraz chodź. Musisz się rozgrzać.

Rozmawiali potem przez dobrą godzinę. Głównie o Rosjanach i okupacji, a trochę o dalekich krewnych. Około dziesiątej zadzwonił telefon i ojciec wyszedł do przedpokoju, żeby go odebrać. Miał zezwolenie na telefon, ponieważ pracował w miejscowej komisji rozdziału paliwa. Kiedy znalazł się z powrotem w pokoju, zapytał:

- A jak znajdujesz Jocka MacKaya?

- Wygląda, jakby się bardzo postarzał. Był dziwny, jakiś taki zramolały. Miałem niemal wrażenie, że jestem niechcianym gościem.

- Jak długo cię tam nie było?

- Niewiele ponad dwa miesiące.

- A przedtem?

- No, chyba mniej więcej tak samo.

- A jak się zachowywał poprzednim razem?

- Chyba tak jak zwykle. Nie zauważyłem wtedy nic dziwnego.

Ojciec spojrzał na niego i rzekł cicho:

- Synu, jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Przeżyłem z tego powodu wiele bezsennych nocy w ciągu ostatnich tygodni.

To okropne uczucie, kiedy musisz wybierać między złem, a złem. Bardzo mnie to wszystko trapi.

- Ale o co chodzi, ojczy? Co się stało?

- To nie Macgregor mi powiedział, że dzisiaj mnie odwiedzisz. To Jeanie. A przed chwilą to też ona dzwoniła, żeby zapytać, czy już przyjechałeś i czy...

- Ale przecież oni nie mają zezwolenia na telefon. No i dlaczego nie chciała porozmawiać ze mną?

- Jamie, proszę, daj mi skończyć. Od jakichś trzech miesięcy Jeanie spotyka się z pewnym Rosjaninem. On mieszka w Edynburgu, ale widują się dość często. Powiedziała mi o tym jakieś cztery tygodnie temu. A w zeszłym tygodniu przyszła tu razem z nim.

Przedstawiła mi go. Myślę, że to nie jest powierzchowna znajomość. Powiedziałem jej, że być może uznam za konieczne powiedzieć tobie. Ona też była rozdarta na dwoje. Biedna dziewczyna, w sumie było mi jej żal. Tłumaczyłem jej, jak ryzykowne to może być, szczególnie dla ciebie. Błagała mnie, żebym ci nic nie mówił, jeśli miałoby cię to zbyt wyprowadzić z równowagi. Twierdziła, że nie jest pewna, czy ta znajomość będzie trwała dłużej. Ja jednak czuję, że będzie. I uważam, że to niebezpieczne. Pytali już raz o ciebie. Dokąd wyjechałeś i tak dalej. Bardzo się martwiłem i Jock MacKay też się strasznie martwił. Prawie już kazał jej się pakować i wynosić, ale uświadomił sobie, że to tylko pogorszyłoby sprawę, rzuciłoby ją już nieodwołalnie w ramiona tamtego, a ciebie wystawiło na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Strasznie mi przykro, chłopcze. Strasznie mi przykro, że musiałem ci to wszystko opowiedzieć.

Jamie Boyle siedział jak zahipnotyzowany. Patrzył na ojca, ale go nie widział. Próbował powstrzymać drżenie, ponieważ nagle zrobiło mu się zimno. Tak, to wyjaśniało wszystko, ale nie mógł w to uwierzyć. Prosiła go przecież, żeby się z nią kochał. I widać było, że go pragnie, i on też jej pragnął. Nic dziwnego, że między nią, a MacKayem wyczuwało się takie napięcie i że stary był tak zmieszany, kiedy go zobaczył. I nic też dziwnego, że podczas ich rozmowy jej odpowiedzi tak zalatywały radziecką propagandą. Wszystko się zgadzało. Wszystko pasowało. Wszystko to było na pewno prawdą. A jednak nie mógł uwierzyć. Najchętniej by

natychmiast wyszedł i próbował udawać, że niczego nie słyszał i nic się nie wydarzyło. Chciało mu się krzyczeć.

- Kto to jest. Ten człowiek? - zapytał cicho.

- Nazywa się Borowski. Igor Borowski. Pracuje w balecie Bolszoi. W drugim zespole, który występuje na stałe tu, w Edynburgu.

- Jak ona go poznała?

- Doktor Fox i jego żona zabrali ją kiedyś na przedstawienie w Usher Hall. Znają tam wszystkich doskonale, ponieważ on jest oficjalnym lekarzem zespołu. Nie było w tym nic politycznego. Po prostu lubią balet. No i chyba poznała go właśnie po tym przedstawieniu.

- Czy to tancerz?

- Nie. Jest niby jakimś konsultantem. Ale podejrzewam, że to po prostu kagebista przydzielony zespołowi jako stróż.

- Jak on wygląda?

- Jest trochę młodszy od ciebie i Jeanie. Sympatyczny, atrakcyjny jako mężczyzna i wydaje mi się, że jego uczucia względem niej są szczerze.

- Czy oni śpią ze sobą?

Ojciec rozłożył bezradnie ręce i westchnął głęboko.

- Nie wiem, Jamie. Nie wiem. to byłyby tylko domysły...

- Niech będą domysły.

- Obawiam się, synu, że niestety tak. To bardzo prawdopodobne. Facet wygląda na dość prostolinijnego, ale to na pewno kagebista i trudno przypuszczać, żeby odgrywał jakiegoś platonicznego rycerza z bajki.

- Gdzie mieszka?

- Nie mam pojęcia. Gdzieś w Edynburgu. Rosjanie zajęli bardzo wiele domów do dyspozycji komisarza. Głównie w okolicy George Heriots.

- I co ja mam teraz zrobić, ojcze?

- Myślałem o tym bardzo dużo, odkąd zdałem sobie sprawę z tego, że będę musiał ci powiedzieć. Naprawdę nie wiem, chłopcze. To taka osobista sprawa. Instynkt mi mówi, że nie powinieneś nic robić. Ale może twój temperament podpowie ci co innego.

- O której macie tu godzinę policyjną?

- W Szkocji jest tak samo jak wszędzie. Już się zaczęła. Jamie Boyle poczuł nagle, że jest zupełnie spokojny. Wiedział już, co ma zamiar zrobić.

- Powiedz mi teraz tato, jak ci się tutaj żyje - zapytał spokojniejszym już głosem po chwili milczenia.

- Wszystkim byłym członkom parlamentu dali całkiem niezłe pensje. Prawdopodobnie po to, żebyśmy siedzieli cicho. Zostałem członkiem komisji, która pomaga im podejmować decyzje przy rozdziale bonów na paliwo, a także innej, której zadaniem jest radzić ludziom mającym jakieś problemy z władzami, coś rodzaju biura pisania skarg i wniosków. To, ogródek i kilku starych przyjaciół wystarcza, żebym miał jakieś zajęcie i nie łudził się.

- Wiesz tato, o czym teraz marzę?

- Nie, powiedz.

- O talerzu owsianki.

- O, bracie. Płatki owsiane są tylko dla rodzin, które mają dzieci poniżej lat piętnastu. Ale... - Boyle uniósł rękę z tajemniczym uśmiechem. - Mam swoje dojścia, mój chłopcze. Lenoxowie, sąsiedzi zza ściany mają trójkę dzieci, a wszystkie one nienawidzą owsianki. Zobaczę, co się da zrobić.

Kiedy ojciec wyszedł z mieszkania, Jamie poczuł, że przygnębienie wcale go nie opuściło.

Zjadł talerz owsianki, a potem poszedł do swojego dawnego pokoju. Pokoju, który należał do niego aż do chwili, kiedy wyjechał

na uniwersytet, a potem wstąpił do wojska. Wydawał mu się teraz dużo mniejszy niż ten, który zachował w pamięci. Na ścianach wisiały jeszcze zdjęcia ich szkolnej drużyny rugby, a on nadal wyglądał na nich na najmłodszego. Obok, na korkowej tablicy, przypięte były wycinki z prasy, relacje z dwóch meczy, które rozegrał w reprezentacji Szkocji. Na półce stał rząd książek w tanich wydaniach i kilka podręczników prawniczych. Obok zdjęcie, na którym on i Jeanie siedzą na skałach w Arthur's Seat w Edynburgu. W stojącej w rogu szafie wisiał jeszcze jego stary smoking i stała para czarnych lakierów. Wydawało mu się, że od tamtych czasów upłynęły całe wieki.

Przespał niespokojnym snem kilka godzin i wyszedł wczesnym rano. Żegnając się z ojcem czuł, że jest on bliski płaczu i uświadomił sobie, jak bardzo musi być samotny.

Pojechał autobusem na Princess Street, a potem poszedł piechotą do Leith. Macgregor nie wyglądał na zdziwionego jego widokiem. Kiedy opowiedział mu wszystko miał uczucie, że tamten już dawno o tym wie.

- I co chcesz teraz zrobić z tą całą historią, Jamie?

- A pomożesz mi to załatwić?

- Zrobi się - usta Szkota wykrzywiły się w półuśmiechu.

- Wiesz, gdzie on mieszka?

- A jak. Zostaw to mnie i nic się nie przejmuj. Możesz spokojnie wracać na tamtą stronę.

Ciało Igora Borowskiego, leżące u stóp Pomnika Szkockiego, odnalazł rankiem listonosz. W piersi zabitego tkwiła stalowa strzała z kuszy. Był brutalnie wykastrowany, a genitalia włożono mu do kieszeni.

Rozdział XVII

Dawno temu w miejscu, gdzie jest teraz Park Czeliuskiński, rozciągała się sosnowa puszcza i pewnie dlatego dwie stacje kolejki dziecięcej nazwano Laskiem Sosnowym i Parkiem. Sam park rozciągał się na przestrzeni 250 akrów, a od strony północnej przylegały do niego budynki mieszczące studia i biura Biełarusfilmu. Okoliczni mieszkańcy przyzwyczajeni byli do tego, że światła w wytwórni paliły się często przez całą noc, ponieważ wiedzieli, że produkuje się tam większość białoruskich filmów wyświetlanych potem w całym Związku Radzieckim.

Tego wieczoru nie kręcono żadnego filmu. Poza technikami i laborantami nadzorującymi automatyczne urządzenia do obróbki taśmy w wytwórni nie było nikogo, jeśli nie liczyć grupy scenarzystów i konsultantów, omawiających oświatowy film rolniczy, który mieli ukończyć przed rozpoczęciem siewów oziminy. Spotkanie odbywało się w jednej z parterowych przybudówek, która zwyczajowo już stała się miejscem spotkań nieetatowych scenarzystów związanych z wytwórnią.

Mężczyźni zgromadzeni wokół długiego laboratoryjnego stołu, wystawionego kiedyś na śmietnik z pobliskiego Wydziału Botaniki Akademii Nauk, przyjechali z różnych republik Związku Radzieckiego - z Gruzji, Litwy, Armenii, Estonii, Uzbekistanu, Azerbejdżanu, Mołdawii i Ukrainy. Był wśród nich również Josef Andriejewicz Andriejew, a obok niego siedział człowiek o imieniu Oktiabr. On też odezwał się pierwszy.

- Widzieliście film po wstępnej obróbce. Czy jesteście zadowoleni

z montażu? - przerwał i rozejrzał się po zgromadzonych. Kilku skinęło głowami, lecz poza tym nikt się nie odezwał. Oktiabr mówił dalej z ożywieniem:

- No, to tę sprawę mamy z głowy. Ale pamiętajcie, że zebraliśmy się tutaj w tym właśnie celu i gdyby nam ktoś przeszkodził, to rozmawiamy właśnie na ten temat.

- A czy nie można by postawić kogoś na straży za drzwiami? - zapytał ktoś. - Niby, że to tajemnica służbowa i tak dalej.

- Podjęliśmy pewne środki ostrożności - odparł Oktiabr z uśmiechem. - Nawet jeśli ktoś nam przeszkodzi, to na pewno nie zrobi tego przez zaskoczenie. Ale na wszelki wypadek niech każdy położy przed sobą scenariusz, czy jakieś inne papiery i coś pisania.

Pochylił się i rozejrzał po twarzach zebranych. Przyglądał im się powoli i z namysłem, jak generał dokonujący inspekcji wojska i próbujący w tych, jakże różniących się między sobą twarzach, ujrzeć kandydatów na przyszłych Napoleonów i Timoszenków. Kiedy znów zaczął mówić, ściszył głos o pół tonu.

- Czy ktoś ma może jakieś problemy, o których powinienem zięć? - zapytał.

Jeden z mężczyzn uniósł dłoń.

- Proszę bardzo, Georgij, mów.

- Skąd możemy mieć pewność, że nie jesteśmy infiltrowani przez KGB?

- Czy zadałeś to pytanie dlatego, że uważasz, iż jest wśród nas wtyczka?

- Nie. Po prostu chciałbym wiedzieć, skąd się bierze twoja pewność co do tego.

- No, a jak ty uważasz, skąd się ona może brać?

- Nie mam pojęcia, towarzyszu. Gdybyś powiedział, że jesteś przekonany, że nie ma wtyczki, to mógłbym to jeszcze zrozumieć,

Ale ty stwierdziłeś przedtem, że wiesz na pewno, że jej nie ma. A to wydaje mi się niemożliwe.

Inny z zebranych pokiwał głową.

- Ja też się nad tym zastanawiałem, towarzyszu.

- No, dobrze - odparł Oktiabr. - Rozumiem was, ale gdybym powiedział wam skąd wiem, narażałbym na niebezpieczeństwo ludzi, którzy ryzykują więcej, znacznie więcej niż ktokolwiek z nas tutaj. Nie mogę tego zrobić. Musicie po prostu uwierzyć mi na słowo - uniósł brwi i rozejrzał się ponownie. - Jeszcze jakieś pytania?

Jeden z mężczyzn siedzących w kącie stołu uniósł rękę, następnie przemówił łamanym rosyjskim, z wyraźnym ormiańskim akcentem:

- Po ciemku, w nocy, towarzyszu, mam uczucie, że to, co chcemy zrobić, że nasz cel jest zarówno sensowny, jak i możliwy do osiągnięcia - przerwał i uśmiechnął się do siebie. - Ale jak zaczynam o tym myśleć w dzień, kiedy jest jasno i świeci słońce, to przychodzi mi do głowy, że musieliśmy chyba zwariować. Powiedz mi, jak dalece jest to szaleństwem, na ile my sami jesteśmy szaleni?

- Dobre pytanie, przyjacielu. Zasadnicze pytanie. To sedno całej tej sprawy. Spróbujmy jeszcze raz wspólnie się nad tym zastanowić. Oktiabr przymknął oczy i mówił dalej. Mówił powoli, starannie dobierając słowa.

- Najtrudniej jest ustalić, od którego miejsca zacząć. Jak daleko musimy się cofnąć w przeszłość. Spróbujmy się cofnąć do samego początku. Społeczeństwo dzieliło się na dwie części. Na bogatych i dobrze urodzonych, i na całą resztę. Chłopów pańszczyźnianych, proletariat i tak dalej. Oczywiście, nie wszyscy panowie byli takimi potworami, jak się to teraz mówi. Część próbowała jakoś zwalczać głód i ubóstwo, ale była to kwestia szczęścia. Zależnie od tego, w czyich włościach się urodziłeś, mogłeś albo umierać z głodu, albo

tylko niedojadać. A potem rewolucja. Właściwie było to przynajmniej kilka różnych rewolucji. Bolszewicy, mieńszewicy, eserzy i jeszcze tuzin innych organizacji. Znaćcie przecież historię tego okresu równie dobrze jak ja. Skończyło się na tym, że władzę objęli bolszewicy. Robotnicy mieli stać się carami własnego losu, wolność i dobrobyt dla wszystkich. Tak więc powstaje pytanie, czy bolszewicy, którzy sami siebie nazywają komunistami, dotrzymali swoich obietnic - przerwał i spojrzał na zebranych. - Jedzenia jest więcej, towarów w sklepach również jest więcej i są one szerzej dostępne niż wówczas, ludzie mają więcej pieniędzy, nie ma bezrobocia, mamy bezpłatną służbę zdrowia i wiele, wiele różnych innych rzeczy. Żyją jeszcze przecież ludzie, którzy niegdyś uważali się za bogatych, posiadając więcej niż dwa garnki. A teraz mieszkają w dwóch pokojach z centralnym ogrzewaniem, mają radio, nawet telewizor - uśmiechnął się jakby w zamyśleniu i po chwili mówił dalej. - Powiem wam. To, na co się nie zgadzamy, przeciwko czemu się buntujemy, na co narzekamy i z czego jesteśmy niezadowoleni, to przede wszystkim cena, jaką musieliśmy za to wszystko zapłacić. Jak również fakt, że jedna elita rządząca została zastąpiona inną. Ponieważ dając nam wszystkie te garnki i żelazka, odebrali nam jednocześnie wolność. Oczywiście, postanowienia Rady Najwyższej Związku Radzieckiego gwarantują nam całkowitą wolność - ale jest to wolność tylko na papierze. Jest taki stary łaciński zwrot, który zapamiętałem jeszcze ze szkoły: quis custodiet ipsos custodes - „a kto będzie nadzorował nadzorców”. Nasze prawo jest zupełną fikcją. Ludzie, którzy mają czuwać nad jego przestrzeganiem, omijają je, przeinaczają, albo po prostu łamią, ponieważ muszą robić to, czego żąda od nich system. Każda próba niezależnej interpretacji prawa spotyka się z oskarżeniami o działanie na szkodę państwa. Kremlowscy carowie, Politbiuro

i cała ta banda, są jedyną władzą. Władzą, która ma prawo decydować nie tylko o najdrobniejszych sprawach naszego życia, ale wręcz o tym, czy w ogóle mamy żyć, czy umierać. Większość naszej produkcji przemysłowej, tego wypracowanego przez cały naród bogactwa, jest zużywana na cele wojskowe, na budowę okrętów wojennych, kosztujących miliardy rubli, i pocisków, które są w stanie sześciokrotnie zniszczyć całą ludność świata. Dlaczego? Ponieważ ci na Kremlu są opętani żądzą władzy i żądzą podboju. Radzieccy żołnierze, nazywani nie wiadomo dlaczego doradcami, albo ekspertami, służą w każdym zakochanym kraju, który tylko zgodzi się ich u siebie trzymać. Co oni tam właściwie robią? Mówi się, że nasze wojsko służy wyłącznie obronności Związku Radzieckiego. Ale co mają do cholery wspólnego z obronnością nasi żołnierze w Angoli, Mozambiku, Libii, Wietnamie, czy Laosie. Politbiuro chce tylko jednego. Ciągłego poszerzania stref wpływów i kontroli nad światem. A na pokrycie kosztów tego wszystkiego, moi drodzy, każdy robotnik w Związku Radzieckim pracuje pełne dwa dni w tygodniu. I jeszcze trzeci dzień na to, żeby można było dawać miliard dziennie Kubańczykom, Organizacji Wyzwolenia Palestyny i Bóg wie, komu jeszcze. Jednak i w sumie nie to jest jeszcze największym złem. Prawdziwym przekleństwem jest to, że obywatel Związku Radzieckiego nie może mówić tego, co myśli. Te prymitywy, ci jaskiniowcy z Kremla mogą na przykład zdecydować, że jakaś symfonia jest dziełem nie dość komunistycznym, że jakiś koncert skrzypcowy może okazać się wywrotowym. Żyjemy w domu wariatów, towarzysze, i nie może tak być dłużej. Nasz przyjaciel - Oktiabr skłonił się w stronę Ormianina - pyta, czy jesteśmy szaleni. Jeśli my jesteśmy szaleni, to cały świat musi być szalony. Na całym świecie nie znajdzie się chyba ani jeden kraj, niezależnie od tego, w jakiej by nie był rozpaczliwej sytuacji, jaki by nie był biedny,

który dobrowolnie, w niewymuszony sposób, ukształtowałby swój system państwowy na wzór radzieckiego. Po prostu nikt nie chce czegoś takiego. Dlaczego więc my tutaj się na to godzimy? Powiem wam, dlaczego, przyjaciele. To strach. Strach przed Gułagiem, strach przed więzieniami, strach przed niesprawiedliwością naszych sądów, strach przed tajną policją, strach przed zemstą państwa. I to nie tylko wobec nas, ale również wobec naszych rodzin. Małe strachy, duże strachy. Strach, że nie przyjmą nam dziecka na studia. Strach, że mąż, czy żona straci stanowisko, na którym im zależy - przerwał i stał chwilę w milczeniu. - Czy mam wyliczać dalej? Czy po to były te wszystkie poświęcenia i ofiary? Te miliony zamordowane w stalinowskich czystkach i te dwadzieścia milionów zabitych w Wielkiej Wojnie Narodowej? - spoglądał każdemu z nich po kolei w twarz. - My, moi przyjaciele, żyjemy w kraju, w którym nigdy nie zapragnął mieszkać żaden cudzoziemiec. Nie zazdrości nam nikt. A przeklina nas wielu. Cały świat trzęsie się ze śmiechu z naszej propagandy, nawet jeśli w tym samym momencie trzęsie się ze strachu przed naszymi rakietami. Cały świat lituje się nad naszym narodem, któremu odebrano całą wolność i wszelkie prawa. Nie jesteśmy szaleni, mój drogi, ale bylibyśmy szaleni, gdybyśmy zamierzali dalej żyć w ten sposób. Dalej znosić to wszystko, co znosimy już tak długo. Zbyt długo.

Kiedy skończył, większość słuchaczy pokiwała głowami na znak aprobaty, ale nic poza tym. Nie spodziewał się zresztą niczego więcej. Było to bowiem nawracanie już nawróconych. On sam był tylko katalizatorem, który spowodował połączenie się tych ludzi w jeden zespół. Próbował jedynie ująć w jakieś ramy wszystkie te przejawy buntu i niezadowolenia, które co najmniej od dziesięciu lat pod powierzchnią oficjalnego życia drążyły społeczeństwo i z których należało wreszcie wyciągnąć praktyczne wnioski. Kiedy

spotykał się z nimi indywidualnie, na ich własnym terenie, rozmawiali otwarcie i swobodnie. Teraz milczeli. Ale na spotkaniu takim jak dzisiejsze był w stanie ich zrozumieć. Trudno było wymagać, żeby w ciągu paru miesięcy pozbyli się instynktownej, ochronnej ostrożności, nakazującej ukrywanie własnych poglądów. Wykształcona w ciągu wielu lat, nie mogła zniknąć nagle w ciągu kilku miesięcy. Musi upłynąć trochę czasu i muszą zacząć dostrzegać jakieś oznaki powodzenia, żeby się przekonać, że mogą swobodnie wypowiadać swe myśli w obecności innych.

- No dobrze, bierzmy się do roboty. Przez ostatnie parę miesięcy udało się wam utworzyć odpowiednie zespoły. Mam nadzieję, że zadbaliście również o środki ostrożności, zgodnie z instrukcją, którą przekazałem wam na początku. Teraz nadszedł czas, żebyśmy próbowali użyć całej tej stworzonej przez was struktury - przerwał na chwilę, pozwalając tym słowom zapaść się na dobre w ich świadomość. - Zanim się rozejdziemy, chciałbym jeszcze porozmawiać z każdym z was na osobności na temat waszych potrzeb oraz środków, jakimi możemy w tej chwili dysponować. Przypominam - nie podejmujcie żadnych działań, które nie były wcześniej uzgodnione ze mną. I pamiętajcie, że jeszcze ważniejsze od wszystkich tych akcji, jakie zamierzamy przeprowadzić, jest to, byście dogłębnie zrozumieli, jaki jest ostateczny cel naszej działalności. Musimy pamiętać, że nie chodzi tu o więcej pieniędzy w kieszeni, więcej telewizorów i lodówek, czy nawet więcej żywności dla wszystkich. Nie domagamy się również powstania nowych partii politycznych. To, do czego dążymy, to po pierwsze, koniec wszelkich elit, a po drugie, koniec z nadużywaniem prawa przeciwko społeczeństwu. Ani Karol Marks, ani konstytucja radziecka, ani nawet Lenin, nigdy i nigdzie nie stwierdzają, że władzy wolno nadużywać prawa. Jednym słowem, żądamy po prostu

ludzkiej twarzy dla naszego systemu. Jest to dokładnie to samo, czego chcieli Czesi, zanim nasze czołgi wjechały na ulice ich miast. Normalne społeczeństwo, gdzie człowiek może swobodnie wyrażać poglądy i nie jest za to posyłany do Gułagu jako wróg państwa. Społeczeństwo, w którym prawo oznacza dla sądu prawo, a nie fanaberie jakiejś małpy z Kremla; w którym wyrok i więzienie nie są na celu jedynie złamania ludzkiej psychiki lub zmuszenia człowieka do posłuchu głodem. W normalnych krajach, poza naszym systemem, poza Związkiem Radzieckim, żadnej z tych rzeczy nie uważa się za jakąś wielką łaskę ze strony władzy. Są to prawdy oczywiste dla każdego. A to, że tego pragniemy, nie oznacza wcale, iż chcielibyśmy, żeby zapanował u nas kapitalizm, Wszystko, o czym przed chwilą mówiłem, mieści się doskonale w ramach ideologii komunistycznej - mam na myśli prawdziwy komunizm. Żyjemy w więzieniu, towarzysze. Czas ucieka - rozejrzał się po twarzach siedzących w milczeniu ludzi i skinął głową ku jednemu z nich. - Georgij, najpierw chcę pogadać z tobą. Aha, mamy dla was mapy i kompas, tak jak obiecaliśmy ostatnio. Josef zaraz wam to wszystko rozda, a potem powie jeszcze parę słów na zakończenie.

Wstał i w towarzystwie mężczyzny nazwanego Georgijem przeszedł do niewielkiego pomieszczenia, oddzielonego od reszty przybudówki przepierzeniem z dykty.

Na lotnisku Dulles International oczekiwał Andrews a mężczyzna mniej więcej w jego wieku, lecz wyższy i opalony, o oczach, które wyglądały, jakby przywykły do wpatrywania się w odległy horyzont. Mężczyzna wyciągnął rękę na powitanie.

- O'Malley. Miło mi pana poznać. Samochód już na nas czeka. Jak się pan czuje?

- Jeśli to możliwe, chciałbym się wykąpać i ogolić, zanim się

spotkam z kimkolwiek.

- Ma pan to jak w banku. Będzie pan przez kilka dni mieszkał u mnie. Proszę się nie martwić, doprowadzimy pana do porządku. Jest pan bardzo niezwykłym gościem.

- Jak to? - zapytał Andrews z uśmiechem.

- Jest pan mile widziany zarówno przez Pentagon jak i CIA, a to, proszę mi wierzyć, jest czymś zupełnie niezwykłym.

- A pan jest skąd?

- Z CIA. Jestem tym facetem, który prowadził tu wszystkie wasze sprawy. I który próbował to robić z jak największą dla was korzyścią. Czy chłopaki z Marynarki zaopiekowały się panem jak należy?

- O tak, świetnie.

- Jest już samochód. Niech pan wsiada, drzwi są otwarte. Kiedy jechali autostradą, O'Malley próbował podtrzymać konwersację, ale szło to kulawo. Jego gość nie był zbyt rozmowny i nie wydawał się być zainteresowany waszyngtońskimi ploteczkami ani udzielaniem odpowiedzi na najbardziej nawet rzeczowe pytania dotyczące sprawy, dla której tu przybył. Langley będzie chyba bardzo rozczarowany tym człowiekiem, który powoli zaczął już w ich oczach stawać się bohaterem. Tymczasem nie przypominał bohatera ani z wyglądu, ani z zachowania. Może Grace będzie umiała jakoś go rozruszać.

- Czy był pan już kiedyś w Waszyngtonie, panie Andrews?

- Niestety nie.

- A w ogóle w Stanach?

- Tylko raz, parę lat temu.

- Podobało się panu?

- To nie była wizyta dla przyjemności.

O'Malley zaniechał tej nierównej walki i skupił się na

prowadzeniu samochodu. Jego pasażer nie wyglądał nawet przez okno. Siedział po prostu bez ruchu z zamkniętymi oczami. Być może jest tylko zmęczony. Dwie doby na łodzi podwodnej, trzy dni na lotniskowcu, a potem jeszcze lot do bazy marynarki i stamtąd do Waszyngtonu - to mogło wymęczyć każdego.

Trudno było się spodziewać po Amerykaninie, że uświadomi sobie, iż jego gość jest na wpół wycieńczony ciągłym niedojadaniem, utrudzony długimi miesiącami podejmowania w pojedynkę odpowiedzialnych decyzji, miesiącami spędzonymi w nieustannym ruchu, na przenoszeniu się bez przerwy z miejsca na miejsce. Miesiącami życia na pełnych obrotach i w ciągłej walce z nękającą go myślą, że to, co robi, jest bezcelowe i kompletnie pozbawione szans.

Andrews otworzył oczy pół godziny później, kiedy samochód zwolnił, wjeżdżając w ulicę pełną sklepów i domów, jakby żywcem przeniesionych z Paryża. Zatrzymali się przed sklepem z antykami, który najwyraźniej specjalizował się w porcelanie.

- Mieszkamy na górze, proszę, niech pan wchodzi - zaprosił go O'Malley.

Drzwi otworzyła kobieta, dużo młodsza od O'Malleya, ciemnowłosa, zgrabna, o wysoko osadzonych kościach policzkowych i szerokich, zmysłowych ustach. Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się.

- Ojej, ależ pan musi być zmęczony. Musi pan koniecznie wziąć gorącą kąpiel i przespać się trochę, zanim zabierzecie się do jakiegokolwiek roboty.

Był to jasny przestronny pokój. Perkalowe firanki powiewały lekko, poruszane powiewem z otwartego okna. Andrews zatrzymał się na środku, a Grace O'Malley spojrzała na niego i zapytała:

- Gdzie ma pan swoje rzeczy?

Nie namyślając się, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął

niej maszynkę do golenia i zużyty pędzel. Przez chwilę wpatrywała się w milczeniu w jego twarz, a potem rzekła cicho:

- Wykąpie się pan później. Teraz proszę się położyć i zasnąć, będę trzymać tych krwiopijców z dala od pana.

Skinął głową i zaczął zdejmować marynarkę. Przez chwilę miała ochotę mu pomóc, ale potem odwróciła się i wyszła, zamykając cicho za sobą drzwi.

Na dole jej mąż, nalewając sobie szklaneczkę whisky, zapytał:

- I co tam z nim, kochanie? Wszystko w porządku?

- Ty chyba nie masz dobrze w głowie, skoro zadajesz takie pytania.

- Dlaczego? O co ci chodzi?

- Przecież ten facet jest chory, potrzebuje lekarza. Zadzwoń do Gibbonsa i powiedz, żeby tu zaraz przyszedł.

- Poczekajmy przynajmniej, aż on się wyśpi.

- Nie ma mowy, kochanie, jeśli chcesz, żeby w ogóle się obudził. Jeżeli zaraz ktoś się nim nie zajmie, to może nawet umrzeć.

Godzinę później doktor Francis Gibbons wszedł do salonu i rzucając na kanapę swoją torbę lekarską poprosił o drinka.

- Powiedz mi coś o nim, Charlie. Nie mogłem nic z niego wydobyć.

- Czy jest poważnie chory, Frank? - odpowiedział pytaniem O'Malley.

- Jest na wpół zagłodzony, wyczerpany fizycznie i psychicznie, ale za parę dni powinien dojść do siebie.

Gibbons spojrzał na Grace O'Malley z czułością i podziwem.

- Troszeczkę przesadziłaś, moja droga, ale miałaś rację, ciągnąc mnie tutaj. Na stole w jego pokoju zostawiłem cztery fiołki z tabletkami i kartkę ze wskazówkami jak je zażywać. Dałem mu zastrzyk witaminowy i coś na uspokojenie tych rozdygotanych

nerwów. W ciągu paru dni powinien całkowicie wrócić do formy. To twardy facet. Zasadniczo jest silny i zdrowy jak byk i wydaje mi się, że przywykł do znoszenia niewygód. Kto to jest, Charlie?

O'Malley spojrzał doktorowi w oczy.

- Nie pytaj, Frank - odparł poważnym tonem. - Ale dzięki za szybką pomoc. Będziemy nad nim czuwać.

Prezydent Wheeler przywiązywał wielką wagę do tego, by spędzać przynajmniej jeden weekend w miesiącu w swym rodzinnym domu w Teksasie. Nawet jeśli z powodu nawału obowiązków udawało mu się dotrzeć na miejsce dopiero w sobotę rano, uważał, że warto było podejmować trud podróży. Zaklinał się, że w teksaskim powietrzu jest coś szczególnego, co dobrze na niego wpływa, i krzywo spoglądał na żartownisiów twierdzących, iż jedynym, co wyróżnia teksaskie powietrze, jest kurz i smród ropy naftowej.

Z prezydenckiego samolotu wojskowego Wheeler przesiadł się na helikopter, który natychmiast wystartował i błyskawicznie dowiózł go na miejsce. Był w znakomitym nastroju. Tym razem udało mu się wygrać wyścig z czasem. Było wczesne popołudnie i dopiero piątek.

Wheeler przesunął swój składany fotel z półcienia w pełne słońce. Zrzucił koszulę i miał na sobie tylko spodnie i skórzane sandały. Za przedłużenie weekendu musiał jednak zapłacić odbyciem jeszcze jednej narady z sekretarzem stanu. Nie przeszkadzało mu to jednak i pomyślał, że większość spraw powinno się załatwiać właśnie w ten sposób, siedząc bez koszuli w ciepłych promieniach pełnego słońca.

- No, to mów teraz, Joe. Czy on się do czegoś nadaje?

- Nie tylko nadaje, panie prezydencie. Jest dokładnie tym, kogo potrzebujemy.

- W jakim sensie?

- Trzyma się z daleka od polityki. Jest niekwestionowanym przywódcą partyzantki. Nie ma rywali, nie ma przeciwników, no i tylko dzięki niemu to wszystko się kręci. Nasi ludzie w Europie cenią go bardzo wysoko. Jest doświadczony, dokładnie zdaje sobie sprawę z tego, do czego zmierza. Jest to naprawdę facet z jajami.

- Szczerze mówiąc, nie za bardzo mi się to wszystko podoba, Joe.

- Dlaczego, panie prezydencie?

- No, a co się stanie, jeżeli zginie, albo złapią go Rosjanie?

- Zgodził się przyjąć Amerykanina jako zastępcę, jeśli udzielimy mu większego poparcia i będziemy go zaopatrywać bezpośrednio z Waszyngtonu albo przez Amsterdam.

- A co sądzi o nim Bob Klein?

- Aprobuję w zupełności i bez zastrzeżeń.

- I koniecznie chcesz, żebym teraz ja się z nim spotkał?

- Gdyby zechciał pan poświęcić chwilę, panie prezydencie...

- Czy on tu jest?

- Tak, Bob Klein przywiózł go razem z O'Malleyem, tym, który zgodził się zostać jego zastępcą.

- Czy Pentagon akceptuje tego O'Malleya? Rozumiesz, to nie jest tylko sprawa CIA.

- Tak, tak, zgodzili się. Było trochę dyskusji na temat jego wieku

- Brodsky uśmiechnął się - ale nie upierali się przy swoim, bo O'Malley jest i tak o cztery lata starszy niż Andrews, ten Anglik.

Wheeler roześmiał się.

- I pewnie z piętnaście lat młodszy ode mnie.

- Albo ode mnie, jeśli już o to chodzi - dodał kurtuazyjnie Brodsky.

- Nie wspominałeś im nic o tym, jaką kartę trzymamy jeszcze i zanadrzu? - spytał prezydent poważniejąc.

- Nie.
- Nawet mimochodem?
- Ani słóweczkiem.
- Niech nadal tak będzie.
- Tak jest, panie prezydencie.
- Czy coś jeszcze?
- To wszystko, sir.
- W takim razie przywieź tych swoich ludzi koło szóstej. Urządzimy sobie mały piknik na słońcu.

Podczas gdy Brodsky przedstawiał wszystkich obecnych, Wheeler próbował nie przypatrywać się Andrewsowi zbyt natarczywie. Bardzo go zainteresował ten, człowiek, o którym słyszał od wszystkich wokół same tylko pochwały. Intrygujące były go oczy. Jasnobrązowe, niemal żółte, jak oczy jakiegoś drapieżnika, albo orła. Uważne, czujne i jakby nieco niepokojące, teraz rozluźnione, ale Wheeler zastanawiał się, jak mogą wyglądać te oczy, kiedy Andrews wpada w gniew.

- Proszę się częstować, panie Andrews. Niech się pan nie krępuje.

- Dziękuję, sir.

- Czy może mi pan powiedzieć, co przede wszystkim skłoniło pana do podjęcia tej walki?

- Zaplanowałem ją na długo przedtem, zanim weszli do nas Rosjanie, panie prezydencie.

- Musiał pan chyba mieć jakąś czarodziejską, kryształową kulę, żeby przewidzieć coś takiego. Nam tutaj też by się taka przydała - zażartował Wheeler.

- Nie przewidywałem akurat tego - odparł Andrews z uśmiechem. - Myślałem raczej, że dojdzie do wojny domowej,

którą rozpęta albo skrajna lewica, albo skrajna prawica. Chciałem nie dopuścić do tego za wszelką cenę.

- Czy moi ludzie udzielili panu takiej pomocy, na jaką pan liczył?

- O, tak. Dziękuję, sir. To była bardzo szczodra i skuteczna pomoc.

- I nie ma pan nic przeciwko temu, żeby O'Malley się do pana przyłączył?

- Przyjmuję to z wdzięcznością.

- Czy został pan zaznajomiony z naszymi planami co do Europy?

- Tak jest, sir.

- Myśli pan, że to wypali?

- Musi wypalić, sir. Nie ma innego wyjścia.

- I sądzi pan, że Rosjanie rzeczywiście w rezultacie wycofają się do siebie?

- Tak myślę, tyle, że nie na skutek naszych działań.

- Co wobec tego się stanie?

- Europa już wyciągnęła nauczkę z okupacji Wielkiej Brytanii - odpowiedział Andrews po krótkim namyśle. - Wszystkie te powiedzonka w rodzaju „lepiej czerwony niż martwy” poszły za burtę. Różane sny o komunizmie umarły w Birmingham i w Londynie. W tej chwili Europejczycy nie mają żadnych złudzeń co do Związku Radzieckiego. Ale nasze, Anglików, wysiłki, to za mało, żeby ich odepchnąć na dobre. My tylko chcemy naoliwić im płozy, a jeśli to się uda, wtedy wystarczy, że Europa wspólnie ze Stanami Zjednoczonymi powie im - zjeżdżajcie do domu i nie wazcie się wystawiać nosa za płot - a pojedą jak po maśle.

- Czy ma pan jakichś polityków w rodzinie, panie Andrews?

- Żadnego, sir. Dzięki Bogu.

- Dlaczego dzięki Bogu?

- Nikt w Wielkiej Brytanii nie zaufa już nigdy politykom. To oni

ściągnęli na nas ten cały kram. Zależało im tylko na władzy. Nawet nie na sprawowaniu rządów, czy to mądrych, czy silnych, czy jakichkolwiek innych, ale po prostu na samym utrzymaniu przy władzy klasy, czy grupy, którą reprezentowali, a która udzielała im poparcia. Izba Gmin stała się istną farsą. Sami kłamcy i hipokryci.

- I ani jednego uczciwego?

- Nikt uczciwy nie zdecydowałby się kandydować do parlamentu. A jeśli nawet, to i tak nie zostałby wybrany - Andrews przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej. - Czy wie pan, sir, że dosłownie setki ludzi, i to ludzi o najróżniejszych poglądach tarzało mi to samo: jak cudownie jest nie oglądać już więcej tych wszystkich chytrych twarzy w telewizji. Tych przywódców związkowych i ich wewnętrznych przeciwników, tych polityków, handlowców, przemysłowców i innych potentatów. Wszyscy oni bez zmruczenia oka recytowali całe litanie kłamstw, wiedząc nawet, iż ludzie wiedzą, że są to kłamstwa. I mieli to wszystko głęboko gdzieś.

- Czym w takim razie chcielibyście to zastąpić. Jeśli nie politycy, to kto mógłby sprawować władzę? Siły zbrojne?

- Nie. Tak jak ja to widzę, powinna to być grupa osób, rodzaj forum złożonego z dwudziestu, trzydziestu kobiet i mężczyzn, którzy byliby niezależni i nie próbowali piec własnej pieczeni przy cudzym ogniu. Kierowaliby krajem, wydając decyzje wyłącznie w oparciu o pisaną konstytucję. Wheeler uśmiechnął się kwaśno.

- Może będziemy mogli trochę panu pomóc w tym względzie, mnie samego nieraz ciągnęło, żeby trochę pomajstrować przy naszej.

Wstał i spojrzał na Kleina.

- Zajmij się panem Andrewsem, Bob.

Potem odwrócił się do Andrews'a i wyciągnął rękę.

- Bardzo się cieszę, że znalazł pan czas, żeby się ze mną spotkać.

Życzę panu wszystkiego, co najlepsze. A jeśli miałby pan jakieś problemy, których nie można będzie rozwiązać normalną drogą, zawsze może pan się skontaktować ze mną osobiście i bez pośredników. Bob Klein powie panu, w jaki sposób.

Później tego wieczora, kiedy Wheeler stał wraz z Brodskim na trawniku czekając, aż wyląduje helikopter, odwrócił się do niego i zapytał:

- I co myślisz o tym Andrewsie?

- Myślę, że zrobi wielką robotę. Nam też by się przydało paru takich.

- Nie jestem pewien, Joe. Nie jestem taki pewien. Powiedz mi, co taki facet robi, kiedy wszystko idzie jak należy? Kiedy nie ma już żadnych wielkich spraw, tylko praca i wypoczynek?

- Pewnie hoduje róże, panie prezydencie.

Wheeler nie wybadał na przekonanego.

- Czeka nas długa, bardzo długa harówka, Joe. Ale musi nam się udać, musi, na Boga. Szczególnie w Wielkiej Brytanii. Zamknęliśmy się na własnym podwórku i kraj to zaakceptował, ale to dlatego, że ludzie są nieświadomi. Obdarliby mnie żywcem ze skóry, gdybyśmy znowu wpakowali się w Europę, a my przecież chcemy wyjść do nich z tym samym scenariuszem, który już nigdy nie miał ujrzeć światła dziennego. Musi być za to jakaś nagroda, Joe - przerwał na chwilę. - Co mogłoby być tą nagrodą?

Brodsky był w pełni świadom tego, że Wheeler wie, co to za nagroda. Tak samo dobrze, jak on sam.

- Zdaje mi się, że to będą nawet dwie nagrody, panie prezydencie. Obie ślicznie zawinięte w tej samej paczce. Wówczas, kiedy powiedział pan narodowi, że mamy dość, i czas był ku temu odpowiedni, i nastawienie ludzi również było odpowiednie.

Powiedział pan dokładnie to, co chcieli usłyszeć. W tamtym momencie jakakolwiek próba obliczania kosztów takiej polityki nie miała żadnych szans powodzenia. Ale reprezentując administrację tego kraju musimy obliczać też koszty. Farmerzy, przemysł i handel, banki, związki zawodowe, nawet artyści, wszyscy oni zaczynają zdawać sobie sprawę, że za izolację płacimy utratą zarówno miejsc pracy jak i pieniędzy. Nie narzekają - jak dotąd - ale upłynie jeszcze parę lat i stanie się to prawdziwym problemem. Musimy handlować ze światem, panie prezydencie. I to będzie główna nagroda.

- A ta druga?

Brodsky westchnął głęboko, zanim znów się odezwał.

- Sądzę, że po prostu nie pasujemy do roli nie wystawiających nosa z za płota, panie prezydencie. Przynajmniej nie przez cały czas. Dlatego drugą częścią tej nagrody będzie możliwość stania się znów w pełni Amerykanami - uśmiechnął się słabo i ciągnął dalej cichym głosem. - Mieliliśmy czas na refleksję, czas na złapanie oddechu, a i reszta świata, szczególnie Europejczycy, wyciągnęli chyba z tego jakieś nauki. I my sami również się czegoś nauczyliśmy.

- Czego, Joe?

- Właśnie tego, że chowanie się na własnym podwórku i niewystawianie nosa za płot, to nie rola dla nas, panie prezydencie.

Wheeler nabrał głęboko powietrza i spoglądając w stronę helikoptera, odparł:

- Wołają cię, Joe. Uściski dla twojej rodziny. Miłego weekendu.

- Nawzajem, panie prezydencie.

Dach samochodu był odsunięty; Sawalew siedział obok dziewczyny i czytał fragment, który mu zakreśliła. Przeczytał go

kilka razy, po czym spojrzał na nią kręcąc głową.

- Nic z tego nie rozumiem. Co to znaczy?

- To o mnie i o tobie, chłopczyku.

- Ale dlaczego tu piszą, że oglądamy znaczki pocztowe. Nigdy nie zbierałem znaczków, ani zresztą niczego innego.

- To taki żart. To znaczy po prostu, że daję ci dupy, najdroższy.

Spojrzał znów na zakreślony fragment i przeczytał go powoli na głos:

- „Wśród moskiewskiej elity krąży plotka, że ognisty Lew Sawalew poświęca ostatnio wiele czasu przeglądaniu swego zbioru znaczków pocztowych wraz z członkinią naszej własnej niegdysiejszej elity, Hon. Daphne Mather. Popularna „Daffers” służyła już zresztą swą radą w sprawach filatelistycznych całemu szeregowi miłośników znaczków, zanim dała się uwieść kundlowatym wdziękom Numeru Drugiego wśród radzieckich władców, wraz z którym uwiła sobie przytulne gniazdko w najmodniejszym ostatnio wśród radzieckich parok Holywell Mansions przy Baker Street.”

Spojrzał na nią marszcząc brwi.

- Gdzie to kupiłaś?

- Tego się nie kupuje, słoneczko. To krąży z rączki do rączki, dokładnie tak samo, jak wasz samizdat w Moskwie.

- Skąd to masz? Kto ci to dał? - wypytywał ostrym tonem Sawalew.

- Och, Lew, kochanie, myślisz, że co ci powiem?

- Prawdę.

- OK. Znalazłam to w damskim kiblu na Victoria Station - roześmiała się, widząc ponury wyraz jego twarzy. - Uśmiechnij się, Lew. To przecież zabawne. Zresztą to tylko „Prywatny Detektyw”; nikt w to naprawdę nie wierzy, oni wszystkich obsmarowują. Ja tam

się śmiałam, czytając te bzdury.

- Czy nie uważasz, że powinniśmy przestać się spotykać na jakiś czas?

- A jakże, kochanie. Twój przyjaciel Barakow od dawna próbuje zarzucić na mnie sieci. Twierdzi, że ma mnóstwo talonów na wszystko.

- Mówisz o Leonidzie Barakowie?

- Oczywiście.

- Próbował się z tobą przespać?

- A czemu nie? Wolna miłość i tak dalej.

Sawalew pokręcił powoli głową z wyrazem zaskoczenia i niesmaku na twarzy.

- To ten Londyn ma w sobie coś takiego, co deprawuje ludzi - powiedział.

- Jasne, że ma - odparła. - Dlatego właśnie ludzie ściągali tu stadami z całego świata. A teraz przyszła kolej na ciebie. Rozluźnij się, ciesz się życiem.

Sawalew zdobył się na nikły uśmiech. Pewnie, że wolał siebie nawet w wydaniu z „Prywatnego Detektywa” niż jako zacofanego wsioka. Ciekawe, czy Smetana kiedykolwiek widział „Prywatnego Detektywa” - pomyślał. Dziewczyna Smetany była Rosjanką, dobraną starannie przez KGB. Co miesiąc badanie lekarskie, bardzo ładna i nie kosztowała ani rubla. Tak na pewno było bezpieczniej. Te stare łysielce z Politbiura nie zawsze były jednak takimi osłami, jak się wydawało. Będzie chyba musiał kupić sobie klaser...

Pojechali razem do miasta i zabrał ją na Obiad do „Aragvi”, nowej gruzińskiej restauracji przy Sloane Street. Jej wnętrze było dokładną kopią oryginału, znajdującego się przy ulicy Gorkiego w Moskwie. Również jadłospis złożony z potraw gruzińskich był identyczny - podawano tu karczo, pieczoną baraninę oraz kurczaki

smażone na gorących kamieniach. Dziewczyna jadła z apetytem i Sawalew pomyślał, że to dziwne, iż tylko członkowie angielskich klas wyższych zasmakowali w rosyjskiej kuchni. Większość trzymała się nadal kurczowo tych okropnych frytek. Kiedy podano kawę, poczuł, że wraca mu dobry humor.

- Przykro mi z powodu tego, co napisali w tym piśmie. To pewnie niezbyt przyjemne dla ciebie - odezwał się pojednawczo.

- Mnie tam wszystko jedno, kochanie. Ale tatuś dostał szału.

- Może powinienem z nim porozmawiać o nas?

- O Boże, tylko nie to. On zresztą wie o wszystkim, tylko że jakiś gnojek powybijał mu szyby w samochodzie. Myślał, że to mój.

- Załatwię mu oczywiście nowe - powiedział Sawalew z przejęciem.

- Nie martw się, już są wstawione - odparła dziewczyna ze śmiechem. - Twój przyjaciel Baraków się o to postarał. To straszny wazeliniarz. Myśli, że jak się podliże tatusiowi, to będzie mógł przelecieć biedną, małą Daphne.

W historii każdej okupacji przychodzi taki czas, kiedy okupantom zaczyna się wydawać, że problemy, z którymi mają do czynienia, to tylko drobne, swojskie, domowe kłopoty. Był to właśnie jeden z tych momentów. Sawalewowi nie brakowało tego wieczoru powodów do zdenerwowania, a jednak czekało go jeszcze tylko niewiele dni równie spokojnych i pogodnych jak ten.

Rozdział XVIII

Na zachodzie, jak okiem sięgnąć, rozciągały się zielone pastwiska, zaś daleko na pomocy widniało długie pasmo zaśnieżonych szczytów Celestial Mountains. Trawa miała odcień głębokiej zieleni, zaś blade, jakby przemyte, zielonobłękitne niebo, było niemal bezchmurne.

Mężczyzna jadący na kucyku burej maści nie trzymał nóg w strzemionach, lecz zwiesił je swobodnie, butami niemal dotykając ziemi. Miał na sobie narzucony niedbale płaszcz ze zszytych, prymitywnie białych skór owczych. Przed nim jechał na takim samym kucyku drugi, niższy mężczyzna, który pochylił nisko głowę, chowając się przed wiatrem smagającym ostro pomimo słońca. Przez całe wieki ta długa i szeroka dolina była jednym z głównych odcinków Jedwabnego Szlaku, ale teraz prowadziła już tylko do Urumczy, stolicy największego regionu autonomicznego Chin - Sinciangu.

Sześć godzin później byli już w mieście. Jego nazwa brzmiała niegdyś Tihua - Miasto Oświecenia. Było to dziwne miasto, całkowicie pozbawione jakiegokolwiek piękna, stylu, czy dostojności. Nie było w nim ani jednego budynku, którego architektura warta byłaby spojrzenia. Pod rządami komunistów w mieście założono park Ludowy z jeziorkiem i kilkoma mostkami oraz pawilonami w tradycyjnym, chińskim stylu. Na obszarze tej ponurej miejscowości żyło ponad pół miliona ludzi, reprezentujących trzynaście różnych narodowości. Większość z nich stanowili Ujgurzy, wzdający się z Turcji. Urumczy, słynne niegdyś

z wyrobu instrumentów muzycznych i dywanów, obecnie pojawia się w kolejnych planach pięcioletnich jako producent żelaza i stali, traktorów, chemikaliów, węgla i wyrobów petrochemicznych. Tak jak wyglądało obecnie, można by je z powodzeniem przenieść do uprzemysłowionego Black Country w okolicach Birmingham z początków stulecia, lub do któregoś z rejonów górniczych w pobliżu Pittsburga. Dla złagodzenia tego przykrego wrażenia można by co najwyżej powiedzieć, że w podmiejskich winnicach produkuje się słodkie, bezpestkowe winogrona, a wyciąg z korzenia żeńszenia wozi się stąd aż do Pejcingu – stolicy Chin, nazywanej na Zachodzie Pekinem.

Obaj mężczyźni spali tej nocy na zapleczu sklepu z używanymi dywanami, pod derkami z niewyprawionych lisich futer. Niższy z nich przed udaniem się na spoczynek zjadł kebab z jagnięcia. Wysoki nie jadł i nie pił niczego.

Nazajutrz rano, ledwie zaczęło się rozwidniać, wyjechali z miasta i wczesnym popołudniem dotarli do pierwszego z kolistych namiotów. Między jurtami pasły się grupami spętana konie. Tej nocy spali i jedli w jednej z największych jurt osiedla.

Człowiek, z którym wspólnie spożywali posiłek, był ubrany w niebieską bluzę i spodnie, które stały się tradycyjnym, mającym świadczyć o skromności, uniformem wyższych urzędników Chińskiej Republiki Ludowej. Posiłek natomiast był wyszukany i trwał ponad cztery godziny. Zaczęli od gotowanych na parze kul z mięsa, a następnie, jedząc z namaszczeniem i przestrzegając wszystkich zwyczajowych przepisów, kosztowali kolejno kurczaków z curry, befsztyka na ostro, słodkich bułeczek z nadzieniem z czarnej fasoli, kostek z pasty jajecznej z pomidorami, bulionu i białego ryżu. Na deser podano świeże arbuzy.

Wysoki mężczyzna mówił, a człowiek z Pekinu słuchał go

uważnie. Od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie, ale ani razu nie spojrzął na obydwu siedzących naprzeciw niego przybyszy. Nazywał się Hsin Qui i był jednym z siedmiu ludzi, którzy już przez cały rok, jaki upłynął od śmierci Mao, naradzali się nad tym, czy partia powinna nadal podtrzymywać dogmat o jego nieomyślności. Zgodzili się w końcu co do tego, że był jednak omylny, ale musi minąć jeszcze pięć lat, zanim ogłosi się to publicznie. Dwa dni przed dzisiejszym spotkaniem na farmie końskiej w pobliżu Pekinu Hsin Qui spotkał się z przywódcą partii, który dał mu jasno do zrozumienia, że jego misja jest jednym z ostatnich kroków w całym łańcuchu posunięć, które miały zdecydować o światowej roli jego kraju, być może na następne sto lat.

Pytania, które zadawał, mogły się chwilami wydawać odległe od głównego nurtu ich dyskusji. Były to proste, pozornie oderwane od tematu pytania, takie, jakie mógłby zadawać wieśniak, dobijający targu z kupcem w mieście i nie znający się na towarach, które kupuje. Jednak wyższy z jego rozmówców, zachowując kamienną twarz odpowiadał na nie wyczerpująco, starannie dobierając słowa. W swoim własnym kraju przyzwyczał się do tego rodzaju pytań.

Było już dobrze po pomocy, kiedy poprzez snujący się po namiocie dym Hsin Qui spojrzął wreszcie w twarz wysokiego człowieka. Patrzył tak przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową. To skinienie oznaczało zarówno jego zgodę, jak i podjęcie zobowiązania, i było jedynym ich wyrazem. Żadnych papierów, podpisów, uścisków dłoni. Wysoki przybysz sięgnął jednak do torby przytroczonej do siodła, wyciągnął stamtąd małą paczuszkę i podał ją Hsin Qui. Po jej otwarciu ukazał się niewielki krążek z złotego złota z wygrawerowanymi dwoma znakami chińskiego alfabetu pin-yin. Pierwszy z nich oznaczał cyfrę dziesięć, a drugi słowo miesiąc. Hsin Qui, odczekawszy stosowną chwilę, również sięgnął do

kieszeni bluzy i podał tamtemu jakiś owinięty w kawałek jedwabiu przedmiot. Była to nieregularnie oszlifowana bryłka białego nefrytu z wyrytymi cyrylicą literami, układającymi się w słowo „oktiabr”. Hsin Qui odleciał następnego ranka helikopterem, a wysoki, smagły mężczyzna i jego towarzysz osiedłali swe kucyki i ruszyli w długą podróż powrotną do granicy, i dalej – do Radzieckiej Socjalistycznej Republiki Kazachstanu.

Rozdział XIX

Dom stał w bocznej ulicy, zabudowanej identycznymi starymi domami z błękitnej cegły i miał tylne wejście, istniejące od samego początku, czyli od roku 1901. Była to lewa część bliźniaka. Po obu stronach biegnącej na tyłach uliczki stały drewniane płoty, wysokie na mniej więcej sześć stóp. Dom z prawej miał płot wyższy, obrośnięty długimi pnączami winorośli o jaskrawoczerwonych i żółtych liściach.

W jednym z wysokich pokoi na poddaszu zabito deskami okno i wmontowano w nie niewielki wizjer, taki, jakich używa się w hotelach. Widać było przezeń ogród na tyłach domu i trawnik do gry w kule, należący dawniej - zanim Rosjanie przejęli go na klub Armii Czerwonej - do dzielnicowego klubu robotniczego.

Joe Langley wraz z trzema innymi mężczyznami siedział wokół stołu, na którego blacie stała parafinowa lampa. Obok stołu, na gołej podłodze z desek, leżała broń. Były to trzy ręczne wyrzutnie rakietowe typu RPG-7V. Głowice do nich leżały razem na kawałku starego dywanu, w który były przedtem zawinięte. Dwie zawierały kruszący materiał wybuchowy, trzecia była głowicą termolokacyjną.

Na stole przed Joe Langleyem leżał stoper i zegarek elektroniczny. Mieli jeszcze pół godziny do wyjścia, lecz nikt nie rozmawiał. Joe Langley w ogóle rzadko się odzywał, jeśli nie miał czegoś konkretnego do powiedzenia, zaś w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy większość czasu spędzał samotnie. Przenosił się z grupy do grupy, w każdej z nich akceptowany natychmiast jako dowódca, ponieważ był jakby stworzony do tej roli, posiadał

ogromne doświadczenie i odnosił sukcesy.

Wiele lat temu, kiedy Langley po raz trzeci stawał przed komisją kwalifikacyjną SAS, jedynie opinii i wpływowi Andrewsa zawdzięczał, że go w ogóle przyjęto, chociaż Andrews był wówczas zaledwie porucznikiem. Langley otrzymał doskonałe oceny we wszystkich dziedzinach z wyjątkiem jednej: uznano go za nie posiadającego zdolności przywódczych. I to pomimo faktu, że grupa, którą dowodził, zajmowała pierwsze miejsca we wszelkich współzawodnictwach. Trzy razy zmieniali mu skład grupy, na wypadek gdyby to tylko wybitnym indywidualnościami zawdzięczał sukces. Nie miało to jednak żadnego wpływu na wyniki osiągnięte przez tego człowieka, którego uważali za pozbawionego daru dowodzenia. Gdy wypytywali go o różne sprawy, próbując z niego coś wyciągnąć, aby poznać jego poglądy i osobowość, odpowiadał tylko „tak” lub „nie”, kiedy tylko było to możliwe. Jeżeli nie było, starał się skracać swe wypowiedzi do minimum i częściej zbliżone były one do telegramu niż do listu - zawierały odpowiednią ilość wymaganych informacji, ale nic ponadto. Jego uczciwość była niepodważalna i stało się oczywiste, że lakoniczność jego wypowiedzi nie wynika z nieszczerości, lecz zawarta jest w charakterze tego człowieka. Był urodzonym przywódcą; tyle, że nie wykazywał w najmniejszym stopniu naturalnej ludzkiej skłonności do wywierania na innych wrażenia. Nigdy nie zdobył patentu oficerskiego, ale stał się jednym z najlepszych sierżantów sztabowych, jacy kiedykolwiek służyli w SAS, można zaś śmiało powiedzieć, że każdy, kto doszedł do stopnia sierżanta sztabowego w SAS, w normalnej jednostce byłby co najmniej kapitanem.

Przez cały tydzień Langley objeżdżał na rowerze teren, na którym znajdował się cel wyznaczony na dzisiejszą noc. Mierzył czas, wyliczał kąty i odległości, planując starannie każdy szczegół,

potem przez dziesięć dni zapoznawał z terenem pozostałych członków grupy i wprowadzał każdego z nich z osobna w jego zadanie. Wciąż od nowa ćwiczili symulowane akcje w Brookvale Park, aż w końcu Langley stwierdził z zadowoleniem, że jego trzej ludzie są w stanie przeprowadzić całą operację niemal z precyzją automatów.

Dokładnie dziewięć minut po północy wszyscy zeszli po cichu na dół, przedostali się przez płot, mocząc sobie twarze i ręce rosą zarośli i znaleźli się w tylnej uliczce. Ulice były nieoświetlone weszli w Mere Road, we wszystkich domach również było już ciemno. Nadal bowiem obowiązywał przepis o wyłączaniu prądu odbiorcom cywilnym między dziesiątą wieczór i piątą rano. Wyjątek stanowili mieszkańcy wsi, gdzie prąd włączano już o czwartej.

Gdy przekraczali Anchorage Road, dobiegły ich rosyjskie okrzyki i pijackie hałasy z pobliskiego klubu. U stóp wzgórza, na skrzyżowaniu ze Slade Road, Langley zatrzymał ich i poszedł dalej sam. Rosyjskie samochody wojskowe patrolowały czasem odcinek Slade Road pomiędzy mocno strzeżonym węzłem kolejowym Spaghetti Junction a garnizonem Armii Czerwonej w Witton Lakes, ale można je było dostrzec niemal z odległości mili w obu kierunkach, ponieważ jechały z głośnym warkotem, włączonymi światłami i reflektorami szperającymi na dachu. Tak jak przypuszczał, na Slade Road nie było w tej chwili żadnych pojazdów. Przez parę chwil przyglądał się stojącej na wzniesieniu po drugiej stronie drogi grupie ponurych budynków z czerwonej cegły, które teraz zlewały się w jedną sylwetkę. Niegdyś mieszkańcy nazywali je „Przytułkiem”, co było określeniem nieco może pogardliwym, lecz bliższym prawdy. Obecnie nosiły bardziej eufemistyczną nazwę Szpitala Highcrofta. W rzeczywistości była to kwatera główna Grupy Strażniczej Numer 1 Administracji

i Łączności Armii Czerwonej, niedawno przeniesionej tu ze swej stałej bazy w Dreźnie.

Langley wrócił do swoich ludzi i poprowadził ich pod ścianami domów stojących naprzeciwko terenów starego przytułku. Przebiegli Slade Road nisko pochyleni i weszli w Fentham Road.

Fentham Road to właściwie strome wzgórze. Budynki stoją na jego grzbiecie po lewej stronie ulicy. Wszystkie posesje ogrodzone są wysokimi płotami z żelaznych sztachet i ligustrowymi żywopłotami. Po drugiej stronie drogi, na zboczu, stoi jeszcze kilka domów położonych tarasowo. Czterej mężczyźni skradali się ostrożnie właśnie po tej stronie. Langley nacisnął przycisk w swoim zegarku. Świecące cyferki wskazywały, że zostały jeszcze dwie minuty i piętnaście sekund.

Dokładnie w oznaczonym czasie we frontowym, oknie na parterze położonego najdalej domu zamigotało kilka razy światło i Langley ścisnął ramię pierwszego ze swych ludzi, dając mu znak, żeby ruszał. Kiedy wszyscy trzej rozplynęli się w ciemności, Langley powoli skierował się w stronę ostatniego domu. Skręcił w przejście pomiędzy dwoma budynkami prowadzące do wolno stojącej szopy na węgiel i wspólnego podwórka. Poruszając się cicho i ostrożnie wyprowadził z przejścia cztery rowery i ustawił je od frontu, opierając o niski, ceglany murek okalający ogród. Wszystkie cztery skierował w stronę, z której przyszli. Na koniec uniósł płytę z lanego żelaza zamykającą otwór kanalizacyjny i podparł ją w tej pozycji drewnianym klockiem.

W tej samej chwili, w której Langley znalazł się z powrotem pod ścianą domu, pierwsza rakietka spadła na budynek mieszczący centrum łączności. Poczł drzenie ziemi pod stopami, a potem, po sekundzie ciszy, olbrzymi, pomarańczowy płomień wystrzelił w górę, rozszerzając się powoli u wierzchołka jak kwiat

rozkwitający na zwolnionym filmie. Po chwili dostrzegł jarzący się płomień odrzutu, drugiego pocisku, lecącego prosto w kierunku ognia, prowadzonego przez urządzenie termolokacyjne. Jego wybuch wyrzucił w powietrze całe fragmenty budynków, odcinające się wyraźnie na tle ognia. Uderzenie trzeciego pocisku zaplanowali z minutowym opóźnieniem, tak aby po trafieniu w park maszynowy zniszczył zarówno helikopter i transportery opancerzone jak i oddziały zajmujące miejsca w ciężarówkach mających wyruszyć w pościg. W chwilę później trzecia rakietą dotarła do celu i tysiące galonów benzyny i ropy z groźnym rykiem stanęło w płomieniach.

Dwaj pierwsi z ludzi Langleya wrócili razem. Zdyszani, z poczerniałymi twarzami, w których widać było tylko białka oczu, ruszyli natychmiast w dalszą drogę. Kiedy trzeci z nich oddał Langleyowi swój miotacz, ten zawinął wszystkie trzy w płachty czarnej plastikowej folii i opuścił je do otworu kanalizacyjnego. Następnie wyciągnął drewniany klocek i pokrywa opadła, zakrywając właz.

W domu przy Mere Road znaleźli się w ciągu siedmiu minut, nie słysząc po drodze żadnych odgłosów pościgu. Rowery ukryli w szopie, stojącej w ogrodzie sąsiedniego, niezamieszkałego domu. Potem wspięli się po linowej drabince na strych, zamykając za sobą klapę w suficie.

Strych był czysty i schludnie urządzone. Na podłodze leżała izolacja z desek i dwucalowej warstwy piankowej wykładziny dywanowej. Było tu kilka lekkich, nowoczesnych mebli, a na długiej półce z płyty paździerzowej stał radiowy aparat nadawczo-odbiorczy, dwa dwunastowoltowe akumulatory samochodowe, prostownik do ładowania akumulatorów i pięć par walkie-talkie, przystosowanych do pracy na częstotliwościach cywilnych. Jeden kąt zajmowała wysoka lodówka, a obok niej, na małym stoliku

znajdowała się elektryczna kuchenka, opiekacz do grzanek i grzałka do gotowania wody. Nad stołem wisiała półka pełna naczyń kuchennych, a nieco dalej stał regał na książki z miniaturowym telewizorem na najniższej półce. Samych książek było tu niewiele – przeważały podręczniki techniczne, instrukcje obsługi, mapy i przewodniki.

Langley objął wartę jako pierwszy. W ciągu czterech godzin jej trwania ani światła czujników, ani mikrofony nie zasygnalizowały wejścia do budynku kogokolwiek niepowołanego. W wieczornym dzienniku telewizyjnym najpierw pokazano prezydenta Orłowa otwierającego nową hydroelektrownię na Syberii, następnie fragment meczu piłki nożnej pomiędzy Dynamo Tbilisi a drużyną Armii Czerwonej. Trzecia wiadomość dotyczyła wizyty pełnomocnika Smetany w nowo otwartej fabryce tekstylnej w Bradford, którą właśnie zaszczycono pięcioletnim zamówieniem rządowym na produkcję tkanin mundurowych. Po tym nastąpiło kilka migawek, ukazujących między innymi radzieckiego weterynarza z nowo narodzoną pandą w londyńskim ZOO, grupę robotników z Clydeside podczas zwiedzania Mauzoleum Lenina na Placu Czerwonym i krótki reportaż z próby baletu Bolszoi przed występem w Manchesterze. Ani słowa o sabotażu w Birmingham i podobnych akcjach, które miały tej nocy miejsce w Glasgow, Portsmouth i Chatham.

Andrews wiele ryzykował, dzieląc swych ludzi na małe grupki i przydzielając im tak wiele celów na raz. Ale wytłumaczył O'Malleyowi, że efekt propagandowy takiego działania będzie miał olbrzymie znaczenie, ponieważ ukaże światu aktualną wielkość i siłę brytyjskiego ruchu oporu.

Prezydent Wheeler uwielbiał gorącą czekoladę do picia. Kiedy,

przenieśli się do Waszyngtonu, jego żona desperacko próbowała ukryć ten fakt przed ludźmi. Ci, którzy go lubili, uznali to za prostactwo, mieszczące się jednak w granicach normy. Ci zaś, którzy za nim nie przepadali, twierdzili, że jest to albo świadectwo jego dziecinnego charakteru, albo jakaś sprytna sztuczka propagandowa - na przykład część obrazu samego siebie, jaki starał się podtrzymywać w oczach otoczenia - człowieka, któremu nie obce są sprawy prostych ludzi. W rzeczywistości obie te oceny były prawidłowe. Naprawdę autentycznie uwielbiał gorącą czekoladę, był smakoszem o ugruntowanym poglądzie na to, jak należy ją przyrządzać i zupełnie się nie przejmował, czy jest to prostackie, czy nie. Zaś częścią jego rzeczywistego obrazu samego siebie było również i to, że zupełnie go nie obchodziło, co środki przekazu i waszyngtońskie panie domu myślą o gorącej czekoladzie, brataniu się z ludem, czy problemach ze znalezieniem służącej w Georgetown. Jego średnia córka powiedziała mu kiedyś, że jest zdecydowanie „non-Preppy”, a kiedy ją zapytał, co to znaczy, roześmiała się i klepiąc się po zgrabnym tyłeczku odparła:

- Najlepiej mów im, że to ja, tatusiu. Ja też ją uwielbiam.

Joe Brodsky zauważył na tocznym stoliku ogromny chromowany termos z nalepką „Czekolada” i domyślił się, że czeka go długa, nocna narada. Nalał sobie sporą whisky i kiedy usadowił się wygodnie na krześle, otworzyły się drzwi, w których pojawił się jakiś mężczyzna do połowy wychylony na korytarz i rozmawiający ostrym tonem z kimś na zewnątrz. Gdy w końcu wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i ruszył w ich stronę, mówiąc już od progu:

- Najmocniej przepraszam, panie prezydencie, ale jakaś ciężarówka stanęła w poprzek na moście i zatarasowała ulicę.

Wheeler skinął głową bez komentarza.

- Siadaj, Bob. Wolisz, żeby to było formalne spotkanie, czy damy

sobie trochę luzu?

- Jak pan sobie życzy, panie prezydencie.

- Czy widziałeś raport CIA o sytuacji w Związku Radzieckim?

- Tak - odparł przybysz z uśmiechem. - Wykorzystali sporo naszych materiałów, więc wszystkie te dane i komentarz do nich nie były dla mnie nowością.

Wheeler ani się nie zmarszczył, ani nie uśmiechnął, słysząc ten komentarz. Był to normalny objaw mającego już za sobą długą tradycję współzawodnictwa pomiędzy CIA i Pentagonem. Jego samego zaczynało już ono jednak nużyć i irytować i nie lubił, kiedy kontynuowano je w jego obecności.

- Czy dysydenci mieli coś istotnego do powiedzenia w tej sprawie?

- Nie za bardzo, panie prezydencie. Otrzymaliśmy komentarz z Ottawy, który stwierdza, że według ich obliczeń podaliśmy zbyt niską kwotę, jaką Rosjanie przeznaczają na badania i rozwój programu satelitarne, ale poza tym potwierdzają zarówno nasze dane liczbowe, jak i zgadzają się z ich oceną.

- W takim razie przedstaw mi teraz komentarz CIA. Ale streszczaj się maksymalnie.

- Związek Radziecki wydaje od dwudziestu do dwudziestu trzech procent dochodu narodowego na obronę i wywiad. A dalsze trzy, cztery procent na utrzymywanie Kubańczyków i Północnej Korei, a także różnych grup terrorystycznych i partyzanckich na świecie. Produkcja niemal wszystkich gałęzi ich przemysłu spada z roku na rok już co najmniej od siedmiu lat. Cała gospodarka rozpada się z powodu złej organizacji i bezwładu biurokratycznego. Ludzie otwarcie wyrażają niezadowolenie w stopniu przez nas nie notowanym. Rolnictwo w ciągu ostatnich dwóch lat dało zupełnie nieźle plony, jednak oceniamy, że przynajmniej dziesięć procent po

prostu zgniło z powodu problemów ze skupem i magazynowaniem. Dotarły do nas raporty o siedmiu strajkach. Strajki są nielegalne, ale mimo to wybuchły. Głównie w kopalniach i w przemyśle ciężkim, gdzie robotnicy skarżą się, że otrzymują przydział mięsa o ponad połowę niższy niż w Polsce i NRD. Ale istotę problemu stanowią prawdopodobnie cyfry podawane w „Dodatku E”. Żeby zarobić na żywność, robotnik radziecki musi pracować trzy razy dłużej niż Niemiec czy Francuz. Na mały telewizor kolorowy lub samochód Rosjanin pracuje dziesięć razy dłużej od Amerykanina. Poprzednie protesty dotyczyły raczej nie tyle braku pieniędzy, co braku towarów w sklepach. Obecnie towarów nadal brakuje, ale jednocześnie ludziom brak również pieniędzy na ich kupno. Robotnicy są już całkowicie pozbawieni złudzeń i pracują tak opieszale, jak to tylko możliwe. Jednocześnie w ogromnym tempie rozrasta się czarny rynek. Jest oczywiste, że robotnicy dobrze pamiętają lekcję, jaką stanowiły dla nich wydarzenia w Polsce w 1980 i 81 roku. Jeżeli będziemy kontynuować wyścig zbrojeń, Związek Radziecki nie będzie w stanie dotrzymać nam kroku, czy nawet utrzymać dzielącej nas różnicy, bez dokonania jeszcze drastyczniejszych cięć rynku wewnętrznym. Ten kraj dosłownie zaczyna powoli pękać w szwach.

- Chciałbym jeszcze wiedzieć, jakie skutki mogłoby za sobą ciągnąć zniesienie przez nas niektórych sankcji. I chciałbym, żeby dyskusja ogniskowała się głównie wokół raportu CIA.

- Wolałbym się nad tym głębiej zastanowić, panie prezydencie. Czy możemy się wobec tego spotkać jeszcze raz?

- Ależ tak, oczywiście. Przyjdź może jutro rano; zjesz śniadanie z Joe i ze mną. Jutro sobota, więc nie będziemy musieli się spieszyć. Czekam na ciebie o ósmej.

- Dobrze, panie prezydencie - odpowiedział Robert Klein stając.

Idąc korytarzem, Klein zastanawiał się, czy Julia przypadkiem nie miała racji, kiedy sprzeciwiała się porzuceniu przez niego praktyki prawniczej i objęciu stanowiska dyrektora CIA. Uważała, i że robi błąd z dwóch powodów. Po pierwsze z powodu swojego wieku - był na to jednocześnie i za stary, i za młody. Jej zdaniem akurat w wieku pięćdziesięciu dwóch lat nie powinno się przeprowadzać jakichkolwiek poważniejszych zmian w życiu. Po drugie, jak twierdziła, Mike Wheeler był dla niego zawsze kimś w rodzaju osobistego bohatera. Wykazując sporo przenikliwości, jego dużo młodsza odeń żona przekonywała go, że jeśli ktoś pracuje dla swego idola, to może albo zostać kolosem na glinianych nogach, albo całkowicie stracić niezależność. Taki ktoś przestawia się na sposób myślenia idola, nie dlatego, żeby się z nim całkowicie zgadzał, ale z powodów czysto emocjonalnych. A Bob Klein podziwiał Mike Wheelera od bardzo, bardzo dawna.

W którymś ze wstępniaków w „Washington Post” ktoś zastanawiał się kiedyś, czy nie należałoby Białego Domu przemianować na Dom Polski, ponieważ prezydent Wheeler mianował Polaków na stanowiska sekretarza stanu i dyrektora CIA, a sama Pierwsza Dama również pochodziła z polskiej rodziny z Chicago. Mike Wheeler był przedtem gubernatorem Teksasy i gdy został prezydentem, nadal utrzymywał kontakt z przyjacielem z dzieciństwa, który prowadził teraz firmę handlu traktorami. Kiedy więc przed synem owego przyjaciela pojawiła się szansa dostania się do Austin, to właśnie Wheeler przekonał jego rodziców, żeby go puścili i załatwił mu w biurze Partii Republikańskiej dorywczą pracę, która przynosiła dochód wystarczający na pokrycie kosztu studiów. Od tamtej pory Bob Klein radził już sobie wprawdzie sam, ale Mike Wheeler pozostał dla niego na zawsze niedościgłym wzorem.

Bob Klein kazał przed spotkaniem dokładnie posprzątać swoje biuro; polecił też wnieść dłuższy stół i dodatkowe krzesła. Uczestnicy spotkania zaczęli się już schodzić i zajmować miejsca przy stole. Klein stał w pobliżu drzwi, spoglądając jednocześnie na ekran telewizora. W serwisie informacyjnym NBC pokazywane akurat zdjęcia amerykańskiego lotniskowca płynącego około czterdziestu mil na zachód od wybrzeży Irlandii. Trzy radzieckie myśliwce przelatywały nad nim, śmigając tuż nad pokładem. Można było wyraźnie zobaczyć znaki rozpoznawcze wymalowane na ich skrzydłach. Z głośnika płynęły słowa komentatora - „...jest to typowa akcja nękania naszych okrętów, znajdujących się na wodach międzynarodowych... Prezydent Wheeler polecił naszemu ambasadorowi w Moskwie złożyć zdecydowany protest...”

Klein wyłączył telewizor i zajął miejsce u szczytu stołu.

- Dzień dobry, panowie - zwrócił się do zebranych. - zanim zacznę, chciałbym przypomnieć wszystkim, że podczas całego spotkania nie wolno sporządzać żadnych notatek. Jeśli ktoś będzie pytał was o cel dzisiejszej narady, proszę skierować go do mnie. Ktokolwiek by to nie był.

Zamknął na chwilę oczy, aby zebrać myśli, a potem prześliznął wzrokiem po twarzach obecnych i zaczął mówić:

- Biały Dom wyraził zgodę na nasze propozycje dotyczące Polski, NRD, RFN, Belgii oraz Holandii. Jak wam wiadomo, Holendrzy od samego początku byli przeciwni francuskim planom, solidaryzowali się z Brytyjczykami przez całą okupację, a obecnie wyrażają chęć udzielenia nam pomocy w naszej najnowszej operacji. Tak więc, następną fazą akcji będziemy kierować z Amsterdamu. Tylko do waszej wiadomości powiem, że zarówno holenderska rodzina królewska jak i rząd holenderski są poinformowane o naszych planach i nieoficjalnie wyraziły na nie zgodę, pod warunkiem, że

w sprawę nie będą wmieszani obywatele holenderscy - z wyjątkiem tych, oczywiście, którzy zaangażowali się od początku - i że nie będziemy próbowali wykorzystać współpracy Holendrów do celów propagandowych lub dla rekrutacji agentów. Rozumiemy się?

Część zebranych skinęła głową na znak zgody i Klein kontynuował:

- Teraz może niech każdy z was po kolei naszkicuje mi z grubsza obecny stan gry i związanych z tym wszystkim potrzeb. Steve, ty pierwszy; twoi ludzie w początkowej fazie wezmą na siebie główny ciężar przerzutu zaopatrzenia.

Potęźnie zbudowany blondyn ściągnął usta, opuścił na chwilę głowę, a potem spojrzął na pozostałych i zaczął mówić. Miał zadziwiająco cichy głos.

- W porządku. Więc tak. Ja mam grupę złożoną z sześciu Amerykanów - wszyscy są, albo byli w CIA - i ośmiu Holendrów. W dowolnym momencie możemy na pewno liczyć na dobrze ponad setkę obywateli holenderskich umiejscowionych na stanowiskach o strategicznym znaczeniu. Mamy pewien ograniczony zasób broni i materiałów wybuchowych. Mamy pięć małych aparatów nadawczo-odbiorczych i jeden główny, z którego utrzymujemy łączność z bazą tu, w Langley. Nie kontaktujemy się z ambasadą ani z konsulatami, tym bardziej, że nie zostały one poinformowane o istnieniu naszej grupy. Do tej pory ograniczaliśmy naszą działalność do zbierania informacji, między innymi o ruchu radzieckich samolotów na holenderskich lotniskach, o personelu ambasady i konsulatu, jak również o pracownikach misji handlowych. Wszystko, co uda nam się zdobyć, przekazujemy bezpośrednio do Anglii - przerwał i spojrzął na Kleina. - Czy mam w ogóle mówić o strukturze angielskiej?

Klein pokręcił głową.

- W żadnym wypadku.

Blondyn skinął krótko głową i mówił dalej:

- Ten sam komplet informacji przesyłamy również tutaj. Mamy urządzenie do druku z IBM-owskim wyposażeniem. Nasze kontakty z obywatelami holenderskimi obejmują lotniska, telewizję, radio i prasę, centralę telefoniczną, która łączy między innymi ambasadę radziecką, a także policję i wojsko. Jak również - uśmiechnął się - ich własny wywiad. Naszą działalność kryje biuro podróży organizujące wycieczki do Stanów i niewielka firma importowo-eksportowa. Obydwie zresztą poza tym zupełnie normalnie funkcjonują.

Mężczyzna odchylił się na oparcie krzesła na znak, że skończył, jakby zadowolony, że ma to z głowy. Tymczasem Klein zadał mu pytanie:

- OK., powiedz nam jeszcze, co zamierzacie i obić teraz, kiedy dostaliśmy zielone światło.

- Przede wszystkim rozpoczniemy druk podziemnej gazety pod tytułem „Vrij England” - „Prawda o Anglii” - która będzie dokumentowała wszystkie przypadki nadużyć i korupcji administracji radzieckiej w Wielkiej Brytanii. Spróbujemy zablokować przepływ towarów i gotówki między Holandią, a krajami bloku radzieckiego. Będziemy szpiczować informacjami wszystkie środki przekazu, jak również polityków. Jeżeli otrzymamy zezwolenie, zaczniemy również nękać fizycznie wszelkich oficjalnych przedstawicieli Związku Radzieckiego, zarówno dyplomatów jak i handlowców. Jesteśmy też w stanie w dowolnym momencie zniszczyć radziecki samolot i oczywiście także statek. Ogólnie rzecz biorąc, chcemy doprowadzić do rozbudzenia opinii publicznej i narobienia szumu w ONZ.

Klein spojrzał na zebranych.

- Są jakieś pytania?

Uniósł rękę mężczyzna w błękitnej bluzie i dżinsach.

- Jak się tego słucha, to można pomyśleć, że wszystko, co robicie, to dla was bułka z masłem. Jak to możliwe, żeby przychodziło wam to tak łatwo, bezpiecznie i bezproblemowo.

Blondyn obruszył się.

- Może przedstawiłem to nie tak, jak powinienem. Oczywiście, mamy problemy, ale chodziło mi o to, że zdecydowana większość społeczeństwa jest po naszej stronie. To znaczy, mówiąc ściślej, po stronie Brytyjczyków.

- A dlaczego są tacy probrytyjscy?

- Nie mam pojęcia. Może dlatego, że obydwa te kraje są monarchiami; czy też były. Jest między nimi jakieś podobieństwo - i z jednymi, i z drugimi można się łatwo dogadać, są tolerancyjni, ale jak się na coś uwezmą, potrafią niezłe zaleźć za skórę. Z tego, co wiem, te dwa narody nigdy się jeszcze na sobie nie zawiodły. Bez machania chorągiewkami, czy oficjalnych traktatów; prostu lubią się i szanują nawzajem. I nie mam wątpliwości co do tego, że Holendrzy, niezależnie od tego, co działali do tej pory, skłonni są posunąć się bardzo daleko, żeby pomóc Anglikom pozbyć się Rosjan.

Teraz Klein skinął z kolei w stronę mężczyzny w niebieskiej bluzie.

- Teraz może rzut oka na sytuację w Niemczech.

Mężczyzna odchrząknął i pochylił się, opierając łokcie na stole.

- Nasze możliwości w tym kraju są bardzo zróżnicowane, właściwie w RFN możemy w sumie liczyć na słabsze poparcie niż w NRD. Trudno może w to uwierzyć, ale zarówno w zakresie rekrutacji agentów, jak i działań operacyjnych w NRD napotykamy na mniej trudności niż w RFN. Przyczyna tego była i jest zawsze ta

sama. Niemcom wschodnim nie trzeba po prostu tłumaczyć, kim są Rosjanie, ponieważ doświadczają oni tego dzień w dzień. Poza tym, żyjąc w tym systemie przyzwyczaili się do tego, że muszą być sprytniejsi od Rosjan, umieć ich przechytrzyć i oszukać. Natomiast społeczeństwo zachodniemieckie przypomina obecnie trochę Brytyjczyków sprzed okupacji - jest ślepe na rzeczy oczywiste i żyje nadzieją, że najgorsze nie nastąpi. A kiedy w końcu następuje ponieważ jest to nieuniknione - robią dobrą minę do złej gry i uspokajają się nawzajem, że mogło być jeszcze gorzej. W RFN znajdujemy oparcie głównie wśród robotników i klasy średniej. Natomiast klasy wyższe jak zwykle dbają tylko o własny tyłek i niech diabli wezmą resztę. W sumie mogę liczyć na blisko czterysta aktywnie zaangażowanych osób umiejscowionych na strategicznych pozycjach i może z tysiąc pięćset takich, które są skłonne udzielać informacji, ale nie podejmą żadnych konkretnych działań. W NRD mam mniej bezpośrednich kontaktów, ale za to w miejscach o bardzo dużym znaczeniu. I jest pewne, że w razie czego z tymi ludźmi będą współpracować tysiące. Mam na myśli rzeczywistą współpracę - łącznie z sabotażem, użyciem przemocy i tak dalej. Tak więc, nasz program pokrywa się w głównych założeniach z tym, który ma Amsterdam, jednak nasze działania nękające i sabotażowe będą zwrócone głównie przeciwko wojskom radzieckim i ich liniom komunikacyjnym. Uważam, że taka powinna być nasza główna rola. Propaganda antyradziecka jest nam tam zupełnie niepotrzebna. Oni sami wiedzą o Rosjanach dużo więcej niż my.

- A jakie jest nastawienie ludności wobec Brytyjczyków? - zapytał Klein.

- W RFN głównie przychylnie, tyle, że obawiają się, żeby nie dotknęła ich „angielska choroba”. Oczywiście, w świetle znanych

nam faktów są to obawy całkowicie spóźnione. Jeśli chodzi o NRD, to wydaje mi się, że nie ma tam jakiegoś szczególnego nastawienia. Po prostu od dawna nie mieli szerszych kontaktów z Brytyjczykami. Tak, czy inaczej, nie ma potrzeby wzbudzania nastrojów proangielskich. Oni mają swoje własne powody, żeby nienawidzić Rosjan i to nam w zupełności wystarczy. Potrzebujemy tylko kilku większych zrzutów broni i materiałów wybuchowych, a także sporo gotówki.

Klein uniósł dłoń.

- Tym sprawom poświęcimy kilka osobnych spotkań. Wtedy będziemy mogli porozmawiać o szczegółach. Myślę, że załatwimy to bez większych problemów.

Skinął głową w stronę starszego mężczyzny, którego zarówno ubiór jak i wygląd przypominały raczej dyplomatę niż człowieka CIA. Nie było to zresztą zbyt dalekie od prawdy - był to eks-agent CIA, który obecnie pracował w administracji.

- Prosimy o krótki obraz sytuacji w Belgii.

- Obawiam się, że nie mam nic szczególnie sensacyjnego do powiedzenia, jeśli chodzi o Belgię - zaczął starszy mężczyzna z uśmiechem. - Oczywiście zasoby dobrej woli w stosunku do Brytyjczyków są wśród Belgów dość spore. Pochodzą one jeszcze z czasów wojen światowych. Ale Belgowie to nie jest naród, który by miał ciągoty do powstań czy organizowania ruchu oporu na poważniejszą skalę. Ich kraj był tyle razy najeżdżany i okupowany, że zdołali się już nieco z tym oswoić. Nie można powiedzieć, żeby włązili w tyłek okupantom, ale współpracują na tyle, by życie mogło się toczyć w miarę normalnie - przerwał, rozkładając ręce, jakby chciał tym gestem podkreślić konieczność pogodzenia się z faktami, i po chwili ciągnął dalej: - Historia nauczyła ich, że jest to najlepsze wyjście w takich sytuacjach. Bardzo sensowne i cywilizowane, tyle

że niestety niezbyt zachęcające do podejmowania tego typu działań, jakie wiążą się z naszym przedsięwzięciem. Do tego jeszcze Flamandowie i Walończycy od wieków nieustannie gryzą się między sobą; tak więc w sumie jest dość trudno zainteresować ich jakoś głębiej sprawami Anglików. Niemniej jednak udało mi się wciągnąć do współpracy sporą ilość belgijskich biznesmenów i dyplomatów. Może wciągnąć do współpracy to za wiele powiedziane, ale w każdym razie istnieje spora grupa wpływowych ludzi, są zdecydowani zająć silne probrytyjskie i antyradzieckie stanowisko na wszystkich spotkaniach, zarówno w EWG jak i w ONZ. Mam tu na myśli zarówno najróżniejsze spotkania robocze, jak i te na najwyższym szczeblu. Dużo więcej niż to nie jestem w stanie obiecać.

- Chcę powiedzieć, że nie liczyliśmy absolutnie na nic ponad to, a nawet celowo nie dążyliśmy do uzyskania niczego więcej. Chcielibyśmy, żeby Belgia pozostała czymś w rodzaju strefy neutralnej. Będziemy czegoś takiego potrzebować, kiedy nasi ludzie w różnych krajach zaczną występować przeciwko własnym władzom.

Klein odwrócił się w stronę młodego człowieka o bladej, okrągłej jak księżyc twarzy i niebieskich oczach. Mimo swego, wieku był i niemal całkiem łysy, z jasnorudą tonsurą jak u księdza; miał za to sterczące zawadiacko sumiaste wąsy.

- A teraz Polska - rzekł Klein.

Młody człowiek westchnął głęboko, zawahał się chwilę, a potem z wolna pokręcił głową.

- Wolałbym nie omawiać w tej chwili i w tym miejscu szczegółów operacji polskiej. Może wystarczy, jeśli powiem, że nasze dążenia i pragnienia pozostają w absolutnej zgodzie z dążeniami i pragnieniami Polaków. Powiedzieć, że Polacy mają bardzo

probrytyjskie nastawienie, to w tym wypadku za mało. Są oni gotowi sprzymierzyć się z każdym, kto próbuje zmusić Rosjan do powrotu w ich własne granice. Moja działalność polega więc głównie na wspieraniu ich na wszelkie możliwe sposoby. Nie widzę natomiast możliwości rekrutacji, czy też założenia odrębnej siatki. Jakakolwiek działalność propagandowa czy wzniesienie nastrojów antyradzieckich są również w Polsce zupełnie zbędne. Zawsze, w ciągu całej swej historii nienawidzili oni Rosji do głębi i jest tak w dalszym ciągu. Wszyscy, których poznałem, mężczyźni, kobiety, nawet dzieci, są bez wyjątku patriotami, a ich odwaga jest tak wielka, że aż graniczy czasem z głupotą. Obecnie, kiedy sprawa zaczęła się rozkręcać i spostrzegli, że nastroje antyradzieckie w innych krajach zaczęły przybierać na sile, moim głównym problemem będzie oczywiście nadal zapewnienie im należytego zaopatrzenia, przede wszystkim jednak dopilnowanie, żeby nie próbowali montować ataku typu militarnego i pozostali raczej przy działaniach sabotażowych.

- Jeżeli podejmą próbę militarnego ataku na Rosjan, mogą zrujnować cały plan - wtrącił się mężczyzna w dzinsowej koszuli. - Dla Rosjan byłby to doskonały pretekst do rozpoczęcia wojny w Europie, a chcemy przecież, żeby wrócili na swoje śmieci, a nie zaczęli szaleć po całym kontynencie.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę i przestrzegamy ich przed tym na każdym kroku. Nie jest to jednak łatwe, biorąc pod uwagę jak - dzięki Rosjanom w końcu - wygląda ich codzienne życie.

- Mamy przecież paru Polaków w Białym Domu. Czy oni nie mogliby jakoś zadziałać swoimi kanałami?

Młody człowiek zerknął na Kleina. Ten skinął lekko głową.

- Robią to. Również Głos Ameryki opracowuje swoje audycje pod tym kątem. Czy są jeszcze jakieś pytania? - Klein rozejrzał się po

sali.

Podniósł rękę mężczyzna koło pięćdziesiątki, który dotąd jeszcze się nie wypowiedział.

- Proszę, Leonardzie.

- Brałem w życiu udział w bardzo wielu takich spotkaniach jak to nasze, dzisiejsze. Poczynając od Zatoki Świń, aż do... No, nie ma co wałkować starych spraw. W każdym razie chciałem powiedzieć, że tym, czego pragnęliśmy najbardziej, był zawsze sukces danej operacji. W niektórych nam się powiodło, w innych nie, to oczywiste. Jednak tym razem nie mamy wyboru. Ta operacja musi się powieść. Może nikt z was nie patrzył na to w ten sposób - ale przecież wy właśnie robicie w tej chwili historię. Jeżeli tym razem nam się nie uda, świat może się cofnąć dosłownie o setki lat. Nie podjęliśmy tej walki z własnej woli. Wszystko zaczęło się od tych sukinsynów z Paryża, a Rosjanie natychmiast wykorzystali dogodną dla siebie sytuację. Teraz prawdopodobnie gorzko tego żałują, ale tak czy inaczej losy świata ważą się na ostrzu noża. Jeśli Moskwa wyjdzie z tego obronną ręką, to lepiej od razu zaczniemy kopać sobie groby na podwórkach. Ja nie blefuję ani nie przesadzam. Jeżeli tym razem nie zepchniemy tych sukinsynów poza ich własne granice, to koniec, leżymy. I to wszyscy. To nie żadne ćwiczenie w dyplomacji. Nawet nie próba sił. To po prostu ostatnia szansa. Absolutnie ostatnia szansa.

Wokół stołu zapadło milczenie. Milczenie pełne zakłopotania, ale i niełatwej do przyjęcia świadomości, że być może po raz pierwszy zamiast retoryki usłyszeli nagą prawdę. W końcu przemówił Klein:

- Chodźmy teraz coś zjeść, a potem zrobimy spotkania indywidualne. Jeżeli komuś brakuje gotówki na wydatki osobiste albo ma do załatwienia jakieś sprawy związane z podróżami, niech zgłosi się po lunchu do Działu Organizacyjnego.

Rozdział XX

W drugim roku okupacji dało się zauważyć wyraźne dążenie do złagodzenia przez Rosjan ich stosunku do tych brytyjskich instytucji, które uważali za niepolityczne. Pomimo głębokiej awersji do wszelkich zgromadzeń tłumu na ograniczonym obszarze zgodzili się na rozegranie finału Pucharu Anglii na Wembley. Odbyło się też coś w rodzaju smutnego Wimbledonu, którego większość uczestników stanowili zaproszeni, a nie zakwalifikowani w turniejach gracze. Większość zawodników zagranicznych przyjechała z krajów Układu Warszawskiego, Indii i południowo-wschodniej Azji. Hindusi przysłali silną drużynę krykietową na coś, co oficjalnie nazwano Europejską Serią Próbną, i anglofile wśród pracowników radzieckiej administracji podjęli nawet rozpaczliwe próby nauczania się przepisów gry; w końcu jednak dali za wygraną. Smetana, który od wszystkich współpracujących z nim Brytyjczyków nasłuchiwał się peanów na temat koncertów Promenadowych, wydał Nowemu BBC zezwolenie na ich reaktywowanie, życzył sobie tylko, by repertuar przedstawiano mu wcześniej do akceptacji. Ponieważ jednak nie posiadał szczególnych inklinacji do muzyki, przerzucił to zadanie na Sawalewa, którego wiedza muzyczna ograniczała się wyłącznie do muzyki rosyjskiej, i to dodatku tylko do tych utworów baletowych, w których występowały jego przyjaciółki z Bolszoja. Sawalew próbował nalegać na organizatorów, aby włączyli do programu kilka utworów kompozytorów rosyjskich, mniej znanych angielskim bywalcom filharmonii, skończyło się jednak na tym, że musiał dokładnie

przeanalizować repertuar, by usunąć z niego nazwiska kompozytorów zakazanych lub będących od dawna uchodźcami ze Związku Radzieckiego. W stosunku do wykonawców miał zamiar przeprowadzić taką samą selekcję, tyle że okazało się, iż w Anglii nie ma już ani jednego artysty, który by pasował do tej kategorii.

Ponieważ słyszał o wielkim sentymencie jakim darzono ostatnią noc „Proms”, Sawalew poprosił kilku czołowych przedstawicieli władz radzieckich o wydanie przyjęć z tej okazji. Pierwszym utworem tego wieczoru była orkiestrowa aranżacja wokalizy Rachmaninowa, co można było uznać za drobny gest w stronę radzieckich mecenasów imprezy. Po nim wykonano „Przyleciał skowronek” Vaughana Williamsa i „Uczę Belszazara” Wiltona. W czasie przerwy Rosjanie głośno wyrażali swe zadowolenie z powodu zachwytu publiczności, choć niektórych lekko zaniepokoił nieco przesadny entuzjazm promenadowej młodzieży.

Druga połowa koncertu stała się dla Sawalewa narastającym z minuty na minutę koszmarem. Program wyglądał całkiem niewinnie: „Uroczystość” Elgara i „Fantazja na temat Brytyjskich Pieśni Morskich” Henry Wooda. W pewnym momencie tempo muzyki nagle się zmieniło, zaczął grać bęben, nad głowami publiczności pojawiły się tysiące angielskich chorągiewek i wszyscy zaczęli śpiewać. Pomimo swej płynnej znajomości angielskiego nie był w stanie rozpoznać słów, z wyjątkiem pierwszej linijki - „Kraj nadziei i chwały...” Miał wrażenie, że powtarzają to w nieskończoność. Jednak prawdziwego dzieła zniszczenia dokonała dopiero następna pieśń. Odśpiewali ją raz, a potem cała publiczność odwróciła się w stronę siedzących w łóżach radzieckich dygnitarzy i patrząc prosto na nich, machając wyzywająco chorągiewkami, śpiewała w kółko te same słowa - „panuj Brytanio, panuj nad morzami, Anglicy nigdy, przenigdy nie będą niewolnikami”.

Następnego dnia zaczął robić piekło organizatorom, ale ci, jak gdyby z góry przygotowani na jego napaść, pokazali mu nagrane na video relacje z ostatnich wieczorów „Proms” z kolejnych sześciu lat przed okupacją. Wszystkie one wyglądały tak samo, tyle że nikt nie odwracał się w kierunku łóż, a po twarzach ludzi nie płynęły łzy.

Smetana wyszedł wraz z kilkoma innymi Rosjanami, kiedy tłum zaczął śpiewać. Ale nie wydawał się być zbytnio rozdrażniony potknięciem Sawalewa. Stwierdził, że całe to wydarzenie można potraktować jako wentyl, który pomógł rozładować tkwiące jeszcze w ludziach napięcia.

Na początku tygodnia rozpoczęła się seria wydarzeń, które przyjmowano na Kremlu najpierw z gniewem, a potem z rosnącym stopniowo niedowierzaniem.

Należący do Aerofłotu Iljuszyn, znajdujący się w doku obsługi technicznej na lotnisku w Amsterdamie został całkowicie zniszczony. Choć istniały niezbite dowody na to, że była to celowa akcja, Moskwa zdecydowana była potraktować ten incydent oficjalnie jako wypadek. Kiedy jednak podczas weekendu wybuchł na lotnisku Schipol kolejny Iljuszyn, nie można już było ukrywać faktu, że jest to oczywisty sabotaż.

Potem Amerykański Związek Transportowców ogłosił, że wstrzymuje na czas nieograniczony przewóz ładunków pochodzących z krajów Układu Warszawskiego. Natomiast Związek Marynarzy i Portowców wydał oświadczenie, w którym ostrzegł wszystkich armatorów z tych krajów, że ich statki spotkają się w portach amerykańskich z całkowitym bojkotem i nie otrzymają nawet podstawowego zaopatrzenia.

W połowie tygodnia nadeszła wiadomość o zamordowaniu radzieckiego Komisarza Miejskiego w Glasgow i o nieudanym, lecz

niezwykle brutalnym napadzie na dwóch oficerów KGB w Cardiff. W Paryżu, pod Łukiem Triumfalnym, odbyła się demonstracja, w której ponad dwadzieścia tysięcy osób protestowało przeciwko radzieckiej okupacji Wielkiej Brytanii. Raport ambasadora radzieckiego we Francji stwierdzał, że policja francuska zachowała się biernie, pomimo wydanego przez ministerstwo spraw wewnętrznych wyraźnego rozkazu oczyszczenia terenu. Skala, rozmiary i znaczenie tych wszystkich wydarzeń stały się w pełni oczywiste dopiero w piątek. Tego dnia w Paryżu, wczesnym rankiem ekipa śmieciarzy odkryła na jednym z drzew na Polach Elizejskich wisielca. Był to rozebrany do naga mężczyzna; na jego piersi przyklepiono taśmą kartkę, na której widniał napis - „Zdrajca ojczyzny i ludzkości”. W niecałe cztery godziny później ogłoszono oficjalnie, że jest to ciało Charlesa Alpnonsa Becque’a, prezydenta Republiki.

Kroplą, która przepełniła miarę, stał się kolportaż nowego podziemnego pisma. Wyglądało ono jak dokładna kopia radzieckiej Prawdy. Format, tytuł, winieta i krój liter były identyczne. Na pierwszej stronie widniała fotografia I sekretarza Orłowa, przemakającego na zjeździe KPZR w 1983 roku.. Nagłówek był cytatem jego przemówienia - „Ludzie radzieccy powinni z całą energią służyć swemu państwu nie oczekując nagrody dziś, lecz żywiąc uzasadnioną nadzieję, że doczekają jej na pewno ich dzieci i wnuki”. Resztę pierwszej strony wypełniały fragmenty przemówień członków Biura Politycznego i niektórych ministrów. Jednak pozostałe trzy strony stanowiły prawdziwą polityczną bombę, zamieszczono na nich czternaście osobnych artykułów o czternastu czołowych funkcjonariuszach aparatu władzy w ZSRR, łącznie i przewodniczącym Orłowem i siedmioma innymi członkami Biura Politycznego. Teksty tych artykułów pełne były przede wszystkim

szczegółów - łącznie z nazwiskami, adresami, a czasem również numerami telefonów - dotyczących kobiet będących obecnie lub w przeszłości kochankami lub przypadkowymi partnerkami seksualnymi wszystkich tych ludzi. Podano też dokładne wyliczenie specjalnych przydziałów żywności otrzymanych przez nich w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Dalej następowała lista towarów z importu, które zakupili w tym samym okresie w specjalnych sklepach dla prominentów. Do tego dołączono fotografię domu każdego z opisanych, jego daczę oraz prywatnych i służbowych samochodów. Kilku sfotografowano nawet ze znanymi z nazwiska kochankami. W wypadku Orłowa lista jego prywatnych samochodów obejmowała dwadzieścia pięć wozów, poczynając od Rolls Royce'a, a kończąc na Ferrari. Natomiast lista jego partnerek erotycznych była długa, urozmaicona i zawierała między innymi nazwiska żon kilku czołowych osobistości radzieckiego życia politycznego.

Pierwsze egzemplarze fałszywej Prawdy znaleźli milicjanci na stacji metra Kuznieckij Most. W ciągu następnych godzin bez przerwy napływały raporty o podobnych znaleziskach na terenie całej Moskwy. Pod koniec dnia raporty obejmowały już wszystkie większe radzieckie miasta i setki mniejszych miejscowości. Na Kremlu zwołano w trybie pilnym posiedzenie, podczas którego gniew był tylko zasłoną dymną skrywającą zażenowanie jego uczestników. Poza tym, że KGB otrzymało rozkaz przeprowadzenia szybkiego i sprawnego śledztwa, nikt nie był w stanie zaproponować niczego konstruktywnego. Posiedzenie dobiegało właśnie końca, kiedy nadeszła wiadomość, że podziemną gazetę rozprowadzono również w 25 innych krajach świata, w dokładnym i starannym tłumaczeniu na ich języki urzędowe. W audycji o 2200 Głos Ameryki cytował już obszerne fragmenty fałszywej Prawdy,

dodając do tego pierwsze ironiczno-kpiące komentarze z rodzaju tych, które przy każdym skandalu związanym z korupcją dolewają jeszcze oliwy do ognia.

Nazajutrz wszystkie te rewelacje znalazły się na pierwszych stronach całej prasy światowej. Karykaturzyści i satyrycy mieli tego dnia prawdziwe święto. Wstępne komentarze redakcyjne były albo śmiertelnie poważne, albo pełne humoru, w zależności od tego, do jakiego adresowano je czytelnika. W obu jednak przypadkach stanowiły dla Moskwy prawdziwą katastrofę. Trudno byłoby bowiem zdecydować, czy gorzej jest okazać się w oczach rodaków oszustem i hipokrytą, czy też przyłapanym z opuszczonymi portkami tchórzem.

Kiedy grupa śledcza złożona z ekspertów KGB i fachowców z Izwiestii zaczęła dokładniej badać egzemplarze fałszywej Prawdy, okazało się, że była ona tak doskonale podrobiona, iż niemożliwe było, by wyprodukowano ją w Związku Radzieckim. Format, gatunek papieru i farby drukarskiej, krój czcionek - wszystko to zostało doskonale dobrane. Była to robota zawodowców. Ale najpoważniejszym aspektem całej sprawy był fakt samego rozpowszechnienia pisma w Związku Radzieckim. Po upływie kilku dni można już było stwierdzić, że w samym ZSRR rozkolportowano przynajmniej trzy miliony egzemplarzy. Tak więc problem dotyczył nie tylko wielkiej operacji druku pisma, ale również wielkiej operacji jego transportu. Zasięg kolportażu wskazywał na to, że musiały w nim brać udział setki obywateli radzieckich. Ponieważ cały nakład rozkolportowano w ciągu dwóch dni, prowadzący śledztwo doszli do wniosku, że jego rozprowadzenie do poszczególnych kolporterów musiało trwać uprzednio co najmniej kilka tygodni. W terenie miejscowi przywódcy partyjni nękanymi byli nieustannie pytaniami, dlaczego nie zaprzeczają zarzutom

zawartym w podziemnej gazecie, a przy okazji wydobywano na światło dzienne ich własne, lokalne grzeszki. Niektórzy zarządzili na swoim terenie aresztowania, ale spowodowało to publiczne protesty o takiej skali, że Moskwa wydała polecenie wypuszczenia wszystkich zatrzymanych i ograniczenia się do rozmów ostrzegawczych.

Mniej więcej w tym samym czasie w okazałej rezydencji w miasteczku Maryland pewien Amerykanin zajęty był wykreślaniem linii biegnących prostopadle do grubej czarnej kreski i oddzielających od siebie siedem linijek maszynopisu. Z góry na dół wykresu biegły pionowe linie oznaczające poszczególne dni kolejnych ośmiu miesięcy. Całość przypominała szkielet ryby, a w lewym górnym rogu miała legendę głoszącą po prostu: „G 709 - Analiza Przebiegu Krtycznego”.

Rynek Starego Miasta w Warszawie wygląda obecnie bardzo podobnie jak w XVIII wieku. Tyle że nie istnieje już stary ratusz, a plac wypełniają teraz kawiarnie na wolnym powietrzu, artyści sprzedający swe prace i tłumy turystów. Choć na wybrukowanych kocimi łbami i oświetlonych jedynie romantycznymi latarniami uliczkach panuje półmrok, człowiek, z którym umówił się O'Malley, nalegał, żeby spotkali się na dole w winiarni u Fukiera.

Pełna dymu papierosowego i gwaru rozmów piwniczka winiarni rzeczywiście dawała pewne poczucie bezpieczeństwa i O'Malley zdał sobie sprawę, że Rosjanin prawdopodobnie dużo lepiej porusza się po Warszawie niż on sam.

Wszystko odbyło się bez trudności. Przyjechał z francuskim paszportem, a człowiek, który przedstawił mu się imieniem Oktiabr, czekał już na niego na lotnisku a następnie zawiózł go do jakiegoś mieszkania na Starym Mieście. Teraz spotykali się już po raz trzeci

w ciągu dwóch dni.

Tamten spojrzał na niego przelotnie swymi bladobłękitnymi oczami i zapalił papierosa.

- Chciałbym wiedzieć, jaką część z tego stanowią obietnice, a jaką konkrety - powtórzył z naciskiem.

- Wszystko, o czym mówiliśmy, będzie załatwione w stu procentach - odparł O'Malley z przekonaniem. - A jak z waszej strony?

Rosjanin uśmiechnął się nieznacznie, pewnym siebie, wszystkowiedzącym uśmiechem.

- Wie pan przecież, że z naszej strony sprawa jest pewna. Inaczej nie byłoby pana tutaj. Proszę mi powiedzieć, na co możemy liczyć.

- To niech raczej pan mi powie, czego konkretnie potrzebujecie, a ja odpowiem, czy jesteśmy w stanie tego dostarczyć.

Tamten sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął złożony na pół program teatralny.

- Na kropce po nazwisku reżysera jest mikrozapis. To lista rzeczy, które są nam niezbędne.

- Ale ja nie mam ze sobą czytnika.

- To przeczyta pan po powrocie.

- Skąd pan zdobył aparaturę do mikrozapisu? - spytał O'Malley z podziwem.

- Naprawdę pan sądzi, że mógłbym to panu powiedzieć?

- Może i nie. Proszę w takim razie chociaż z grubsza określić, jakie są wasze główne potrzeby.

- Pieniądze. W złocie, lub w srebrze. Najlepiej krugerrandy albo dolary Marii Teresy. Wyrzutnie rakietowe, pociski ziemia-ziemia i ziemia-powietrze, karabiny maszynowe, amunicja. Proste w obsłudze nadajniki radiowe i fałszywe dokumenty.

- Jakie ilości wchodzi w grę? Weźmy na przykład pociski.

- Właściwie każda ilość. Jesteśmy w stanie zagospodarować wszystko, czego dostarczycie. Ale jeśli chodzi o typ ziemia-ziemia, to dla mniej niż dwustu w ogóle nie ma się co wysilać. Natomiast tych ziemia-powietrze nawet setka to już byłoby coś.

- Czy zgodzilibyście się skoordynować z nami czasy?

- Czasy przerzutu, czy czasy akcji?

- Jedno i drugie.

- Jeśli chodzi o przerzut, to nawet koniecznie, co do akcji zaś, to jeszcze zobaczymy.

- Czy jest pan w stanie dostarczyć nam prawdziwych dokumentów na wzory do podrabiania?

- Oczywiście, z tym nie ma problemu.

- Jak będę się mógł z panem skontaktować?

- Tak samo jak teraz.

- A w razie nagłej potrzeby?

Oktiabr przez dłuższą chwilę spoglądał na twarz O'Malleya. Potem zapytał półgłosem:

- Rozumiem, że pan jest z CIA, prawda?

- Tak, jestem.

- Żonaty?

- Tak.

- Dzieci?

- Dwoje.

- Czy zaryzykowałby pan życie któregoś ze swoich dzieci dla sprawy wolności Stanów Zjednoczonych?

- Nie. Na pewno nie. Ale zaryzykowałbym własne. Oktiabr uśmiechnął się i klepnął O'Malleya lekko po ramieniu.

- Dobra odpowiedź, wierzę panu. OK., kiedy stąd wyjdziemy, podam panu nazwisko i hasło. Kontakt w Nowym Jorku w naszej misji przy ONZ. Chyba możemy już iść?

- Tak, oczywiście.

Na dworze było jeszcze ciepło, usiedli więc przy jednym ze stolików pod parasolami i zamówili kawę. Kiedy kelnerka odeszła i zostali sami, Rosjanin zapytał:

- Dlaczego wasi ludzie skontaktowali się ze mną dopiero teraz, po tak długim czasie?

- Musieliśmy mieć pewność, że nie jest pan wtyczką. Kiedy stopień tej pewności był już wystarczający, natychmiast podjęliśmy kontakt.

- Co spowodowało, że uznaliście go za wystarczający?

- Było parę takich spraw. Mieliśmy doniesienia od dziennikarzy o waszych działaniach w Związku Radzieckim. Wiedzieliśmy też o pomocy, jakiej udzielił pan Anglikowi.

Oktiabr uśmiechnął się.

- Niech pan go nigdy nie nazywa Anglikiem. On jest Szkotem i ma trochę bzika na tym punkcie. Ale czego to wszystko dowodzi?

- Gdyby był pan wtyczką, zamknęliby go albo zabili. Zna pan go z nazwiska i ma pan z nim stały kontakt. Jest tak już od pięciu miesięcy, a on wciąż żyje.

- Wy, Amerykanie, jesteście czasem jak dzieci - roześmiał się Oktiabr. - Miłe dzieciaki, ale czasem trochę tępawe.

- Czemu pan tak mówi?

- Nie doceniacie Rosjan. To znaczy KGB.

- Na przykład?

- Przecież nawet gdybym zdradził naszego szkockiego przyjaciela, niekoniecznie musieli go od razu zamykać. Mogliby go obserwować dwadzieścia cztery godziny na dobę, wyłapać wszystkie jego kontakty i zamknąć połowę podziemia.

- A on w tym czasie wysadzałby radzieckie bazy, dezorganizował łączność i zabijał żołnierzy?

Oktyabr pokręcił z wolna głową.

- Chyba pan nie przypuszcza, że tych z KGB mogłoby cokolwiek wzruszać, jeśli tylko dzięki temu zdobywaliby informacje, których potrzebują. Nigdy w życiu, przyjacielu.

Amerykanin pokiwał głową i po chwili milczenia zapytał:

- Dlaczego Rosjanie dopiero po tylu latach zaczęli sprzeciwiać się Kremlowi?

- Musiałby pan sam być Rosjaninem, żeby to zrozumieć. Przede wszystkim ze strachu. W czasach czystek stalinowskich ponad pół miliona Rosjan zostało zamordowanych bez sądu. I to nie dysydentów czy przeciwników ustroju, ale członków partii. Ludzie nauczyli się ostrożności. Stalina już nie ma, ale nadal funkcjonuje stworzony przez niego mechanizm. Po drugie zaś, chociaż nikt już nie wierzy w te bzdury, którymi karmi nas propaganda, to jednak od czasów Stalina system rzeczywiście znacznie złagodniał. W Związku Radzieckim jeszcze nie do końca zbudowano socjalizm - Oktyabr uśmiechnął się z ironią. - Chociaż w sensie poetycznym demokracja nadal nie istnieje, to jednak reżim pozwala na pewne odstępstwa w sferze gospodarczej. Można powiedzieć, że nasza elita rządząca nauczyła się sztuki samoograniczania w sprawowaniu władzy. Tak się jednak nieszczęśliwie dla nich składa, że w kategoriach politycznych nie może być mowy o częściowej demokracji. Drzwi są albo otwarte, albo zamknięte. A im się wydawało, że mogą je tylko lekko uchylić. I to był błąd; dlatego nie będą w stanie przetrwać.

- Jak długo jeszcze pańskim zdaniem ten system się utrzyma?

- Kto wie? Dziesięć lat, może krócej - przy waszej pomocy. A jeśli Europa wspólnie z Ameryką zdecydują się użyć siły, to możliwe, że upadnie jeszcze szybciej.

- I co na to miejsce?

- Jakaś forma demokracji. Będziemy dyskutować i coś sobie

wypracujemy. Dla mojego narodu najważniejsze jest to, żeby mógł w ogóle zdobyć jakąkolwiek możliwość decydowania o swoim losie.

- Czy spotkamy się jeszcze przed moim jutrzejszym wyjazdem?

- Nie. Nazwisko osoby, z którą może się pan kontaktować, brzmi Simenow. Gregor Iljicz Simenow. Niech pan dzwoni do niego do ONZ, nigdy do domu. Hasłem jest moje imię, Oktiabr.

Umówili się na spotkanie w czwartek, na farmie Pen-y-Fan. Pierwszy przybył Joe Langley, a w dwie godziny po nim Jamie Boyle i Macgregor. Indira Singh była już na miejscu. Przeprowadzała się do Glyn Thomasa i Meg, kiedy Harry Andrews wyjeżdżał. Czekali jeszcze na Sanjiva Singha.

Andrews wrócił dwa dni wcześniej i wszyscy byli podekscytowani wieściami, które przywiózł. Część musiał zachować w tajemnicy, ale to, co mógł im powiedzieć, było wystarczającym powodem do radości. Przybycie O'Malleya dało im pewność, że i zaopatrzenie z Waszyngtonu będą już teraz otrzymywać na stałe.

Był opalony i dobrze odżywiony i wnosił swoją osobą atmosferę jakiejś amerykańskiej pewności siebie. Był dla nich posłańcem ze świata, który wciąż jeszcze cieszył się wolnością, w którym nadal istniały filmy sensacyjne i hamburgery, a kiedy się mówiło o „Dallas”, „Kojaku” lub jakiejś innej telewizyjnej historii - z tych, które niegdyś uważali za bzdurne, a jednocześnie tak namiętnie oglądali to każdy rozumiał o co chodzi. I był to również świat, w którym wieczorny dziennik składał się być może z wiadomości odpowiednio dobranych, ale nigdy ze sfabrykowanych. Niemal wszyscy, którzy zdążyli przed okupacją kupić sobie wideo, urządzali w sobotnie wieczory ciche party, podczas których goście oglądali programy telewizyjne sprzed co najmniej dwóch lat i wymieniali je między sobą. Do ich przegrywania nadawały się doskonale kasety

produkowane przez kontrolowaną przez Rosjan telewizję NBBC - głównie filmy przyrodnicze i podróżnicze, radzieckie filmy dokumentalne i adaptacje dzieł klasyki rosyjskiej. Na rynku kaset wideo wysokie ceny osiągały nawet stare, czarno-białe filmy w rodzaju „Casablanki” czy „Flipa i Flapa”. Dzięki wpływom Sawalewa w programie telewizyjnym utrzymano przy życiu dwa seriale - „Coronation Street” i „Crossroads”, choć scenariusze poddawano ostrej cenzurze. Było to jednak trochę jak dieta, złożona wyłącznie z płatków owsianych. Okazało się, że ludzie tęsknią nawet do głupkowatej zgaduj-zgaduli. Rosjanie początkowo zgodzili się na „Morecambe and Wise”, jednak już po pierwszym programie zdali sobie sprawę, że istnieją tak subtelne sposoby naigrwania się z nowych władz, że radziecki cenzor, czytający dosłownie tekst scenariusza, nie jest w stanie ich chwycić.

Tym, co uradowało ich wszystkich najbardziej, był wygląd Andrewsa. Po dziesięciu dniach normalnego snu i dobrego odżywiania był w świetnej formie, z dawnym wigorem i nieco wyniosłym, niemal aroganckim tonem.

Kiedy o 2200 Sanji nie dał znaku życia, uznali, że już się nie pojawi. Było niemożliwe, żeby chciał ryzykować przedzieranie się o tej porze, w ciemnościach, przez blokady, jakie Rosjanie ustawiali nocą na wszystkich drogach. Jednak Glyn Thomas postanowił czuwać przez całą noc na wypadek, gdyby Singh jednak próbował. Gdy o 900 rano następnego dnia nadal go jeszcze nie było, Glyn zaryzykował próbę połączenia się z nim na ustalonej na ten dzień częstotliwości. Ponieważ nie było odpowiedzi, uznali, że musiał już wyruszyć w drogę.

Andrews zabrał Indirę na spacer po wzgórzach. Wspięli się na trawiaste zbocze jednego z nich i usiedli w słońcu u podnóża skał, wznoszących się jeszcze na jakieś 200-300 metrów w górę.

Dziewczyna miała na sobie wypłowiałą, niebieską dzinsową koszulę i podobną spódnicę. Usiadła z podkurczonymi nogami i opierając głowę na kolanach, spoglądała na Andrewsę.

- Jak to wspaniale widzieć cię znów w formie, Harry. Przyjemnie tam było? Pomijając podróż oczywiście.

- Brakowało mi ciebie. Wiedziałem, że tak będzie, ale nie przypuszczałem, że aż do tego stopnia. Raz mi się nawet śniłaś.

- Dobrze, czy źle?

- Bardzo przyjemnie.

- A co się działo?

- Lepiej nie mówić, byłabyś wstrząśnięta.

Roześmiała się.

- Teraz już musisz mi powiedzieć, ty świntuchu. Pewnie coś erotycznego.

- Obawiam się, że tak.

- Coś takiego, czego nie robiliśmy w rzeczywistości?

- Hm... mniej więcej.

- No, to powiedz, idioto jeden.

Wyciągnął rękę i chwycił w dłoń suchą łodygę dzikiego szczawiu, a potem przeciągnął wzdłuż niej dłonią, aż napełniła się suchymi, czerwonymi płatkami. Odwrócił się ku niej z uśmiechem.

- Otwórz rękę.

Posłusznie wyciągnęła rękę, rozstawiając szeroko smukłe palce.

- Palce razem. O, teraz dobrze. Przesypał suche nasionka na jej otwartą dłoń.

- Niektórzy nazywają to „złoto idioty”, inni „złoto wróżki”.

- A co to jest?

- To szczaw. Bardzo cenna roślina.

- Dlaczego?

- Usuwa plamy, gasi pragnienie, a gotowane liście nadają się do

jedzenia.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Uczyliśmy się w wojsku o roślinach i jagodach, dzięki którym można utrzymać się przy życiu.

- Pomówmy lepiej o seksie i o tym twoim wstrząsającym śnie.

Andrews, mrużąc oczy od słońca spoglądał już jednak w dół, w stronę farmy.

- Glyn do nas macha. Lepiej wracajmy.

Dziewczyna osłoniła oczy dłonią i również spojrzała w dolinę.

- Nie widzę go. Acha, teraz widzę. Myślałam, że próbujesz się wykręcić.

Andrews wstał i dziewczyna wyciągnęła do niego rękę, aby mógł jej podnieść się z ziemi. Chociaż teren był bardzo równy, przez całą powrotną drogę obejmował mocno ramieniem jej smukłą, ciepłą talię. Glyn czekał na nich na pokrytym brukiem podwórzu. Wyglądał na zmęczonego i Andrews przypomniał sobie, że Walijczyk w ogóle nie spał tej nocy.

- Prześpij się trochę, Glyn, ja wszystkiego dopilnuję.

- OK. Ale najpierw chciałbym zamienić z tobą parę słów.

- Jasne. O co chodzi?

Glyn zawahał się, a potem zwrócił się do Indiry:

- Meg cię przed chwilą szukała, kochanie.

Dziewczyna ruszyła powoli w stronę domu, wyraźnie się ociągając, a kiedy nieco się oddaliła, Andrews powiedział cicho:

- Dlaczego ją denerwujesz, Glyn. Jest przecież jedną z nas.

- Mam złe wieści, Harry. Naprawdę bardzo złe. Nie chciałem, żeby to usłyszała.

- Co się stało?

- Dostałem przez radio wiadomość od Moraji Patele z Manchesteru. Mają grupę Sanjiego. Prawie wszystkich. Złapali ich

trzy dni temu.

- Gdzie ich nakryli?

- W punkcie numer 4. Nad tą knajpką w Brixton.

- Czy Sanjiego też mają?

- Tak. Było ich tam pięciu. Wzięli wszystkich.

- I co z nimi? Gdzie teraz są?

- Sanji nie żyje. Próbowali na miejscu zmusić go do mówienia, torturowali go. Połamali mu palce i łokcie, a potem przystawili pistolet do głowy i zagrozili, że go zastrzelą, jeśli nie zacznie mówić. Nie zaczął.

- A co z innymi?

- Wywieźli ich gdzieś na przesłuchania, a parę godzin później przetrząsnęli wszystkie miejsca Sanjiego. Zgarnęli jakieś 50 osób, łącznie z jego żoną. Wsadzili ich do ciężarówek i zawieźli do obozu w Camber Sands. To na wybrzeżu niedaleko Rye. Kiedyś był tam hotel z campingiem. Znaleźli radia, tabele kodowe i całą resztę.

- Tabele kodowe nieważne. Każda jest inna, a raportów z kontaktów przecież nie prowadzimy.

- Ale ktoś sypnął, Harry. I nie wiemy, co jeszcze mógł wygadać.

Andrews wzruszył ramionami.

- Nic, co mogłoby zaszkodzić innym grupom. Ale oczywiście musimy ostrzec wszystkich pozostałych.

- Już to zrobiłem - przez radio. Nie podawałem szczegółów. Poprosiłem też Crowthera z Romney Marshes o dokładne dane na temat tego obozu.

- Chyba nie będziemy mogli nic dla nich zrobić, Glyn. Zbliża się ostatnie stadium rozgrywki i nie możemy teraz ryzykować niczym życiem.

- A co z matką Indi?

- Spróbuję załatwić jakąś pomoc inną drogą. Nie damy rady

zajmować się wszystkim. Czy jesteś pewien, że Sanji nie żyje?

- Tak. Nie zabrali jego ciała i kiedy odjechali, dwóch jego chłopaków poszło i zabrało go stamtąd, żeby chociaż dokonać kremacji.

Andrews wpatrywał się w twarz Glyn Thomasa z napięciem i powagą.

- Do tej pory i tak mieliśmy niebywałe szczęście, Glyn - rzekł powoli.

- To nasza pierwsza porażka. Ktoś musiał sypnąć, inaczej nigdy by nie dostali Sanjiego. Będę musiał znowu zrobić rundę po grupach i przycisnąć ludzi w sprawie bezpieczeństwa.

- Masz zamiar powiedzieć Indi?

- Tak, zaraz do niej pójdę.

Walijczyk zauważył napięcie w twarzy Andrewsa i rzekł cicho:

- Mnie byłoby chyba łatwiej, mniej emocjonalnie. Ty potem będziesz miał i tak dość roboty, żeby ją uspokoić.

Andrews pokręcił głową.

- Dzięki, ale wolę to zrobić sam. Czy Meg już wie?

- Nie, tylko ty i ja.

Podeszli pod dom. Indira stała uśmiechnięta w drzwiach z filiżanką herbaty w ręce.

Wziął od niej kubek i drugą nęka sięgnął po jej dłoń.

- Chodź, usiądź ze mną na chwilę.

Kiedy usiedli na ławce pod domem, postawił kubek na kamieniach, objął ramieniem jej plecy i powiedział:

- Spójrz na tamten szczyt, Indi.

Uniosła głowę i spojrzała ku chmurom otulającym szczyt góry jak kłębek waty. Andrews zaczął mówić:

- Mam złe wiadomości, kochanie. Rosjanie złapali wielu ludzi z grupy twojego ojca. Ojciec nie żyje. Jest bardzo dużo

aresztowanych. Wśród nich twoja matka.

Zapadła długa cisza, po czym dziewczyna szepnęła:

- Czy jesteś tego pewien? Nie ma żadnej szansy, że to jakaś omyłka?

- Nie, ta prawda, kochana. Straszliwie mi przykro.

- Powiedz, jak to się stało.

Opowiedział jej, starając się ominąć niektóre szczegóły. Po chwili milczenia dziewczyna zapytała:

- Dlaczego kazałeś mi przedtem patrzeć na ten szczyt?

- Kiedyś, dawno temu, gdy byłem nieszczęśliwy, wychodziłem domu i szedłem popatrzeć na wielkie, stare drzewo. To mi pomagało ujrzeć wszystko w innej perspektywie czasowej, w innych proporcjach. Myślałem o tym, ile znaczy mój problem wobec spraw natury. Moich parę lat wobec setek i tysięcy. Wobec deszczu, słońca, burz i wiatru i całych pokoleń ludzi, którzy patrzyli wcześniej na to samo drzewo. Rzadko zdarzało się, żebym się po tym choć trochę nie uspokoił.

- To mi przypomina coś, co często powtarzał mój ojciec, ponieważ nie bardzo interesowałam się religią. Mówił tak: Całe to twoje uniwersyteckie wykształcenie, wszystkie te przekonania, mówiące, że coś takiego jak Bóg nie istnieje - wszystko to zmieni się w ciągu jednego dnia. I to nie za sprawą logiki, czy jakiegoś rozumowania. Tego dnia po prostu będziesz Go bardzo potrzebować.

Zwróciła ku niemu twarz, poważną i ściągniętą bólem.

- To chyba dzisiaj nadszedł dla mnie ten dzień, mój kochany. A potem powoli opuściła głowę, ukryła twarz w swych długich, kształtnych dłoniach i zaczęła płakać. Andrews spoglądał na jej smukły kark i wijące się kosmyki gęstych, czarnych włosów i kolejny raz uzmysłowił sobie, jaka jest piękna. I jaka młoda.

Żałował, że nie może dźwigać za nią całego tego bólu i smutku. Była łagodna, czysta i wielkoduszna. Nie zasłużyła na to, by nieść takie brzemie, przemknęła mu przez głowę okropna myśl, że śmierć jej ojca mogłaby zniszczyć ich związek. Była to myśl, której nie odważył się dłużej zatrzymać. To, co robił, pochłaniało dotąd cały jego czas i cały umysł. Od lat nie myślał o niczym innym, a to, że całkowicie zmienił się przeciwnik, miało niewielki wpływ na jego myślenie. Ale związek z tą dziewczyną zmienił wszystko. Przedtem angażował się tylko fizycznie i umysłowo; teraz w grę zaczęły wchodzić uczucia i był świadom tego, że go to osłabia. Nie tylko świadom – bał się tego. W wynik całej gry była teraz wpisana jego własna stawka, a dziewczyna stała się zakładnikiem jego losu, jego piętą achillesową. Nie lubił słowa miłość i rzadko go używał. Był to dla niego jeden z tych kruczków słownych, które mogły znaczyć wszystko i nic. Tak mężczyźni jak i kobiety używali go raczej jako wykręt niż potwierdzenia. A jednak słowo to wciąż pojawiała się w jego myślach, kiedy spoglądał na dziewczynę.

W końcu wyprostowała się, zwróciła twarz ku niemu i pokręciła z wolna głową.

- To okropne uczucie, Harry, nie mieć swojego miejsca na ziemi, nie należeć do nikogo.

- Masz swoje miejsce i należysz do kogoś. Twoje miejsce jest przy mnie.

Wsunęła swoją dłoń w jego.

- Pamiętasz ten twój szkocki wiersz? „Chcesz podróżować szybko, wyruszaj w podróż sam”

- Ale mnie się nigdzie nie śpieszy, słonko, a twoje miejsce jest przy mnie już od dawna.

- Od paru miesięcy, Harry. I tylko tyle.

- Dokładnie od siedmiu miesięcy i ośmiu dni - odparł Andrews

z uśmiechem.

Jej brązowe oczy spoglądały na niego ze wzruszeniem.

- Kocham cię, Harry Andrewsie. Przysięgałam sobie, że nigdy tego nie powiem, ale mówię.

- Ja też ciebie kocham, Indi.

- To nie jest słowo z twojego słownika, Harry. Co ono właściwie dla ciebie znaczy?

Zamyślił się na chwilę.

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że kocham cię bardziej niż samego siebie. I gdyby tylko jedno z nas mogło być szczęśliwe, chciałbym, żebyś to była ty.

- Mój ojciec cię uwielbiał, byłeś jego bohaterem.

- Dlaczego aż tak?

- Och, głównie z tych powodów, z których powinien. Odważny, lecz nie egoista, szczerze oddany sprawie, prawie nie pije i nie uganiania się za kobietami - uśmiechnęła się - ciepło. - Na pewno było coś jeszcze, ale o tym już głośno nie mówił.

- A co myślał o tym, że jesteś ze mną?

- O tym nigdy nie mówił, ani na tak, ani na nie. Ale wiem na pewno, że nigdy też nie zmienił swego dobrego zdania o tobie.

- Myślałaś kiedyś o tym, czy wyszłabyś za mnie?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo nie ma nad czym myśleć. Pewnie, że bym za ciebie szła.

- Teraz, natychmiast?

- Jeśli to możliwe, nawet dziś. I jeśli ty tego chcesz.

- Muszę zostać tutaj jeszcze dwa dni. Potem pojedziemy pewne miejsce w Cambridge i tam weźmiemy ślub.

- Czy ktoś zajął się ciałem ojca?

- Tak. Już jest po kremacji. Jego ludzie się tym zajęli, wszystkich

nie złapali. Na pewno wszystko odbyło się jak należy.

- O matkę aż się boję pytać.

- Zobaczą, co się da zrobić. Tymczasem spróbuję przekazać jakąś wiadomość, żeby wiedziała chociaż, że z tobą wszystko w porządku.

Tego wieczora urządzili małą uroczystość, na którą Glyn Thomas wyciągnął butelkę swojego mniszkowego wina. Cały następny dzień Indi spędziła z Meg, podczas gdy Andrews konferował ze swoimi ludźmi, zapoznając ich w zarysach z sytuacją po jego powrocie ze Stanów.

Pomimo śmierci Sanjiego wiadomości, które miał im do przekazania, były pomyślne. Wczesnym rankiem wszyscy udali się w drogę. Langley z powrotem do Midlands, Jamie Boyle do Szkocji i hrabstw przygranicznych, zaś Andrews do Londynu.

Rozdział XXI

Cameron Davies siedział przy stole na kozłach, na strychu Pen-y-Fan, przeglądając fotokopie planów rozmieszczenia słupów wysokiego napięcia na południowym odcinku linii biegnącej z Wash do Midlands, pomiędzy Birmingham i Stafford. Razem z Joe Langleyem ustalili już najlepsze miejsca dla założenia ładunków na samych słupach, ale od wybrania odpowiednich słupów zależało, czy uda się osiągnąć maksimum szkód przy ograniczonej ilości materiałów wybuchowych.

O'Malley sześć razy jeździł do Szkocji, wożąc materiały wybuchowe i detonatory dla Jamiego Boyla i jego ludzi, zaś Joe Langley robił to samo w południowej części kraju. Zależało im na wybraniu takich słupów, których wysadzenie wyrządzi najwięcej szkody Rosjanom. Mieli materiału na wysadzenie około 300 słupów, a wybranie każdego z nich było oddzielnym zadaniem, ponieważ wojska radzieckie w większości dysponowały awaryjnymi generatorami, zaś Andrews pragnął wyrządzić jak najmniej szkód instalacjom służącym ludności.

Wcześniej, po raz pierwszy w ciągu całej kampanii, Andrews, Langley i Boyle odbyli wspólną podróż po kraju, odwiedzając dwadzieścia dwie najważniejsze miejscowości i odbywając z lokalnymi przywódcami ruchu oporu spotkania na temat szczegółów planowanego strajku. Uprzedzili ich również o możliwych konsekwencjach całej akcji, ale wszyscy, z którymi rozmawiali, byli głęboko przekonani, że ich ludzie zgodzą się na wszystko, cokolwiek może się zdarzyć. Wszyscy lokalni przywódcy

byli również całkowicie pewni co do tego, że popiera ich większość ludności na ich terenie.

Kolejna rocznica podpisania traktatu moskiewskiego wypadła w niedzielę. Podczas obchodów zorganizowanych przez Rosjan w większych miastach odbyły się koncerty orkiestr wojskowych na wolnym powietrzu, pokazy gimnastyczne, wystawy radzieckiej sztuki i rzemiosła oraz defilady wojskowe z udziałem ciężkiego sprzętu i żołnierzy w galowych mundurach. Większość dorosłych Brytyjczyków zbojkotowała obchody i ich publiczność stanowiły niemal wyłącznie milczące dzieci, które w nagrodę dostawały małe paczuszki słodyczy. Wieczorem miały miejsce pokazy ogni sztucznych, lecz przyglądały się im jedynie niewielkie grupki kolaborantów oraz ludzie zatrudnieni bezpośrednio u Rosjan. Obserwatorzy z miejscowych grup ruchu oporu starannie odnotowywali ich nazwiska.

Wkrótce po północy ruszył kolportaż ulotek. Rozprowadzano je ulica po ulicy, dom po domu i akcja była jeszcze w toku, kiedy do uszu mieszkańców zaczęły coraz wyraźniej dobiegać odległe grzmoty wybuchów. Po raz pierwszy ulotki były podpisane nazwiskami przywódców ruchu oporu. Ich tekst był krótki i jednoznaczny:

DO WSZYSTKICH OBYWATELI WIELKIEJ BRYTANII

1.

Powstrzymajcie się od pójścia do pracy, aż do chwili odwołania akcji przez radio, na fali 330 metrów, czyli na fali dawnego programu II. Głos, który usłyszycie, jest wam dobrze znany i macie się stosować wyłącznie do jego poleceń. Audycja zostanie nadana wybranego dnia o godzinie 1800.

2.

Nielegalne siły okupacyjne podejmą próby zmuszenia was do przerwania tego strajku. Jeżeli cenicie wolność i zależy wam na przyszłości waszych dzieci, to nie poddacie się tym naciskom. Nastąpią aresztowania i akry zemsty na cywilnej ludności. Okupanci nie są jednak w stanie aresztować całego społeczeństwa.

3.

Każdy, kto podejmie dobrowolnie współpracę z siłami okupacyjnymi, zostanie surowo ukarany przez podziemny ruch oporu.

4.

Nasz kraj zamieniono w wielki obóz niewolników, w którym mężczyźni i kobiety są każdego dnia upokarzani, pozbawiani możliwości wyboru i podstawowych swobód. Może to ulec zmianie nie wtedy, gdy siły okupacyjne uświadomią sobie, że nigdy nie podejmiemy współpracy z nimi.

5.

W podziemnym ruchu oporu działają dziesiątki tysięcy odważnych mężczyzn i kobiet, którzy codziennie ryzykują życiem, by bronić waszej wolności. Postarajcie się nie sprawić im zawodu. Wasza odwaga, wasza lojalność, wasz duch oporu może sprawić, i sprawi, że nadejdzie kres naszej niewoli. Nikt z was nie jest sam, niczyje poświęcenie nie pozostanie nie dostrzeżone. Każda angielska ulica ma swoich działaczy ruchu oporu. Zauważają oni wszystko i nie zapominają niczego.

6.

Jeśli ktoś nie jest jeszcze do końca przekonany, że okupant jest

bezwzględny i bezlitosny, będzie się mógł o tym przekonać w ciągu najbliższych kilku tygodni. Zobaczycie ich w akcji i będzie to akcja, która przemówi sama za siebie.

7.

Podczas II wojny światowej sir Winston Churchill powiedział, że może nam ofiarować tylko krew, pot i łzy. Ale nawet w tych ponurych czasach, kiedy to Związek Radziecki i hitlerowskie Niemcy były sojusznikami, nie byliśmy zmuszeni dodać do tej listy słów: tortury, zniewolenie, śmierć. Zmusił nas do tego dopiero brutalny okupant z Moskwy.

8.

Bądźcie silni nie tylko dziś, lecz także jutro i przez wszystkie nasze jutra.

9.

Harold Andrews

James Boyle

Joseph Langley

Cameron Davies

Glyn Thomas

Jeszcze na długo przed nadejściem świtu ludzie zaczęły wrywać ze snu pojazdy wojskowe Armii Czerwonej toczące się z rykiem silników przez noc w stronę miejsc, gdzie spodziewano się znaleźć roztrzaskane i powykręcane szczątki słupów wysokiego napięcia. W zupełnych ciemnościach trudno było na nie trafić wśród rozległych pól, w odludnych dolinach i na wierzchołkach wzgórz.

Kiedy do Kwatery Głównej Armii Czerwonej w Whitehall i do Polowej Kwatery Głównej w Caterham zaczęły napływać raporty

z całego kraju, stało się jasne, że był to nie tylko największy i najbardziej zdecydowany akt sabotażu, jakiego dotąd doświadczyli, lecz także, że naprawa szkód może potrwać tygodnie, jeśli nie miesiące.

Zaraz po godzinie policyjnej przyniesiono Smetanie kilka dostarczonych przez konfidentów egzemplarzy ulotki ruchu oporu. Smetana zapłonął żądzą natychmiastowego odwetu, z drugiej jednak strony chciał się wstrzymać z reakcją przez kilka dni, by nie dostarczać nowych dowodów na potwierdzenie zawartego w ulotce zarzutu brutalności władz radzieckich. Wciąż jeszcze się wahał, kiedy telefon z Moskwy przeciął jego wątpliwości w ciągu kilku minut. Ster przejęli generałowie. Zostanie ogłoszony stan wojenny. Robotników należy siłą doprowadzić do miejsc pracy. W wypadku odmowy jej podjęcia wziąć zakładników i dokonać ich egzekucji na miejscu.

Nad wszystkimi większymi zakładami pracy Rosjanie ustanowili wojskowy nadzór komisaryczny, sprawowany przez oficerów Armii Czerwonej. Mniejsze zakłady łączono w grupy pod wspólnym nadzorem jednego komisarza. Na ulice miast wysłano wojskowe ciężarówki, które miały zwozić ludzi do pracy. Każda, nawet najmniejsza próba oporu czy ociągania się przy wsiadaniu do ciężarówek karana była biciem pałkami.

W dużych zakładach problem zmuszenia strajkujących robotników do podjęcia pracy, okazał się jednak nie do rozwiązania. Nawet niewielka grupa ludzi odmawiająca wykonywania swych obowiązków wystarczała do tego, by zatrzymać całą linię produkcyjną.

Oficerowie zbierali grupy po 50 osób i łamaną angielszczyzną odczytywali im „Dekret o stanie wojennym” i konsekwencje jego nieprzestrzegania.

Pierwsza egzekucja miała miejsce dopiero około 1500, lecz do 1700 już kilkuset mężczyzn i czterdzieści kobiet zostało rozstrzelanych na oczach towarzyszy pracy. Ponieważ jednak zakładnikami byli w większości wysoko wykwalifikowani specjaliści – gdyż to wśród nich bunt przejawiał się z największą siłą – kiedy już padli martwi, nie znalazł się nikt, kto by im dorównywał doświadczeniem i wiedzą, i mógł ich zastąpić. Zawzięte i gniewne twarze pozostałych przy życiu robotników skłoniły część komisarzy do wezwania posiłków i otoczenia zakładów pracy wojskiem, niektórych zaś do zwolnienia załóg do domu, aż do następnej porannej zmiany. Jednak następnego dnia chaos jeszcze się spotęgował. Bezwzględność oprawców, zmuszanie robotników, żeby przyglądali się egzekucjom, wywarły skutek wręcz przeciwny do zamierzonego, okazało się, że nawet blisko trzy lata okupacji Wielkiej Brytanii nie zaszczepiły w ludziach tego lęku, który dawno już ujarzmił ducha robotników radzieckich, poddanych całym dziesięcioleciom tej bezlitosnej tyranii.

W głównych zakładach próbowano wznowić produkcję, w miejsce rozstrzelanych stawiając specjalistów radzieckich, lecz i to okazało się bezskuteczne. Ludzie po prostu pozorowali pracę, drobne sabotaże powodowały zatrzymywanie taśm co kilka minut.

Po czterech dniach takiego zamieszania Maliutin wygłosił w telewizji przemówienie po rosyjsku, tłumaczone zdanie po zdaniu na angielski. Była to mieszanina apeli o współpracę „dla własnego dobra ludzi pracy” i gróźb masowych deportacji, w wypadku, gdy apele te nie odniosą skutku.

Gdy po upływie kolejnych dwóch dni nic się nie zmieniło, wojsko znów zaczęło brać zakładników. Tym razem byli to nie robotnicy, ale również zwyczajni przechodnie złapani na ulicach. Żołnierze uzbrojeni w karabiny maszynowe ładowali swe ofiary na ciężarówki

wojskowe i wywozili do Portsmouth, gdzie czekały już w porcie cztery radzieckie transportowce wojskowe, w tym momencie niektórych spośród zakładników nadal szokowała brutalność i obojętność żołnierzy Armii Czerwonej. Lecz Armia Czerwona przeprowadzała podobne operacje już wiele razy w różnych częściach świata. Jeszcze częściej zaś przeprowadzała je wobec swych własnych rodaków. Armia Czerwona działała bowiem zgodnie z rozkazami wydawanymi na Kremlu, i żołnierze wiedzieli doskonale, że sami mogą zostać rozstrzelani lub zesłani do łagru, jeśli okażą ofiarom choćby cień współczucia. Tego samego dnia, w którym odpłynęły okręty, pociski ziemia-ziemia zniszczyły doszczętnie Kwaterę Główną Armii Czerwonej w dawnym budynku ministerstwa wojny. Stała również w ogniu Izba Urzędu Głównego Komisarza Smetany w hotelu Savoy, pojedyncze rakiety spadły na koszary Armii Czerwonej w Birmingham, Glasgow, Manchesterze, Newcastle, Cardiff i Londynie, Zginęło ponad dwa tysiące Rosjan, zaś wielu zostało ciężko rannych. Jednocześnie przez całą noc i następny dzień wszystkie lotniska w kraju zajęte były przez lądujące i startujące transporty - wce radzieckich sił powietrznych, które dowoziły wciąż nowe posiłki.

Każdego dnia strajku generalnego we wszystkich domach włączano radia o szóstej po południu przeszukując skalę pomiędzy obiema częstotliwościami dawnego programu II. Dziesiątego dnia, na częstotliwości 909 KHz o 1758 słuchacze posłyszeli lekki pomruk fali nośnej. Wiele było domysłów na temat tego, czyj to będzie głos. Punkt osiemnasta zabrzmiała muzyka i ludzie zaczęli się uśmiechać jeszcze zanim rozległy się znajome krzyki mew. A potem usłyszeli dobrze znany głos:

„Mam nadzieję, że większość z państwa pamięta jeszcze sygnał rozpoczynający »Płyty z bezludnej wyspy«. Nadawaliśmy ten

program co prawda w Czwórcę, no i szkoda, że nie ma tu przy mnie żadnego gościa z jego ośmioma płytami. Smutne to, ale na razie tak musi być. Kochani, poproszono mnie, żebym was zawiadomił o zakończeniu strajku generalnego. Możecie jutro wrócić do pracy, jeśli tego chcecie. Byliście świadkami brutalności Armii Radzieckiej. Tej samej brutalności doświadczyli już przedtem mieszkańcy wschodniego Berlina, Polski, Węgier, Czechosłowacji, Afganistanu i wielu innych krajów. Mogliście się również przekonać, że radzieckie władze okupacyjne nie są w stanie kierować tym krajem bez waszej współpracy. Ruch oporu nadal będzie prowadził zdecydowaną walkę już własnymi siłami. Dobrze wypełniliście swoje zadania, a wasza odważna współpraca dodała nowego ducha i sił jego działaczom, Odpocznijcie teraz. Możecie być pewni, że brutalne represje i okrucieństwo zostaną pomszczone, zaś siły wolności z dnia na dzień zespalać się będą coraz mocniej w walce przeciwko najeźdźcy. Mówię do was spoza granic kraju i samo w sobie jest to już znakiem, że świat nie zostawił nas na pastwę losu. Być może widzicie teraz przed sobą tylko ciemności, ale to się na pewno kiedyś zmieni. Jak mówią nasi podziemni przywódcy – jutro będzie nasze. Mówił do państwa Roy Plomley z radia BBC. Dobranoc i niech was Bóg błogosławi.”

Relacje o radzieckich okrucieństwach wypełniły pierwsze strony dzienników i stały się tematem dnia w radiu i telewizji całego wolnego świata. Moskwa sama wpędziła się w pułapkę i słała teraz w świat gniewne zaprzeczenia, twierdząc, że doniesienia o egzekucjach, biciu i deportacjach są od początku do końca wymysłem Waszyngtonu.

Następnego dnia Waszyngton udostępnił opinii publicznej wolnego świata dużą ilość fotografii, które aż nadto wyraźnie

pokazywały co się naprawdę wydarzyło. Moskwa stwierdziła, że zdjęcia stały spreparowane i sfałszowane. Wówczas stacjom telewizyjnym przekazano film opracowany przez specjalny zespół z Nowego Jorku, ze ścieżką dźwiękową przetłumaczoną w napisach. Stało się tragicznie jasne, że tych obrazów rozpacz i bólu okrutnie traktowanej ludności cywilnej oraz scen ładowania więźniów na radzieckie statki nie można było sfałszować. Niektóre ujęcia ukazywały w tle radzieckie nazwy na kadłubach okrętów. Cztery dni później doszły do tego taśmy dźwiękowe z nagraniami podsłuchanych rozmów telefonicznych pomiędzy władzami radzieckimi a komisarzami wojskowymi w zakładach pracy. Nadano również wywiady z naocznymi świadkami wydarzeń. Ich ponury autentyzm nie podlegał żadnej wątpliwości.

Przez parlamenty całej Europy przetoczyła się fala gniewnych interpelacji. Rządy większości krajów, nawet tych które nigdy nie były prozachodnie, włącznie z państwami Ameryki Łacińskiej, krajami arabskimi, Indiami, Chinami i Japonią – wysłały do Moskwy oficjalne noty protestacyjne.

Rządy wszystkich państw skandynawskich, z wyjątkiem Finlandii wprowadziły embargo na handel ze Związkiem Radzieckim i jego satelitami, a za ich przykładem poszły Holandia, Belgia, Włochy, Grecja, Hiszpania i Arabia Saudyjska. Natomiast Portugalia, Irlandia, Turcja, Kanada, Australia i Nowa Zelandia zamknęły swoje ambasady w Moskwie i zażądały likwidacji ambasad radzieckich u siebie.

Tydzień później również Francja i Niemcy Zachodnie wycofały swoich ambasadorów z Moskwy, oficjalnie dając w ten sposób wyraz oburzenia swych społeczeństw.

Na Kremlu przez wiele dni po nocach paliły się światła. Rzucano i odrzucano gniewne oskarżenia o niekompetencję i nieudolność.

Kreml jakby nagle utracił cały swój magiczny urok. Przez całe lata udawało mu się wykaraskać z każdej wywołanej przez siebie awantury. W Afryce, państwach Zatoki Perskiej i Południowej Ameryki, w Afganistanie i w Polsce - zawsze i wszędzie szydził z międzynarodowej opinii publicznej i nie ponosił przy tym żadnych szkód. Były to sukcesy, które przerastały najśmielsze nadzieje Kremla i którym niemal nikt nie próbował się przeciwstawić, z wyjątkiem Amerykanów. Wysiłki tych ostatnich torpedowali jednak bez zastanowienia tak zwani „przyjaciele i sojusznicy”, amerykańskie embargo na sprzedaż zboża i rozwiniętej technologii do Związku Radzieckiego odniosło tylko taki skutek, że zboże zaczęło płynąć z Argentyny, a technologia z Francji i Niemiec. Związek Radziecki zaś kolejny raz wyciągnął ten sam wniosek: kapitaliści będą handlować z każdym, a pieniądze cenią sobie wyżej niż wolność, szczególnie zaś wolność innych.

I nie tylko handlowali. Ich rządy i banki dokładały do tych transakcji tanie, długoterminowe kredyty. Państwa bloku radzieckiego były winne Zachodowi tyle pieniędzy, że ich wierzyciele nie mieli odwagi występować przeciwko nim z obawy o utratę płatności. Na oczach przywódców z Kremla spełniały się teorie o nieuchronnym upadku kapitalizmu. Mogli sobie pozwalać na lekceważenie opłakanego stanu swego przemysłu, rolnictwa i całej gospodarki. Zachód gotów był przecież usłużyć zapychać wszystkie dziury nie tylko radzieckiego rynku, ale i budżetu. W międzyczasie Związek Radziecki przestawiał coraz bardziej swą gospodarkę, na napędzanie maszyny zbrojeniowej, która wojnę z nim miała uczynić pozbawioną sensu. Na wytworzenie przewagi tak przygniatającej, żeby podejmowanie wojny stało się po prostu zbędne. Żeby kolejne kraje padały jeden po drugim jak kostki domina - od jednego pchnięcia. Zmarszczenie brwi, czy groźny

pomruk kremlowskiego niedźwiedzia miał wystarczać, żeby przywołać je do porządku, czy to w kwestii rezygnacji z własnej broni jądrowej, czy to wobec prób udzielania poparcia Amerykanom w ich próbach powstrzymania radzieckiej ekspansji na świecie, czy w jakiegokolwiek innej sprawie. I rzeczywiście – po kilku pierwszych miesiącach okupacji Afganistanu kto jeszcze przejmował się tym, co się tam działo? Kogo obchodziło, że dokonano morderstwa gdzieś w Massawa lub Addis Abebie, choć miało to ścisły związek z dominacją na Morzu Czerwonym i w części Oceanu Indyjskiego? Wielu ludzi nie potrafiło nawet pokazać na mapie, gdzie leży Kambodża, Jemen lub Angola.

I nikomu na Kremlu nie przychodziło już nawet do głowy, że jest to może zbyt piękne, żeby było prawdziwe, było to prawdą, i stało się już tylko kwestią czasu, kiedy reszta świata opadnie z sił i podda się, znękana tą nużącą bezowocną walką.

I oto nagle, właśnie teraz, wszystko to się raptem zmieniło. W samym Związku Radzieckim już wcześniej, zaczęły wybuchać strajki i mnożyły się protesty przeciwko złym warunkom życia, a nawet przeciwko więzieniom i łagrom. Protesty, które stopniowo ewoluowały w kierunku jawnych wystąpień przeciwko państwu. Jednak dopiero reakcja świata na wydarzenia w Wielkiej Brytanii wywoływała u władców Związku Radzieckiego prawdziwy wstrząs. Nie uczynili niczego, czego by nie robili przedtem, wobec tuzina najróżniejszych krajów. Czemu więc akurat w wypadku Anglii wybuchła taka wrzawa? Trzy, cztery lata temu nie było w Europie rządu, który wyrzekłby choć jedno dobre słowo na temat Anglii i Anglików. Co takiego szczególnego mieli w sobie Brytyjczycy, że teraz podniósł się taki szum? Pomimo wewnętrznych tarć władze radzieckie były nadal zdecydowane kontynuować okupację Wielkiej Brytanii. Nie chodziło o naród, czy nawet o kraj i jego zasoby.

Władza nad tą niewielką wyspą dawała władzę nad całym Pomocnym Atlantykiem, pozwalała zagradzać Amerykanom drogę do Europy. Jeżeli będzie trzeba, zdecydowani byli zetrzeć Anglików z powierzchni ziemi, a to, co zostanie, przesiedlić gdzieś na wschód od Uralu wynarodowić, osiedlając wśród Rosjan.

Mijał dzień za dniem i noc za nocą, a spory wciąż trwały i do podjęcia ostatecznej decyzji wciąż jeszcze było daleko. W tej łamigłówce brakowało jakiegoś kawałka. Wzorem starożytnych mędrców Kreml czekał na jakiś znak. Znak, który powie mu, jaką pójść drogą. Nikomu z członków Politbiura nie przemknęło nawet przez myśl, że to, co zrobili i nadal robią w Anglii, spowodowało zniszczenie mitu, który sami tworzyli i kultywowali od dziesięcioleci - to mit mówiący: „U nas nigdy by do tego nie doszło”. Mit, który od wielu lat szerzyli bez skrępowania w całej Europie sympatycy Związku Radzieckiego. To, co stało się w Warszawie, Pradze, czy Kabulu, to inna sprawa. Wam tutaj na pewno się to nie przydarzy. Dla Polaków, Czechów, czy Afgańczyków tego typu wydarzenia nie niczym nadzwyczajnym. Są do nich przyzwyczajeni, ponieważ to część ich historii. Przy tym przypominają oni trochę ładne dziewczyny, które noszą obcisłe sweterki, a potem dziwią się, że zostały zgwałcone. Można by powiedzieć, że wręcz same się tego domagały. Ale Francuzi, Niemcy, Włosi, Holendrzy, czy Anglicy? Nie, to całkiem inna kategoria. Przynajmniej kiedyś tak było, na pewno.

Rozdział XXII

Lew Sawalew stał przy oknie, i spoglądał przez szparę między zasłonami. Był nagi. Patrzył w kierunku ogrodów Pałacu Buckingham, nad którym zmierzch zaczynał już zamieniać się w ciemność wieczoru. Znajdował się w apartamencie na dachu hotelu Rossija, który jeszcze parę lat temu nazywał się London Hilton. Nazwa została zmieniona, kiedy hotel przeznaczono dla wyższych urzędników radzieckich.

Czcigodna Daphne Mather również była naga i leżała na ozdobnym, kolistym łożu szeroko rozrzucając nogi. Lecz Sawalew miał już dość. Za pięć godzin miał się znaleźć na Heathrow, a wiedział, że będzie to podróż w jedną stronę. Podeszedł do łóżka i zapalił papierosa, którego wyciągnął z jej paczki.

- Kiedy ci to powiedział, Lew? - spytała dziewczyna.

- Trzy dni temu.

- A jaki podał powód? Sawalew wzruszył ramionami.

- Nie musiał podawać powodu. Każę jechać, to jadę.

- Jak myślisz, dlaczego cię odsyła?

- Cholernie dobrze wiem, dlaczego. Wojskowi robią jeszcze gorszy bajzel niż my. Smetana ma nadzieję, że jak wrócę, zdołam ich przekonać, żeby z powrotem on był szefem, albo przynajmniej żeby miał znów czyste konto.

- I co będziesz robił w Moskwie?

- A Bóg wie. Pewnie poślą mnie z powrotem do tego cholernego ośrodka treningowego.

- Nie wsadzą cię do Gułagu ani jakiegoś innego okropieństwa?

- Nie wydaje mi się. Ale jestem teraz za bardzo na wylocie, żeby wiedzieć, co te gnojki naprawdę knują.

- Co po rosyjsku znaczy Gułag? To jakieś miejsce, czy co?

Sawalew uśmiechnął się krzywo.

- Wiele miejsc na raz. To skrót nazwy instytucji. Głównie Uprawienie Isprawitielno Trudowych Łagieriej, czyli główna administracja obozów pracy poprawczej. Rządzi tym KGB.

- I gdzie to jest?

- Obozy są rozsiane po całym Związku Radzieckim. Istnieje ponad pięćdziesiąt zespołów obozowych. W tej chwili może już nawet sześćdziesiąt.

- A ilu mniej więcej ludzi w nich siedzi?

- Dokładną ilość zna tylko kilku głównych szefów, ale z tego co ja wiem, myślę, że jakieś dwa i pół miliona kryminalistów i około dziesięciu milionów politycznych.

- Dziesięć milionów! Boże wszechmogący! I cóż oni takiego zrobili?

- To wrogowie państwa.

- Ale co to znaczy?

- Krytykowali władzę, albo ustrój.

Spojrzała mu w oczy.

- Biedny, stary Lew. To okropne.

- Dlaczego tak mówisz?

- Macie jeszcze gorzej niż my. To niebywałe, jak ludzie mogą i takiego znosić? Dlaczego nie protestują?

- Właśnie dlatego, że nikt nie chce wylądować w Gułagu. Milczała chwilę, jakby przygwożdżona bezlitosną logiką tej odpowiedzi, a potem spytała zmieniając temat:

- Smetana wciąż w niełasce?

Sawalew parsknął śmiechem.

- Kochanie, Smetana jest w niełasce, generałowie są w niełasce, wszyscy są w niełasce. Tak jak on to mówi - przydział do Anglii to tylko trochę lepiej niż zsyłka na Syberię. Nikt jeszcze nie wyszedł na swoje w tym syfie.

- To czemu po prostu nie dasz dyla?

- Co to znaczy dać dyla?

- Uciec, schować się, ukryć się. Po prostu nie wrócić.

- Rany boskie, ależ ty masz pomysły. I co bym potem zrobił?

- Wiesz co? Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego wy, Rosjanie zawsze mówicie „rany boskie”, albo „o Jezu”. Przecież skoro nie wierzycie w Boga, to co się go tak czepiacie?

- Zaczynamy chyba przesiąkać waszymi zwyczajami, gnojki.

- Oj, daj spokój, Lew. Nie było ci tu tak wcale źle. Żyłeś jak milioner, rznąłeś wszystkie dziewczyny, jakie tylko wpadły ci w oko.

Czego jeszcze potrzeba facetowi do szczęścia? Sawalew zgasił papierosa.

- I tak byś nie zrozumiała, kochanie.

Wzięła go za rękę i wsunęła ją sobie między nogi.

- Zróbmy to jeszcze raz, Lew. „Jak za dawnych, dobrych lat” - zanuciła pod nosem.

I Sawalew, jak na gentlemana - albo rozpustnika - przystało, położył się obok niej na łóżku i przygarnął ją do siebie.

Na lotnisku Szeremietiewo czekał już na Sawalewa pisemny rozkaz. Może się wprowadzić do swego starego mieszkania i ma się zgłosić jak najprędzej na Plac Dzierżyńskiego. Poczuł ulgę. Nie wyglądało to wszystko tak źle, jak się tego obawiał. Następnego dnia w Komendzie KGB nie przywitano go transparentami, lecz obyło się też bez obrzucania wymówkami, dostał parę dni urlopu, a potem miał się przyłączyć do zespołu zajmującego się

rozpracowaniem działalności wywrotowej wewnątrz Związku Radzieckiego.

Kiedy poszedł odebrać swój przydział z Biura Przepustek, dziewczyną, która podeszła, żeby wziąć jego bony okazała się Anna. Uśmiechnęła się na jego widok.

- Słyszałam, że masz wrócić, Lew. Jak ci się podobało w Londynie?

- Tylko ciebie mi brakowało, kochanie, a byłoby super. Roześmiała się.

- Słyszałam całkiem co innego.

- Nigdy nie słuchaj tych plotek z MSZ, nie ma w nich krztyny prawdy.

- Nie w MSZ to słyszałam. Ale mniejsza z tym. Mamy wszystkie owoce, z wyjątkiem truskawek i malin. Są befsztyki, kurczaki, gęsi. Kawioru oba gatunki. Aha, i wczoraj była duża dostawa różnych serów.

- Sama mi coś wybierz, Anno. I wybierz też to, co ty lubisz.

Uśmiechnęła się szeroko i spojrzała na niego domyślnie.

- Wyszłam za mąż, Lew. Nie wiedziałeś o tym?

- No to co? A za kogo?

- Jest scenarzystą filmowym, to bardzo miły człowiek.

- Mieszkasz dalej tam, gdzie wtedy?

- Tak, ale chcemy się zamienić, żeby mieć chociaż dwa pokoje.

- To kiedy się zobaczymy?

- Mówiłam ci, wyszłam za mąż.

- Nie wygłupiaj się. Najlepiej przyjdź do mnie.

- Dali ci twoje stare mieszkanie?

- Tak, wczoraj się wprowadziłem. Najlepiej powiedz staremu Lemontiewowi, że się źle czujesz i chodź od razu ze mną.

- Nie mogę teraz ryzykować, Lew.

- Daj spokój, żabciu. Nie pracowałabyś tutaj, gdybyś nie dawała czasami na boku.

Zawahała się.

- Przyjdę, ale po pracy. Mój mąż jest teraz w Mińsku. Ale nie myśl sobie, że to będzie na stałe, tak jak kiedyś.

Sawalew roześmiał się.

- Oczywiście, że nie, kochanie. Starczy dwa, trzy razy w tygodniu.

Parsknęła śmiechem.

- Łajdak z ciebie, Lew. Musisz zawsze koniecznie rznąć mężatki?

- Do zobaczenia, żabciu.

Skinęła głową, a Sawalew, nim ruszył do wyjścia, przechylił się przez drewnianą ladę i pocałował ją.

Na łóżku pomiędzy nimi stał talerz wypełniony pokrojonym w trójkąty gruzińskim serem, śliwkami i czarnym kawiolem, Sawalew nałożył trochę kawioru na skrawek blina i zapytał:

- Powiedz mi coś o tym swoim facecie. Jak się nazywa?

- Josef. Jest młody i bardzo przystojny. Ma prawdziwy talent.

- Na pewno, skoro ci tak dogadza, madame - odparł Sawalew z przekąsem.

- Nie to miałam na myśli, idioto. Chociaż...

Sawalew wyciągnął dłoń i chwycił ją lekko za pierś.

- Nie bądź taka obrażalska. Żartowałem tylko. Przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi. Tęskniłaś za mną?

- Nie. Miałam pod dostatkiem wszystkiego, czego mi było eba.

- A co on robi w tym Mińsku?

- Ma tam swoją macierzystą wytwórnię. Co miesiąc jeździ na jakiś tydzień, dziesięć dni. Dlaczego zabierasz ten talerz?

Stłumił jej protest, przyciskając wargi do jej ust i poczuł, jak jej

gibkie młode ciało przyciska się do niego w odpowiedzi. Kiedy skończyli się kochać, położył się na wznak spoglądając w sufit i jedną ręką gładząc jej udo.

- Opowiedz mi trochę, co się tu działo, jak mnie nie było.

- Jak długo cię nie było?

- Dwa lata i trzy, cztery miesiące.

- A co byś chciał wiedzieć? Nie dostawałeś Izwiestii ani Prawdy w Londynie?

- Chodzi, mi o plotki. Kto się z kim puszcza, kto oberwał nożem w plecy i tak dalej.

- Twój były szef Podgórny sypia z tą dziewczyną, co grała rolę w „Jutrzejszym śnie”. Stary Tkaczew ma nowego chłopczyka, który zresztą pracuje u nas i który jest też chłopczykiem Karowa. Gdyby Tkaczew o tym wiedział, dostałby szau. Karow ma zresztą jeszcze jednego, jakiegoś dekoratora z Bolszoja. Syn Ustinowa strasznie ćpa, ale rżnie córkę Orłowa i pewnie wyląduje w Gułagu. Z kolei...

- Poczekaj, co wiesz jeszcze o Podgórny?

- Ale w jakim sensie?

- W negatywnym, oczywiście. No więc?

- Ma poważne kłopoty. To coś związanego z dysydentami, wywrotowcami, wrogami państwa, czy jak ich tam zwać.

- A co ci dysydenci?

- Organizują strajki, nie słyszałeś? Jeden trwał ponad tydzień. Nawet w elektrowni atomowej w Czelabińsku był jakiś strajk. Mówili też o jakimś sabotażu, ktoś tam coś rozłączył, nie znam się na tym.

- A skąd ty to wszystko wiesz?

- No bo on sypia z tą aktorką, mówiłam ci. Jej mąż czasem do mnie przychodzi. Jest zazdrosny o Podgórny, ale nie ma odwagi mu podskoczyć. Podgórny wyraźnie dał do zrozumienia Nataszy, że

jej mąż może wylądować w Gułagu, jeśli spróbuje się wtrącać. To kawał gnoja, zresztą sam chyba wiesz o tym najlepiej.

- Czy rozmawiasz o tych sprawach ze swoim mężem?

- Nie, jego to w ogóle nie obchodzi. Zresztą nie mogę mu mówić takich rzeczy, bo zaczęłyby jeszcze coś podejrzewać.

- Zostaniesz na całą noc?

- Chciałabyś tego?

- Tak.

- A zrobisz coś dla mnie, jeśli zostanę?

- Mów, czego potrzebujesz?

- Kartki na benzynę i paszport.

- Ile tego i dokąd paszport?

- Kartek ile będziesz mógł. A paszport najlepiej na cały kraj.

- Kartek sam jeszcze nie mam, ale mogę ci jutro spuścić dwudziestkę do kanistra z mojego samochodu. W paszporcie trzeba będzie podać miejscowości. Dokąd się wybierasz?

- To nie dla mnie.

- A dla kogo?

- Dla jednego faceta, który załatwia mi sukienki i bieliznę.

Sawalew roześmiał się.

- Ty cwana suko. Będzie musiał podać punkty docelowe i miejsca przesiadek. Tylko nie w okolicach chińskiej granicy. Tego nawet ja bym nie dostał.

- Dobrze. Jutro, jak będę szła do ciebie, wezmę od niego po drodze listę miejscowości. Och, Lew, znowu? - nie, jeszcze nie teraz...

Lecąc z powrotem do Moskwy z Leningradu, gdzie otworzył nową wystawę w Ermitażu, Orłow pomyślał, że chyba najbardziej ze wszystkich gatunków sztuki rosyjskiej nudzą go ikony i podróz do

Leningradu tylko po to, żeby otworzyć tam wystawę ikon, w każdym innym wypadku uważałby za stratę czasu. Miał tam jednak być francuski ambasador, a Orłow chciał z nim porozmawiać bez świadków. Teraz jednak miał zamiar prosto z Szeremietiewa jechać do swej nowej daczy, którą niedawno wybudował w pobliżu kolonii pisarzy w Pieriediełkino. Kiedy więc spostrzegł, że na lotnisku czeka na niego Fomienko, a razem z nim i starsza kobieta, zaklął cicho pod nosem.

- Co jest, Fomienko? Samochód już na mnie czeka. Przez parę dni nie ma mnie dla nikogo.

- Tylko słówko, zanim odjedziecie, towarzyszu sekretarzu. To na i pilna sprawa.

- A co to za okropna baba, ta w okularach?

- To profesor Piątkowa, nasz czołowy historyk.

- Po coś do diabła ją tu przywłókł?

- Dziś rano na waszym biurku znaleziono list. Myślałem, że to jakiś żart i posłałem go do KGB, a oni wezwali towarzyszkę profesor. Jest ich ekspertem. Błyskawicznie sporządziła raport, zadzwonili do mnie i kazałem jej przyjść. Uważam, towarzyszu, że powinniście z nią porozmawiać.

- O Boże, a sam nie możesz tego załatwić?

- Mogę. Ale wolę, żebyście sami zobaczyli ten list. Możemy to zrobić tutaj, mam pokój w biurze lotniska.

Orłow westchnął ciężko. Na jego twarzy wyraźnie malowała się złość.

- No to już chodźmy. Dziesięć minut i ani chwili dłużej. Fomienko zajął apartament, który służył jako recepcja dla VIP-ów. Piątkowej kazał poczekać na zewnątrz, sam otworzył drzwi wewnętrznego pokoju i przepuścił przed sobą Orłowa. Ten siadł ciężko na jeden ze skórzanych foteli i spoglądając na zegarek, zapytał:

- No dobra, co to za historia?

Fomienko wyciągnął z teczki obłożony w przezroczysty plastik list i podał go Orłowowi. Ten zaczął czytać, nie wyjmując nawet listu z okładek. Kiedy skończył, palcem wskazującym i kciukiem złapał narożnik listu, wyciągnął go spomiędzy okładek i zaczął czytać jeszcze raz, powoli i uważnie. Potem włożył list na miejsce. Spojrzał na fresk zajmujący całą przeciwległą ścianę. Przedstawiał Plac Czerwony o zmierzchu, w śniegu, cały w błękitach i szarościach, z wróżącym niepogodę księżycem, zawieszonym nad sylwetką Muzeum Historycznego, odcinającą się na tle zadymionego nieba. W końcu zwrócił wzrok ku Fomience.

- To musiał napisać jakiś szaleniec. Jakiś wariat, któremu odmówiono zameldowania w Moskwie, albo coś w tym rodzaju.

- Mimo to posłuchajcie, towarzyszu sekretarzu, co ma do powiedzenia profesor Piątkowa. Twierdzi, że niektóre zdania mają jakieś szczególne znaczenie. Orłow podniósł list i jeszcze raz przebiegł po nim wzrokiem. Dopiero teraz zauważył, że nie był on napisany na maszynie lecz wydrukowany:

LIST OTWARTY DO JEWGIENIJA ILJICZA ORŁOWA, PREMIERA
TAK ZWANEGO ZWIĄZKU SOCJALISTYCZNYCH REPUBLIK
RADZIECKICH

Jako mianowanego, nie zaś wybranego, przywódcę Partii Komunistycznej czynimy was odpowiedzialnym za dyktaturę samozwańczej elity, która stanowi zniewagę dla mas pracujących całej Rosji.

Żądamy od was - jako od przywódcy Bolszewików, którzy przejęli niegdyś władzę siłą, w sposób nielegalny, z pomocą pieniędzy otrzymanych od naszego ówczesnego wroga, rządu Niemiec - podjęcia natychmiastowych kroków w celu odwrócenia skutków

tego historycznego błędu, popełnionego wobec narodu rosyjskiego.

Żądamy wprowadzenia w życie następującego programu:

1. Wolności słowa i wolności stowarzyszania się wszystkich pracowników w partiach politycznych i niezależnych związkach zawodowych.

2. Wolnych wyborów z głosowaniem tajnym, nadzorowanym przez niezależne ciało społeczne.

3. Uwolnienia wszystkich więźniów politycznych.

4. Natychmiastowej likwidacji wszystkich przywilejów przysługujących członkom Partii Komunistycznej na wszystkich szczeblach.

5. Rozwiązania KGB.

6. Swobody podróżowania w kraju i poza jego granicami dla wszystkich obywateli bez wyjątku.

7. Przyznania niepodległości wszystkim tak zwanym republikom radzieckim i wszystkim krajom Układu Warszawskiego.

8. Publikacji niniejszego listu otwartego we wszystkich krajowych środkach masowego przekazu.

Jeżeli w najbliższym czasie brak będzie wystarczających dowodów na to, że nasze żądania mają zostać spełnione, podejmiemy dalsze aktywne działania w celu zapewnienia sprawiedliwości wszystkim obywatelom.

Drugi Tymczasowy Komitet Rewolucyjny

Podnosząc głowę znad listu, Orłów znów ciężko westchnął i powiedział:

- No dobra, wpuść już tę babę. Wpuść tę głupią sukę. Fomienko wprowadził Piątkową do pokoju i wskazał jej krzesło naprzeciw Orłowa.

- Proszę powiedzieć towarzyszowi premierowi to, co wcześniej

mówiła pani mnie.

Kobieta spojrzała na Orłowa, jak gdyby czekała na znak aprobaty z jego strony, kiwnął więc głową i ze złością zaplótł ręce na piersiach.

- Towarzyszu premierze, podpis umieszczony przez tę organizację, jej nazwa - Drugi Tymczasowy Komitet Rewolucyjny - ma szczególne znaczenie. Jak zapewne pamiętacie, nazwę Pierwszy Tymczasowy Komitet Rewolucyjny nosiła organizacja kontrrewolucyjna utworzona przez urzędnika marynarki Petriczenkę wśród buntowników na okręcie wojennym Pietropawłowsk w 1921 roku, kiedy to flota bałtycka w bazie morskiej w Kronsztadzie wystąpiła, zbrojnie przeciwko partii komunistycznej.

- Nie będę się z wami sprzeczał, towarzyszko profesor. Proszę dalej. Co to za historia z tymi funduszami, które partia niby dostała od Niemców.

- To odnosi się do zarzutu stawianego jeszcze w 1917 roku Leninowi, że prowadzi on kampanię propagandową partii za pieniądze otrzymane od rządu niemieckiego.

- Czy ktoś w ogóle w to uwierzył?

- Istniały rzekomo listy, które towarzysz Lenin miał otrzymywać od dwóch ludzi - Hanieckiego i Kolowskiego - potwierdzające otrzymanie pieniędzy, zaś niemiecki minister spraw zagranicznych, Kuhlmann, sporządził dla cesarza raport, który nadal znajduje się w archiwach niemieckich, dotyczący funduszy dla Lenina.

- Czy coś jeszcze?

- Tak. Te żądania sformułowane są językiem, którego słownictwo opiera się ściśle na tekstach Pierwszego Komitetu.

- No i czego to wszystko dowodzi? Ze jakiś wariat, który przysłał ten list, jest historykiem, czy co?

- Moim zdaniem świadczy to o tym, iż ludzie, którzy to podpisali, chcą, żebyście potraktowali ich poważnie towarzyszu.

- Macie coś jeszcze do powiedzenia?

- Nie. To wszystko, towarzyszu premierze.

Orłow odprawił ją skinieniem głowy i Piątkowa wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Orłow spojrzał na Fomienkę i rzekł lodowatym tonem:

- Coś jeszcze, przyjacielu? A może KGB życzy sobie, żebym ogłosił mobilizację?

Fomienko wzruszył ramionami.

- Uważam, że było moim obowiązkiem natychmiast wam to przekazać, towarzyszu sekretarzu.

Orłow wstał.

- Dobrze, a teraz każ już przyprowadzić mój samochód.

Dokładnie tydzień później spadł pierwszy cios i Orłow zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że prawdopodobnie źle ocenił sytuację.

W sobotnim wydaniu Prawdy pojawił się pełny tekst „Listu Otwartego”. Wydrukowano go na kolumnie sportowej, pomiędzy wynikami piłki nożnej i wyścigów konnych. Wczesnie rano jakiś spostrzegawczy kioskarz, który pierwszy to zauważył, zadzwonił do KGB. Natychmiast wysłano do drukarni grupę dochodzeniową – po dziesięciu minutach znała już nazwisko drukarza, który wykonał makietę tej właśnie strony oraz nazwisko dyżurnego korektora.

Pierwszy z nich mieszkał w pobliżu stacji metra Sokolniki. Pokój makieciarza zastali pusty, ktoś wyniósł nawet meble. Pobrali rutynowo odciski palców i przesłuchali wszystkich sąsiadów. Nikt z nich nie widział go już od dziesięciu dni.

Korektor mieszkał nad antykwariatem przy ulicy Kaczałowa. Okazało się, że jest w szpitalu; został potrącony przez samochód.

Kierowca zbiegł z miejsca wypadku, zaś korektor od czterech dni leżał nieprzytomny.

Inne środki przekazu nie wspomniały nawet słowem o pozaplanowym dodatku do Prawdy. Było oczywiste, że musiały go przeczytać dziesiątki tysięcy ludzi, lecz nie wywołał zbyt wielkiego odzewu. KGB odnotowało około czterdziestu rozmów telefonicznych związanych z tą sprawą. Również redakcja Izwestii otrzymała jakieś listy i telefony, lecz było ich mniej niż sto. Niektórzy z rozmówców podali swoje nazwiska i adresy i kiedy ich przesłuchano, stwierdzali najczęściej, że tekst wydał im się dziwny i bezsensowny. Byli i tacy, którzy zastanawiali się, dlaczego na stronie sportowej zamieszczono utwór satyryczny.

Później tekst listu omówiono szczegółowo w audycjach rosyjskich sekcji Głosu Ameryki i Deutsche Welle. Większość zachodnich dzienników zamieściła zaś reprodukcję sportowej kolumny Prawdy z wstawionym tekstem listu oraz odnotowała całe zdarzenie w swych przeglądach wiadomości, a niektóre poświęciły mu osobne artykuły redakcyjne.

Orłow i pozostali członkowie Biura Politycznego uznali jednak, że mogą spać spokojnie, kiedy tylko okazało się, że treść „Listu otwartego” nie wywarła niemal żadnego wpływu na ogół ludności.

Stary człowiek uniósł głowę sponad oprawnego w skórę egzemplarza „Wojny i Pokoju”. Przez chwilę wpatrywał się bez ruchu na twarz stojącego przed nim młodego mężczyzny.

- Dziesięć rubli, więcej nie mogę.
- Dziesięć?
- Dziesięć.
- Dobrze, zgadzam się.

Starzec wysunął szufladę kasy i wyjął banknot dziesięciorublowy,

po czym podał go swemu klientowi, wyciągając rękę ponad drewnianą ladą zawaloną stosami zakurzonych książek. Gdy młody człowiek wziął pieniądze, starzec skinął głową.

Josef podszedł do drzwi prowadzących na zaplecze, odsunął wiszącą w nich zasłonę z nanizanych na sznurki drewnianych kulek i wspiął się po stromych, wąskich schodkach. Na górze skręcił w prawo i po przejściu krótkiego korytarzyka zastukał w drzwi, obok których wisiała na ścianie wypisana na maszynie wywieszka: „Księgarnia Dom Knigi, Krieszczatik 44, Kijów. Dział antykwaryczny”.

Czekał chwilę, lecz z pokoju nie dobiegały żadne odgłosy, otworzył więc ostrożnie drzwi i zajrzał do środka. Wszystkie ściany pokoju pokryte były półkami, zaś wszystkie półki szczelnie wypełniały książki. We wnęce pod oknem siedział na wiklinowym krześle człowiek imieniem Oktiabr. Głowę miał odwróconą stronę otwartego okna, przez które wydmuchiwiał błękitny dym z długiego cienkiego cygara.

- Wejdz, Josef - powiedział, nie odwracając głowy.

Josef zamknął drzwi i rozejrzał się, szukając miejsca, gdzie mógłby usiąść. Zdjął jakieś pudło z książkami z jednego końca starej, zniszczonej sofy. Kiedy usiadł, uniosła się z niej chmura kurzu. Oktiabr odwrócił się od okna i spytał z uśmiechem:

- Załatwiłeś wszystko?

- Większość.

- Masz zdjęcia?

- Mam.

Josef otworzył skórzaną aktówkę i wyciągnął z niej dużą brązową kopertę. Wsunął ją w wyciągniętą dłoń tamtego.

Oktiabr uważnie oglądał jedno zdjęcie po drugim. Josef patrzył na niego w milczeniu. Zastanawiał się, ile tamten może mieć lat.

Przypuszczał, że nieco ponad pięćdziesiątkę. Z zaczesanymi gładko do tyłu, zupełnie czarnymi włosami, wyglądał jak przedwojenny aktor filmowy. Był przystojny, a jednocześnie w jego wyglądzie było coś ponurego, niemal odpychającego. Jego staromodny wygląd podkreślała jeszcze ciemna, opalona cera i cienki, czarny wąsik. Miał dłonie o długich palcach i starannie wypielęgnowanych paznokciach. Ubrany był w błękitną koszulę o modnym kroju i brązowe spodnie, których nogawki wpuścił w miękkie, skórzane buty z cholewami. Josef nigdy dotąd nie spotkał kogoś takiego jak Oktiabr. Wiedział o nim tak niewiele, a jednak gotów był ryzykować życiem, kiedy tylko tamten uznał to za konieczne. Wydawał się nie mieć żadnych wątpliwości. Ta całkowita pewność siebie pozwalała mu, kiedy musiał oznajmić czasem jakąś złą wiadomość, nie okazywać najmniejszych oznak gniewu czy zniechęcenia. Nigdy też nie wpadał w podniecenie czy dumę, gdy zdarzyło mu się odnieść sukces. Kiedy proszono go o wyjaśnienie jakiejś kwestii, czynił to chętnie, lecz jego odpowiedzi były krótkie i zwięzłe; wystarczające, by przekonać pytającego, lecz nic poza tym. Nigdy nikogo nie prosił o pomoc i nigdy nikogo nie starał się przekonać na siłę. W oczach Josefa był prawdziwym bohaterem, choć budził w nim również pewien lęk. Czuło się, że pod powierzchnią pewności siebie i opanowania drzemiały w nim siły, nad którymi wydawał się z ledwością panować.

Oktiabr wsunął ostatnią odbitkę z powrotem do koperty i podniósł wzrok na młodego człowieka.

- Znasz faceta nazwiskiem Sawalew, Lew Sawalew?

Josef pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie.

- Słyszałeś w ogóle kiedyś to nazwisko?

- Nie, a kto to jest?

Oktiabr zamiast odpowiedzieć, zadał następne pytanie.

- Czy będziesz w stanie kręcić się w fabryce tak, żeby cię nie zobaczyli?

- Jeśli uda mi się umieścić kamery nad szybem windy, to tak. Obie są zdalnie sterowane, ale jakość zdjęć nie będzie nadzwyczajna.

- Na poziomie kroniki?

- O, to na pewno.

- Czy znasz zaułek przy kościele na Andrejewskim Spusku?

- Nie. Czy to ten na wzgórzu?

- Tak. To ten - Oktiabr wyciągnął z kieszeni klucz. - Jeden z domów w tym zaułku ma niebieskie drzwi, a w oknie geranium.

Pójdiesz tam, otworzysz drzwi tym kluczem i poczekaasz na mnie. Przyjdę za godzinę.

- Czy ktoś tam będzie?

- Nie.

Poszli coś zjeść w mieście, a potem wrócili do domku naprzeciw kościoła. Oktiabr wyglądał na rozluźnionego i Josef zdobył się na odwagę, żeby zadać nurtujące go od pewnego czasu pytanie.

- Czy ten strajk naprawdę wybuchnie?

- Tak.

- Ale przecież oni ich wykończą, przyślą wojsko.

- Tak, oczywiście - mlecznobłękitne oczy wpatrywały się w niego bez mrugnięcia. Kiedy Josef nic nie odpowiedział, tamten dorzucił:

Ale to będzie dla nich nauczka.

- Dla kogo?

- Dla władz, bolszewików.

- A co z ludźmi?

- Też się czegoś nauczą.

- Czego mianowicie?

- Tego, że mogą położyć kres swemu zniewoleniu, jeżeli wykażą trochę odwagi.

- Ale czy mają jej aż tyle?

- Mieli, kiedy trzeba było walczyć z Niemcami.

- W czasie wojny to co innego. To byli nasi wrogowie, musieliśmy walczyć.

- Nie napiłbyś się czegoś?

- Nie, dzięki, ja nie piję.

- Dlaczego?

- Mój ojciec był alkoholikiem.

Oktiabr nalał sobie wódki i odchylił się na oparcie krzesła. Przez chwilę spoglądał w milczeniu przez okno, jakby się nad czymś namyślał. Potem z wolna odwrócił się i spojrzał na Josefa.

- Mój ojciec był generałem - zaczął cichym głosem. - Generałem Armii Czerwonej. Walczył po stronie bolszewików w wojnie domowej. Był wybitnym dowódcą i z oddaniem służył partii - przerwał na chwilę. - Czy wiesz coś o czystkach? O stalinowskich czystkach?

Josef wzruszył ramionami.

- Wiem, że było coś takiego. Czytałem kiedyś przemówienie Chruszczowa, z któregoś tam zjazdu.

- Posłuchaj więc i spróbuj zapamiętać. W 1937 i 1938 r. z rozkazu Stalina zamordowano trzech z pięciu marszałków Związku Radzieckiego, trzynastu z piętnastu dowódców armii, pięćdziesięciu siedmiu z osiemdziesięciu pięciu dowódców korpusów, stu dziesięciu ze stu dziewięćdziesięciu pięciu dowódców dywizji, dwustu dwudziestu z czterystu sześciu dowódców brygad, siedemdziesięciu pięciu z osiemdziesięciu członków Najwyższej Rady Wojskowej i jedenastu wicekomisarzy wojennych. Procentowo

oznaczało to dziewięćdziesiąt procent wszystkich generałów i osiemdziesiąt procent pułkowników. I czystki nadal trwały, kiedy zaatakowali nas Niemcy. Mój ojciec był jednym z zamordowanych.

- To musiały być straszne czasy.

- To dlatego właśnie taki mały kraj jak Finlandia był w stanie miesiącami dawać nam w dupę. Dlatego właśnie straciliśmy dwadzieścia milionów zabitych. Z powodu jednego szaleńca, który bał się swojego własnego narodu.

- I dlatego teraz robisz to, co robisz?

- Niezupełnie.

- Są jeszcze inne powody?

- Słyszałeś kiedyś o Workucie?

- To chyba okręg górniczy?

- Tak. Co jeszcze wiesz o Workucie?

- Chyba nic więcej.

- Moja matka była dużo młodsza od ojca. Kiedy NKWD przyszło po niego, oboje leżeli już w łózkach. Była druga nad ranem. Wywalili drzwi, było ich sześciu. Na oczach matki bili go gumowymi pałkami. Potem bili ją, a jemu kazali się przyglądać. Miała wtedy dwadzieścia lat. Na koniec zgwałcili ją na jego oczach, wszyscy po kolei. Kiedy skończyli, zastrzelili ojca i zabrali matkę ze sobą. Zesłali ją, jak przedtem tysiące innych, do łagru, właśnie w Workucie.

Na bladej twarzy Josefa pojawiły się łzy. Kiedy się odezwał, drżał mu głos.

- To potworne... To jakiś koszmar... Tak strasznie mi przykro...

- Urodziłem się w łagrze, osiem miesięcy później. Tam się wychowywałem, wśród dziesiątek tysięcy więźniów zmuszanych do niewolniczej pracy i traktowanych przez strażników jak zwierzęta. Strażnikom wolno było wszystko. Mogli człowieka zagłodzić na

śmierć.

Mogli cię bić i zabijać. I robili to wszystko. Ale po wojnie pojawiła się nowa fala więźniów. Byli to oficerowie armii Własowa i Krasnowa. Kiedy w 1946 roku moja matka zmarła z gorączki i wycieńczenia, jeden z nich zaopiekował się mną. Chronił mnie, uczył wszystkiego, zachęcał do pozostania przy życiu. W czterdziestym ósmym w obozie wybuchło powstanie. Przewodzili mu byli oficerowie Armii Czerwonej. Zabrali broń strażnikom i pięć tysięcy ludzi wyszło z obozu. Chcieli rozpocząć wojnę partyzancką w lasach. Zabrali mnie ze sobą; miałem wtedy 11 lat. Kiedy dotarliśmy do tundry, Moskwa wysłała samoloty. Posiekały nas na kawałki. Pięćdziesięciu osobom udało się przeżyć, wśród nich i mnie. Zawieźli nas z powrotem do Workuty. Byłem bity i wykorzystywany seksualnie, ale przetrwałem. W 1950 r., kiedy Amerykanie zaczęli bić komunistów w Korei, Moskwa postanowiła zlikwidować wszystkie łagry na Krymie. Siedziało w nich wówczas ponad milion ludzi. Kiedy zaczęło się masowe rozstrzeliwanie więźniów, wieść o tym dotarła do Workuty i wybuchło tam nowe powstanie. Tym razem lepiej zorganizowane – przez pułkownika nazwiskiem Antonow – zamilkł na chwilę, a potem dodał tylko: – Udało mi się uciec.

Josef westchnął ciężko.

- Co się później z tobą stało?

Po twarzy tamtego przemknął cień uśmiechu.

- Jestem tutaj.

- Ale czym się zajmujesz w Moskwie?

- Wykładam na uniwersytecie, wiesz przecież.

- Ale spędzasz tam bardzo niewiele czasu; jak ci się to udaje?

- Są różne sposoby.

Oktiabr wstał.

- Lepiej się trochę prześpij, ja zresztą też to zrobię.

Rozdział XXIII

Wheeler stał samotnie w pokoju Owalnym i wyglądał przez okno nic nie widzącym wzrokiem. O tej wczesnej, porannej godzinie czuł, że miałby chęć pomodlić się. Nie był pewien, czy byłaby to prośba o wskazanie drogi, czy o pobłogosławienie podjętej już decyzji. Prywatnie nie był wierzący, ale jako prezydent musiał od czasu do czasu brać udział w uroczystościach kościelnych. Starał się przede wszystkim o to, żeby nie faworyzować ani protestantów, ani katolików i traktować wszystkie wyznania jednakowo. Jednak pomimo, że przyczyny, dla których uczęszczał do kościoła, były wyłącznie oficjalnej i politycznej natury, atmosfera ceremonii kościelnych robiła na nim zawsze duże wrażenie. Zazdrościł ludziom, którzy potrafili wierzyć. To pomagało uwolnić się choć w części od odpowiedzialności. Prośby tych ludzi nie lądowały na biurku w pokoju Owalnym, lecz wędrowały dużo dalej i wyżej.

Gdy jego sekretarz wprowadził Brodsky'ego i Curnowa, Wheeler powrócił na ziemię i nieprzyjemne uczucie pewnego niezdecydowania ustąpiło. Był to powrót do świata polityki i decyzji, świata, w którym umiał się doskonale poruszać.

Skinął głową.

- Witam, panie sekretarzu, witam generale. Proszę się rozgościć.

Generał Curnow wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać generał. Był otyły, opalony i na tyle staromodny, by wciąż strzyc się na rekruta. Pod jego opiętym mundurem rysowały się potężne mięśnie. Kiedy już się usadowili na krzesłach przed jego biurkiem, Wheeler również usiadł.

- Wałkowaliśmy tę sprawę już mnóstwo razy, wysłuchaliśmy opinii ekspertów, zarówno za, jak i przeciw. Tak więc teoretycznie nie powinniśmy mieć żadnych wątpliwości i nie chcę przez to powiedzieć, że je mam. Chciałbym jednak po raz ostatni omówić to jeszcze raz z wami. Może to coś pomoże, jeśli powiem, że w moim przekonaniu zamierzamy postąpić słusznie. Chciałbym się jednak jeszcze raz upewnić, że nie przeoczyliśmy żadnych negatywnych aspektów sprawy. Jeśli więc któremuś z was, panowie, albo z waszych doradców przyszło coś takiego do głowy, to w tej chwili jest właśnie czas, żeby o tym powiedzieć. Następnej możliwości nie będzie. Jak już nacisnę guzik, to nie da się go wyciągnąć z powrotem.

Odchylił się na oparcie krzesła.

- Niech pan mówi pierwszy, panie sekretarzu.

- Jak pan wie, sir, na papierze wszystko to wygląda korzystnie dla nas. Wydaje mi się jednak, że powinniśmy pamiętać, iż mamy w sumie do czynienia z ludźmi znajdującymi się pod maksymalną presją, a w takich warunkach nie zawsze jest miejsce na logiczne myślenie. Możemy dokładnie rozważyć, jakiego rodzaju nacisk będziemy chcieli zastosować, możemy spróbować wyobrazić sobie, jak my sami zareagowalibyśmy na tego rodzaju presję, jesteśmy też w stanie przewidzieć, w jaki sposób mogą zareagować przywódcy bardziej agresywni, ale tak czy inaczej wszystko w końcu będzie zależec od ludzi, którzy nie są ani profesorami logiki, ani historykami. Ludzie, o których mówię, szarpani są przez rywalizację i wewnętrzne spory. Są to ludzie, którzy widzą, jak chwieje się władza sprawowana przez nich nad własnym krajem. Ludzie, którzy w swym stosunku do pokoju i wojny różnią się nie tylko od nas, ale także pomiędzy sobą. I to jest jedyny aspekt całej sprawy, w którym możemy popełnić błąd. Wheeler skinął głową.

- Zgadzam się, za chwilę do tego wrócimy. Teraz pański pogląd, generale.

- Opinia Pentagonu nie uległa zmianie, panie prezydencie. Gdyby to w stosunku do nas użyto presji, którą chcemy zastosować wobec Moskwy, nie mielibyśmy, będąc przy zdrowych zmysłach, innej możliwości, jak tylko postąpić zgodnie z narzuconym nam scenariuszem. W czysto wojskowych kategoriach nie mają po prostu wyboru. W tej chwili, wraz z naszymi sojusznikami, pod każdym względem mamy nad nimi przygniatającą przewagę. Tylko ktoś całkowicie niekompetentny w sprawach wojskowych mógłby im doradzać podjęcie wyzwania. Zresztą opinii w tej sprawie nie będzie w stanie wydać jeden człowiek. Będą musieli skonsultować się co najmniej z dwudziestoma czy trzydziestoma czołowymi specjalistami. I jestem przekonany, że nie będą oni doradzać konfrontacji. Ich wojskowym nie brakuje kompetencji ani doświadczenia. Mogą być wojowniczo usposobieni, ale przecież nikt nie będzie ich pytał o nic innego, jak tylko o to, czy są w stanie zagwarantować Związkowi Radzieckiemu sukces w wypadku podjęcia rękawicy. A to jest niemożliwe, panie prezydencie. I ponieważ są profesjonalistami, nie dadzą takiej gwarancji - Wheeler ponownie skinął głową.

- Gdybyśmy zamienili role w tym scenariuszu, co by pan mi powiedział?

- Powiedziałbym panu, panie prezydencie, że jeśli podejmiemy walkę, zostaniemy pobici.

- A jeśli mimo to kazałbym panu ją podjąć?

- Wówczas wydałbym natychmiast odpowiednie rozkazy.

- Zostałyby wypełnione?

- Nie mam wątpliwości, sir, że tak. Wheeler spojrzał na obydwu mężczyzn.

- W takim razie pozostaje nam tylko zdecydować, czy istnieje jakakolwiek możliwość, że Biuro Polityczne zignoruje fakty i rozkaże swym generałom podjąć walkę. Jakie są panów opinie w tej sprawie?

- Jestem pewien, panie prezydencie, że jeśli ich wojskowi otrzymają rozkaz walki, to będą walczyć - odparł generał Curnow. - Być może będą protestować i żądać formalnych rozkazów na piśmie. I na pewno sporządzą pisemne raporty o swoich wątpliwościach co do wyniku tej walki.

Wheeler zwrócił się do Brodsky'ego.

- A więc, panie sekretarzu? Jak pan sądzi, czy Biuro Polityczne wyda takie rozkazy nawet wbrew ostrzeżeniom swych generałów?

- Spójrzmy, z jaką sytuacją będą mieli do czynienia. Ferment w krajach tak zwanego Układu Warszawskiego - ferment w samym Związku Radzieckim - aktywne wyrazy niezadowolenia i miejscami otwarty bunt. Cała Europa, z wyjątkiem Finlandii, gotowa do podjęcia jakiejś wspólnej akcji. To już samo w sobie stanowi dość zniechęcającą perspektywę. A jeśli jeszcze do tego my zagramy naszą ostatnią kartę, ich najkoszmarniejsze obawy staną się rzeczywistością. Mieć niemal cały świat przeciwko sobie to już trochę za wiele. Spróbujmy jednak postawić hipotezę, że Politbiuro jest podzielone dokładnie na połowę. Jedna połowa dąży do ugody, druga do walki; co wtedy? Od jastrzębi zażąda się, żeby wyjaśnili, co spodziewają się osiągnąć. I cóż takiego będą mogli zaoferować? Tylko jedno. Ze nim upadną, zmuszą resztę świata, a szczególnie nas, do zapłacenia strasznej ceny - Brodsky przerwał na chwilę. - Nie są w stanie zaproponować nic więcej, panie prezydencie, a to niezbyt hojna oferta. Co może z kolei zaoferować druga strona? Uniknięcie zniszczenia i utraty części radzieckiego terytorium. Wojsko i uzbrojenie pozostają nietknięte. No i pojawia się

możliwość wypracowania rzeczywistego traktatu rozbrojeniowego, który pozwoli im przestawić część środków produkcji ze zbrojeń na zaspokajanie potrzeb ludności. Pojawia się szansa przedstawienia siebie jako tych, którzy uratowali pokój, jako przywódców, polityków twórczych i myślących. No i na koniec – a nie jest to rzecz bez znaczenia – szansa uratowania własnego życia.

- Jednak jest w tym pewien haczyk, panie sekretarzu. Rozpoczęcie wojny może im pomóc w uporaniu się z problemami wewnętrznymi. Może zjednoczyć kraj. Czy to nie stanowi dla nich również pewnej możliwości?

- Nie wydaje mi się, panie prezydencie. A to z dwóch powodów. Przede wszystkim stoją oni w obliczu sytuacji, którą przed chwilą opisałem. Sytuacji nieuniknionej klęski, pomimo zniszczeń, które będą w stanie nam zadać. Po drugie, nawet jeśli by zlekceważyli ten aspekt sprawy, nadal będą mieli do czynienia z problemami wewnętrznymi. Nasze rozwiązanie będzie dla nich oznaczać pomoc w uporaniu się z nimi, bez obawy o utratę twarzy. Tylko garstka ludzi będzie wiedziała, dlaczego rzeczywiście spuścili z tonu, a będą to ludzie żywotnie zainteresowani w tym, żeby nie ujawniać swojej wiedzy. Zresztą, gdyby nawet któryś z nich zdecydował się mówić, nie byłby w stanie przedstawić żadnych dowodów na poparcie swych słów, ponieważ takie dowody po prostu nie będą istniały. Po całej sprawie nie pozostanie ani skrawek papieru. Ze względów bezpieczeństwa zrezygnowaliśmy nawet z nadania jej kryptonimu operacyjnego.

- A po której stronie stanie przewodniczący Orłów?

- Po naszej.

- Czemu jest pan tego taki pewien?

- Jeżeli pójdzie na to drugie rozwiązanie, będzie przegrany niezależnie od tego, co się stanie. Naród radziecki nie chce wojny

i człowiek, który by go do niej popchnął, będzie skończony, niezależnie od jej rezultatu. Miliony Rosjan zginęłyby już w pierwszym dniu. Orłow jest za sprytny na to, żeby pozwolić generałom zrobić z siebie kozła ofiarnego. Jeżeli natomiast okaże się człowiekiem, który wyciągnie Związek Radziecki z tej całej awantury, to może nie martwić o swoje stanowisko aż do końca życia. Nikt nie będzie w stanie go usunąć.

- A dlaczego sugeruje pan Wiedeń jako miejsce spotkania? - spytał prezydent.

- To blisko Moskwy.

- Czy to jedyny powód? Brodsky uniósł się lekko na krześle.

- Wydawało mi się, że to odpowiednie miejsce. To przecież właśnie w Wiedniu Chruszczow załatwił Kennedy'ego zaraz na początku jego kadencji.

- O tym proszę zapomnieć. Nawet ci ludzie, którzy jeszcze to pamiętają, uznają to tylko za małosłowny rewanż. Co jeszcze pan proponuje?

- Szwajcaria.

- Nie. Za bardzo kojarzy się z ONZ i Ligą Narodów.

- Irlandia?

- Świetnie, ale nie Dublin. Czy Irlandczycy się zgodzą?

- Jeszcze ich nie pytaliśmy. To by niepotrzebnie poszerzało krąg tych, którzy „muszą wiedzieć”.

- Załatw to w takim razie, Joe. Tak cicho i nieoficjalnie jak to tylko możliwe. Ja dzisiaj porozmawiam z ich premierem. Nie będę go wtajemniczał w szczegóły. Powiem tylko, że chodzi o najwyższy szczebel i że chcę, żeby się ze mną spotkał i wyraził zgodę - jeśli oczywiście uzna to za możliwe.

- Dobrze, panie prezydencie. Mogę być przy tym, jak pan będzie dzwonił?

- Oczywiście. Zaraz to zrobię. Wheeler sięgnął po telefon.

- Proszę mnie połączyć z premierem Republiki Irlandzkiej. Gdziekolwiek się teraz znajduje... Co?... No to proszę go obudzić, na Boga!

Godzinę później Brodsky był już na pokładzie samolotu lecącego w eskorcie myśliwców ponad Atlantykiem. Później eskortę przejęły inne myśliwce, które wystartowały z lotniskowców wysuniętych daleko na zachód w głąb Północnego Atlantyku.

Colm O'Brien nie był wytrawnym wędkarzem, uwielbiał jednak spokój i ciszę i kochał piękno wędzisk i kołowrotków. Trzydziestostopowa łódź typu Seamaster była najdroższym zakupem, jakiego kiedykolwiek dokonał, nie licząc domu w Dublinie, i wciąż jeszcze był za nią winien bankowi w ratach ponad 4000 funtów. Na urodziny dostał od dzieci nową wędkę Hardy'ego i szwedzki kołowrotek. Wybierali się właśnie całą rodziną nad jezioro Lough Derg, żeby spędzić weekend na łodzi, kiedy telefon z Waszyngtonu pokrzyżował ich plany. Ponieważ Amerykanie domagali się zapewnienia maksimum bezpieczeństwa, przekonał ich, że łódź zakotwiczona na Lough będzie najlepszym miejscem dla takiego spotkania. Spodziewał się teraz Brodsky'ego lada chwila, ponieważ doniesiono mu, że jego samolot wylądował już na lotnisku Shannon. Wyrzucając spinning daleko w wodę, O'Brien nieomal czuł na sobie spojrzenia kilkudziesięciu par oczu i lornetek, które - jak dobrze wiedział - obserwowały go z lasów i zarośli porastających brzegi Lough.

W wieku 55 lat O'Brien wciąż jeszcze miał marchewkoworude włosy, jednak brak mu było popędliwości charakterystycznej rzekomo dla rudowłosych. Był łagodnym, choć upartym w dążeniu do celu człowiekiem o sympatycznej powierzchowności

i komentatorom politycznym nigdy nie udało się w zadowalający sposób wyjaśnić, co właściwie spowodowało, że jego wyniesienie na wyżyny irlandzkiej polityki dokonało się z taką oczywistością. Był zarówno typowym Irlandczykiem, jak i postacią wręcz kontrowersyjnie nieirlandzką. Jego powściągliwość pozwalała mu dostrzegać małość i chciwość wielu ludzi, z którymi miał do czynienia. Zaś jego irlandzkość pozwalała mu ich zrozumieć. Dokonywał w myśli osądów, lecz nigdy nie odczuwał potrzeby obnoszenia się z nimi, czy to publicznie, czy prywatnie. Toteż kiedy po szeregu najróżniejszych schizm i potyczek, które cechują politykę większości normalnych krajów, nadszedł dzień, w którym pole nagle opustoszało, okazało się, że nietknięty pozostał na nim nie Colm O'Brien. Nikt nie był tym specjalnie zdziwiony i tak niewielu się z tego ucieszyło, tak również niewielu protestowało, kiedy został premierem. W miarę upływu lat udało się jednak uleczyć stare rany, wygładzić zadry, wprowadzić kraju technokratyczno-meniadżerski styl rządzenia i spowodować przystosowanie się do niego obu partii reprezentowanych w Dail - irlandzkim parlamencie. Negocjacje, jakie prowadził z Londynem, pozwoliły na przybliżenie rozwiązania sprawy Belfastu tak dalece, jak nie udało się nikomu przed nim. Nie były to propozycje płynące z jakiegoś objawienia ani szczególnie oryginalne, po prostu wyraził głośno to, co większość obywateli Irlandii myślała po cichu, lecz nigdy nie odważyła się wyrazić otwarcie. Irlandczycy posiadali spore poczucie sprawiedliwości, z wyjątkiem sytuacji, które miały swe korzenie w historii - wówczas bowiem ich pamięć stawała się ogniskiem zapalnym, podsycanym zarówno przez fakty jak i przez mity. Colm O'Brien był pierwszym premierem Irlandii, który miał odwagę złożyć protestantom z Ulsteru ofertę, której odrzucenie byłoby świadectwem ich politycznej i ekonomicznej głupoty. Do

osiągnięcia ostatecznej ugody brakowało jeszcze roku czy półtora, kiedy nastąpiła interwencja radziecka.

Rosjanie zachowali się tak, jak gdyby nigdy przedtem nie słyszeli o problemie irlandzkim. Nie było mowy o żadnych konsultacjach czy negocjacjach. Posiadacze paszportów irlandzkich dostali tydzień na opuszczanie Wielkiej Brytanii. W Belfaście konfiskata kartotek policyjnych dotyczących Ulsterskich Sił Obronnych pozwoliła Rosjanom wytrzebić wszystkich, którzy kiedykolwiek zostali odnotowani jako członkowie IRA. Ulster stał się jedynym rejonem Zjednoczonego Królestwa, w którym Rosjanie wykazali się brutalnością i okrucieństwem od samego początku, szczególnie w odniesieniu do katolików i republikanów. Wielu spodobała się ta bezwzględność. Związek Radziecki w ciągu dwóch miesięcy rozwiązał problem, który wydawał się być nierozwiązywalny od ponad sześćdziesięciu lat. Chcesz być Irlandczykiem? To bardzo pięknie - wracaj do Republiki i nie pokazuj się w Anglii. Protesty rządu irlandzkiego zostały całkowicie zignorowane. Jediną odpowiedź stanowiły lotniskowce i okręty wojenne w zatoce Foyle i w Zatoce Belfastu. Rosjanie niemal z dnia na dzień dokonali tego, czego Jego Eminencja Ian Faisley nie był w stanie osiągnąć przez dziesięciolecie. Wielu Brytyjczyków kiwało z zadowoleniem głowami. Zawsze uważali za nienormalną sytuację, w której Irlandczycy strzelali do angielskich żołnierzy w Ulsterze, podczas gdy strumień obywateli irlandzkich wciąż płynął z Republiki do Anglii w poszukiwaniu pracy, zasiłków, świadczeń Narodowej Służby Zdrowia, ułatwień w rozwodach i przerywaniu ciąży. Ta euforia nie trwała jednak długo. Jak to bywa w wielu skłóconych ze sobą małżeństwach, czas użyczył historii perspektywy, która pozwoliła obu niedawnym przeciwnikom zdać sobie sprawę z tego, że się nawzajem potrzebują. Tymczasem niczego nie rozumiejący

ignorant z zewnątrz jednym ruchem zepchnął całą ich historię na margines; reszta świata od dawna zaś już miała dość zwodzeń i obłudy obu stron konfliktu. Nawet dla „zawodowych” Irlandczyków w Bostonie i Nowym Jorku była to tylko jednodniowa sensacja. Świat zachodni zmagął się ze swymi własnymi problemami, zaś postępowanie Rosjan miało w sobie pewną ponurą logikę, pomijając oczywiście fakt, że ich panowanie nad Północnym Atlantykiem stało się już teraz niepodważalne.

Colm O'Brien zdawał sobie sprawę z tego, że użeranie się z Rosjanami nie może nikomu przynieść żadnych korzyści i odczuwał pewną ulgę na myśl o tym, że ulsterski wrzód przestał mu wreszcie dokuczać. Amerykanie utrzymywali stały, przyjacielski kontakt z Dublinem i O'Brien nie protestował wobec żadnej ze stron, kiedy zarówno Związek Radziecki jak i Stany Zjednoczone niemal podwoiły obsadę swych ambasad. Dyplomaci radzieccy mieli prawo poruszać się swobodnie tylko w zasięgu pięciu mil od Dublina i poddano ich stałej obserwacji; poza tym jednak większość spraw obie strony załatwiały przy zachowaniu wszelkich reguł dyplomacji.

Wyciągając haczyk z kolczastego pyska kolejnego pasiastego okonia, O'Brien spostrzegł helikopter nadlatujący od strony Mountshannon, niewielkiej wioski, która stanowiła bazę dla jego rybackich wypraw. Jej mieszkańcy byli przyzwyczajeni do częstych przylotów i odlotów związanych z jego obecnością i włączyli je już w normalny nurt życia wioski, zadowolonej z dodatkowych korzyści, jakie niewątpliwie przynosiły. Dlatego też widok helikoptera nie był dla nich niczym nadzwyczajnym, podczas gdy pojawienie się wielkich, czarnych limuzyn pełnych znanych im z telewizji i gazet osobistości na pewno wywołałoby popłoch.

Potem zobaczył, jak od pomostu po drugiej stronie jeziora odbija

łódź motorowa i kieruje się w jego stronę. W wiosce paliły się już światła i O'Brien również włączył światło nawigacyjne w swojej łodzi, a później zszedł do kabiny, żeby zaciągnąć zasłony przed włączeniem oświetlenia wnętrza.

Łódź wyhamowała zgrabnie tuż przed odbijaczami i O'Brien wyciągnął rękę, by pomóc wysiąść Brodsky'emu. Kiedy Amerykanin znalazł się już na pokładzie, O'Brien kiwnął głową do dwóch ludzi na motorówce.

- Jak będę was potrzebował, zgłoszę się przez radio.

- W porządku, sir.

O'Brien położył rękę na ramieniu Amerykanina.

- Cieszę się, że cię znów widzę, Joe. Pomyślałem sobie, że na łodzi nikt nam nie będzie przeszkadzał, a w dodatku może nam się i wydawać, że jesteśmy na wakacjach, a nie że ubijamy jakiś interes.

- Świetnie, panie premierze. Gdzie mogę położyć torbę?

- Zostaw ją tu. Jadłeś coś?

- Tak. Jadłem w samolocie.

- W takim razie napijmy się. Będziesz mógł spokojnie pozbierać myśli.

O'Brien otworzył butelkę „Jamesona” i nalewając whisky do szklaneczek, powiedział: - Rozumiem, że się raczej spieszysz, Joe. W takim razie wal od razu, o co chodzi.

- Najpierw trochę wstępnych ceregieli, Colm - odparł Brodsky z uśmiechem. - Dla nas jest mianowicie bardzo ważne, żeby z twojej strony nie było to na zasadzie „ale ja muszę wiedzieć”, i z góry musisz mi wybaczyć, jeśli będę się upierał przy swoim.

- Nie ma sprawy, przyjacielu, po prostu włącz nadawanie.

- Chcemy zorganizować spotkanie i chcielibyśmy, żeby jego treść jak i zawarty ewentualnie układ nie były znane nikomu poza

osobami, które wezmą w nim udział, a także, żeby nikt nie znał nazwisk uczestników. W końcu, żeby o samym fakcie jego odbycia się wiedziała również jak najmniejsza ilość ludzi.

O'Brien zmarszczył czoło.

- Hm, nie jest to niemożliwe. Rozumiem, że chcecie zorganizować to na moim terenie.

- Tak.

- A kto weźmie w tym udział?

- To właśnie problem numer jeden. Powiem ci, jeśli postawisz taki warunek, ale bardzo bym nie chciał tego robić - Brodsky spojrzał O'Brienowi w oczy. - Tak naprawdę to nie jest wcale konieczne, żebyś wiedział, Colm.

- Słuchaj, Joe, mnie korona z głowy na pewno nie spadnie, ale moi spece od bezpieczeństwa będą chcieli mieć jakieś pojęcie na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

- Niemożliwe, żeby coś poszło nie tak. W tym wypadku kwestie bezpieczeństwa będą się odnosić tylko do ludzi wiedzących, gdzie się to odbędzie i kto weźmie udział. Wolelibyśmy nie mieszać w to ani Gardai, ani wojska, ani twojego wywiadu.

- A ile w sumie osób będzie zaangażowanych w całą sprawę?

- Około trzydziestu. To znaczy łącznie uczestników i obsługi.

- No to wybacz, ale taki tłumek nie będzie mógł pojawić się w Irlandii niezauważony.

- Mamy już na to bajeczkę, którą w razie czego poda się do prasy, Colm.

- Wypróbuj ją wpierw na mnie.

- Ekipa filmowa, która kręci film fabularny.

- Nie najgorzej - stwierdził O'Brien z uśmiechem. - Jak kogoś rozpoznają, zawsze będzie można powiedzieć, że to aktor, który gra jego rolę.

- No, coś w tym rodzaju.

- Ale to przecież mogliście zrobić sami. Dlaczego chcecie mnie w to włączyć?

- Z kilku powodów. Po pierwsze, chcieliśmy, żebyś wiedział. Potrzebne nam było twoje błogosławieństwo. Po drugie, mamy nadzieję uzyskać przy twojej pomocy pewne przywileje, na które normalna ekipa filmowa nie miałaby szans. Chociażby w kwestii lądowania samolotów, i tak dalej - Brodsky uśmiechnął się krzywo.
- Myśleliśmy nawet o tym, czy by nie puścić plotki, że wszystkie te udogodnienia wynikają z tego, że w produkcję zaangażowane są irlandzkie pieniądze. Po trzecie, jeśli to spotkanie przyniesie rezultaty, cały świat zapamięta na zawsze, gdzie się ono odbyło. Chcielibyśmy, żeby to była Irlandia i wydawało nam się, że tobie też mogłoby na tym zależeć.

O'Brien przez kilka chwil wpatrywał się w swoją szklaneczkę, a potem spojrzał w twarz Brodsky'ego.

- Prezydent ma bezpośredni związek z tą sprawą, czy tak?

- Tak - przyznał Brodsky z uśmiechem. - Ja jestem tylko posłańcem.

- Ale powiedz mi coś, Joe. Mówisz, że jeśli to spotkanie przyniesie sukces, to świat będzie pamiętał, gdzie się odbyło - O'Brien przerwał na chwilę. - A co, jeśli będzie kłapa?

Brodsky z wolna pokręcił głową.

- To niemożliwe, Colm. Żaden z uczestników nie będzie chciał do tego dopuścić. Po prostu nie będą mogli sobie na to pozwolić.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie, Joe. A co, jeśli będzie kłapa?

Brodsky westchnął ciężko i rozłożył ręce. - Wtedy jedyną pociechą pozostanie nam to, że dowiemy się, czy istnieje życie po śmierci. Ale to po prostu niemożliwe, żeby tak się stało, przyjacielu.

- No dobrze. A jak już wszyscy wylądują na Shannon, to co dalej?

- Może przychodzi ci do głowy jakieś miejsce niedaleko od lotniska, które moglibyśmy zająć na parę dni.
- Jest takie miejsce. Nawet niedaleko stąd. To niewielka posiadłość rządowa. Moglibyśmy ją wynająć twojej ekipie filmowej.
- Potrzebowalibyśmy tego na jakieś dwa tygodnie, Uczęc od ostatniego dnia przyszłego miesiąca.
- W porządku. Rzadko ktoś z niej korzysta. Umówmy się, że możecie nią dysponować w każdej chwili od dziś, pod warunkiem zawiadomienia nas dwa dni wcześniej.
- Możesz być pewien, Colm, że świat usłyszy o twojej współpracy, jak już będzie po wszystkim. Nie zapomnimy, że nam pomogłeś.
- Zapalę na twoją intencję świeczkę w kościele, Joe. I to dużą. Brodsky uśmiechnął się, a O'Brien dodał:
 - Wcale nie żartuję, mówię poważnie.
 - Wiem, że poważnie, Colm, wiem aż nadto dobrze - odparł Amerykanin.

Prezydent Wheeler widział już cały film godzinę wcześniej, usiadł jednak wraz z Brodskim i innymi w swoim prywatnym pokoju, aby obejrzeć jego skrót w dzienniku. Wszystkie trzy główne 'sieci telewizyjne uznały to za czołową wiadomość dnia.

Film był ziarnisty, o rozmytych kolorach, ale pokazywał ujęcie ukazujące główny kompleks fabryki. Na tle odgłosów strzałów z karabinu maszynowego można było zobaczyć i usłyszeć wylatujące z trzaskiem szyby z okien budynku administracji. Działo się to wszystko w wielkiej fabryce traktorów w pobliżu Kijowa.

Potem na pierwszym planie pokazał się transporter opancerzony, a za nim drugi. Przy głównej bramie skrzyły i skierowały się w stronę odlewni. Następne ujęcie zrobiono najwyraźniej jakiś czas

później. Ukazywało ono, już w bliższym planie, dwa czołgi T-55 stojące z rozerwanymi gąsienicami, a na ziemi wokół nich ciała kilku żołnierzy, w tle zaś okna, z których wydobywały się płomienie i dym. Następnie pojawiły się trzy ciężkie czołgi typu T-10 i zaczęły z wolna najeżdżać na zewnętrzne ogrodzenie z łańcucha, otaczające cały teren. Kiedy pierwszy czołg przedarł się przez ogrodzenie, dwa pozostałe podążyły za nim, a kamera przesunęła się, ukazując jeszcze cztery, czekające na swą kolej. Potem przez chwilę ekran migotał na różowo i pomarańczowo, kolor pomarańczowy na moment zmienił się w płomienie i znów nastąpiło cięcie. W następnym ujęciu widać było dymiące szczątki czołgów. Pocisk najwyraźniej rozerwał je na strzępy i nie przypominały teraz niczego poza stosem pogiętej stali. Widać było tylko jedno ciało, ubrane w mundur, którego poła poruszała się z wolna na wietrze. Gdy na ekranie ukazała się mapa ze strzałką, Wheeler pochylił się i wyłączył telewizor. Kiedy się wyprostował, rzekł do Brodsky'ego:

- Wygląda na to, że to już nie przelewki.

- Tak, panie prezydencie. To już nie są żarty. Zresztą raporty naszych ludzi od dawna mówiły, że ci, którzy to wszystko organizują, są gotowi pójść na całość.

- A jak się to skończyło?

- Moskwa przysłała bombowce. Zrównały wszystko z ziemią.

- Czy ktoś się uratował?

- Kilkunastu ludzi wydostało się, zanim zaczęło się bombardowanie. Najwyraźniej mieli takie rozkazy. To któryś z nich musiał wynieść ten film.

- A jakie były reakcje w samym Związku Radzieckim?

- Wojsko i KGB otoczyły kordonem cały teren. W środkach przekazu oficjalnie podano, że była to przypadkowa eksplozja w kijowskiej fabryce traktorów. Tyle, że w samym Kijowie mieszka

dwa miliony ludzi, którzy doskonale wiedzą, co się stało. Sprawy nie da się długo utrzymać w tajemnicy. Zresztą Głos Ameryki nadał już na ten temat audycję i przekazuje jej treść wszystkim agencjom prasowym.

Wheeler kręcił w zamyśleniu głową.

- Cóż to muszą być za niesamowici ludzie.

- Przede wszystkim zdesperowani, panie prezydencie. Ten kocioł musiał wybuchnąć prędzej czy później, nawet bez naszej pomocy.

- Tak, niby o tym wiedziałem, przecież wszystkie raporty od lat mówiły to samo. A jednak nigdy nie byłem w stanie uwierzyć, że mogłoby rzeczywiście dojść do czegoś takiego.

- To jeszcze nie koniec, panie prezydencie. Wheeler spojrzał uważnie na Brodsky'ego. - Nasi?

- Nie. To znaczy nasi i ich. Ściślej mówiąc, tysiące ich ludzi i garstka naszych.

- Na co oni właściwie liczą w tym wszystkim?

- Na odrobinę wolności, panie prezydencie. Na szansę pokierowania własnym losem, na uczciwe sądy i prawo do mówienia głośno tego, co się myśli, bez obawy przed zbirami z tajnej policji. - Przerwał na chwilę. - Na wszystkie te rzeczy, które nam jakże często wydają się aż tak oczywiste.

W ciągu następnych siedmiu tygodni wydawanie przepustek tak w Armii Czerwonej, jak w KGB zostało całkowicie wstrzymane. Dla Orłowa i całego Biura Politycznego był to długi, nie kończący się koszmar. W początkowych fazach rozwoju sytuacji, aby zapobiec sabotażom w zakładach przemysłowych i w łączności wysyłano wojsko całymi batalionami. Jednak okazało się, że nie przynosi to już takich rezultatów jak w przeszłości. Tym razem nie było już tak gładko. Ludzie podejmowali walkę. Oddziały często dostawały się

pod ostrzał i wielu żołnierzy zostało zabitych lub rannych. W niektórych miejscowościach nadawano przez głośniki przemówienia do żołnierzy, z apelem, żeby nie otwierali ognia do rodaków. W kilku odosobnionych wypadkach apele te odniosły pewien skutek. Wiele miast zostało całkowicie zablokowanych odciętych od świata, niezależnie od tego, czy były ogniskami buntu, czy też nie.

Wkrótce okazało się, że konieczne będzie ściągnięcie posiłków innych krajów Układu Warszawskiego, a nawet niektórych Oddziałów Wojsk Ochrony Pogranicza. W co najmniej kilkunastu miejscowościach rozmiary buntu były bardzo duże. Oprócz sabotaży i strajków odbywały się siedzące demonstracje i marsze protestacyjne. Próby reagowania z wyprzedzeniem w przewidywanych ogniskach zapalnych spowodowały, że władzom zaczęło niemal brakować posiłków. Zaczęto nawet rozważać możliwość zbombardowania najbardziej niespokojnych miast, jednak przewidywane skutki były zbyt przerażające; poza tym mimo całkowitej blokady informacji wiadomości o rozruchach przeciekały jednak na zewnątrz kraju, a świat przyglądał się temu bardzo uważnie. W końcu fala wzburzenia zaczęła stopniowo opadać, ale dla ludzi z Kremla stało się oczywiste, że nie jest to sukces ich działań represyjnych, lecz, że to raczej dysydenci zdecydowali się rozluźnić swój nacisk na władze. Kreml prawidłowo odczytał sygnał - to nie był jeszcze koniec kłopotów. Było to ostrzeżenie. Jeżeli będzie trzeba, wszystko może się znów powtórzyć.

To właśnie po którymś z długich posiedzeń Biura Politycznego poświęconych tej sprawie Orłów otrzymał pilny telefon. Dzwonił osobiście prezydent Wheeler. Orłów zamknął się sam w swoim wewnętrznym biurze i tu odebrał telefon.

Rozdział XXIV

W Irish Times ukazała się niewielka notatka na temat amerykańskiej ekipy filmowej, która przybyła do Irlandii i wynajęła tu wiejską posiadłość w celu nakręcenia kilku scen do nowego filmu fabularnego mówiącego o wpływie wielonarodowców na politykę światową. Amerykanie przylecieli dwoma Boeingami 747 tuż po północy i natychmiast przesiedli się do autokarów zaparkowanych tuż za ogrodzeniem lotniska. Eskorta myśliwców odłączyła się od nich tuż przed wejściem w strefę kontroli powietrznej lotniska Shannon i powróciła na lotniskowce US Navy oczekujące na rozkazy w głębi Północnego Atlantyku. Wyładunek kamer, oświetlenia i aluminiowych skrzyń, w jakich duże ekipy filmowe zwykle przewożą sprzęt, odłożyli specjalnie do południa następnego dnia, tak aby mogło go obserwować więcej osób.

Posiadłość Stanhope House składała się z pałacu i kilku mniejszych budynków oraz należącego doń gruntu, którego większość zajmował okazały park przechodzący w las i malowniczo położone jezioro. Budynek pałacowy, pierwotnie wzniesiony w stylu georgiańskim, miał dwa skrzydła dobudowane znacznie później. Pomimo dobudówek nadal prezentował się stylowo. Park również tworzył wciąż elegancką całość utrzymywaną w doskonałym stanie przez kilkunastu kolejnych właścicieli.

Wnętrza urządzone były niemal w całości w stylu Adama, a cała reszta mieszkalna, składająca się z kilku apartamentów, stanowiła wspaniały przykład sztuki dekoracyjnej. Gobeliny pokrywające ściany dobrane były starannie do delikatnych i pełnych wdzięku

rokokowych mebli i dodatków, których złocenia i marmury odrestaurowane zostały z pieczołowitością godną ekspertów.

Amerykanie podzieleni byli na dwa zespoły, które miały przed sobą jeszcze dwa dni prób, toteż natychmiast po przybyciu na miejsce zabrały się do pracy. Obydwa zespoły składały się z najwyższej klasy specjalistów od wywiadu, pracowały ze sobą już od sześciu miesięcy i weszły już w swoje role tak głęboko, że symulowane przez nie antagonizmy i rywalizacje mogły się wydawać niemal rzeczywiste.

Pierwszy zespół składał się z ludzi, których rozeznanie w radzieckiej polityce i wojskowości nie miało sobie równych. Karmieni informacjami i danymi ze wszystkich źródeł dyplomatycznych i wywiadowczych, które były prawdopodobnie dostępne Moskwie, prowadzili dzień po dniu symulowane współzawodnictwo z drugą grupą, która odgrywała stronę amerykańską. Obydwa zespoły rzadko spotykały się razem i codziennie stawiano je w obliczu nowych sytuacji, na które musiały reagować tak, jakby były rzeczywiście ekipami rządzącymi Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi.

Równolegle pracowały dwa zespoły oceniające, które w trakcie rozgrywania kolejnych scenariuszy nieustannie porównywały i zestawiały reakcje i działania podejmowane przez dwie grupy uczestników gry symulacyjnej.

Po pierwszych dwóch miesiącach symulowane działania osiągnęły niemal stuprocentową zbieżność z rzeczywistymi. Zespół grający Rosjan w swych reakcjach na wiadomości płynące ze świata zachowywał się niemal identycznie jak odgrywane przezeń prawdziwe władze radzieckie. Odtwórcy ról poszczególnych przywódców radzieckich zaczęli nawet na co dzień posługiwać się charakterystycznym dla nich językiem, łącznie z jego wszystkimi

zafałszowaniami i kruczkami słownymi.

Pod koniec sześciomiesięcznego okresu gry reakcje zespołu na bieżące wydarzenia światowe stanowiły już lustrzane odbicie reakcji jego radzieckich odpowiedników. W ciągu ostatnich dwóch tygodni przed przybyciem na Shannon scenariusz symulacji uległ zmianie i obydwie zespoły były teraz stawiane w obliczu sytuacji, które w rzeczywistości miały się dopiero wydarzyć. Codziennie scenariusz ulegał drobnym modyfikacjom, aż w końcu można było przyjąć, że większość możliwych do przewidzenia odmian w reakcjach obu stron została wzięta pod uwagę.

Wheeler i Brodsky starannie przeanalizowali ostateczny scenariusz, a potem, na dwa dni przed przybyciem Rosjan, prezydent i odgrywający rolę Orłowa zaczęli się spotykać w cztery oczy, jedynie w obecności tłumaczy. W końcu, kiedy Wheeler zauważył, że za bardzo zaczyna polegać na danych ze scenariusza, ze szkoda dla swych własnych umiejętności elastycznego reagowania, uznał, że ma już dość. Miał uczucie, jak gdyby w jego organizmie płynęło więcej adrenaliny niż krwi.

Obydwie zespoły ćwiczyły nadal aż do ostatniej chwili – prezydent zaś wyłączył się ze wszystkiego, żeby maksymalnie się zrelaksować przed czekającą go ciężką próbą.

Lotnisko w Manchesterze zamknięto na dwie godziny przed wylądowaniem samolotu Orłowa. Następnie Rosjanie przesiedli się do helikoptera, który wystartował w kierunku Belfastu. Żaden z Anglików ani nikt spośród Rosjan w Manchesterze i w całym Zjednoczonym Królestwie nie zdawał sobie sprawy z tego, że to sam I sekretarz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i przewodniczący Rady Najwyższej ZSRR wylądował właśnie na kilkanaście minut w Anglii i natychmiast odleciał w dalszą drogę. Helikopter został odnotowany w księdze raportów służby kontroli

ruchu lotniska Shannon jako transport sprzętu dla amerykańskiej ekipy filmowej i wylądował bez przeszkód w białym kole wytyczonym na trawniku przed frontem Stanhope House. Pozostali członkowie delegacji radzieckiej, w sumie dwanaście osób, przylecieli na Shannon osobnym samolotem i jako ekipa techniczno-doradcza filmu, na osobiste polecenie O'Briena przeszli tylko przez odprawę grupową, bez indywidualnych formalności celnych i paszportowych.

Wheeler pełnił honory domu wobec Orłowa. Ujął go pod rękę i poprowadził do skrzydła przeznaczonego dla delegacji radzieckiej. Orłow nie próbował nawet ukrywać swego gniewu i rozdrażnienia. Miał pobladłą i zszarzałą twarz, a jego gesty były nerwowe, niemal agresywne. Wheeler skonstatował, że dokonuje w myśli porównań zachowania się gościa w pierwszych chwilach spotkania z tym, które przewidziała grupa symulacyjna. Nawet biorąc pod uwagę, że te pierwsze chwile nie miały większego znaczenia dla całości, przewidywania te okazały się wręcz niewiarygodnie trafne.

Orłow nalegał, żeby spotkanie rozpoczęło się następnego dnia tak wcześnie, jak to tylko możliwe, i żeby do tego momentu nie było żadnych ani dyplomatycznych, ani towarzyskich kontaktów pomiędzy stronami. Żądał również, żeby ludziom z jego ochrony pozwolono zbadać skrzydło zajmowane przez Amerykanów. Wheeler odmówił.

Brodsky z Fomienką uzgodnili, że spotkanie rozpocznie się punkt dziewiąta rano. Kilka minut przed wyznaczonym czasem Wheeler, Orłow i dwaj tłumacze znaleźli się w niewielkim gabinecie położonym w głównej części budynku. Kiedy zegar wybił 900, obaj przywódcy usiedli naprzeciw siebie. Tłumacze zajęli miejsca u ich boku.

Wheeler rozpoczął swoją mowę wstępną.

- Panie przewodniczący, po naszej stronie tylko sześćdziesięciu trzech ludzi wie, że spotykam się tutaj z panem. Zaś jedynie siedmiu zna temat tego spotkania. Mam prawo przypuszczać, że pan również podjął podobne środki ostrożności - przerwał na chwilę, czekając na znak potwierdzenia. Nie doczekawszy się go, kontynuował. - Posunęliśmy się bardzo daleko w dążeniu do przekonania pana o naszej dobrej woli. Ujawniliśmy miejsca stacjonowania wszystkich naszych pocisków i pozostałych sił zbrojnych. Udowodniliśmy, że znane nam jest również rozmieszczenie rakiet i innych instalacji wojskowych w pańskim kraju. Przedstawiliśmy panu w szczegółach wszystkie aspekty naszych możliwości wojskowych aż do poziomu pojedynczych oddziałów i zdolności bojowej poszczególnych rodzajów broni. Ujawniliśmy też nasze słabości tam, gdzie je posiadamy. Przedstawiliśmy w sposób otwarty zakres prowadzonych przez nas badań planów rozwojowych w dziedzinie zbrojeń. Jedynym celem tego wszystkiego było stworzenie nam obu możliwości wspólnej oceny konsekwencji jakiegokolwiek konfliktu zbrojnego. Miał pan dość czasu na przestudiowanie moich propozycji i teraz z niecierpliwością oczekuję pańskiej odpowiedzi. Mogę jeszcze dodać, że choć nie informowałem i nie prosiłem o zgodę moich współpracowników, z wyjątkiem sekretarza stanu, mogę złożyć solenne zobowiązanie, że traktat, który mam nadzieję z panem podpisać, zostanie wprowadzony w życie z całą rzetelnością.

Wheeler przestał mówić, oczekując odpowiedzi, lecz Orłow po prostu siedział w milczeniu i słuchał tłumaczenia. Wheeler doskonale wiedział, że Rosjanin nieźle zna angielski. Kiedy tłumacz skończył, Orłow spojrzał na Wheelera.

- Żyje pan marzeniami, prezydencie Wheeler. Dziecinnymi i babskimi marzeniami, w których wszyscy żyją długo i szczęśliwie.

Świat, w którym naprawdę żyjemy, jest zupełnie inny.

Wheeler słuchał uważnie tłumacza, który przekładał słowa Orłowa na angielski. Nie były one dokładną kopią tych, które przewidywała gra symulacyjna, jednak sens wypowiedzi był niemal identyczny.

- Panie przewodniczący Orłowie, gdyby to było wszystko, co pan ma mi do powiedzenia, nie przybyłby pan tutaj. Więc proszę, niech pan mówi dalej.

- Moi generałowie twierdzą, że wyniki pańskiej analizy są błędne. Nie jesteście w stanie nas zniszczyć.

Wheeler z wolna pokręcił głową.

- Pańscy generałowie mają zbyt wiele doświadczenia i są zbyt kompetentni na to, by powiedzieć panu coś takiego.

Wheeler zauważył, że rozmawiają już bez pośrednictwa tłumaczy; dużo wcześniej, niż przewidywała to symulacja.

- Zresztą, przywiózł pan ze sobą swoich czołowych dowódców, panie przewodniczący. Niech siądą razem z moimi ludźmi i przedyskutują otwarcie całą naszą analizę. Może to coś pomoże. Jestem oczywiście pewien, że nie ulegliby pokusie wprowadzenia pana w błąd, ale jeszcze pewniejsze jest, że nie zechcą narażać swojej reputacji, próbując oszukać swych kolegów po fachu, albo mnie. Co pan o tym sądzi? - Wheeler czekał na odpowiedź niemal wstrzymując oddech. Jeśli Orłowie zgodzi się na tę propozycję, będzie to pierwszy zły znak. Orłowie wzruszył ramionami.

- Chce pan tego? - spytał bezbarwnym tonem.

- Chcę tylko, żebyśmy obaj nie mieli wątpliwości, iż dane, jakie panu przedstawiłem, są prawidłowe.

- Nie jest pan w stanie mnie przekonać, niezależnie od tego, co powiedzą pańscy ludzie. Płacicie im za to, żeby mówili to, co pan chce usłyszeć.

- Wie pan, że to nieprawda. Tak w odniesieniu do moich wojskowych, jak i do pańskich.

- Pana kraj tego nie przetrzyma, panie prezydencie Wheeler. To będzie wasz koniec.

- Nie, panie przewodniczący Orłow. To wasz kraj zostanie zniszczony. Nie pozostanie w nim ani jedno miasto, które nie obróciłoby się w ruinę. My wyjdziemy z tego poważnie poranieni, ale jednak przetrwamy.

- No dobrze, niech więc pan w końcu powie, dlaczego właściwie grozicie Związkowi Radzieckiemu.

Otwierając usta, by wygłosić kwestię kluczową dla całej rozmowy, Wheeler zaczerpnął głęboko powietrza.

- Ponieważ wiem, że tym razem musi mnie pan wysłuchać, panie przewodniczący. Ponieważ po raz pierwszy od czterdziestu lat pojawiła się szansa, byśmy przestali prowadzić zimną wojnę i przeznaczyci nasz czas i pieniądze na produkcję choćby lodówek zamiast Pershingów i SS-20.

- Niby dlaczego miałbym pana wysłuchać?

- Ponieważ zabrnęliście za daleko w zbyt wielu miejscach. Nawet jeśli my nie podejmiemy żadnej akcji przeciwko wam, to i tak w tej chwili podgryzają was ze wszystkich stron. W Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w NRD i w Bułgarii - we wszystkich tych krajach narastają dążenia niepodległościowe i wywierany jest na was coraz większy nacisk w tym kierunku. To już nie tylko paru dysydenckich poetów i pisarzy. Macie do czynienia z ludźmi, którzy są gotowi walczyć o niepodległość z bronią w ręku. W samym Związku Radzieckim ruch dysydencki przybrał na sile w niespotykanym dotąd stopniu, a wasze kłopoty żywnościowe i rynkowe są bezpośrednim skutkiem wyścigu zbrojeń. Wie pan równie dobrze jak ja, że okupacja Wielkiej Brytanii

zmieniła waszych przyjaciół w Europie we wrogów. Proponuję panu dużo więcej, niż pan na to zasługuje. Jest pan w tej chwili w sytuacji hazardzisty, który postawił wszystkie swoje pieniądze z wygranych na jedną kartę i przegrywa. A my proponujemy panu zwrot stawki.

- W tym pięknym obrazku zabrakło tylko jednej rzeczy. Ten hazardzista ma pistolet, którym celuje w pańskie jaja.

Wheeler postanowił zagrać następną wysoką kartę.

- Niech pan mi powie, Orłow, po co właściwie pan tu przyjechał?

- Żeby pana ostrzec. Spróbujcie tylko ruszyć palcem przeciwko nam, a przekonacie się, jak grubo się pomyliliście. Ale wtedy będzie już za późno.

- To znaczy, uważa pan, że nasze kalkulacje co do wyniku ewentualnej wojny jądrowej są błędne?

- Założą się o to z panem o każdą stawkę.

- W takim razie niech mi pan wyświadczy przysługę. Jaka byłaby pańska reakcja, gdybym miał rację, a pańscy generałowie to potwierdzili? Co by pan wtedy zrobił?

- Może wtedy próbowałbym ubić jakiś interes.

- Proszę powiedzieć, co by mi pan zaproponował?

- Wy wynosicie się z Europy, a my zostawiamy w spokoju Bliski Wschód i Amerykę.

- Oddalibyście Kubę?

- Jeśli byłoby trzeba...

- To znaczy, że nie zgadzamy się jedynie co do Europy?

- Nie zgadzamy się co do niczego, Wheeler. To tylko spekulacje, nic więcej.

- Dobrze, więc w tym naszym hipotetycznym biznesie wy żądacie, żebyśmy się wynieśli z Europy. Co to właściwie znaczy?

- Dokładnie to, co znaczy. Zostawcie ją w spokoju, jako naszą strefę wpływów.

- A co, jeżeli sami Europejczycy stawiają wam opór i będą walczyć o swoją wolność?

- Zgnieciemy ich. Z tym nie będzie problemu. Dwa tygodnie, więcej nam nie trzeba.

- Zaczynamy rozmawiać jak gracze, Orłowie; nie jesteśmy jednak graczami. Jesteśmy głowami państw. Spróbujemy wrócić do formalnego tonu. Czy Związek Radziecki pragnie pokoju, czy wojny?

- Pokoju. Zawsze pragnęliśmy tylko pokoju, mówiliśmy o tym tysiące razy. To Stany Zjednoczone nie chciały podpisać z nami traktatu pokojowego.

- Wie pan równie dobrze jak ja, dlaczego.

- Dlaczego?

- Ponieważ pokój, do którego wy dążyliście, oznaczałby, że będziecie zagarniać jedno państwo po drugim. Robiliście to zresztą i tak, pomimo SALT 1, pomimo Helsinek, Wiednia, Genewy i całej tej reszty.

- W każdym wypadku było to na ich wyraźne życzenie. Pomagaliśmy tylko ustanowić przyjazne nam rządy.

- Proponuję panu więcej, niż pan na to zasłużył. Wie pan chyba o tym.

- Cóż takiego pan w końcu proponuje? Proszę o konkrety.

Przez chwilę Wheeler wahał się, a potem rzekł:

- Czy potrzebujemy jeszcze tłumaczy, panie przewodniczący?

- Ja nie.

- Czy moglibyśmy ich poprosić, żeby zostawili nas samych?

- Jasne - Orłowie krótkim skinieniem głowy odprawił swojego tłumacza. Tłumacz Wheelera podążył za nim. Kiedy obaj wyszli. Wheeler spojrzał Orłowowi prosto w oczy.

- W takim razie do konkretów. Wycofujecie się z Wielkiej Brytanii i z krajów Układu Warszawskiego. Pozostajecie wyłącznie wewnątrz

własnych granic, zaś Związek Radziecki i Stany Zjednoczone podpisują traktat pokojowy zawierający obustronne gwarancje. Negocjujemy tu na miejscu układ rozbrojeniowy we wszystkich rodzajach broni, do łuków i strzał włącznie. I przechodzi pan do historii jako człowiek, który doprowadził do rzeczywistego pokoju, a uzyskane siły i środki przeznaczacie na rozwój pozamilitarnych gałęzi gospodarki.

- Oni tego nie kupią, Wheeler. Próbowałem już. Wojskowi twierdzą, że stać ich na więcej, niż pan sądzi, czy też sądzą pańscy eksperci. Twierdzą, że sytuacja jest na ostrzu noża i nawet jeśli my polecimy w przepaść, to pociągniemy was za sobą aż na sam dół. - Członkowie Politbiura są przekonani, że nasze siły są całkowicie zrównoważone i na ile ja się orientuję, mogą mieć rację.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że generałowie zalecili panu podjęcie walki i twierdzą, że są w stanie wygrać?

- Nie, ich zdaniem obydwie strony poniosą klęskę, ale wy poniesiecie więcej strat, niż to przewidują pańscy specjaliści.

- Nie wierzę w to.

- Nie jestem pewien, czy ja wierzę, ale taką właśnie ocenę otrzymało Biuro Polityczne z pionu wojskowego. My nie możemy zwyciężyć, ale i wy także.

- A co pan im zaproponował?

- Zaproponowałem kompromis z wami.

Wheeler wyłożył na stół króla.

- Jeśli o nas chodzi, nie będzie żadnego kompromisu. Albo tak, albo siak, ale idziemy na całość.

Twarz Orłowa była szara i Wheeler widział, jak pod lewym okiem pulsuje mu żyłka. Zanim się odezwał, odliczył w myśli kilka sekund, a potem zapytał cichym głosem:

- A jak pańscy generałowie zamierzają sobie poradzić

z południową granicą?

Dostrzegł zaskoczenie i przerażenie w twarzy Orłowa, kiedy do tamtego dotarło pełne znaczenie tych słów. Gdy Rosjanin przemówił, jego głos był zachrypniętym szeptem.

- Chce pan powiedzieć, że Chińczycy też są w to zamieszani?

- Oczywiście.

- Nie wierzę w to.

- Człowiek, o którym obaj myślimy, znajduje się na jednym z naszych lotniskowców, tuż za granicą wód terytorialnych Irlandii. Mogę go tu ściągnąć w przeciągu paru godzin.

- Kto? Chyba nie sam Teng?

- A jednak.

Orłow zamknął oczy i siedział w milczeniu przez długie minuty, z dłońmi tak zaciśniętymi, że aż pobieleły mu knykie. W końcu otworzył oczy i spojrzał na Wheelera.

- Czy ma pan jakieś dokumenty na potwierdzenie stanowiska Pekinu?

- Nie, ale może pan porozmawiać osobiście z Teng Xiaopingiem przez telefon. Mamy tu bezpośrednie połączenie zamkniętą linią.

Orłow skinął głową i Wheeler wstał, przechodząc do ruchomej konsoli łącznościowej. Biegący od niej gruby kabel główny włączony był do specjalnego kontaktu w ścianie. Wheeler podniósł słuchawkę czerwonego telefonu i trzymając ją przy uchu, starannie wybrał cztery cyfry na sensorowej tarczy. Czekał przez chwilę, a gdy po drugiej stronie odezwał się cichy głos, wypowiedział słowa, które tyle razy ćwiczył w ciągu ostatnich paru tygodni:

- Wang shi dzou... aweile ching dzedze.

Potem skinął na Orłowa, który podszedł bliżej. Wheeler podał mu słuchawkę i powiedział:

- Niech pan mówi wyraźnie i powoli po angielsku lub po

niemiecku.

Następnie Wheeler odszedł na bok i stanął w odległym kącie pokoju, spoglądając niewidzącym wzrokiem na książki wypełniające półki mahoniowej biblioteczki. Słyszał, jak Orłow mówi coś powoli do słuchawki, ale nie mógł rozróżnić słów. Był zresztą pewien wyniku tej rozmowy; wiedział, że Rosjanie są między młotem a kowadłem i że Orłow również o tym wie. Kusilo go, żeby ich jeszcze bardziej przycisnąć, miał jednak świadomość, że nie wolno mu przeholować. Orłow podszedł powoli do swojego krzesła i opadł na nie ciężko, kładąc ręce na kolanach. Wheeler również usiadł z powrotem.

- Jest pan zadowolony, Orłow?

- Musimy porozmawiać, trzeba znaleźć jakieś wyjście.

- Dla nas jest do przyjęcia tylko jedno rozwiązanie.

- Niech pan mówi.

- Podpisaliśmy układ, który będzie znany jako Radziecko-Amerykańskie Porozumienie z Shannon. W jego preambule zawarte zostanie sformułowanie, że do spotkania doszło z pańskiej inicjatywy, a ja wyraziłem na nie zgodę. Następnie, że obydwaj rządy ratyfikowały już porozumienie i gotowe są do daleko idących poświęceń w imię tej sprawy. Wystąpił pan z inicjatywą negocjacji, ponieważ wasz rząd jest żywotnie zainteresowany utrzymaniem pokoju światowego.

Związek Radziecki wycofa wszystkie swoje siły zbrojne ze wszystkich terytoriów poza jego granicami, włączając w to Zjednoczone Królestwo, Afganistan i kraje Układu Warszawskiego. Rząd radziecki nakłoni również Kubę i swych satelitów w południowo-wschodniej Azji do przerwania wszelkich operacji wojskowych, gdziekolwiek by się one nie odbywały. Zostanie wynegocjowany odrębny traktat pokojowy oparty z jednej strony na

redukcji uzbrojenia, z drugiej zaś na trójstronnym układzie obronnym pomiędzy Związkiem Radzieckim, Stanami Zjednoczonymi i Chinami. Traktat zawierać będzie wymóg publicznego ujawnienia wszystkich posiadanych sił zbrojnych i rodzajów broni, ich ilości i rozmieszczenia, oraz podania konkretnych powodów, dla których ich istnienie jest niezbędne. Stworzony zostanie trójstronny program kontroli satelitarnej obejmujący wszystkie kraje świata, nie tylko trzy układające się mocarstwa. Nie będzie żadnych tajnych klauzul ani kruczków dyplomatycznych, a wszystkie fakty będą ujawniane do wiadomości opinii światowej nie później niż w ciągu miesiąca. Jeżeli zainstalujecie jakąś wyrzutnię, czy też my to zrobimy, trzeba będzie wyjaśnić, dlaczego. Nikt nikogo nie będzie powstrzymywał, lecz cały świat będzie miał prawo znać wyjaśnienie i uwierzyć w nie lub nie. Poza tym zostanie zawarty odrębny układ dotyczący handlu i pomocy gospodarczej. Stany Zjednoczone udostępnią Związkowi Radzieckiemu wszystkie informacje naukowe i technologiczne stanowiące własność rządu; również prywatne firmy zostaną zachęczone przez rząd do pójścia w jego ślady. Wszystko, o czym teraz mówiłem, jest już dopracowane w szczegółach. Może pan dobrać sobie do pomocy kogo pan uważa za stosowne, spośród własnych ludzi, czy nawet naszych. Ma pan czas na przeanalizowanie tego i zastanowienie się. Z jednym zastrzeżeniem. Co do treści nie ma żadnej dyskusji. Nie zmienimy ani jednego słowa.

Podczas gdy Wheeler mówił, Orłow siedział bez ruchu i upłynęła dobra chwila, zanim się odezwał.

- A co z partią w Związku Radzieckim?

- To pański interes, Orłow. Światu nie podoba się to, co wyprawiacie ze swoimi ludźmi, ale pozostawimy to im i wam.

Zgodnie z duchem tych porozumień Związek Radziecki może funkcjonować tak jak dotąd. Natomiast w Polsce, na Węgrzech i w pozostałych krajach Układu Warszawskiego odbędą się nadzorowane wolne wybory i jeżeli ludzie opowiedzą się za komunizmem, nie będziemy się sprzeciwiać. Ale bez waszego wojska i doradców.

- A co do tej współpracy handlowej. Czy to realne?

- Całkowicie.

- Naprawdę, trudno mi to zrozumieć.

- To nie jest trudne, Orłow, to bardzo proste. My, Amerykanie, widzimy to w ten sposób: na całym świecie politycy, dyplomaci i rządy uznawały dotąd za obowiązującą zasadę, że im mniej ludzie wiedzą, tym łatwiej jest sprawować nad nimi władzę. Po to właśnie istnieje propaganda, czyli jednostronna wersja różnych niepopularnych posunięć, która stawia je w nieco lepszym świetle i czyni możliwymi do przyjęcia. Ale my, tu na górze, wiemy przecież, że to wszystko tylko gra. Jej celem jest wyprowadzenie w pole społeczeństwa, tak we własnym kraju, jak i poza nim. Teraz chcemy wywrócić to wszystko podszewką na zewnątrz. Odtąd opinia publiczna każdego z państw świata będzie miała prawo wiedzieć, co dzieje się we wszystkich innych krajach w dziedzinie zbrojeń, i to zarówno obronnych jak i ofensywnych. Większość ludzi może to oczywiście mało obchodzić. Ale jeżeli zajdzie coś takiego, co spowoduje obudzenie się ich zainteresowania lub coś ich zaalarmuje, to będą mogli wiedzieć na ten temat wszystko. Nasze wywiady i tak wiedzą już przecież wszystko, co chcą wiedzieć, ale wy nie informujecie swojego społeczeństwa o niczym, a i my zatrzymujemy wiele informacji dla siebie w imię bezpieczeństwa państwa.

- Czy jest jakiś termin ostateczny?

- Tak, oczywiście. Chciałbym mieć pański podpis dzisiaj, a wieczorem wydalibyśmy wspólne oświadczenie.

- Mój podpis tu nie wystarczy.

- Panie Orłow. Zapomnijmy o przeszłości. Jeżeli pan ogłosi zawarcie traktatu pokojowego pomiędzy USA, Związkiem Radzieckim i Chinami, to nawet pański najbardziej zacięty wróg nie będzie mógł pozwolić sobie na słowo krytyki. Niech pan tylko pomyśli, co to może oznaczać dla pańskiego narodu. Zamiast pocisków - produkcja rzeczy, których naprawdę pragną i potrzebują. Gwarancje bezpieczeństwa po wsze czasy ze strony Stanów Zjednoczonych i Chin. Zaś pan i Biuro Polityczne będziecie tymi, i którzy do tego doprowadzili. Utrzymacie się na swoich stanowiskach do końca życia - jeśli tylko czegoś nie zepsujecie.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, Wheeler.

- Proszę bardzo.

- Dlaczego pan to wszystko robi? Co pan osobiście będzie z tego miał? Przecież dobiega już końca pańska druga kadencja.

- Siedzę w polityce, panie Orłow, w taki czy w inny sposób, właściwie przez całe życie, ale tak naprawdę nie jestem politykiem. Kombinowałem oczywiście jak się dało, żeby ten cały interes jakoś się kręcił, ale czułem, że to strata czasu i energii, tak mojej jak i innych. A efektów właściwie żadnych. Cały czas gra. Jestem już zmęczony tym graniem. W końcu doszedłem do wniosku, że żadna ideologia nie jest uniwersalna. Dla Związku Radzieckiego być może dobry jest komunizm. Dopóki ludziom to odpowiada, to ich sprawa. Pod warunkiem - Wheeler uniósł w górę palec - pod warunkiem, że mogą się spakować i wyjechać, kiedy przestanie im się podobać. To, co nazywamy demokracją zachodnią, świetnie się sprawdza, w różnych formach, także pod warunkiem, że ludzie tego pragną. Ale przypuszczam, że ani demokracja, ani komunizm nie zadziałają

na przykład w Afryce. Nam może się wydawać, że jest inaczej, ale przecież tam konstrukcja społeczeństwa oparta jest na podziale na szczepy, a nie na narody i może się okazać, że dobrowolnie wybiorą one jakąś formę dyktatury. Tak naprawdę, to powinniśmy móc zatrzymać świat na jakiś rok i przyjrzeć się dokładnie temu, co wszyscy nawzajem wyprawiamy. To oczywiście nie jest możliwe, ale można zrobić co innego. Świata nie zatrzymamy, ale możemy powstrzymać wiele z tego, co się dzieje. Czas zacząć wreszcie mówić ludziom, o co w tym wszystkim chodzi. Oczywiście pańskie Biuro Polityczne nadal może próbować wykiwać nas raz czy drugi, ale, na Boga, tym razem cały świat się o tym dowie. Nie będziemy już nigdy siedzieć cicho i pozwalać wam wywinąć się z kolejnego kłamstwa w oparach propagandy. Będziemy ujawniać każde wasze kłamstwo. Anglicy musieli na własnej skórze ciężko doświadczyć, czym naprawdę jest radziecki komunizm, a reszta Europy też się tego dowiedziała na ich koszt.

Wdepnęliście głęboko w gówno, Orłowie, i wie pan o tym, podobnie jak reszta pańskich przyjaciół i rywali w Politbiurze. Niektórym może się nawet nie spodoba, że to właśnie pan ich z tego wyciągnął, ale na Chrystusa, będą musieli się dostosować do sytuacji.

- Po co w takim razie ten pośpiech, dopracujmy to wszystko razem na spokojnie.

- To nie handel końmi, panie Orłowie, mówiłem już. Nie zamierzamy wysiadywać przy stole z pańskimi kolegami i wyklócać się z nimi o każde słowo i przecinek. To mogłoby trwać lata. Gdybyśmy to my nastrzelali tyle gaf i błędów, to ludzie kochani, docisnęlibyście nas do ściany przy pierwszej nadarzającej się okazji. Staralibyście się nas upokorzyć i dobrze się przy tym bawili. A my oczywiście któregoś dnia stanęlibyśmy z powrotem na nogi

i próbowali wyrównać rachunek. Siedzicie naprawdę po uszy w kłopotach, Orłowie. Na wszystkie możliwe sposoby, jak świat długi i szeroki. Politycznie, gospodarczo pękacie po prostu w szwach, rozpadacie się na kawałki. Mimo to chcemy dać wam szansę. Szansę wyjścia na bohaterów, zamiast na bankrutów, jakimi w istocie jesteście. Po raz ostatni bawimy się w dyplomację. Potem przyjdzie wam już tylko stanąć twarzą w twarz z tym, co naprawdę sobą reprezentujecie, czymkolwiek by to nie było.

Orłowie oddychał ciężko.

- A co, jeżeli Biuro Polityczne potępi zarówno ten traktat jak i mnie osobiście.

- Sądzi pan, że to możliwe?

- Czy ten pokój jest na podsłuchu?

- Nie, o tym nie ma mowy. Wszystko, co tutaj do siebie mówimy, ma charakter nieoficjalny i pozostaje wyłącznie między nami.

- Proszę mi powiedzieć, jak w waszych badaniach prognozujących wypadła reakcja Biura Politycznego na całą tę sprawę?

- Będzie dwóch oponentów.

- Kto?

- Iwanow i Zagorski.

- A dlaczego Iwanow?

- Nie jest zbyt lotny, a poza tym spodziewa się mieć za sobą generałów.

- Czy słusznie?

- Jesteśmy pewni, że nie. A co pan o tym sądzi?

- Myślę, że macie rację - Orłowie pokręcił głową. - Nieźleście to wszystko wykalkulowali, muszę przyznać.

- Więc w czym problem?

- Chodzi o protokół. Tego rodzaju sprawy dyskutujemy na

Kremlu miesiącami, a pan spodziewa się, że podejmę decyzję w ciągu kilku godzin, a potem wygłoszę oświadczenie bez konsultacji z żadnym ciałem decyzyjnym.

- Jestem w stanie dostarczyć szczegółowy tekst traktatu wraz z załącznikami do rąk wszystkich czternastu członków pańskiego Biura Politycznego na dziesięć minut przed pańskim wystąpieniem przed kamerami.

- Ale to moje wystąpienie nie dotrze przecież do narodu radzieckiego.

- Dotrze. Jesteśmy w stanie wejść z dźwiękiem i obrazem na programy wszystkich waszych ogólnopństwowych i lokalnych stacji radiowo-telewizyjnych.

Orłow uśmiechnął się ponuro.

- Czy mówi pan o czymś w rodzaju naszego programu KOSMOS?

- O, to jeszcze krok dalej. Możemy nadawać jednocześnie w Palu, Secamie i w naszym własnym systemie NTSC - Wheeler spostrzegł, że Orłow nagle się odprężył. Jego ciało rozluźniło się, a gdy się odwrócił, by spojrzeć na Amerykanina z jego twarzy odpłynęło napięcie.

- Reakcja naszego społeczeństwa będzie natychmiastowa i z pewnością pozytywna. Biuro Polityczne nie odważy się temu przeciwstawić. Sam fakt, że doszło do czegoś takiego, da mi druzgocącą przewagę.

- A jakie są pana własne odczucia?

Orłow rozłożył ręce.

- Nie ma chyba innego wyjścia. Myślę, że warto spróbować, a jeśli się nam nie uda, to świat będzie przynajmniej wiedział, że próbowaliśmy.

- Więc zgadza się pan?

- Tak. Zgadzam się.

- OK. Mam w takim razie sugestię. Pan i ja przejrzymy razem jeszcze raz cały materiał; zajmie nam to czas do wieczora. Potem prześpiemy się parę godzin, a jutro każdy przygotowuje swoją mowę i wygłosimy oświadczenia jutro wieczór, zamiast dziś. Niech to naprawdę ma ręce i nogi.

- Ale będę najpierw musiał wyjaśnić wszystko moim ludziom, tym, którzy tu ze mną przyjechali.

- Nie, nie musi pan. Połączmy lepiej oba nasze zespoły, tak jak są i wspólnie powiemy im jak to wszystko ma wyglądać.

- Dobrze. Niech i tak będzie.

Rozdział XXV

Wheeler zawiadomił o zmianach w harmonogramie przede wszystkim ekipę telewizyjną, która musiała jeszcze raz uzgodnić wszystko z Waszyngtonem. Główne stacje radiowe i telewizyjne we wszystkich krajach świata miały być zawiadomione o konferencji prasowej z czterominutowym wyprzedzeniem. Jej treść postanowiono do ostatniej chwili utrzymać w tajemnicy, poza stwierdzeniem, że zwołano ją celem ogłoszenia wspólnego amerykańsko-radziecko-chińskiego oświadczenia o zasadniczym znaczeniu dla polityki światowej. Dla jej nadania wszystkie programy radiowe i telewizyjne miały zostać automatycznie przerwane na trzydzieści do czterdziestu pięciu minut, bez dodatkowych opłat ze strony lokalnych sieci TV,

Ambasador Stanów Zjednoczonych w Moskwie otrzymał instrukcję, zgodnie z którą w dokładnie wyznaczonym czasie miał otworzyć zapieczętowaną kopertę leżącą w jego sejfie, zawierającą z kolei polecenie otwarcia stalowej kasetki, w której znajdowały się materiały przeznaczone do rozprowadzenia wśród wszystkich członków prezydium Biura Politycznego KC KPZR.

Wheeler i Orłow połączyli swoje ekipy w ten sposób, że każdemu Amerykanowi przydzielono jednego Rosjanina, przy czym obu partnerów pouczono, że mają nie odstępować jeden drugiego ani na minutę; aż do chwili rozpoczęcia transmisji. Wheeler wraz z Orłowem pracowali do późna w nocy, by nadać tekstom swych wypowiedzi możliwie najzwęższą formę, która pozwalałaby jednak jednocześnie na podkreślenie wszystkich korzyści płynących

z zawarcia traktatu.

Lokalni dublińscy korespondenci Associated Press, Reutera i TASS zostali zaproszeni do Stanhope House dla przeprowadzenia wywiadów, których treści na razie im nie ujawniono. Zarówno Wheeler jak i Orłow zgodzili się, że ich wystąpienia pójdą na żywo, bez żadnych prób. Wheeler będzie mówił po angielsku z rosyjskimi, chińskimi i francuskimi napisami, zaś Orłow po rosyjsku, z napisami angielskimi, chińskimi i francuskimi.

Wielki hali wejściowy opróżniono ze wszystkich sprzętów i na jego środku ustawiono wielkie biurko. Krzesła dla zaproszonych korespondentów stały na razie w odległym kącie pomieszczenia, ponieważ mieli oni być wpuszczeni dopiero później. Natomiast członkowie obu delegacji mieli oglądać wystąpienia obu przywódców na monitorach ustawionych w głównej jadalni.

Podłogę hallu wejściowego wypełniała płatanina kabli prowadzących ku pięciu ruchomym konsolom, które miały przekazywać transmisję do wszystkich części świata, oraz ku nadajnikowi satelitarnemu i aparaturze zakłócającej, która w odpowiednim momencie miała przerwać programy wszystkich stacji, jakie w tym czasie będą nadawać. Nie było żadnej możliwości dopasowania się do wszystkich stref czasowych obowiązujących w świecie i zdecydowano, że osią czasową transmisji będzie godziną 18 czasu moskiewskiego. Natomiast rozgłośnie amerykańskie miały nadać zapowiedź przeprowadzenia ważnej transmisji we wczesnych godzinach porannych, przy czym miały otwarcie przyznawać, że nie jest im znana jej zawartość i czas trwania.

Transmisja trwała trzydzieści pięć minut. Pierwszy mówił Orłow, a po nim Wheeler. Druga kamera co jakiś czas pokazywała zbliżenia beznamietnej, kamiennej twarzy Teng Xiaopinga. Chiny nie były

bezpośrednim uczestnikiem ugody, lecz obecność chińskiego przywódcy mówiła sama za siebie - była znakiem aprobaty, a jednocześnie niewywierania presji na żadną ze stron.

Na grupce obecnych na miejscu dziennikarzy wszystko to zrobiło wielkie wrażenie, choć jednocześnie pełni byli niedowierzania i nieliczne pytania, które zadali, obracały się wokół kwestii „czy Biuro Polityczne i Kongres zgodzą się ratyfikować porozumienie”. Orłow i Wheeler, obaj uśmiechnięci, ripostowali, pytając z kolei, czy można sobie wyobrazić jakikolwiek rząd, który nie ratyfikowałby porozumienia oznaczającego osiemdziesięcioprocentowe cięcia w wydatkach zbrojeniowych, współpracę handlową i techniczną pomiędzy obydwoma mocarstwami światowymi i pewność zachowania pokoju światowego w dającej się przewidzieć przyszłości. Gdy zapytano Wheelera, dlaczego doszło do tego teraz, a nie wiele lat wcześniej, uśmiechnął się i wskazał na Orłowa.

- Musiał się pojawić właściwy człowiek we właściwym czasie, aby można było wyjść naprzeciw potrzebom dzisiejszego świata. A świat pragnie wreszcie odpocząć od napięć ostatnich czterech czy pięciu dziesięcioleci i potrzebuje możliwości budowania, a nie niszczenia.

Przekazu satelitarnego nie udało się dostroić jedynie do częstotliwości kilku lokalnych stacji telewizyjnych na niektórych wyspach Pacyfiku. Natomiast transmisja radiowa na falach średnich i krótkich objęła dosłownie cały świat.

Wheeler wraz z Orłowem udali się do pomieszczenia dalekopisów i oczekiwali niecierpliwie na pierwsze reakcje ze świata.

Początkowo wiadomości, jakie nadeszły, były zniechęcające. Ambasada Stanów Zjednoczonych w Moskwie została otoczona przez wojsko, a w Waszyngtonie dwóch senatorów zaliczanych do jastrzębi stwierdziło, że „porozumienie nie zostanie ratyfikowane nawet i za milion lat”.

Doniesienia z większości stolic europejskich stwierdzały, że oświadczenia obu przywódców przyjęto z dużą rezerwą. Zewsząd żądano przede wszystkim potwierdzenia wiarygodności transmisji i zawartego porozumienia. Ale już godzinę później ton wiadomości raptownie się zmienił. Ze wszystkich krajów świata, nawet z tych, które stały zawsze na uboczu konfliktu Wschód-Zachód nadchodziły doniesienia o tym, że rozgłoszenie radiowe i telewizyjne są dosłownie zasypywane pełnymi entuzjazmu telefonami od ludzi o najróżniejszych orientacjach politycznych. Niezależnie od tego, czy był akurat wczesny ranek, południe, czy późny wieczór, tysiące rozradowanych ludzi wyległo w różnych krajach na ulice, by manifestować swe zadowolenie.

Również we wszystkich głównych miastach Związku Radzieckiego ludzie spontanicznie wyrażali swoją radość na ulicach. Oddziały wojska zostały wycofane z okolic ambasady amerykańskiej.

W pewnym momencie, ulegając nastrojowi chwili, pod wpływem niespodziewanego, choć wspólnie przez nich odczuwanego przypływu euforii, Orłow i Wheeler postanowili wymienić się samolotami i załogami na podróż powrotną do swych stolic. Air Force One poleci z Orłowem na Szeremietiewo, a wezwany z Londynu Iliuszyn wróci z Wheelerem na Dulles International.

Ponad połowa członków Biura Politycznego znalazła w sobie dość odwagi, czy też dość sprytu na to, by pokazać się przy powitaniu Orłowa na lotnisku Szeremietiewo. Jeśli mieli nawet jakieś wątpliwości, to widok tysięcznych rzesz ludzi stojących wzdłuż całej trasy z lotniska do stolicy kazał im je głęboko ukryć. Podczas pierwszego posiedzenia na Kremlu Orłow napotkał kilka twardych i zimnych spojrzeń, a dwóch generałów podało się do dymisji.

Postanowił jednak zignorować tę opozycję i dać się ponieść triumfalnej fali optymizmu, jaki zapanował w społeczeństwie radzieckim.

Powitanie Wheelera zamieniło się w prawdziwy show, z mistrzowskim występem prezydenta wysiadającego z samolotu Sił Powietrznych Armii Czerwonej. Ten spontaniczny występ w jakiś sposób lepiej ukazał Amerykanom korzyści, jakich mogli oczekiwać po zawarciu traktatu, niż uczyniłoby to jakiegokolwiek przemówienie.

Gratulacje i wyrazy poparcia płynęły do Moskwy i Waszyngtonu dosłownie z całego świata. Światu zdawało się, że jest wielką rodziną, która ciągnącą się w nieskończoność i przykrą sprawę rozwodową postanowiła zakończyć wreszcie ugodą i znalazła się znów razem. Nikomu nie opłacało się krytykować byłych wrogów. Opinia publiczna nie chciała tego słuchać; nie chciała słyszeć o zwycięstwach i zwyciężonych, o zabitych i rannych, wołała zapomnieć o tych niewielu, którzy ponieśli jednak jakieś straty. Zwyczajni obywatele pragnęli tylko jednego, żeby wszyscy wszystkim okazywali dobrą wolę. Toteż najróżniejsze komitety, stowarzyszenia, ligi i kluby prześcigały się w okazywaniu jej swym dawnym wrogom na tysiąc różnych sposobów. Jeżeli zaś znaleźli się gdzieś niewierni Tomasz, to zatrzymywali swe wątpliwości dla siebie. Kawior, wódka, Dynamo Moskwa, Bolszoi i Moskiewska Orkiestra Symfoniczna płynęły strumieniem w jedną stronę, zaś Levisy, Coca-Cola, burmistrzowie Chicago, Los Angeles i Nowego Jorku, Boston Pops, i rasowe bydło herefordzkie w drugą. Może nie wszystkie przejawy tej wymiany były trafione, lecz nieodmiennie przyjmowano je w aureoli dzikiej radości rozentuzjasmowanych tłumów.

Jedynie sytuacja w Wielkiej Brytanii nie wyjaśniła się jeszcze w pełni. Rodzina królewska zwlekała tydzień, zanim zdecydowała

się powrócić. Nikt nie zachęcał ich do powrotu, ponieważ nie było nikogo, kto byłby władny to uczynić lub też temu zapobiec. Prezydent Wheeler zadbał o to, by Andrews i jego ludzie stali się znani jako narodowi bohaterowie, lecz społeczeństwo nie miało teraz głowy ani do bohaterów, ani do łotrów. Anglia nie była stroną Porozumienia Shannońskiego - jak je powszechnie nazywano. Podobnie jak reszta świata, była jedynie świadkiem czegoś, co przyniosło krajowi natychmiastową korzyść. Nie wygrano żadnej wojny. Rosjanie wynieśli się z całym dobrodziejstwem swego inwentarza w ciągu kilku pierwszych dni, lecz nie było spadkobierców tego szczęśliwego zrzędzenia losu. Nikt nie objął rządów, gdyż nie było rządzących, zaś społeczeństwo najwyraźniej nie kwapiło się do wybrania sobie przywódców. Mogliby się oni rekrutować jedynie z dawnych źródeł. Tym zaś, zamiast na nich „polegać z ufnością”, można było raczej „nie ufać z pewnością”. Nieufność ta łączyła się z niechęcią, graniczącą z nienawiścią - szczególnie wobec parlamentu z jego politykami i władz administracyjnych, lecz także w stosunku do wszystkich pozostałych elementów starego systemu.

Rodzina królewska zachowywała się powściągliwie i starała się unikać rozgłosu. Kochano ich, to było oczywiste, lecz była to raczej miłość płynąca z nostalgii i dawnego przywiązania. Trochę jak do ukochanej żony, która odeszła z innym mężczyzną, ale w końcu zdecydowała się wrócić. Wszystkich ucieszył ich powrót, lecz byli też świadomi czasu, który upłynął. Nikt otwarcie nie oskarżał ich o nielojalność, lecz wszyscy mieli świadomość, że są pytania, których lepiej nie zadawać.

Jednostki sił zbrojnych, które ewakuowały się za granicę, powróciły, ale ich dowódcy nie kwapili się do przejęcia inicjatywy. Choć nie było w tym właściwie ich winy, panowało przekonanie, że

przed okupacją nie wypełniali swej roli jak należy. Nie tylko nie użyto ich przeciwko burzycielom porządku, którzy doprowadzili kraj do upadku, ale również – choć ponownie nie z ich winy – nie stanęli w obronie kraju przed wrogiem. Nikt ich nie potępiał, ale też nikt nie witał z otwartymi ramionami. Byli postaciami o nieustalonym statusie i – przynajmniej na razie – najlepiej było ich ignorować.

Niektórzy z byłych dziennikarzy skupili wokół siebie niewielkie grupy współpracowników i zaczęli wydawać nowe pisma, o charakterze raczej ogólnonarodowym niż regionalnym. Głównym ich zadaniem było zachęcanie do dyskusji i połowę objętości zajmowały w nich kolumny listów od czytelników. Jednak poglądy, jakie w tych listach wyrażano, miały w większości wydźwięk negatywny. Ludzie nie wiedzieli być może, kim chcieliby zastąpić starą ekipę, lecz byli niemal jednomyślni w określaniu, kogo sobie nie życzą. Pierwsze miejsce na tej liście zajmowały wszystkie dawne partie polityczne i ich działacze.

Na łamach prasy ukazywały się również dywagacje na temat rządu feministycznego, republiki platońskiej, humanizmu, „ludzkiego oblicza Anarchii”, czy też oddzielnych rządów dla Walii, Szkocji i wszystkich siedmiu regionów Anglii. Żadna z tych koncepcji nie uzyskała jednak szerszej akceptacji.

Pod koniec pierwszych dwóch tygodni po wyzwoleniu Andrews doszedł do wniosku, że wszystko zaczyna znów odbywać się według starego scenariusza. Dyskusje przynoszące jedynie rozczarowanie, brak kontroli, brak przewodnictwa. Choć z ociąganiem, przyjął więc na siebie rolę, o której nigdy nie myślał, ani też o nią nie zabiegał.

Przeprowadził długie rozmowy z Jamie Boylem i jego ojcem. Nie przyniosły one ostatecznych, konkretnych rozwiązań ale w ich wyniku we wszystkich większych miastach grupy bojowników dawnego ruchu oporu zorganizowały masowe mityngi z udziałem

Andrewsa i jego współpracowników.

Ku szczeremu zaskoczeniu pułkownika i jego ludzi przyjęcie, jakie im zgotowano, było wszędzie entuzjastyczne. Wyglądało na to, że cieszą się w społeczeństwie szczególnymi względami. Nie dlatego, by uważano ich za bohaterów - kraj nie był w nastroju do podziwiania czyjegoś bohaterstwa. Stanowili jednak grupę ludzi posiadających pewne szczególne zalety. Nie byli częścią starego establishmentu, a przy tym potrafili przewidzieć rezultaty jego słabości i przygotować się do ich przewyciężenia. Nie nosili także piętna upokorzenia, które przyniosła okupacja radziecka. I jej również się przeciwstawili; może nie w sposób rozstrzygający, lecz dość efektywny, by pokazać narodom, które - niegdyś były sojusznikami i przyjaciółmi Wielkiej Brytanii, iż jest ona warta ocalenia. W gruncie rzeczy jedynie ludzie podziemia nie stali się częścią narodowego upadku i poniżenia.

Jednym z najważniejszych rezultatów tych masowych wieców stał się fakt, iż Harry Andrews okazał się być powszechnie akceptowanym przez opinię publiczną jako człowiek i jako przywódca. Niemal wszyscy jego potencjalni przeciwnicy spośród członków dawnej ekipy nie mieli ani dość odwagi, ani odpowiedniego forum, by wyrazić swój sprzeciw. W głębi serca zresztą ci starzy wyjadacze, wiedzieli doskonale, że niezależnie od argumentacji, przy pomocy której mogliby próbować przywrócić układ sprzed okupacji, wystawiliby się tylko na pośmiewisko, lub może nawet padli ofiarą linczu, zależnie od audytorium.

Harry Andrews pamiętał jeszcze tę pół żartem wypowiedzianą uwagę prezydenta Wheelera, kiedy spotkali się w jego teksaskim domu. Wheeler zaproponował mu wówczas samolot pełen doradców pozostających poza układami partyjnymi. Zarówno on sam jak i Andrews doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że trzeba jak

najszybciej wypełnić powstałą w brytyjskim życiu politycznym próżnię i że trzeba będzie, być może, poświęcić dążenie do doskonałości na rzecz wymogów praktycznych.

O sprawie podstawowej zdecydowano w ciągu paru dni. Anglicy mieli otrzymać konstytucję opartą na konstytucji amerykańskiej, lecz ze wszystkimi dobrodziejstwami płynącymi z możliwości jej modyfikacji. Amerykańscy doradcy, szczególnie zaś prawnicy, byli pełni krytycyzmu wobec niektórych podstawowych zasad swej konstytucji. Andrews przekonał ich jednak, przypominając, że ludzie, którzy ją - ustanowili, działali w okolicznościach bardzo podobnych do tych, które obecnie panowały w Wielkiej Brytanii. Choć z pewnymi oporami, od samego początku uznał, że funkcjonowanie państwa bez istnienia działaczy politycznych będzie niemożliwe, a to z kolei oznaczać musi nieuchronnie powstawanie partii politycznych.

Andrews podziwiał troskę i pieczołowitość towarzyszącą twórcom oryginalnej konstytucji i zgadzał się na zmiany jedynie w tych fragmentach, które odnosiły się specyficznym do sytuacji Stanów Zjednoczonych. Szczególnie jedno z nowych postanowień miało fundamentalne znaczenie. Dopuszczało ono finansowanie i sprawowanie kontroli nad jakąkolwiek partią wyłącznie przez jej członków. Zakazane zostało sponsorowanie, zarówno ukryte, jak i jawne, przez jakiekolwiek grupy reprezentujące interesy zewnętrzne, tak świata pracy, jak kapitału.

Dla Harrego Andrewsa prawdziwym dobrodziejstwem nowej konstytucji, które uznał za jedyne usprawiedliwienie dopuszczenia znów do głosu polityków, było postanowienie pozwalające sądowi unieważnić każdą uchwałę parlamentu, jeśli dopatrzy się on jej niezgodności z konstytucją brytyjską.

Dla przybliżenia społeczeństwu wszystkich tych nowych

koncepcji zorganizowano ponownie w całym kraju serię masowych mityngów, zaś po ich zakończeniu Andrews poprosił o audiencję u królowej. Nowa Konstytucja Brytyjska z jednej strony uwypuklała, z drugiej zaś redukowała rolę monarchy. W trakcie jej redagowania utrzymywano wprawdzie kontakt z doradcami królowej, lecz nie proszono ich o konsultację. Teraz okazało się, że królowa z zadowoleniem przyjęła zarówno samą konstytucję jak i swą własną, nową, bardziej pozytywną, choć ujętą w ściśle określone ramy rolę.

W kilka dni później Andrews stojąc na stopniach ratusza, ogłosił rozradowanym tłumom nową strukturę rządu. Był to przełomowy moment, od którego niemal z dnia na dzień zaczął wstępować w ludzi nowy optymizm i energia. Handel i przemysł, tkwiące dotąd w niepewności, nagle ożyły. Zaczęły powstawać najróżniejsze grupy pragnące założyć nowe pismo lub rozgłoszenie, albo po prostu robić pieniądze. Potencjalni kongresmeni i senatorzy zaczęli tworzyć swe grupy interesu i formułować programy przed zapowiedzianymi wyborami prezydenta, kongresu i senatu. Sam senat miał być oparty na dawnej Izbie Lordów, z jednoczesnym zminimalizowaniem wpływów partyjnych. Andrews, przy pomocy doradców amerykańskich, zmontował według własnego uznania zespół fachowców, który kierował krajem w ciągu dwóch miesięcy poprzedzających wybory, nie oglądając się za bardzo na dawne prawa i nie wykazując kompleksów wobec dawnych autorytetów.

Pierwszym prezydentem Wielkiej Brytanii została kobieta. Ukształtowana przez tradycje akademickie, o wysokich kwalifikacjach, była ona jakiś czas wyższym urzędnikiem państwowym, a tuż przed okupacją została prorektorem uniwersytetu w Newcastle. Partiom politycznym zakazano używania nazw dawnych partii, jednak większość kongresowa, sformułowana

przez nowo utworzoną Partię Centrową; była w widoczny sposób amalgamatem obydwu głównych partii działających przed okupacją. Do senatu weszli głównie przedstawiciele dawnej arystokracji i technokratów z klasy średniej, zaś jego większość określała się jako niezależna. W Kongresie znalazło się niewielu prawników i biznesmenów, ponieważ konstytucja wykluczała - zarówno w odniesieniu do kongresmenów jak i senatorów - zajmowanie jakiegokolwiek innego płatnego stanowiska w trakcie kadencji oraz pięć lat po jej upływie. W ciągu tych pięciu lat mieli oni otrzymywać pełną gażę zgodną z ich statusem w służbie publicznej i długością jej trwania. Wybory miały się odbywać co cztery lata, w ustalonych z góry terminach. Szkocja i Walia otrzymały swe własne kongresy, finansowane z otwartego kredytu centralnego, w zamian za przekazanie władzy w zakresie obronności i polityki ekonomicznej senatowi federalnemu.

Jamie Boyle nie kontaktował się z Jeanie, odkąd dowiedział się o jej znajomości z Rosjaninem. Kiedy w końcu zdecydował się powrócić do domu w Cramond, nie towarzyszyło temu uczucie dumy z tego, że był członkiem organizacji znanej powszechnie pod nazwą Ruch Oporu. Kupił używany samochód i odbył nim całą drogę do Szkocji. Trwało to dłużej, niż gdyby użył jakiegoś innego środka lokomocji, z wyjątkiem własnych nóg. Nie był to bowiem prawdziwy powrót do domu. Był to tylko powrót do budynku, który dawno temu był domem. Pustego budynku, który, jak słyszał, został zdewastowany. Jego ojciec nigdy już nie wspomniał o Jeanie i zabitym Rosjaninie. Wszystko to było teraz jak historia z innego świata. Świata, który skończył się dawno temu.

Zadzwoił do Macgregora i poprosił o założenie zamków i przechowanie kluczy, dopóki się po nie nie zgłosi. Kiedy w końcu

dotarł pod nowy adres Szkota w niewielkiej dzielnicy bliźniaczych domków, skonstatował z ulgą, że tamtemu przynajmniej poprawiły się warunki życia. Pełna matczyńskich instynktów Lily straciła jedno oko podczas ataku radzieckiej milicji na grupę kobiet protestujących przeciwko głodowym racjom żywnościowym w ostatnich miesiącach okupacji. Wielki, szeroki w obejściu Szkot zmienił się po tym niemal w dzikie zwierzę i jego grupa zaczęła poświęcać o wiele za dużo czasu i środków na prywatną wojnę z milicją, zabijając dziewięciu milicjantów w ciągu dwóch miesięcy. W rezultacie, z powodu zaniedbań w przygotowaniach, nie powiodło się jej niestety w kilku akcjach sabotażowych przeprowadzonych z rozkazu Andrews'a. Cameron Davies pojechał do Glasgow zobaczyć, co się stało. Kiedy przybył na miejsce, nie powiedział nic, lecz wziął wszystkich do galopu, tak że w krótkim czasie sytuacja wróciła do normy. Dla niego samego nagrodą za to stał się ślub z Helen, najstarszą córką Maca. To właśnie ona otworzyła drzwi na pukanie Jamiego i to jej ciepłe ramiona, które zarzuciła mu na szyję, jej miękkie wargi, kiedy pocałowała go w usta, były dla niego pierwszym od dawna, choć niespodziewanym prawdziwym powitaniem.

- Wejź, Jamie, Lily będzie uszczęśliwiona.

- Jak ona się czuje?

- Trzeba czasu, Jamie. Była bardzo aktywną kobietą i denerwuje się, kiedy wpada na meble albo leje mleko obok dzbanka. Najbardziej zadowolona jest, kiedy udajesz, że nie zauważasz tego jej oka. Okazuje się, że to chodząca próżność, ta moja mamuśka.

Lily uрониła parę łez. Nie były to łzy smutku. Ich powodem nie był nawet Jamie. Były to łzy jednocześnie ulgi, radości i żalu nad ludzkością w ogóle.

Mac jak zwykle mówił niewiele i kiedy po skończonym posiłku

Boyle poprosił o klucze, odprowadził go do samochodu.

- No i co teraz zamierzasz, mój mały? Wracasz do swoich ksiązek prawniczych i przestępców?

- Chyba nie, Mac. Może wyjadę. Myślałem o Stanach. Na razie chociaż na kilka miesięcy.

- A co z dziewczyną? - spytał Mac cichym głosem.

- Masz na myśli Jeanie?

- Jasne, że tak.

- Już o niej nie myślę.

- W to nie uwierzę. Przede mną nie musisz udawać, mój przystojniaczku. To duma dyktuje ci te słowa.

- A dlaczego miałbym o niej myśleć?

- Bo raz, kiedyś, powiedziałeś, że będziesz ją kochał aż po kres swoich dni, na dobre czy na złe.

- Ona też to mówiła.

- A pewnie. I to szczerze, tak samo jak i ty.

- Nie wykazała się jakoś, kiedy miała okazję naprawdę tego dowieść, a tylko to się liczy.

- Przecież to był tylko jeden głupi Rusek, nic poza tym.

- Mnie to wystarczy.

- A tyś sam nigdy nie wsadził, gdzie nie trzeba?

- Raz, czy drugi mi się zdarzyło, ale dopiero po tej całej historii.

- Znaczą się, przeleciałaś dziewczynę, chociaż guzik cię ona obchodziła.

- To nie tak. Niekoniecznie. Lubiłem je i one mnie też..

- Pocałunki i pieszczotki też przy tym były?

- No pewnie, że tak.

- Z samego tego lubienia?

- Tak.

- Aha, i u ciebie coś takiego to w porządku, a u Jeanie to nie?

- Ja tego nie zacząłem, Mac. Na tym polega różnica.
- Ach tak? Dobra, któregoś dnia jeszcze zrozumiesz.
- Co mianowicie?

Krzepki Szkot dziobnął pierś Boyla swym grubym, twardym palcem.

- To mianowicie, że potrzeba dużo więcej niż tylko tego, żeby jakiś cholerny Ruski wsadził swój interes mojej Lily, żeby przestała mnie całkiem obchodzić, bośmy w kościele nie przysięgali dla zabawy. I tyle ci powiem.

- A gdzie jest Jeanie, co się z nią teraz dzieje?

- A nie wiem, cholera. To twoja baba, chłopie, nie moja. Boyle westchnął ciężko.

- Lepiej już pójdę. Wpadnę może w przyszłym tygodniu, Mac.

- No to trzymaj się, Jamie. Pamiętaj, że cię tu kochają. Bardziej, niż ci się zdaje.

W połowie drogi do Cramond Boyle zatrzymał samochód. Nie było sensu tam wracać. To tylko jakiś cholerny dom, po prostu budynek. Spędzi w nim jedną noc, a nazajutrz postara się go sprzedać. Z tym postanowieniem ruszył w dalszą drogę.

Pół godziny później stanął przed frontowymi drzwiami i przekręcił klucz w nowym, błyszczącym świeżym chromem zamku. W środku wszystko wyglądało niemal tak samo jak tego wieczora, kiedy ostatnio stąd odjeżdżał. Najwyraźniej Helen czy Lily wpadły posprzątać przed jego powrotem, żeby to wszystko nie wyglądało tak ponuro. Zatrzymał się na środku hallu, nie zdejmując płaszcza, z walizką w ręce, nie bardzo wiedząc, co ma dalej począć. I wtedy otworzyły się drzwi do salonu i stanęła w nich ona. Patrzyła na niego z głową lekko przechyloną na bok, a jej długie włosy opadły w lokach na jedno ramię.

- Dawno cię nie widziałam - powiedziała bardzo cicho.

Postawił walizkę na podłodze i usiłował nie patrzeć na żonę, ale nie wiedział, gdzie skierować wzrok. Zresztą chciał patrzeć. Policzki miała zupełnie blade, zaś głębokie cienie pod jej oczami na pewno nie pochodziły od makijażu. Chciał powiedzieć coś obojętnego, albo nawet miłego, lecz okazało się, że łatwiejsze i bardziej kuszące jest być nieuprzejmym.

- Co cię tu sprowadza?

- Wyłącznie ty. I ja.

- O mnie nie musisz się martwić, moja droga.

- Wiesz co...

- Nie wiem. Powiedz mi.

- Oddałabym wszystko, co mam na świecie i co mogę jeszcze mieć, żebyś tylko - kiedy mówisz „moja droga” - naprawdę miał to na myśli.

Jamie schylił się gwałtownie i złapał walizkę.

- Zostawiam cię z tym wszystkim.

- Zostawiasz mnie z czym?

Boyle wykonał nieokreślony ruch dłonią.

- Z domem, z czym tam jeszcze chcesz.

- Chcę ciebie, Jamie. Nie chcę domu, nie chcę niczego, chcę tylko ciebie.

- Na to już za późno, Jeanie. To były dawne dzieje.

W kącikach jej oczu pokazały się łzy i zanim znów się, odezwała, musiała głęboko nabrać powietrza. Jednak mimo to głos jej drżał, kiedy zaczęła mówić.

- To tylko tyle dla ciebie znaczyłam? Jeden okropny błąd i nawet nie pozwoliłeś mi się wytłumaczyć. Takiej to nie warto nawet skłąć, albo choćby podbić jej oka, prawda?

- Czy naprawdę to byś wołała?

- Pewnie, że tak. Jak taki facet zeklnie swoją kobietę albo walnie

jej w gębę, to przynajmniej wyładuje złość i spokój. Nawet te bandziory, co rozrabiają po meczach Celticu, mają prawo do obrony, tylko nie ja.

- Słowa, jakich ta obrona używa, nie bardzo by ci się podobały, Jeanie.

- Przyjęłabym każdą obelgę, każde przekleństwo i to nawet na kolanach, gdyby tylko padły z twoich ust i gdybym miała szansę się bronić. Tę szansę, o której tak często mówiłeś, gdy chodziło o twoich klientów. Zawsze walczyłeś, żeby złagodzić wyrok, mówiłeś, że nawet mordercy mają prawo do rozpatrzenia okoliczności łagodzących, zanim zostaną skazani.

- Robi się to, co się czuje w danym czasie, Jeanie. Ja też nie jestem święty, jestem tylko człowiekiem. Nawet niespecjalnie dobrym. Jeśli coś takiego robiłem, to raczej instynktownie.

- No to dlaczego...

Gdy tak na nią patrzył, jej twarz nagle poszarzała i powoli, straszliwie powoli jej ciało osunęło się po ścianie, a głowa podskoczyła, uderzając o podłogę. Przez kilka sekund stał jak skamieniały. Potem rzucił walizkę, porwał jej ciało i zaniósł do salonu, gdzie ułożył ją na kanapie, rozpinając pod szyją bluzkę. Idąc do drzwi zauważył, że w kominku pali się ogień, a na stole stoi butelka whisky i dwie szklanki. Umoczył ręcznik w zimnej wodzie i poczuł nagle, jak wzbiera w nim smutek i poczucie winy. Smutek, gdy uświadomił sobie, jak przygotowywała się do ich rozmowy, a poczucie winy dlatego, że gdy odpinał jej bluzkę, przemknęło mu przez głowę pytanie, ile razy robił to samo Rosjanin. Kiedy wychodził z kuchni z ociekającym wodą ręcznikiem, zadzwonił telefon. Zawrócił na pięcie i przeszedł do hallu, by go odebrać.

- Boyle - mruknął do słuchawki.

- Jamie - powiedział jego ojciec. - Jak się czujesz?

- Świetnie.

- Coś mi się nie wydaje, jesteś jakiś niepozbierany. Pokłóciliście się?

- Wiedziałeś, że ona tu jest?

- Oczywiście. To był mój pomysł. Dziewczyna była chora z niepokoju. Mówiłem jej, żeby się tak nie przejmowała. Powiedziałem - porozmawiaj ze sobą. Powiedziałem jej też, żeby nie traciła wiary w ciebie, w twój zdrowy rozsądek. W twoją dobroć wreszcie. Mówiłem jej, że nawet jeśli to nic nie da, to przecież zależało wam na sobie, kochaliście się i nie wolno tego wszystkiego podeptać tylko dlatego, że nie ma dość odwagi, by spojrzeć ci w twarz. Nie ma co wzdychać, chłopcze. Ona jest moją córką, tak samo jak ty jesteś moim synem. Zależy mi bardzo na was obojgu. A może po prostu przyjdźcie tu do mnie i porozmawiamy razem? Czuję się bardzo samotny.

- Zadzwoń do ciebie później, tato.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Jamie odłożył słuchawkę i stał kilka chwil bez ruchu, zaciskając powieki, z mokrym ręcznikiem przyciśniętym do ubrania. Kiedy wrócił do pokoju, miała już otwarte oczy i ujrawszy go, próbowała się unieść, ale nie była w stanie. Usiadł koło niej na kanapie i ujął ją za rękę.

- Chciałbym, żebyś wysłuchała uważnie tego, co teraz powiem. Zgadzasz się?

Skinęła głową.

- Żałuję, tego, co się stało. Żałuję i za ciebie, i za mnie. Byłem wstrząśnięty i wściekły i to odsunęło na bok wszystkie inne uczucia. Jeżeli mi wybaczysz, ja wybaczę tobie. Może nie uda nam się zapomnieć, ale może też nie jest to ważne. Kiedyś w końcu pewnie

i tak zresztą zapomnimy. Przepraszam jeszcze raz za to, co było złe z mojej strony, nie tylko dzisiaj, ale i przedtem. Zróbmy próbę na razie na rok. Ja się postaram i ty też się postaraj. Ale już nigdy nie wspominajmy o tej całej sprawie, choćby nas nie wiem jak kusiło. Zaczynamy od nowa tak jakby się nigdy nic nie stało. OK.?

Skinęła głową.

- Dajesz mi szansę, Jamie? Prawdziwą szansę?

- Jestem idiotą, Jeanie, takim idiotą. - westchnął. - Niepotrzebny nam żaden rok. Ciągnijmy to dalej i tyle...

Chciał jeszcze coś dodać, ale tylko westchnął głębiej, gdy poczuł, że obejmują go jej ramiona, a jej znużona głowa przytula się do jego piersi.

Harry Andrews i Joe Langley wzięli udział w inauguracyjnym posiedzeniu pierwszego kongresu. Zdecydowano, że jego siedzibą nie będzie stary Pałac Westminsterski, gdyż za bardzo przypominał o dawnych podziałach i klęskach. Projekty nowych budynków kongresu i senatu były już gotowe. Miały one powstać na zapuszczonym od lat terenie starych doków. Jednak pomimo obiecanej przez inne kraje finansowej i rzeczowej pomocy budowa miała potrwać około dwóch lat. Na razie do roli tymczasowej siedziby kongresu awansowano więc Royal Albert Hall, zaś Festival Hall, po wprowadzeniu odrobiny neutralności do układu wnętrza, stał się siedzibą senatu. Zrezygnowano z ustawienia ławek rzędami naprzeciw siebie i z wszystkich innych historycznych wymogów dawnej Izby Gmin. Żadnej buławy, żadnej laski marszałkowskiej - i żadnej zawiłej procedury parlamentarnej. Zrezygnowano nawet z tradycyjnego cylindra, który był konieczny przy każdej zmianie porządku obrad. Miejsca do siedzenia ustawiono szerokim półkolem, a kongresmeni mieli je zajmować w porządku

alfabetycznym. Miejsce przewodniczącego znajdowało się na podeście, na którym zasiadał również sędzia komisaryczny, zaś nieco później umieszczono podium dla mówców. Nie było ceremoniału ani otwierającej modlitwy. W zamian procedura obrad wymuszała namysł i skupienie się raczej na faktach i rzeczowej opinii niż na retoryce. Przypominało to bardziej zebranie ludzi interesu i - jak o tym często przypominał przewodniczący podczas pierwszych sesji - posługiwanie się nieprawdziwymi faktami groziło poważnymi konsekwencjami, łącznie z postawieniem - przed specjalną komisją, w wypadku gdy takie postępowanie się powtarzało. Obrzucanie obelgami, czy to innego członka kongresu, czy publiczności, było surowo zabronione, podobnie jak wygłaszanie przemówień utrzymanych w zapalczym tonie.

Kiedy obydwaj mężczyźni usiedli potem w restauracji Steak House na Kensington High Street, Langley odezwał się pierwszy.

- Powinieneś siedzieć na jednym z tych miejsc, Harry.

- Ja? Na Boga, dlaczego ja?

- Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie ty. To ty zorganizowałeś Ruch Oporu i ty rzuciłeś ten pomysł z konstytucją.

Andrews roześmiał się.

- Mnóstwo ludzi na długo przed wejściem Rosjan twierdziło, że powinniśmy mieć pisaną konstytucję.

- To czemu jej nie napisali w takim razie?

- Bo im się to opłacało. Mogli nadal cieszyć się przywilejami i władzą, która pozwalała im naginać prawo do własnych potrzeb, czy też potrzeb ich partii i stronników. Politykom w całym tym interesie nie chodziło o nic więcej, jak tylko o władzę. Cała ta gadka o pracy dla dobra narodu to zwykłe mydlenie oczu. Ani razu, kiedy mieli dokonać wyboru między narodem a partią, nie wahali się nawet przez chwilę i to niezależnie od orientacji. Dla tych

sukinsynów wybór był tylko jeden. Przecież władza w Labour Party nie opierała się wcale na masach członkowskich, nawet nie na klasie robotniczej, kogokolwiek by to określenie mogło oznaczać. Żaden z przywódców labourzystowskich nigdy w życiu nie splamił się pracą fizyczną. A z kolei torysi nie reprezentowali wcale handlu ani przemysłu. Większość z nich nie potrafiłaby wyjść na swoje w zwykłej budzie z frytkami.

- No właśnie. I to przecież dzięki twojemu planowaniu, twojej ciężkiej pracy i twemu przywództwu udało się to wszystko zmienić.

Andrews pokręcił głową.

- Miło, że tak mówisz, Joe, ale to nie jest prawda. Sam nasz Ruch Oporu nie doprowadziłby do wycofania się z tego kraju ani jednego ruskiego czołgu czy żołnierza. Byliśmy jak ugryzienia komarów. Denerwujące, ale nic poza tym. Jedyne, czegośmy dokonali, to pokazanie Amerykanom i reszcie świata, że to nie na własną prośbę jesteśmy pod okupacją. Wiedzieli, że się opieramy i poruszyło to parę sumień. W Waszyngtonie przekonali się, że będziemy walczyć, nawet pozostawieni sami sobie. Tak jak w czasie drugiej wojny, kiedy walczyliśmy z Hitlerem zupełnie sami przez ponad rok, a, Rosjanie i Niemcy przez cały ten czas byli sojusznikami - Andrews uśmiechnął się w zamyśleniu. - Nie oszukujmy się, Joe. Oczywiście to na nas Ruscy się pośliznęli, to my byliśmy tą skórką od banana, ale gdybyśmy zostali sami, zrobiliby z nas mokrą plamę, to więcej niż pewne.

- I co masz zamiar teraz robić?

- Zaproponowali mi stanowisko na Uniwersytecie Bostońskim. Mam uczyć najnowszej historii Wielkiej Brytanii, od 1970 r. aż do dziś, do 1987 roku. No i będziemy mieli dziecko. Indi pojedzie ze mną. A ty? Czemu sam nie spróbujesz sił w kongresie? Zakasowałbyś tam niejednego.

- Dostałem niezłą rentę, podejrzewam zresztą, że to twoja sprawka. Mam już dość. Oboje mamy dość. Przeprowadzamy się do Kornwalii. Chcę kupić jakiś nieduży parterowy domek z ładną przybudówką. Urządzę sobie warsztat mechaniczny. Będę budował modele starych lokomotyw parowych, dawno o tym marzyłem. „Duchess of Athol”, „Sir Nigel Gresley”, „The Royal Scott”, tego typu sprawy.

- Od samego mówienia o tym już wyglądasz młodziej, Joe - powiedział Andrews ze śmiechem, klepiąc go po ramieniu.

- I czuję się młodo, panie szanowny - odparł Langley. - Od lat już się tak nie czułem.

Glyn i Meg Thomasowie przyglądali się ludziom, którzy kręcili się po ich farmie, robiąc zdjęcia i rysunki. Była to ekipa przysłana dla sporządzenia dokładnej dokumentacji przed przetransportowaniem aparatury elektronicznej i całej reszty wyposażenia do Imperialnego Muzeum Wojny, które miało stać się ich nowym domem. Miała to być stała wystawa, będąca dokładną rekonstrukcją poddasza w Pen-y-Fan - kwatery głównej brytyjskiego Ruchu Oporu. Nawet starą piankową wykładzinę zwinięto starannie, by ją potem rozłożyć w muzeum.

Glyn Thomas pomagał im we wszystkim z wyjątkiem jednego. O żadnej ze spraw związanych z Ruchem Oporu nie chciał rozmawiać ani z przedstawicielami muzeum, ani z dziennikarzami, ani z wojskowymi. Gdy proponowano mu pieniądze, wygłaszał zjadliwe komentarze. Propozycję przyjęcia renty, odznaczeń, czy choćby jednorazowego zasiłku demobilizacyjnego traktował jako obelgi, choć wszystko to oferowano mu z czystego podziwu i wdzięczności. Z całej tej niewielkiej grupy przywódców, którzy zapoczątkowali organizowanie i szkolenie późniejszych grup Ruchu

Oporu, był jedynym, którego poglądy pozostały tak twarde i bezkompromisowe. Po odejściu Rosjan Meg przesiedziała razem z nim wiele bezsennych nocy. Patrzyła, jak jej mąż siedzi przy komputerze i po raz któryś z rzędu przegląda wszystkie nazwiska, pseudonimy i dane. Jego ostateczny bilans zamknął się cyfrą 10.491 aktywnych członków oraz 210.000 takich, którzy na różne sposoby udzielali im pomocy, począwszy od prostego zbierania informacji, aż do użyczenia swej specjalistycznej wiedzy. Ten spis 220.491 mężczyzn i kobiet, którzy ryzykowali swoim i swoich rodzin życiem dla sprawy Ruchu Oporu, dla wielu był prawdziwą listą honorową, lecz dla Glyna Thomasa był to jedynie powód do wstydu. I ani Andrews, ani nikt inny nie był w stanie mu tego wyperswadować. Za każdym razem odburkiwał gniewnie, że jedyne, co wynika z tych liczb, to fakt, iż pomimo popadnięcia w niewolę, pomimo upokorzeń i brutalności okupanta, mniej niż pół procenta ludności Wielkiej Brytanii miało odwagę bronić swego dotychczasowego sposobu życia przeciwko tyranii.

Dla Glyna Thomasa twoje nazwisko albo znajdowało się w tym komputerowym spisie, albo, przynajmniej jeśli o niego chodziło, mogłeś w ogóle nie istnieć. Glyn Thomas był jednym z tych okaleczonych duchowo, których tak wielu zostawili Rosjanie po swoim odejściu. Był smutnym, zgorzkniałym człowiekiem i jedynym, co go jeszcze obchodziło, były jego żona i farma. Meg Thomas kochała go jeszcze bardziej za tę duchową ranę, lecz czasem zastanawiała się, czy Bóg w końcu jednak nie wysłuchał jej modlitw, kiedy wiele lat temu prosiła o dziecko, a odpowiedź brzmiała „nie”. Ponieważ Bóg wiedział lepiej niż ona, co miało się jeszcze wydarzyć.

Rozdział XXVI

Dziewczyna z ministerstwa kultury wskazała na kępę brzóz i sosen, wśród których majaczyły zarysy drewnianego budynku.

- To właśnie jego dom.

Art Lane kazał kierowcy stanąć i konwój złożony z furgonetki i dwóch samochodów osobowych zatrzymał się na piaszczystej wiejskiej drodze.

Równie dobrze dom ten mógł się znajdować gdzieś w Nowej Anglii. Starannie wykończony, funkcjonalny i przyjemny dla oka, stał wśród srebrnych brzóz w niewielkim ogrodzie otoczonym drewnianym płotem.

Z furgonetki wysiadł kamerzysta i gdy się do niego zbliżył, Lane pokazał palcem na dom.

- Dasz długie ujęcie stąd, a potem zbliżaj powoli na drzwi. Maksimum piętnaście sekund.

- Czy robić na zmiękczeniu?

Lane wzdrygnął się, westchnął i odparł:

- Zrób i tak, i tak, Charlie. Jeszcze nie jestem pewien, zależy, jak wypadnie wywiad.

Dwadzieścia minut później Lane wraz z dziewczyną stali w nasłonecznionym pokoju, położonym w narożniku domu. Pokój był, dobrze ogrzany, lecz Art Lane nadal miał na sobie podbitą kożuszką kurtkę, jak gdyby była to jakaś zbroja, chroniąca go w tym obcym otoczeniu.

Dacza znajdowała się w Pieriedielkinie, w pobliżu Moskwy. Była to kolonia artystów i pisarzy wynagrodzonych w ten sposób przez

partię za lojalność. Nawet tym, którzy później wypadli z łask, pozwolono tu nadal mieszkać. Pokój był skąpo umeblowany, lecz meble były w dobrym gatunku, zaś na czołowym miejscu stała wygodna, obszerna kanapa i kilka foteli. Przeciwległą ścianę wypełniały półki z książkami, wśród których stało radio i telewizor, przy jednym z foteli, na niewielkim stoliku z marmurowym blatem leżał egzemplarz „Zmierzchu i upadku Cesarstwa Rzymskiego” Gibbona.

- Czy Jest gotów? - spytał Lane dziewczynę.

- Tak. Mam go przyprowadzić?

- Tak, tak. Zaczniemy już.

Mężczyzna, który wszedł do pokoju za dziewczyną, był blady, lecz wyglądał dość zdrowo. Lane wyciągnął rękę.

- Panie Cooper, jestem Art Lane z BBC. Kieruję redakcją filmową. Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć.

Cooper skinął głową i wskazał jedno z krzeseł.

- Proszę usiąść, panie Lane.

Sam usiadł na kanapie, zaś Lane pochylił się ku niemu i zapytał:

- Czy chce pan, bym używał w wywiadzie pańskiego tytułu, sir Frederick? Chętnie zgodzimy się na wszystko, co pan zaproponuje.

Cooper uśmiechnął się kwaśno.

- Wystarczy samo Cooper, albo tylko imię, Frederick.

- Chciałbym przedstawić panu pytania, które przygotowałem do tego wywiadu, chciałbym też, by było dla pana zupełnie jasne, że z naszej strony nie będzie w tej rozmowie żadnych wrogich akcentów. Zarówno NBC jak Time-Life pragną, by ten wywiad miał charakter przede wszystkim dokumentalny. Ani za, ani przeciw jakimkolwiek decyzjom, które mógł pan podjąć w przeszłości.

Cooper skinął głową i zapalił papierosa. Ręka trochę mu drżała.

- Pan chyba kiedyś nie palił, panie Cooper?

Cooper uśmiechnął się.

- To niestety jeden z moich nowych nawyków.

- Dlaczego zaczął pan palić?

Tamten uniósł bezradnie rękę.

- A dlaczego się zaczyna? Samotność, zbyt dużo wolnego czasu, a poza tym - uśmiechnął się znowu - stwierdziłem, że sprawia mi to przyjemność.

- Czy spoglądając wstecz na kilka ostatnich lat, dostrzega pan w nich jakąś naukę, coś, co mogłoby być dla nas pomocą w myśleniu o przyszłość?

Cooper westchnął i spojrzał na Amerykanina.

- Na pewno pan chce, żebym rozpatrywał to w tych kategoriach?

- Oczywiście, a czemu nie.

- Odpowiedź może się panu nie spodobać. I pańskim telewizjom również.

- Proszę się tym nie przejmować, panie Cooper, niech pan po prostu mówi to, co pan myśli.

- Myślę, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat w życiu społecznym pojawiło się wiele pęknięć, wiele wad. Zarówno na wschodzie jak i na zachodzie - jednak będę się trzymał swojego podwórka. My, Brytyjczycy bardzo szcyciliśmy się naszą tolerancją i systemem parlamentarnym, który zapewniał nam demokrację i pozwalał ją utrzymać. Na całym świecie nowo powstające narody i państwa wzorowały swe instytucje polityczne na naszych. I na całym świecie nie zdały one egzaminu. Uważaliśmy, że dzieje się tak dlatego, że ludzie są czarni czy brązowi, że w grę wchodzi przyczyny religijne, właśnie szczepowe i tym podobne. Jednak teraz jest dla mnie oczywiste, że to nie o to chodziło. To demokracja sama w sobie nie zdała egzaminu.

- Na czym, pana zdaniem, polegała jej słabość, sir?

- O, przyczyn jest bardzo wiele. Może uczciwiej będzie rzec, iż to nie tyle demokracja nie zdała egzaminu, co raczej my pomyliliśmy demokrację z absolutną wolnością. Nie chodzi mi tu o wolność posiadania i głoszenia własnych poglądów czy wolność sumienia i wyznania. Mam na myśli wolność robienia przez każdego tego, co mu się żywnie podoba - Cooper uśmiechnął się blado. - Jest taka piosenka Franka Sinatry, nazywa się „I did it my way” czy jakoś tak - „Zrobiłem to po swojemu”. Ta piosenka stała się niemalże naszym drugim hymnem narodowym. Usprawiedliwieniem wszelkiego nadmiaru i wszelkich braków w osobowości człowieka. Stosownie do tych słów, nie tylko ma się prawo robić, co się komu żywnie podoba - na koszt innych ludzi, oczywiście - ale w dodatku jeszcze, postępując w ten sposób, można się uważać za świetnego faceta. No, a to już jest nic innego, jak powrót do poziomu jaskiniowców. Największemu i najsilniejszemu dostaje się najlepsze mięso i najlepsze kobiety.

- Czyżby zamierzał pan winić Francisa Alberta za wszystkie problemy tego świata? - spytał Lane ze śmiechem.

- Oczywiście, że nie, ale ta piosenka symbolizuje nasz podstawowy błąd. Tolerancja mianowicie może stać się niczym więcej niż słabością, brakiem woli. Wolność - to z kolei pojęcie zbyt szerokie. Efektem tego wszystkiego jest tolerowanie wolności stosowania przemocy, dla zdobycia pieniędzy czy dóbr. Jak również dla zdobycia władzy i całkowitej kontroli nad życiem innych ludzi. Wie pan, doskonały tego przykład mamy choćby w dziedzinie, którą pan uprawia, w dziedzinie środków przekazu. BBC w zamyśle jej twórców miała zapewniać coś, co nazywano równowagą. Jeśli w jakiejś audycji występuje człowiek, którego poglądy polityczne są wszystkim dobrze znane, to obok niego koniecznie musi wystąpić drugi, który ma poglądy zupełnie przeciwne. Jeśli wygłasza swe

poglądy policjant, to i przestępca ma prawo się wypowiedzieć. Nikt nigdy nie zastanawiał się, czy to zdrowo z punktu widzenia społecznego, żeby kłamcy i karierowicze mogli wygłaszać swe poglądy na równi z uczciwymi ludźmi. Nazywaliśmy to wolnością, ale to nieprawda. To było szaleństwo. Dopuszciliśmy do tego, że w umysły ludzi wkradło się pomieszanie w odróżnianiu dobra od zła. Ludzie nie są głupi, ale kiedy widzieli i słyszeli przywódców związkowych, polityków i inne znane osobistości życia publicznego, kłamiących w żywe oczy w radiu czy telewizji, to nawet nie te kłamstwa same w sobie wywoływały zamieszanie w ich umysłach, ale fakt, że w środkach przekazu nie znalazł się nikt, kto stanąłby później przed kamerą czy przed mikrofonem i przeciwstawił się otwarcie tym ludziom. Powiedział, że są kłamcami. Widzieliśmy na przykład przywódców strajków, które wyrządzały niebywałe szkody zwykłym ludziom, roniących krokodyle łzy w telewizji zaklinających się, że nie jest ich intencją szkodzenie społeczeństwu. To tylko przypadkiem tak się stało, że pracownicy lotnisk zastrajkowali akurat w czasie letnich wakacji, a związek energetyków ogłosił na przykład strajk w środku zimy. Nikt im oczywiście nie wierzył, nie spodziewali się zresztą, że ktoś im uwierzy, ale nikt też nie powiedział im w twarz, że są kłamcami - ponieważ środki przekazu prowadziły swą własną grę. A społeczeństwo wyciągnęło z tego odpowiednie wnioski - ci, którzy stoją u władzy, mają gdzieś prawdę i kłamstwa, mają gdzieś dobro i zło. To bardzo znaczące, że pod koniec telewizja komercyjna gromadziła więcej widzów niż państwowa. Dlatego, że nie musiała jeść z ręki rządowi, żeby zyskać fundusze. A BBC tak. Pan płaci, sługa musi, i trzeba bardzo wiele odwagi, by powiedzieć panu, że jest kłamcą i oszustem.

- Więc pańskim zdaniem wina tkwi przede wszystkim w środkach przekazu?

- Absolutnie nie. Były tylko lustrami odzwierciedlającymi sytuację. Prasa była przecież niezależna - jako jedyna zresztą wypowiadała się pełnym głosem. Lecz ludzie byli coraz bardziej zmęczeni tym całym bałaganem i głos prasy nie miał żadnego wpływu na bieg wydarzeń.

- W takim razie kogo, czy też co należałoby obarczyć winą?

Cooper rozłożył bezradnie ręce.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Myślałem o tym wszystkim w nieskończoność. Spoglądając w przeszłość mogę stwierdzić, że na pewno jedną z zasadniczych przyczyn był parlament. Mieliśmy dwie główne partie - torysów i labourzystów. Całkowicie opozycyjne wobec siebie, nigdy nie dochodzące do zgody. Cokolwiek stworzyła jedna, będąc u steru, druga natychmiast rozbijała w puch, gdy sama doszła do władzy. Dlatego nic nigdy nie zostało doprowadzone do końca. Były jak dzieciaki bijące się w piaskownicy i burzące sobie nawzajem zamki z piasku. Do końca życia nie zrozumieję, jak ludzie mogli tak długo to wszystko znosić. Możliwe, że społeczeństwo za mało się tym wszystkim interesowało, ale jak miało wyrazić swoją wolę zmiany? Nawet jeśli czuło, że to, co jest, nikomu nie odpowiada, nie było w stanie określić, czym należałoby to zastąpić. A może ludzie po prostu wiedzieli, że nigdy nie osiągną tego, czego pragną, ponieważ nie pozwolą im na to politycy. Może byliśmy wszyscy zbyt leniwi? Nie wydaje mi się. Może druga wojna światowa zabiła w nas ducha? Ale przecież inne narody przetrwały w o wiele gorszych warunkach. Czy byliśmy zbyt egoistyczni, zbyt zabiegani wokół własnego życia i przeżycia? Powtórzę jeszcze raz - nie wydaje mi się; w każdym razie nie bardziej niż inne narody. Nie, smutne to, ale jedyną konkluzją, jaka mi się nasuwa, jest ta, iż demokracja nie tylko po prostu się nie sprawdziła, ale że prowadzi zawsze do totalnej anarchii.

- A co pan myśli, sir o nowych ideach, które obecnie kiełkują w Wielkiej Brytanii, i o nowych ludziach, którzy je rozpowszechniają?

- Nie do mnie należy ocena tych zjawisk.

- Proszę choćby zasygnalizować, ku jakiej ocenie pan się skłania. Może zapytam inaczej: czy zasadniczo uważa pan, że są to słuszne idee?

Cooper wzruszył ramionami.

- Tylko czas to pokaże, panie Lane. Tylko czas.

Wkładając klucz do zamka, nucił pod nosem „Yesterday” Beatlesów, usiłując przypomnieć sobie słowa. Lecz w zamku był już jeden klucz. Tkwił z drugiej strony. Otworzył drzwi i przez chwilę zastanawiał się, czy nie pomylił pokoi. Nie było półek z książkami, a ze ścian zniknęły grafiki. I wtedy spostrzegł tego człowieka, porwane książki zaścielające podłogę oraz powywracane półki i meble. Tamten był po cywilnemu, lecz Josef w jednej chwili pojął, że to KGB.

- Kim pan jest? Czego pan chce? - zapytał mimo to.

- Josef Andriejewicz Andriejew?

- Tak.

- Jest pan aresztowany.

- Za co?

- Zarzuty z artykułu drugiego i artykułu dziesiątego Kodeksu Karnego.

- Co to znaczy?

- Może pan zabrać szczoteczkę do zębów, mydło, maszynkę do golenia i jeden koc.

- Ale o co się mnie właściwie oskarża?

Pięść tamtego wylądowała na jego twarzy z taką szybkością, że

nie zdążył się nawet uchylić. Usłyszał, jak trzaska mu przegroda nosowa, i chwycił się rękami za głowę, wijąc się z bólu i czując ciepłą krew płynącą między palcami. Gdy but tamtego trafił go w jądra, potężniejąca fala bólu pozbawiła go przytomności.

Kiedy się ocknął, leżał na sienniku rozłożonym na betonowej podłodze w ciemnej, cuchnącej celi. Nad sobą widział żarówkę, świecącą za drucianą osłoną przymocowaną do sufitu. Spróbował się poruszyć, lecz ból w kroku powalił go z powrotem na ziemię. Usłyszał jeszcze swój własny jęk, a potem zapadł w nieświadomość. Miał wrażenie, że upłynęło tylko parę minut, kiedy ktoś zaczął nim potrząsać. Otworzył oczy i spojrzał na stojącego nad sobą mężczyznę. – Josef Andriejewicz Andriejew?

- Tak - wyszeptał.

- Anna Andriejewna to pańska żona?

Skinął głową i aż zacisnął powieki z bólu. Mężczyzna złapał go za włosy, pociągając mu głowę ku górze i Josef aż wrzasnął.

- Kto ci wydawał rozkazy?

- Błagam, o Boże - zdołał wymamrotać, zanim znów zemdłał. Po jakimś czasie ocknął się ponownie. Tym razem na stojąco. Ktoś, kto stał za nim, podtrzymywał go, wsunawszy mu ręce pod pachy. W otwartych drzwiach celi stał jakiś mężczyzna, zaś ten, który go trzymał, wypchnął go na korytarz. Potem znaleźli się w jakiejś starodawnej windzie i kiedy ruszyła w górę, Josef poczuł, jak fala żółci podchodzi mu do gardła. Potem był jeszcze jakiś korytarz, tym razem zupełnie inny, czysty i tak jasno oświetlony, że Josef musiał przymknąć oczy. Po chwili otworzyły się drzwi i wepchnięto go do jakiegoś pomieszczenia. Ktoś brutalnie podsunął mu z tyłu krzesło pod nogi i mężczyzna, który go przyprowadził, musiał go chwycić za ramiona, żeby nie upadł. Za nowoczesnym biurkiem z drzewa lękowego siedział jakiś człowiek i kiedy Josef odzyskał ostrość

widzenia, zauważył, że jest on doskonale ubrany. Wyglądał bardziej na Amerykanina niż na Rosjanina. Przez chwilę przyszło mu do głowy, że już go gdzieś kiedyś widział. A potem wszystko zaczęło się od początku.

- Pan się nazywa Josef Andriejewicz Andriejew?

- Tak.

- Scenarzysta filmowy i zastępca kierownika produkcji.

- Tak.

- Pańską żoną jest Anna Aleksandriewna Andriejewa.

- Tak.

- Gdzie żona pracuje?

- W biurze przepustek na Granowskiej.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Nie było jej w domu. Jak długo już tutaj jestem?

- Kiedy ją pan ostatnio widział?

- Dziś rano, przed wyjściem do pracy.

Tamten machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

- Czy wiesz, gdzie jesteś, Andriejew?

- W więzieniu.

- To Łubianka, Andriejew. Ja jestem oficerem KGB. A ty masz bardzo poważne kłopoty. Rozumiemy się?

- Oficer, który mnie aresztował, wymieniał jakieś paragrafy, ale ja nadal nie wiem, o co chodzi.

- Twoja żona wręczyła ci bony na benzynę i przepustkę podróżną rano w dniu aresztowania.

- Nie.

- Nie bądź głupi, Andriejew. Mam to wszystko tutaj - i tamten wyciągnął do niego ponad biurkiem jakieś kartki. - Przyznajesz się, że ci to dała?

- Niczego mi nie dawała. Nigdy przedtem tego nie widziałem.

- Rany Boskie, nie marnujmy czasu. Znalezione je w twojej kieszeni. Są na nich pieczętki ministerstwa rolnictwa.

- Nie znam nikogo z ministerstwa rolnictwa i moja żona również.

- Naprawdę masz zamiar odgrywać bohatera, Andriejew? Nie ma tu publiczności, nikt nie będzie bił brawa.

- Żądam adwokata. - Tamten skrzywił się kpiąco.

- Chyba wam padło na mózg, towarzyszu. Oglądacie za dużo amerykańskich filmów.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Możecie postawić mnie przed sądem, zrobić mi sprawę i co tam jeszcze chcecie.

- Nie będzie żadnego sądu, przyjacielu. Albo zaczniesz mówić, albo ci pomożemy. Wybieraj co wolisz - przerwał na chwilę i spojrzał na Josefa spod oka. - Żeby ci to ułatwić, powiem ci jeszcze, że twoja żona przyznała się do wręczenia ci tych bonów i przepustki. Czy wiesz, w jaki sposób je zdobyła? Co?

Andriejew wzdrygnął się mimo woli i pokręcił przecząco głową.

- Powiem ci, towarzyszu - podjął tamten z uśmiechem. - Bardzo ważny facet z ministerstwa rolnictwa potrzebował nowego telewizora kolorowego. Jego kierowca powiedział, że mu go załatwi w zamian za bony na benzynę i przepustkę podrózną do... - no, dokąd? - może na miłą przejażdżkę do Pieriediełkino? Nie, nie. No to może do Leningradu, tej Wenecji północy? Też nie. Akurat do Charkowa. Stary, kochany, brudny Charków, gdzie robią lokomotywy i traktory. I samoloty. Czyli produkcja o znaczeniu strategicznym. Dlaczego w takim razie pan kierowca chce odbyć przejażdżkę do Charkowa? Ano właśnie. Chodzi o to, że w ogóle nie zamierza jej odbywać. Ale zna ładną dziewczynę, którą chętnie by przeleciał. Na przeszkodzie temu szczeremu uczuciu stoi tylko fakt, że jest ona mężatką. Okazuje się jednak, że istnieje pewna drobnostka, która pozwoli Jej przewyciężyć skrupuły. Róże? Nie.

Czekoladki? Nie. Może francuskie perfumy? Też nie. Natomiast bardzo chętnie rozłożyła swoje śliczne, długie nogi za kartki na benzynę i przepustkę do Charkowa. No i tyle. Wiceminister dostał swój telewizor, ładna dziewczyna też załatwiła co chciała, a szofer najeździł się do woli na tej dziwce, którą nazywasz swoją żoną!

- Nie wierzę w to, towarzyszu. To wszystko kłamstwa. Nigdy nie dawała mi żadnych bonów na benzynę ani przepustek donikąd. Nigdy.

- Były w szufladzie, schowane pod twoimi koszulami, przyjacielu.

- Przed chwilą mówiliście, że znaleziono je w mojej kieszeni.

- Nieważne, co mówiłem. Mamy je i tyle.

- A gdzie jest moja żona?

- Zapomnij o niej, towarzyszu. Martw się teraz o siebie. Masz do wyboru - Gułag albo mogiła. Jeśli będziesz współpracował, dostaniesz pięć lat obozu, jeśli nie, no to... - tamten wzruszył bezradnie ramionami, jak gdyby to wszystko nie zależało od niego. - Sam zdecyduj, co wolisz.

- Chcę się zobaczyć z żoną. Śledczy wstał.

- Wiesz co? Prześpij się z tym do jutra. Namyśl się dobrze, może się okazać, że robisz to ostatni raz w życiu.

Wizytówka na drzwiach głosiła po prostu: Radek P.G. Dyrektor. Wydział Zwalczenia Działalności Wywrotowej.

Sawalew zapukał i kobiecy głos zawołał ze środka, by wszedł.

- Jest u siebie? - zapytał, zamykając za sobą drzwi sekretariatu.

Sekretarka spojrzała na niego.

- Zobaczę - odparła.

Podniosła słuchawkę białego telefonu i powiedziała:

- Przyszedł pułkownik Sawalew, towarzyszu dyrektorze. Słuchała przez chwilę w milczeniu, a potem odłożyła słuchawkę i rzekła do

Sawalewa:

- Możecie wejść.

Radek siedział odchylony do tyłu w wielkim, wyściełanym czarną skórą krześle. Wskazał na jedno z krzeseł stojących przed jego biurkiem, zaczekał, aż Sawalew zajmie miejsce, i zapytał:

- Czym mogę wam służyć, pułkowniku?

Sawalew nigdy nie był do końca pewien, co ma myśleć o dyrektorze.

Radek był łagodnego usposobienia i posiadał doskonałe wykształcenie, ale jednocześnie było w nim coś dziwnego. Dawniej wydawało mu się, że może to wrażenie dziwności wynika po prostu z faktu, że Radek był jednym z tych, którzy przeżyli łagier. Jednak było jeszcze coś więcej. Ten człowiek się nie bał, podczas gdy wszyscy wokół czegoś lub kogoś się bali. Instynkt zawsze podpowiadał Sawalewowi, że z Radkiem trzeba postępować ostrożnie.

- Mam pewien problem, towarzyszu dyrektorze. Tamten skinął głową, lecz nic nie odpowiedział.

- Idąc śladem pewnych bonów benzynowych i przepustki podróźnej trafiłem na podejrzanego mężczyznę. Zaprzecza, aby miał z tym cokolwiek wspólnego i wydaje się, że mówi prawdę. Jednocześnie jednak jestem pewien, że jest dysydem. Myślę, że w końcu zacznie mówić, ale na razie śledztwo utknęło w martwym punkcie. Pomyślałem, że może wy powinniście go przebadać, towarzyszu dyrektorze.

Radek pokręcił głową.

- Nie mam czasu, Sawalew. Jak ten człowiek się nazywa?

- Josef Andriejew. To filmowiec.

Radek wyciągnął rękę i otarł koniec swego cygara o brzeg popielniczki z błękitnego kryształu.

- Dlaczego go podejrzewacie?

- Wprowadziliśmy do komputera dane ze wszystkich przepustek podróży wydanych ostatnio do miejscowości, w których były zamieszki. Andriejew był w pięciu takich miejscach i to zawsze na dwa tygodnie przed rozruchami.

- A dokąd była wystawiona ta ostatnia przepustka?

- Do Charkowa.

Radek uniósł brwi.

- Na jego nazwisko?

- Nie, to przepustka ogólna. Na okaziciela i na czas nieokreślony.

- A skąd on ją miał?

- Żona mu załatwiła.

- W jaki sposób?

- Zblatowała sprawę; dała komuś tyłka.

- No, to może ona jest podejrzana?

- Jestem pewien, że nie.

- Skąd możecie być tak pewni?

- Przypadkiem ją znam. Jest głupia i nie wierzę, żeby była zdolna do czegokolwiek.

- Z wyjątkiem załatwienia nielegalnych dokumentów, co?

- Tak mi się wydaje.

- A gdzie ona teraz jest?

- W więzieniu kobiecym. Radek dłuższą chwilę patrzył w okno, zanim znów spojrzał na Sawalewa.

- Mówicie po polsku, pułkowniku?

- Nie.

- Nie szkodzi. Pojedziecie do Warszawy. Jest pewna sprawa. Dostaniecie akta od mojej sekretarki. Na okładce jest nazwisko - Kamiński. To wyższy funkcjonariusz Z-2. Spróbujcie się czegoś o nim dowiedzieć, na razie dyskretnie. Dostaniecie tymczasem

przeniesienie. Zabierze wam to najwyżej parę tygodni.

- Czy to podejrzany?

Radek uśmiechnął się zagadkowo.

- Wszyscy są podejrzani, towarzyszu Sawalew. Wy, ja, wszyscy.

- A co z tym Andriejewem?

- Z kim?

- Z Andriejewem, tym dysydentem.

- Proszę zostawić akta u mojej sekretarki, potem je przejrzę i zdecyduję, co z tym dalej robić - Radek wstał. - A tak dla ciekawości, pułkowniku - Co myślicie o tym całym detente z Amerykanami? Sądzicie, że coś z tego będzie?

Sawalew wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Tego rodzaju układom zawsze towarzyszą tajne klauzule i niepisane porozumienia. W sumie uważam, że to dla nas raczej niebezpieczne.

- Jakiego rodzaju niebezpieczeństwo widzicie?

- Dysydenci mogą się rozzuchwalić jeszcze bardziej niż dotąd.

- Nie uważacie zatem, że jeśli ludziom da się większe możliwości decydowania o własnym losie, to zareagują pozytywnie?

- Jestem przekonany, że nie zareagują tak, jakbyśmy chcieli. To bardzo pięknie, że podpisaliśmy ten Traktat Shannoński, ale przecież z góry wiadomo, że nic z tego nie będzie. Jak tylko im się trochę popuści, to zaraz zaczynają narzekać i żądać jeszcze więcej. Jeżeli nie będą czuć nad sobą totalnej kontroli i to w każdej godzinie ich życia, to w ciągu dziesięciu lat kraj pogrąży się w zupełnej anarchii.

- Nie uważacie zatem, że demokracja może się u nas sprawdzić?

- Wiemy doskonale, że nie może. Nigdy i nigdzie się nie sprawdziła. Prędzej czy później taka czy inna grupa musi przejąć władzę - Sawalew spojrzał na Radka. - Na tym właśnie polega

polityka.

- A czy komunizm się sprawdza? - spytał Radek.

- Mam mówić szczerze, towarzyszu?

- Tak między nami.

- Nie o to chodzi, czy komunizm się sprawdza; albo jakaś inna ideologia. Tym, co się sprawdza na pewno, jest władza, a te wszystkie nazwy to zwykłe oszustwo. Trochę podobnie jak w religii.

- Ale wam to nie przeszkadza?

- Szczerze powiedziawszy - nie - roześmiał się Sawalew. - Dopóki ja sam należę do tych, którzy są u władzy.

- No dobrze. Jak wrócicie z Warszawy, złożcie mi pisemny raport.

Gdy Sawalew wyszedł, człowiek nazwiskiem Radek podszedł do okna, które wychodziło na Plac Dzierżyńskiego. Zastanawiał się, czy to cały świat zwariował, czy tylko niektórzy ludzie. Zastanawiał się też, jak można by najlepiej wyciszyć sprawę Josefa Andriejewa i tej jego głupiej żony, która jednak w sumie bardzo im pomogła. Może najbezpieczniej będzie dołączyć oboje do którejś z ekip filmowych pracujących na stałe przy radzieckich misjach wojskowych w Londynie albo Waszyngtonie. Odszedł od okna i usiadł przy biurku, opierając podbródek w zagłębieniu dłoni. Siedział tak długo, w bezruchu, utkwivszy spojrzenie swych wyblakłych błękitnych oczu w wiszącej na ścianie fotografii. Było to kolorowe zdjęcie młodej kobiety w staroświeckiej pozie. Kolory na zdjęciu wypłowiwały i z ledwością można je było rozpoznać. Z wyjątkiem bladego błękitu oczu, takich samych jak jego.

To wszystko potrwa jeszcze bardzo długo - pomyślał Radek. - Bardzo, bardzo długo.

Spis treści

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI